

# Instynkt śmierci

## Little Bentley



calibre 0.9.43



# LITTLE

INSTYNKT

ŚMIERCI

*Złe czyny wynikają ze złej przyczyny.*

# Arystofanes

# PROLOG

CATHY SIEDZIAŁA W CIEMNYM POKOJU DAVIDA,

zdenerwowana, chociaż nie bardzo wiedziała, dlaczego. Rodzice wyszli na całe popołudnie. David zaciągnął zasłony i w środku dnia zrobiło się ciemno prawie jak w nocy. Obok Cathy na wąskim łóżku siedział Billy, a obok Billy'ego kumpel Davida, Rodney, który ciągle gapił się na nią i próbował przyciągnąć jej spojrzenie, chociaż zdawał się zajęty rozmową z Billym. Umyślnie go ignorowała, wpatrując się w zamknięte drzwi szafy. Co znowu knuje David?

Nerwowo miętoszyła w palcach rąbek spódniczki, tuż pod kolanem i przeciągała dłonią po włosach - nagle zaczęła ją swędzieć głowa, więc się podrapała. Pokój wydawał się ciemniejszy niż wtedy, kiedy tu weszła,

mimo że cienki promyk światła wpadał przez szparę w zasłonach, kładąc klin jasności na zamkniętych drzwiach szafy.

Z szafy dobiegały głucho łomoty i ciche szuranie.

Rodney zachichotał.

— Co on tam robi?

Cathy też chciała by wiedzieć. Żałowała, że tu przyszła - wiedziała już, że nie spodoba jej się to, co zaplanował David - ale było za późno, żeby się wycofać. Przenosiła spojrzenie z zamkniętych drzwi szafy na zamknięte drzwi sypialni i zastanawiała się, dlaczego w ogóle zgodziła się wziąć udział w tej zabawie.

Wiedziała, do czego prowadzą pomysły Davida. Ale nie robiła akurat nic ważnego, tylko czytała po raz kolejny ulubione fragmenty swojej ukochanej książki, Sto jeden dalmatyńczyków, więc kiedy Billy wpadł do niej i namawiał, żeby przyszła do pokoju Davida, bo ten wymyślił coś fajnego, nie potrafiła się oprzeć.

Odwróciła wzrok od drzwi i przypadkiem napotkała spojrzenie Rodneya.

Przyłapał ją!

Uśmiechnął się do niej i odchrząknął.

- No więc - zagadnął - do której klasy chodzisz w tym roku?

Doskonałe wiedział, że chodziła do siódmej klasy; sama mu powiedziała, kiedy przyszedł poprzednim razem. Zdawała sobie sprawę, że on tylko próbuje nawiązać rozmowę, ale tak naprawdę nie sądziła, by mieli sobie coś do powiedzenia. Wciąż nerwowo szarpała za rąbek spódnicy i nagle odkryła z przerażeniem, że podciągnęła materiał sporo ponad kolano, odsłaniając cześć uda.

Opuściła spódnicę, zarumieniona. Czowała, że gorąco zalewa jej twarz. Spojrzała w drugą stronę, przekonana, że Rodney to widział.

- Ciągle chodzisz do Świętej Katarzyny, co? Nie wkurzają cię mundurki?

Widział!

leszcze bardziej poczerwieniała ze wstydu, ale nie chciała dać mu satysfakcji, że ją speszył.

- Lubię Świętą Katarzynę — odparła.

- Naprawdę? - zdziwił się.

- Ja nie - oświadczył Billy. - Nienawidzę tej budy. Rodney wciąż wpatrywał się w Cathy.

- Wybrałaś już sobie szkołę średnią?

Nie chciała mu odpowiedzieć, ale sama była sobie winna. Nie powinna mu dawać okazji.

- Chcę pójść do Świętej Marii.

- Ale to szkoła tylko dla dziewczyn!

Zszokowała go, wytraciła z równowagi. Uśmiechnęła się, czując, że wreszcie zdobyła przewagę.

- Tak.

Na twarzy Rodneya malowało się zaskoczenie.

- Dlaczego?

Nonszalancko wzruszyła ramionami. Ciągle gapił się na nią.

- Nie lubisz chłopców?

Znowu się zaczerwieniła i odwróciła twarz, nie udzieliwszy odpowiedzi.

Z szafy dobiegło głośne stuknięcie i wszyscy troje nagle zamilkli. Obejrzel się na zamknięte drzwi, gdzie David przygotowywał

swoje wejście. Za drzwiami rozległa się stłumiona fanfara naśladująca odgłos trąbki, na wpół wymruczana, na wpół

wyśpiewana. Nastąpiła chwila pełnej napięcia, wyczekującej ciszy, po czym drzwi szafy, kopnięte od środka, rozwarły się na całą szerokość z takim impetem, że mosiężna gałka uderzyła w ścianę.

- Nadszedł czas - oznajmił David - na nagi cyrk!

Siedział okrakiem na starym koniku Billy'ego - plastikowym koniu na sprężynach przymocowanych do metalowej ramy. W

podskokach wytoczył się z szafy do pokoju, popychając konia do przodu samym ciężarem i siłą woli, szarpanymi, urywanymi ruchami.

Był nagi.

Cathy osłupiała, zszokowana, sparaliżowana wstydem. Pragnęła zapaść się pod podłogę, zniknąć. Żałowała, że tu przyszła. Ale nie odwróciła wzroku. Patrzyła. Nie mogła się powstrzymać. Ona i David kąpali się razem jako małe dzieci, ale nie widziała go nagiego od lat. Teraz patrzyła na twarde, sztywny członek sterczący pomiędzy jego udami i czarne kręcone włosy, które wokół niego wyrosły.

David skakał na koniu w stronę łóżka, śmiał się i fałszywie nucił

melodię jakiejś cyrkowej piosenki. Jego penis podskakiwał w górę i w dół przy każdym ruchu konia.

Spuściła oczy.

Billy i Rodney padli na łóżko na wznak i ryczeli ze śmiechu, a ją poraziła myśl, że jest tu jedyną dziewczyną. Powietrze wydawało się lepkie, Cathy pocila się z gorąca. Wstydziła się, wstydziła się Davida, ale sama nie wiedziała, czy wstydzi się tego widoku, czy wstydzi się dlatego, że Rodney na to patrzy.

David wjechał dalej do pokoju.

- Chodźcie, chodźcie wszyscy! - zaintonował. - Chodźcie do Nagiego Cyrku!

Niemal wbrew sobie znowu spojrzała na jego penis. Penis w wzwodzie był długi i gruby. Odwróciła głowę. Rodney wciąż się śmiał i przez chwilę patrzył jej w oczy. To spojrzenie wyrażało coś, czego nie rozumiała... i co jej się nie podobało.

David przyskoczył na koniu bliżej. Cathy zerwała się z łóżka, gwałtownie otworzyła drzwi i pobiegła przez hol do swojej bezpiecznej sypialni.

Zamknęła drzwi na klucz i usiadła na łóżku, dysząc ciężko, z walącym sercem. Jej ręka odnalazła Sto jeden dalmatyńczyków i Cathy zacisnęła palce na książce. Rozejrzała się po pokoju, spojrzała na znajome różowe ściany, na stos pluszowych zwierzątek w rogu.

Po drugiej stronie holu David, Rodney i Billy wciąż się śmiali. To brzmiało tak, jakby śmiali się z niej.

KTOŚ SIĘ WPROWADZA DO DOMU LAUTERÓW! - Mały Jimmy Goldstein wskazał na drugą stronę ulicy, gdzie duża żółta ciężarówka od przeprowadzek wjeżdżała tyłem na podjazd pustego domu, żeby zatrzymać się przed drzwiami garażu.

Cathy kiwnęła głową, zakręciła wąż i zawiesiła końcówkę na metalowej rurze obok krzaków róż,

- Widziałeś już tych ludzi?

Jimmy pokręcił głową. - Nie. - Usiadł na rowerze i podniósł na nią wzrok. - Chciałbym, żeby mieli dzieci.

Cathy się uśmiechnęła. Ona też chciałaby, żeby nowi sąsiedzi mieli dzieci. Jimmy potrzebował kogoś w swoim wieku do zabawy. Nie powinien ciągle kręcić się przy niej. Kiedyś w sąsiedztwie roiło się od dzieci. Ale teraz dzieci dorosły i wyprowadziły się, zostawiając ulicę rodzicom, i biedny Jimmy był

całkiem sam, jedyne dziecko w bezdziejnej dzielnicy.

Spojrzała na drugą stronę jezdni. Dwaj mężczyźni w roboczych kombinezonach wyszli z kabiny ciężarówki i przeszli na tył, gdzie przez chwilę rozmawiali. Jeden zerknął na kartkę, którą trzymał

w ręku, podszedł do fioletowych drzwi domu, otworzył je kluczem wyjętym z kieszeni i wszedł do środka. Drugi rozsunął

tylną klapę ciężarówki.

Cathy odwróciła się z powrotem do Jimmy'ego.

- Przepraszam - powiedziała - ale muszę iść. Gotuję obiad i trzeba przypilnować garnków.

— Mogę iść z tobą? - zapytał. Pokręciła głową.

- Nie dziś. Poza tym już prawie pora twojego obiadu. Nie powinieneś wracać do domu?

Wzruszył ramionami

- Tata wróci dopiero późnym wieczorem. Nie mam nic do roboty w domu.

Cathy popatrzyła na chłopca i poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

Nigdy nie rozumiała, jak ani dlaczego panu Goldsteinowi przyznano opiekę nad Jimmym. Facet był okropnym ojcem, niedbałym i nieczułym. Myślał tylko o sobie i traktował

Jimmy'ego jak domowe zwierzątko, nie jak syna. Dostrzegał jego istnienie wyłącznie przy posiłkach - a czasem nawet wtedy nie.



Pani Goldstein, choć może trochę lekkomyślna, na pewno lepiej się opiekowała dzieckiem niż jej były mąż. Nawet jeśli nie mogła utrzymać chłopca, przynajmniej troszczyła się o niego i stworzyłaby mu prawdziwy dom.

Jimmy obrócił rower przodem do ulicy.

- Na razie - mruknął.

- Czekał. - Cathy położyła rękę na jego kościstym ramieniu. -

Chcesz zjeść z nami obiad dziś wieczorem?

Popatrzył na zaciągnięte zasłony w oknach domu. - Twój ojciec jest? Przytaknęła.

- Chyba nie. Zresztą muszę nakarmić Dusty. I tata może zadzwonić.

Skopie mi tyłek, jeśli mnie me zastanie. - Odepchnął się do przodu i pomachał przez ramię. - Cześć!

Widziała, jak wściekle popedałował ulicą i skręcił na swój podjazd.

Biedny dzieciak.

Wytarła o matę zabłocone tenisówki i weszła do domu, przez salon do kuchni, gdzie zajrzała do pieczeni w piekarniku. Dźgnęła widelcem w środek. Jeszcze jakieś dziesięć minut Zdjęła pokrywkę z garnka z groszkiem, który jeszcze się nie gotował na kuchence, i trochę zwiększyła gaz. Nastawiła mały minutnik na kuchennym blacie na dziesięć minut i przeszła przez hol do bawialni

Ojciec siedział po ciemku w ulubionym fotelu i oglądał lokalne wiadomości. Zapaliła światło, kiedy weszła.

- Zepsujesz sobie oczy, jeśli cały czas siedzisz po ciemku.

- Lubię ciemność.

Cathy poprawiła pionowe ustawienie obrazu w telewizorze. Na górze ekranu widniał czarny pasek i podejrzewała, że urządzenie znowu zaczyna szwankować. Przeszła przez pokój i usiadła na kanapie obok fotela ojca. Naprawdę przydałby się nowy telewizor, ale nie mogli sobie pozwolić na zakup. Nie z jej pensji.

Ojciec głośno odchrząknął.

- Co mamy na obiad? Tylko nie pieczeń.

Wytrzeszczyła na niego oczy. Wczoraj wieczorem po obiedzie wyraźnie jej powiedział, że już dawno nie jadł pieczeni i to chyba dobry pomysł.

- Wiesz, że tak - odparła. - Sam chciałeś.

- No to się rozmyśliłem.

- Trochę za późno. Popatrzył na nią z wściekłością.

- Nie będę tego jadł.

Wytrzymała jego wzrok przez kilka sekund, potem spuściła oczy i wzruszyła ramionami.

- Okej, zamrozę ją i zjemy kiedy indziej.

- Więc co mamy dziś?

- A co chcesz?

- Nie wiem.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, oglądając telewizję.

- Ktoś się wprowadza naprzeciwko - oznajmiła Cathy, rozmyślnie zmieniając temat. Miała nadzieję, że jeśli rozpocznie rozmowę o czymś innym, ojciec zapomni o pieczeni. Wiedziała, że tylko szukał pretekstu do kłótni.

- I co z tego? - burknął. - Kogo to obchodzi?

- Przez domem Lauterów stoi ciężarówka od przeprowadzek.

- Mam to w dupie. Cathy wstała.

- Muszę się zająć obiadem - rzuciła.

- Nie będę jadł pieczeni! - zawołał za nią.

Wstrzymała oddech, idąc przez hol. Zaciśnęła pięści i zwalczyła pokusę, żeby chwycić jego kule i roztrzaskać je o ścianę. Czasami doprowadzał ją do szału.

Nie, nie czasami.

Przez cały czas.

Przeszła po kafelkowej podłodze kuchni i chwyciła się krawędzi zlewu. Trzymała mocno, aż knykcie jej zbieleły, patrząc przez kuchenne okno na ciemniejsze boczne podwórze. W

czerwonawym świetle zachodzącego słońca cienie wydawały się czarne. Patrzyła, jak się gromadzą i wydłużają kreśląc epitafium szybko dogasającego dnia. Była zła na siebie, że dała się wyprowadzić z równowagi. Ojciec tylko chciał zaleźć jej za skórę.

I jeszcze bardziej się rozzuchwalał, kiedy widział, że ona się wkurza.

Oddechnęła głęboko, zamknęła oczy i nakazała sobie spokój.

Powinna spróbować jakoś się z nim dogadać. Mimo wszystko to jej ojciec, chociaż zachowuje się po chamsku. W końcu niewiele mu już zostało życia. Na niej spoczywa obowiązek, żeby upewnić się, że jego ostatnie lata będą

szczęśliwe.

Ale jest taki cholernie irytujący.

Wyłączyła piekarnik i za pomocą dwóch zniszczonych rękawic kuchennych wyjęła brytfannę. Wyłożyła pieczeń na półmisek, nakryła folią aluminiową i wstawiła do lodówki. Zgasiła gaz na kuchence i przesunęła garnek z groszkiem na zimny palnik.

Pogrzebała w szarkach, przesuwała puszki, zaglądała do pudełek, ale nie mogła znaleźć nic odpowiedniego na obiad. Od tygodnia nie robiła zakupów i kończyły się zapasy. W zamrażalniku leżała tylko zamrożona pizza, a ojciec nie cierpiał pizzy.

Wróciła do pokoju. Ojciec z nabożnym skupieniem oglądał

wieczorne wiadomości NBC, gdzie nadawano reportaż o niedawnej fali zimna na Wschodnim Wybrzeżu. Podniósł na nią wzrok i zachichotał.

- Założę się, że Billy odmraża sobie tyłek - rzucił, wskazując na ekran.

Cathy patrzyła, jak pług śnieżny usiłuje manewrować po oblodzonej jezdni.\_

Staruszek znowu zachichotał.

- Dobrze mu tak, skoro się przeprowadził, westchnęła i usiadła na kanapie.

- Co chcesz na obiad?

- Wszystko jedno. - Wzruszył ramionami. - Pieczeń, cokolwiek.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, potem wstała gniewnie i pospieszyła do lodówki, żeby wyjąć jedzenie, zanim ostygnie.

Po obiedzie Cathy zawiozła ojca do klubu i pomogła mu usiąść przy stole pokerowym, obok kumpli. Oparła kule o stół, żeby miał

je w zasięgu ręki i zapytała, kiedy ma po niego przyjechać.

- Nie chcę, żebyś po mnie przyjeżdżała. Wynoś się stąd i zostaw mnie w spokoju.

Geoff Roland spojrział na nią ze współczuciem.

- Nie martw się. Odwiozę go do domu. Uśmiechnęła się do niego.

- Dzięki

Wyszła bez pożegnania, wielkimi krokami przemaszerowała przez parking nie oglądając się za siebie, i natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. A jeśli ojciec dostanie ciężkiego zawału przy kartach i zwali się na

stół nieżywy? A jeśli Geoff, nie najlepszy kierowca, spowoduje wypadek w drodze do domu i obah zginą? Włożyła kluczyk w stacyjkę i chciała już odpalić silnik, ale rozmyśliła się i szybko wróciła do klubu. Ojciec spojrzał na nią z irytacją.

- Co jest? Zapomniałaś kluczy? - Nie, Chciałam tylko się pożegnać.

Milczał przez chwilę, patrząc na nią. Twarz mu złagodniała.

- Do zobaczenia - powiedział. - Wrócę wcześniej.

Wychodząc, poczuła się lepiej. Zwalczyła jego zły humor. Teraz pewnie przez jakiś czas wszystko będzie się układać.

Przynajmniej przez kilka dni. Uśmiechnęła się do siebie, niemal szczęśliwa. Wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik i pojechała do domu. Po drodze postanowiła zrobić sobie przyjemność i zatrzymała się u Baskina-Robbinsa na loda w rożku.

Dom był ciemny, kiedy wjechała na podjazd. Zgasiwszy przednie światła, zobaczyła odbicie ulicznej latarni we frontowych oknach.

Wysiadła z samochodu i spojrzała na drugą stronę ulicy, na dom Lauterów. Ciężarówka od przeprowadzek odjechała, w oknach zaciągnięto zasłony. Spoza nich sączyło się miękkie światło.

Ktoś tam jest.

Na myśl, że ktoś naprawdę mieszka w domu Lauterów, przebiegi ją dreszcz. Dwoma palcami zacisnęła kołnierzyk bluzki i przyłożyła rękę do

gardła. Wydawało się dziwne, że ktoś tam mieszka, niemal niestosowne. Wbrew sobie gapiała się na dom. Miała zaledwie sześć lat, kiedy Keith Lamer zabił swoją żonę, a potem popełnił

samobójstwo, ale pamiętają tamte wypadki równie wyraźnie, jakby wydarzyły się wczoraj. Był wczesny ranek i bawiła się na dworze z Davidem, pomagając mu przymocować karty do gry do szprych roweru, kiedy usłyszała pierwszy strzał. A potem wrzask.

— Co to? — zapytał David, szeroko otwierając oczy.

Padł następny strzał. I następny. I następny. Echo przetoczyło się po okolicy jak grzmot, głośniejszy niż najgłośniejszy huk odrzutowca.

Ludzie wychodzili na ulicę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jak zwykle w sobotę, większość mężczyzn była w domu. Ojciec Cathy wyszedł na ganek w szlafroku, a pan Donaldson z sąsiedztwa wypytywał, czy ktoś wie, co się stało.

Huknął jeszcze jeden strzał - ostami — i echo powtórzyło go w błękitnym niebie z ponurą ostatecznością.

Matka Cathy wybiegła z domu, po cichu zamieniła kilka słów z ojcem i natychmiast złapała dzieci za ramiona.

- Idziemy - rozkazała stanowczo.- Przez resztę dnia macie zostać w domu.

Wygnano ich do pokoju Davida na tyłach domu, z daleka od okien wychodzących na ulicę, ale David przekradł się do bawialni pod pretekstem szukania zagubionej ciężarówkowej zabawki i namówił Cathy, żeby z nim poszła.

Wyglądając przez okna, zobaczyli dwa ciała wynoszone do karetki pogotowia. Były nakryte prześcieradłem, ale tkanina przesiąkła krwią i wyraźnie widzieli mokre czerwone wzniesienia piersi pani Lauter, kiedy nosze wsuwano do ambulansu.

Ręka pana Lautera wypadła spod prześcieradła i zanim sanitariusz położył ją z powrotem na piersi trupa, cienki strumyczek krwi spłynął na asfalt

Chodnik wyszorowano jeszcze tamtego popołudnia, ale David twierdził później, że nigdy nie udało się usunąć plam wewnątrz domu. Wszedł tam kiedyś przez wyłamane drzwi, dla zakładu, i opowiadał, że ślady krwi były wszędzie, również na ścianach, nie tylko na podłodze.

Po tych wydarzeniach dom stał pusty prawie przez trzy lata i chociaż później mieszkało tam kilku lokatorów, żaden nie został

długo. Dzieci z sąsiedztwa już dawno uznały ten dom za nawiedzony.

Cathy patrzyła na rozświetlone zasłony w oknach domu i czuła na ramionach gęsią skórę. Miała dwadzieścia pięć lat, nie była już dzieckiem, ale ten dom nadal ją przerażał. Wbrew sobie zastanawiała się, czy pośrednik od nieruchomości opowiedział

nowym właścicielom lub lokatorom historię domu.

Przypuszczała, że nie. Do makabrycznego zdarzenia doszło dawno temu i chociaż takie wypadki pozostają wciąż żywe dla miejscowych, dla obcych szybko stają się zamierzchnią przeszłością.

Odwróciła się, szukając na kółku klucza od frontowych drzwi, i kątem oka zauważyła, że zasłony w oknie domu Lauterów leciutko drgnęły. Obejrzała się, ale teraz nie dostrzegła żadnego ruchu.

Drżąc, otworzyła drzwi, weszła do środka i zapaliła wszystkie światła.

Poranek Magritte'a. Błękitny ocean z białymi jak kość kłaczkami obłoków. Drzewa za oknem: wysokie i idealnie równe, brązowo-zielone. Przejeżdżający rowerzysta, niemal można mu czytać z ust. Poranek Magritte'a. Dzień Salvadora Dali.

Surrealistyczny.

Allan pociągnął łyk ciepłej dietetycznej coli z puszki na biurku.

Często myślał w kategoriach malarstwa, klasyfikował dni według artystów. Uważał, że to logiczne. Słowa to takie formalne byty, takie niedoskonałe symbole; w opisach nawet największych pisarzy świata nieodmiennie czegoś brakowało. Słowa były zbyt sztywne i odległe. Nigdy nie oddadzą nic w pełni. Zbyt dosłowne, zbyt rzeczowe. Muzyka natomiast, chociaż piękna, tworzyła swój własny świat. Nie przypominała rzeczywistości, nie odzwierciedlała tego, co działo się w widzialnym wszechświecie.

Ale malarstwo... Ach, malarstwo! Obrazy! Oto, co oddawało sprawiedliwość kwiatom, lasom, niebiosom, wszystkiemu.

Realistyczne, ale nie dosłowne. Dopełniające rzeczywistość.

Zdolne uchwycić istotę, jeśli nie stan faktyczny.

A dziś był dzień surrealistów.

Wyrzał przez okno na park. Właściwie nie wiedział, dlaczego tak zaszufładował ten dzień. W przyległym biurze porucznik Thomasson wystukiwał jednym palcem na maszynie raport o obławie na prostytutki. Allan słyszał nierówne klikanie klawiszy, kiedy tamten przedzierał się przez alfabetyczną dżunglę. Od samego rana dziwnie się czuł, co go wytrącało z równowagi, konkretnego, nic namacalnego, ale z niewiadomych powodów wszystko wydawało się jakieś inne, subtelnie odmienione, i to wrażenie lekkiego oderwania od rzeczywistości okazało się całkiem interesujące.

Wciąż jeszcze gapił się przez okno, bezmyślnie wodząc palcem po krawędzi puszki z dietetyczną colą, kiedy interkom na jego biurko zabrzączał dwukrotnie. Nacisnął guzik pierwszej linii i podniósł słuchawkę.

- Porucznik Grant.

Kapitan nie tracił czasu na uprzejmości czy powitalne ceremonie.

- Bierz pan dupę w troki migiem, Grant - polecił rzeczowo swoim szorstkim głosem. - W pańskim rejonie popełniono morderstwo.

Musimy tam zaraz jechać.

- My?

Kapitan milczał przez chwilę.

- To brzydka sprawa. Jadę z panem.

- Zaraz wychodzę.

Allan rzucił słuchawkę, złapał notes, długopis i magnetofon kasetowy z nieporządnego stosu na biurku i wybiegł za drzwi.

Szybko przeszedł długim korytarzem do gabinetu na końcu.

Kapitan Pynchon przypiął już kaburę pod pachą i naciągał płaszcz,

- Przed drzwiami czeka samochód - oznajmił. - Wysłaliśmy już patrol na miejsce. - Podniósł wzrok na Allana, marszcząc niespokojnie brzoź-niewowskie brwi - Natalie odebrała telefon pięć minut temu.

- Co się stało?

Kapitan przepchnął się obok Allana do holu.

- Jakiś staruszek - powiedział. - Obdarty żywcem ze skóry.

Grayson Street znajdowała się dość blisko posterunku policji.

Dotarli na miejsce w niecałe osiem minut. Dwa wozy patrolowe stały zaparkowane przed parterowym szeregowym domkiem i czterech mundurowych pracownicy odgradzało teren żółtą taśmą.

Zebrał się już tłum, głównie starsi ludzie i gospodynie domowe.

Gapie zbili się w grupki i snuli domysły, co też mogło się stać.

Kapitan wysiadł, zanim samochód całkiem się zatrzymał. Allan ruszył za nim, schylając się pod taśmą. Pynchon podszedł do jednego z funkcjonariuszy i przywitał się krótkim kiwnięciem głowy.

- Jacyś świadkowie? - zapytał. Policjant pokręcił głową.

- Kto zgłosił?

- Tamta kobieta. - Wskazał Hiszpankę w średnim wieku, skuloną na otwartym tylnym siedzeniu radiowozu, która splótła ręce na kolanach i wpatrywała się w przestrzeń nieprzytomnym wzrokiem. - Denat był widocznie inwalidą, zatrudniał ją do sprzątania, gotowania i różnych prac domowych, których sam nie mógł wykonywać. Znalazła go rano. - Przerwał na chwilę i przeniósł wzrok na Allana. - Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Następny samochód zajechał przed dom - pojawił się fotograf - i kapitan przeszedł pod taśmą żeby go przywitać. Allan znowu spojrzał na oszołomioną kobietę w radiowozie, po czym odwrócił

się w stronę domu. Wszystkie zasłony były zaciągnięte, ale drzwi stały otworem. W środku panowała ciemność. Fasada domu wyglądała jak twarz. Z tyłu dobiegał nieustanny gwar plotkujących gapiów, jak cichy pomruk monstrualnej maszyny.

Surrealistyczne.

— Wchodzę! - oznajmił.

Kapitan, konferujący z fotografem, podniósł rękę na zgodę. Allan minął policjanta pełniącego straż na ganku i wszedł do domu.

Smród uderzył go, gdy tylko stanął w drzwiach. Zakrztusił się i zakrył nos ręką. Cuchnęło okropnie, mdlące połączenie rozgrzanej miedzi i żółci. Krew. Cofnął się i głęboko zaczerpnął powietrza na zewnątrz, mocno zaciskając powieki, żeby nie zwymiotować. Otworzył oczy i odczekał

chwilę, aż wzrok mu się przyzwyczai, zanim odważył się wejść do frontowego pokoju. Minął reprodukcję obrazu Normana Rockwella w drewnianej ramie i stanął pod łukiem wejścia do pokoju rodzinnego. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł żadnych śladów przemocy. Kieliszki w serwantce pod ścianą w głębi lśniły, meble stały na swoich miejscach. Szary dywan prezentował

się nieskazitelnie.

Allan szedł w stronę kuchni i odór śmierci przybrał na sile.

Detektyw zacisnął nos palcami i oddychał przez usta. Obrzucił

wzrokiem wąskie pomieszczenie. Różowa lodówka. Biały kafelkowy blat. Elektryczna kuchenka z zaciekami tłuszczu.

Kapiący kran. Biało-czerwona podłoga.

Nie, nie biało-czerwona podłoga.

Białe linoleum pokreślone strumyczkami zasychającej krwi.

Z walącym sercem wolno ruszył do przodu. Przez siedem lat pracy w policji widział dużo martwych ciał, sporo ofiar zabójstwa, ale nigdy się nie przyzwyczał. Zawsze przeżywał

szok. W telewizji, na filmach, policjanci robili się zblazowani, cyniczni, odporni na widok śmierci. Ale w prawdziwym życiu było inaczej. Zwłoki dostarczały zmysłom wrażeń, jakich nie można doświadczyć z drugiej ręki. Krew wydawała się mdląco żywa, co nie przekładało się na żadne media.

Nigdy nie jest łatwo oglądać gwałtowną śmierć.



Podszedł do rogu kuchni, skąd wypływała krew. Powoli, z wahaniem, zaciskając zęby, zajrzał za róg do jadalni.

Ciało starego człowieka leżało rozpostarte na stole.

Rozczapierzone palce rąk i nóg przybito do blatu ostrymi kuchennymi narzędziami. Rzeczywiście został obdarty ze skóry, której śliski czerwono-brązowy kopczyk piętrzył się w szczycie stołu. Skórę zdarto równymi, prostokątnymi pasami. Trup miał

oczy szeroko otwarte i wytrzeszczone, białka przeraźliwie białe i okrągłe na tle surowego czerwonego ciała twarzy. Obnażone mięśnie zastygły w betonowych formach napięcia, usta rozwarły się szeroko, widocznie w ostatnim krzyku.

Krzyk? Więc dlaczego sąsiedzi nic nie słyszeli?

Nachylił się niżej. W gardle mężczyzny wyrwano wielką dziurę, z której zwisała sflaczała krtań.

Nagle błysnęło ostre światło i Allan podskoczył. Obrócił się gwałtownie, za nim stali kapitan Pynchon i fotograf. Tak się zamyślił, że nie słyszał, kiedy weszli. Fotograf zrobił jeszcze jedno zdjęcie i przesunął się, żeby wykonać ujęcie z boku. Kapitan pokręcił głową, nie odrywając oczu od zwłok.

- Jezu — jęknął.

On też zaciskał nos ręką, żeby nie zwymiotować.

Fotograf znowu strzelił fleszem. Podniósł wzrok na Allana. To był

starszy człowiek, łysy, z krzaczastym siwym wąsem, ale na jego twarzy malował się przestach jak u szesnastolatka.

- Dużo trupów widziałem w swoim czasie - powiedział cicho. -

Ale nigdy nie widziałem czegoś takiego. - Zagapił się na kapiące stalaktyty krwi, które zwisały z krawędzi stołu. - Nie wierzę, że ktoś mógł zrobić coś takiego.

Kapitan spojrzał na Allana.

- Niech pan nie biegnie z tym do prasy - ostrzegł. - Chcę jak najdłużej utrzymać media z daleka.

- Biegnie?

- Po prostu niech pan z nimi nie współpracuje jak zwykle, okej?

Nie muszą znać wszystkich najdrobniejszych szczegółów.

Allan spojrzał znów na zwłoki, na noże, widelce i szpikulce do lodu, wbite w ciało staruszka. Białe,

okrągłe oczy odwzajemniły jego spojrzenie, milczące usta krzyczały.

- Trudno będzie to zachować w tajemnicy - stwierdził.

Wkrótce zjawił się patolog ze swoimi ludźmi, żeby zabrać ciało.

Podczas gdy fotograf robił ostatnie zdjęcia, porucznik i dwaj mundurowi przeszukali dom. Nie znaleźli żadnych śladów walki, żadnych przewróconych ani przesuniętych przedmiotów. Poza jadalnią w domu panował porządek. Allan wyrzwał przez frontowe okno sypialni. Tłum na zewnątrz powiększył się, ciekawscy sąsiedzi napierali na odgradzającą taśmę, złaknie-ni lepszego widoku.

Grupka wścibskich gapiów zebrała się z tyłu ambulansu. Opuścił

zasłonę i zwrócił się do Boba Whiteheada, policjanta stojącego najbliżej.

- Zbierz odciski palców. Opyl drzwi frontowe, tylne i boczne, i wszystko w jadalni. Zostaw noże i inne przybory. Zabiorę je do laboratorium.

Whitehead bez słowa kiwnął głową. Obliznął wargi.

- Naprawdę pan myśli, że coś znajdziemy?

- Nie. Ktoś, kto wykonał taki numer, nie zostawia odcisków palców. Ale musimy sprawdzić.

Ruszył z powrotem do jadalni. Przybory kuchenne wyciągnięto już z ciała i ułożono w zapieczętowanych foliowych torebkach na podłodze. Dwaj mężczyźni w białych kombinezonach, rękawiczkach i cienkich papierowych maskach ostrożnie przenosili ciało do worka na zwłoki. Sam patolog kucnął na podłodze i plastikowymi szczypcami wkładał paski zdartej skóry do metalowego pojemnika. Whitehead i Jim Williams, drugi policjant patrolowy, wyszli na zewnątrz po zestaw do daktyloskopii.

Allan przysunął się do kapitana. Skrzywił się na widok czerwonych mięśni ramienia, które zwisało z otwartego worka, z palcami ociekającymi gęstą, znów broczącą krwią,

- Facet rzeczywiście znał się na robocie, nie?

Pynchon przytaknął, patrząc, jak pomocnik zasuwa zamek błyskawiczny worka. Zmarszczył gęste brwi z namysłem.

- Chcę, żeby pan to przepuścił przez komputer, kiedy pan wróci -

powiedział. - Może się starzeję, ale chyba coś podobnego zdarzyło się w północnej Kalifornii kilka lat temu.

Porucznik wytrzeszczył na niego oczy,

- Podobnego do tego?

- To chyba był jakiś kult. Nie pamiętam dokładnie. - Pokręcił

głową, kiedy wynoszono ciało i czysty worek coraz bardziej czerwieniał w zetknięciu ze zwłokami. - Chryste, żałuję, że to się nie stało w jurysdykcji kogoś innego. - Idąc w stronę kuchni, obejrzał się. - Wracam. Przysłać po

pana samochód za godzinę?

- Zostanę tu przez jakiś czas. Nie wiem, jak długo. Chcę przesłuchać tę sprzątaczkę, kilku najbliższych sąsiadów, przejechać odkurzaczem, dokładnie sprawdzić cały dom. Ktoś mnie podwiezie z powrotem.

- W porządku.

Kapitan przeszedł przez kuchnię do frontowych drzwi, stąpając po czerwonych zaciekach na linoleum. Chwilę później rozległ się gwar podniesionych głosów i Allan usłyszał, jak Pynchon szorstko odpowiada:

- Bez komentarzy! Powiedziałem, bez komentarzy! Uśmiechnął

się. Reporterzy już się dowiedzieli.

- Przepraszam. - Patolog przepchnął się obok niego, ściskając w objęciach metalowy pojemnik.

Allan patrzył, jak tamten skręca do kuchni. Znowu spojrzął na stół w jadalni. Krwawy zarys ciała wyraźnie odcinał się na wypolerowanym drewnie.

Rozejrzał się po pokoju. Nie Magritte, pomyślał. Nie Dali.

Bosch.

Wizja piekła.

Poszedł do kuchni, żeby nadzorować opylanie proszkiem daktylosko-pijnym.

JIMMY GOLDSTEIN STAŁ SAMOTNIE PRZY MAŁPIM GAJU, zerkając kątem oka na dwóch chuliganów, przycupniętych obok boiska. Nad jego głową kilkoro rozbawionych dzieciaków wspinało się po szczeblach albo zjeżdżało po środkowym słupie ze śmiechem i wesołą paplaniną. Podniósł wzrok, kiedy jeden z bardziej aktywnych Chłopaków rozhuśtał się na rękach i zeskoczył z najwyższej poprzeczki, lądując na nogach w piasku.

Jimmy znowu mimochodem zerknął w stronę boiska.

Tim Halback i Dan Samson patrzyli prosto na niego, uśmiechnięci.

Szybko odwrócił wzrok, serce mu waliło. Chwycił poprzeczkę nad głową i zaczął się wspinać, jakby przez cały czas bawił się i tylko przypadkiem spojrzął na tamtych. Wdrapał się na szczyt małpiego gaju, opierając się pokusie, żeby sprawdzić, gdzie oni teraz są i co robią. Wiedział, że ich nie oszukał. Doskonale zdawali sobie sprawę, że ich zobaczył. Wbrew rozsądkowi zaryzykował kolejne zerknięcie w ich kierunku.

Wciąż patrzyli.

Jimmy nagle poczuł zimno na skórze. Szykowali się na niego.

Teraz już nie miał wątpliwości. Jeśli go nie dopadną przy lunchu albo podczas popołudniowej przerwy, zaczekają na niego po szkole. Załatwią go. Już po nim.

- Jimmy!

Spojrzał w dół i zobaczył, że Paul Butler wspina się po szczeblach.

Uśmiechał się, błyskając srebrnym zębem w porannym słońcu.

Wdrapał się do Jimmy'ego.

- Nic się nie stało - oznajmił. - Po prostu zapomniałem lunchu.

Paul został wezwany do gabinetu dyrektora tuż przed przerwą i Jimmy

nie spodziewał się zobaczyć go znowu przed rozpoczęciem lekcji.

Popatrzył na przyjaciela.

- Myślałem, że masz kłopoty. Paul wyszczerzył zęby.

- Ja też. Zwłaszcza, widząc moją mamę w gabinecie. Ale ona tylko wpadła, żeby przynieść mi lunch.

Jimmy spojrzął w dół, przez geometryczną plataninę drążków, na czubek jasnej dziewczęcej głowy. Przełknął i odetchnął głęboko.

- Halback i Samson szykują się na mnie - powiedział.

- Naprawdę? - Paul szeroko otworzył oczy.

Jimmy przytknął i ukradkiem wskazał palcem w stronę boiska.

Spojrzenie Paula pomknęło w tym kierunku.

- Gapią się na mnie przez całą przerwę.

- Co im zrobiłeś? - Nic.

- Musiałeś coś zrobić. Nie szykują się na ciebie bez powodu.

Jimmy zastanawiał się przez chwilę.

- No, kilka dni temu Dalton przejeżdżał obok mnie po drodze do domu i zaczął mnie wyzywać, a ja go nazwałem mięczakiem.

- Nazwałeś tak Daltona? Przecież to najlepszy kumpel Samsona!

-Paul obejrzał się na boisko. Oba łobuzy spoglądały w ich stronę.

Halback ze złośliwym uśmiechem ugniatł pięścią dłoń. Paul zadrżał. - Co zrobisz w porze lunchu?

- Usiądę obok dyżurnych. Przy nich nic mi nie zrobią.

Zadźwięczał dzwonek i uczniowie zeskakiwali z drabinek małego

gaju. Strumyczki dzieci z huśtawek, zjeżdżalni, toalet, boiska zlewały się w nierówne fale, spieszące do klas. Jimmy obserwował dwóch łobuzów, którzy ruszyli za tłumem do swojej klasy. Dopiero wtedy zeskoczył z drabinek. Paul wylądował obok niego na piasku i wytarł ręce o spodnie.

- A po szkole? Twój tata cię odbierze?

Jimmy pokręcił głową.

- Nie wiem, co zrobić. Ruszyli powoli do klasy, pozwalając, żeby Halback i Samson znacznie ich wyprzedzili.

- Może porozmawiaj z dyrektorem - zaproponował Paul. -

Powiedz mu, co się dzieje.

- Żartujesz? Wtedy naprawdę mnie zabiją. Paul myślał przez chwilę.

- Możesz zachorować i wcześniej pójść do domu. Jimmy pokręcił

głową.

- Dopadną mnie jutro. Nie mogę codziennie chorować.

- No więc co zrobisz?

- Nie wiem - odparł ze znużeniem. - Potrzebuję czasu do namysłu.

- Nie masz za dużo czasu. - Paul rozejrzał się ukradkiem na boki.

Dotarli już do klasy i znaleźli się w tłumie. Zniżył głos. - Słyszałeś o bracie Samsona, nie?

- Podobno siedział w więzieniu.

- Wiesz, za co? Spojrzał na przyjaciela.

- Za co?

- Obciął dziecku siusiaka.

Jimmy poczuł zimny ucisk strachu w żołądku. Z

niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nie wierzę.

- To prawda. Był ze swoją bandą w Safeway i weszli do toalety, i tam jakiś dzieciak siedział na kiblu. Ojciec stał i go pilnował. Dwaj z bandy walnęli ojca w głowę, aż stracił przytomność. Potem brat Samsona wyjął nóż sprężynowy i gładko obciął dzieciakowi fiuta.

- Nie wierzę - powtórzył Jimmy, ale strach w żołądku narastał.

Wyobraził sobie zimną, ciemną ubikację w dużym sklepie spożywczym, zobaczył chłopczyka wrzeszczącego na sedesie, z odciętym penisem, krew buchającą spomiędzy jego pulchnych ud, i wiedział, że nigdy więcej nie wejdzie do tamtej ubikacji.

Paul przystanął przed drzwiami klasy i spojrzał poważnie na przyjaciela.

- Ci faceci są źli - oświadczył. - Na twoim miejscu zachorowałbym i poszedł wcześniej do domu.

Dzień włókł się powoli. Po przerwie Jimmy nie mógł się skupić ani na matematyce, ani na historii. Słuchał monotonnego głosu nauczyciela, ale wciąż myślał o dwóch starszych chłopcach i zastanawiał się, co mu zrobią, jeśli go dopadną. Układał w głowie najbezpieczniejszą trasę powrotu do domu. Podczas lunchu trzymał się blisko dyżurnych, zgodnie z planem, ale niepotrzebnie się fatygował. Halback i Samson wcale się nie pokazali. Jednak zjawili się na popołudniowej przerwie i szukali go, więc schował się w klasie.

Nie miał pojęcia, jak wróci do domu.

Czekali na niego po szkole, tuż za bramą placu zabaw. Jimmy, idąc, rozmawiał głośno z Paulem i próbował udawać, że nic się nie dzieje. Liczył, że w ten sposób problem sam zniknie. Ale kiedy zobaczył tych dwóch stojących za siatką, stanął jak skamieniały, zdjęty strachem. Nogi nagle się pod nim ugięły.

Samson uśmiechnął się do niego okrutnie wąskimi wargami.

- Chono tu, mały. Pogadamy.

Chociaż Tim Halback i Dan Samson byli w piątej klasie, tylko dwie klasy wyżej od niego, obaj wyglądali na dużo starszych.

Halback, chudy, z długimi blond włosami, twardą, kanciastą twarzą, ramionami brązowymi od brudu i opalenizny, zwykle nosił lewisy i rockowe podkoszulki. Samson, wyższy i mocniej zbudowany, oczy miał niebieskie, lodowate i bez-litosne, usta z natury skrzywione w paskudnym uśmiešku. Tylko w tym roku już trzy razy go zawieszono za bójki. Jimmy widział

jedną taką bójkę, kiedy Samson raz po raz walił głową przeciwnika o pień drzewa. Zanim któryś z nauczycieli ich rozdzielił, twarz bitego chłopca zmieniła się w zakrwawioną maskę. Stracił dwa zęby. Samson me miał nawet zadraśnięcia,

- Chodź tu, mały.

- Idź do gabinetu dyrektora - szepnął Paul. - Uda ci się.

Jimmy się cofnął.

- Kiedyś w końcu wyjdiesz ze szkoły - rzucił Halback. -

Zaczekamy

tu na ciebie.

Samson zmierzył go zimnym spojrzeniem.

- Cykor. - Splunął.

Jimmy odwrócił się i zdecydowanym krokiem poleciał w stronę gabinetu. Paul stał przez sekundę jak wmurowany, nie wiedząc, co robić, zanim nie pospieszył za przyjacielem.

- Dokąd idziesz? - zawołał Halback.

- Do dyrektora - oznajmił głośno Jimmy.

- Nic ci nie zrobiliśmy.

Jimmy z radością usłyszał obawę w głosie Halbacka. Szedł dalej bez

słowa, nie oglądając się za siebie.

- Już nie żyjesz - powiedział Samson. Mówił cicho i spokojnie, bez strachu, takim tonem, jakby stwierdzał zwykły fakt. - Już nie żyjesz, mały.

- Odchodzą! - szepnął Paul, oglądając się ukradkiem. -

Nastraszyłeś

ich.

Jimmy zatrzymał się i odwrócił. W ustach mu zaschło i ręce mu się trzęsły. Serce pompowało jak szalone, łomotało głośno w piersi, krew uderzała do głowy. Dwaj starsi chłopcy ruszyli do domu. Powoli szli wzdłuż płotu w stronę Oak Street. Co jakiś czas oglądali się na niego i nawet z daleka widział nienawiść na ich twarzach.

- Idziemy dalej w stronę gabinetu dyrektora - polecił Jimmy. - Na wszelki wypadek.

Uśmiechnął się do Paula, udając odwagę, udając, że właśnie wygrał wojnę, chociaż wiedział, że rozgrywka dopiero się zaczęła.

Zastanawiał się, jak bezpiecznie dotrzeć do domu.

Miał przeczucie, że tych dwóch będzie na niego czekać gdzieś po drodze.



SŁYSZAŁAM O TYM MORDERSTWIE DZIŚ RANO —

powiedziała Ann Turner. Po-

stawiała zaklejone pudło obok kasy Cathy i przyklęła na jedno kolano, żeby pogrzebać w rupieciach na półce pod kontuarem w poszukiwaniu noża X-Acto. - Makabra.

Cathy spojrzała na nią pustym wzrokiem.

- Jakim morderstwem?

- Nie słyszałaś? Cathy pokręciła głową.

- Racja. Byłaś tu przez cały dzień. Musiałaś otworzyć dziś rano.

Ann znalazła nóż i wstała. Rozcięła pudło, wrzuciła X-Acto z powrotem pod kontuar i wyjęła plik magazynów „People”, który położyła po drugiej stronie kasy. Odgarnęła kosmyk z oczu i gumką związała długie proste brązowe włosy w koński ogon.

- Wszędzie o tym trąbią w radiu. Znaleźli staruszka zamordowanego w jego własnym domu. Obdartego ze skóry.

- A co chcieli zrobić? Wypchać go i powiesić na ścianie?

Jeff Martin wyjrzał z alejki Okultyzm, gdzie ustawiał na półkach nowości. Wyszczrzył zęby. Wiecznie zmienne włosy dziś miał

czarne i przylizane do tyłu. Wczoraj były pomarańczowe i postawione w szpic. Jak zawsze nosił starą czarną marynarkę z różnokolorowymi guzikami, rozmieszczonymi strategicznie na wąskich klapach.

Ann go zignorowała.

- To się stało prawie pod twoim domem - powiedziała do Cathy jakieś dwie, trzy ulice dalej.

- Obdarty ze skóry?

- Kompletnie. - Ann poprawiła okulary zsuwające się z nosa.

- Jesteś pewna, że to się stało w mojej okolicy? Ann wyciągnęła z pudła stos „Newsweeków”.

- Na Grayson Street. To parę przecznic od ciebie, zgadza się?

- Dwie - przyznała Cathy. Powoli pokręciła głową z niedowierzaniem. - Kto mógł zrobić coś takiego?

Jeff wystawił głowę zza regału z książkami.

- Twój tata? - zagadnął.

Cathy mimo woli się roześmiała. Ann zmroziła Jeffa wzrokiem.

- Wracaj do pracy. - Przysunęła się do Cathy i szepnęła z miną pełną dezaprobaty: - Nie wiem, czemu Barry zatrudnił tego palanta.

- Słyszałem! - zawołał Jeff.

Wynurzył się z alejki i zamierzał ostro się odgryźć, kiedy do księgarni wszedł klient - schludny mężczyzna w średnim wieku, w ciemnoszarym biznesowym garniturze. Wszyscy troje uśmiechnęli się do niego życzliwie, on w odpowiedzi kiwnął

głową. Jeff cicho wrócił do ustawiania książek, a Ann dalej rozpakowywała pudło.

- Mogę w czymś panu pomóc? - zagadnęła Cathy. Klient pokręcił

głową i się uśmiechnął.

- Tylko się rozglądam.

Spojrzał na stojak z czasopismami naprzeciwko frontowego kontuaru, po czym przeszedł powoli w stronę bestsellerów w głębi księgarni.

Nie mając nic do roboty, dopóki klient szperał po półkach, Cathy obserwowała koleżankę. Ann kończyła wyjmowanie czasopism z pudła. Całkowicie skoncentrowana na pracy zacisnęła usta, co nadawało jej ładnej twarzy inteligentny wyraz. Miała bardzo delikatny makijaż, ale szminka i cień do powiek, których używała, mistrzowsko podkreślały jej naturalne walory. Gęste brązowe włosy, teraz dla wygody związane w koński ogon, zwykle zwijały się miękko na ramionach w uwodzicielskich lokach i wyglądały dobrze bez względu na to, co z nimi robiła.

Cathy poczuła ukłucie

nieokreślonej zazdrości. Ann, młodsza od niej prawie o trzy lata, wciąż studiowała, była też znacznie bardziej atrakcyjna i roztaczała atmosferę wyrafinowanej pewności siebie, której Cathy zawsze brakowało.

Lubiła Ann. W gruncie rzeczy uważała ją niemal za prawdziwą przyjaciółkę. Ale nie mogła opanować lekkiej zawiści, a nieprzyjemne, nawracające ataki zazdrości prowadziły tylko do jeszcze bardziej nieprzyjemnych wyrzutów sumienia.

Ann zdjęła z kontuaru puste pudło i postawiła na podłodze u swoich stóp. Wzięła ze stosu egzemplarz „Playgirl” i leniwie go wertowała, zatrzymując się co chwila, żeby obejrzyć zdjęcia. Nad ramieniem młodszej dziewczyny Cathy dostrzegła nagą sylwetkę ciemnowłosego mężczyzny, opierającego się o głaz na brzegu morza. Odwróciła wzrok, rumieniąc się z zażenowania.

Klient wyłonił się z głębi księgarni i uśmiechnął do nich uprzejmie. Ann szybko zamknęła czasopismo i odłożyła z powrotem na stos.

- Znalazł pan to, czego szukał? - zapytała.

- Tak, ale muszę przyjść jeszcze raz. W tej chwili trochę mi brakuje gotówki.

Uśmiechnęła się do niego.

- Będziemy czekać.

Mężczyzna pomachał im na pożegnanie i wyszedł. Ann stała przez chwilę, wpatrując się w czasopisma, po czym zaczęła je sortować według tematów. Cathy postanowiła jej pomóc. Przez resztę popołudnia nie będzie ruchu, dopóki lekcje w szkołach się nie skończą o trzeciej, więc na razie nie miała nic do roboty. Nie zносиła beczynnie sterczeć przy kasie pod nieobecność klientów.

Podniosła plik magazynów „Time” i ułożyła na stojaku, zastępując nimi egzemplarze z zeszłego tygodnia.

- Nie musisz tego robić - zaprotestowała Ann. Cathy się uśmiechnęła.

- Nie ma nic do roboty.

Jef podszedł do kontuaru, poprawiając wążutki rypсовy krawat

- No więc - zagadnął - duże mieli? Ann spojrzała na niego wściekle.

- Co?

- Widziałem, co oglądałaś. - Wziął numer „Playgirl” i otworzył. -

Podobno wybierają tylko facetów z wielkimi interesami.

Wyszczерzył zęby do Cathy i uniósł brwi w absurdalnej parodii lubieżnego uśmiechu. Zaczerwieniła się i odwróciła.

- Zamknij się - warknęła Ann.

Roześmiał się i odłożył czasopismo. Poluzował krawat.

- Wychodzę na przerwę.

Cathy kiwnęła głową. Jeff wyszedł jeszcze w drzwiach sięgając do kieszeni po drobne. Przebiegł przez ruchliwą ulicę do Circle K.

Ann pokręciła głową i popchnęła wyżej okulary na nosie.

- Nie wiem, czemu Barry zatrudnił tego gnojka.

Cathy jechała do domu, zmęczona. Miała za sobą długi dzień. Jeff urwał się godzinę przed końcem swojej zmiany, twierdząc, że dokucza mu alergia. Została więc pół godziny dłużej, żeby pomóc Ann, kiedy zaczął się ruch.

Automatycznie włączyła migacz i skręciła w lewo, w Lincoln.

Teraz chciała tylko się odprężyć i wziąć gorącą kąpiel.

Dojechała do Grayson i mimowolnie zwolniła, żeby zajrzeć w głąb uliczki. W połowie przecznicy dwa radiowozy i kilka cywilnych samochodów parkowały przed zwyczajnym domem, ogrodzonym czymś, co wyglądało jak żółta wstążka. Tłumek gapiów stał po drugiej stronie ulicy.

Obdarty ze skóry.

Cathy zadrżała i dodała gazu. Niegdyś, dawno temu, miała przyjaciółkę, Pam Rice, która mieszkała na Grayson. Często chodzili tam się bawić z Davidem i Billym. Przerazała ją myśl o zbrodni popełnionej tak blisko domu Pam. Jak by zareagowała na coś takiego w dzieciństwie? Niewątpliwie przez całe miesiące męczyłyby ją koszmary.

Włączyła radio i nastawiła stację nadającą wyłącznie wiadomości, w nadziei że usłyszy coś o morderstwie, ale spiker czytał akurat raport o sytuacji gospodarczej, więc go wyłączyła. Później obejrzy wiadomości w telewizji.

Kiedy skręciła na podjazd, Jimmy Goldstein czekał na nią, siedząc na krawężniku przed jej domem. Kijkiem wytwarzał wiry w strumieniu brudnej wody, płynącej w rynsztoku. Wstał, gdy zaparkowała przed zamkniętymi drzwiami garażu, wrzucił kijek do miniaturowego wodospadu i wytarł ręce o dżinsy. Cathy uśmiechnęła się do niego, wysiadając z samochodu.

- Jak tam dziś?

Spuścił wzrok i pokręcił głową.

- Nie za dobrze.

Stopą w tenisówce kopnął kępkę trawy, wyrastającą ze szpary w chodniku.

Cathy obeszła tył samochodu i stanęła obok niego. Podniósł na nią oczy wypełnione ponurą rezygnacją.

- Co się stało? - zapytała. - Dwóch gości chce mi wklepać.

- Wklepać?

- No wiesz, pobić mnie. - Westchnął. - Nie wiem, co zrobić. Może się przeniosę do innej szkoły.

Powstrzymała uśmiech.

- Na pewno nie jest tak źle.

Kiedy znowu na nią spojrział, zobaczyła w jego twarzy czystą rozpacz. Naprawdę wierzył, że sytuacja jest beznadziejna.

- Nie znasz tych gości. Wielkie chłopaki. I wredne.

- Zapomną o tobie za parę dni - próbowała go pocieszyć.

- Oni nie zapomną. Nie odpuszczą, dopóki mnie nie załatwią. -

Chude ramiona miał sztywne, dłonie zacisnął w pięści. - Szkoda, że nie znam karate ani nic takiego, żeby się bronić.

Cathy roześmiała się mimo woli.

- Przepraszam! - powiedziała natychmiast. - Przepraszam!

Rozłożyła ręce w geście przeprosin i pokręciła głową jakby chciała zaprzeczyć swojej niestosownej wesołości, ale tylko jeszcze głośniejszą się roześmiała.

Jimmy patrzył na nią i wyraźnie próbował utrzymać nastrój żalnego przygnębienia, który pielęgnował przez całe popołudnie, wkrótce jednak sam również się uśmiechnął. Spojrzał

w dół na swoje chude, niewyspor-towane ciało i wyobraził sobie, jak wykonuje ruchy karate, żeby pokonać Halbacka i Samsona.

- Pewnie to trochę śmieszne - przyznał. Cathy zachichotała.

- Nie śmieję się z ciebie - zapewniła. Właśnie że tak,

- Nie, wcale nie. Naprawdę, - W końcu się uspokoiła. Zawiesiła torebkę na ramieniu, otarła łzy z kącików oczu i uśmiechnęła się do chłopca. - Chodzi o to, że byłeś taki poważny. Szczerze mówiąc, przypomniałeś mi mnie samą.

- Ciebie? Przytaknęła.

- Kiedy byłam w twoim wieku, może trochę starsza, do naszej szkoły przyszła nowa dziewczynka. Beth Dotson. Duża, wredna i złośliwa, mogła pobić każdego w klasie, włącznie z chłopcami.

Któregoś dnia przypadkiem wpadłam na nią, kiedy stałyśmy w szeregu. „Już nie żyjesz”, powiedziała i ja jej uwierzyłam. Przez następny miesiąc wymyślałam preteksty, żeby i ja jej uwierzyłam. Przez następny miesiąc wymyślałam preteksty, żeby zostać po lekcjach i wrócić bezpiecznie do domu.

Kiedyś nawet specjalnie narozrabiałam, żeby mnie zatrzymali. Co wieczór przy pacierzu modliłam się, żeby Beth Dotson mnie nie pobiła następnego dnia.

- I dopadła cię?

Cathy z uśmiechem pokręciła głową.

- Zapomniała o tym. Pewnie szybciej ode mnie. Jimmy spochmurniał.

- Ci goście nie zapomną. Oni są poważni. Chcą mnie zabić.

- Kiedy dorośniesz, będziesz się z tego śmiać.

- Wątpię.

W górze rozległ się grzmot ponaddźwiękowy, kiedy odrzutowiec połyskujący pomarańczowo w zachodzącym słońcu narysował

smugę na niebie Phoenix, lecąc do bazy sił powietrznych w Gilbert. Cathy podniosła wzrok, śledząc lot odrzutowca, który zniknął na wschodzie. Zerknęła na Jimmy'ego i przez chwilę w milczeniu studiowała twarz chłopca. Naprawdę był

przestraszony.

- Powiesz ojcu? - zapytała w końcu.

- Raczej nie. Pójdzie do szkoły i zawiadomi dyrektora, a wtedy oni naprawdę się na mnie wściekną.

- Wlec jaki masz plan?

- Ukrywać się. Muszę się ukrywać przez resztę roku i schodzić im z drogi. Jeśli dociągnę do lata, powinno się udać. Myślę, że przez wakacje zapomną o mnie. - Popatrzył na nią i kąciki jego ust uniosły się w mimowolnym uśmiechu. - Żaden z nich nie jest specjalnie bystry.

Obdarzyła go pokrępiającym uśmiechem.

- Pewnie zapomną nawet wcześniej. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Nie martw się. Jakoś się ułoży. - Rzuciła okiem na zegarek. - Późno się robi. Muszę ugotować obiad.

- Mogę posiedzieć z tobą?

Poczuła litość dla tego chłopca. Patrzył na nią takim wzrokiem, że wyglądał jak mały zagubiony szczeniak. Pomyślała ze złością o ojcu Jimmy'ego. Odwróciła wzrok od jego proszących oczu i zobaczyła, że po drugiej stronie ulicy, w domu Lauterów, we frontowych oknach zawieszono jasnozielone zasłony. Przez cienką tkaninę przebijał blask wieloramiennego żyrandola. Stary dom przybierał już zamieszkały wygląd. Znowu spojrzała na Jimmy'ego.

- Wiesz już, kto się tam wprowadził? Pokręcił głową.

- Nikogo nie widziałem.

- Muszę kiedyś tam pójść i ich poznać. Zaniosem im ciasto. Albo cia-steczka.

- Mogę pójść z tobą?

- Tak, jasne. Kto wie, może mają syna w twoim wieku.

- Wątpię. Gdyby mieli, już by wyszedł. Miał rację. Cathy wyjęła klucze z torebki.

- O której twój ojciec dziś wraca? - zapytała, z góry znając odpowiedź.

- Późno. Zostawił mi pizzę do podgrzania w mikrofalówce.

- Okej. Możesz ze mną posiedzieć. Możesz nawet zostać na obiedzie, jeśli chcesz. Jeszcze nie wiem, co zrobię, ale na pewno znajdę coś, co lubisz.

- Muszę nakarmić Dusty.

- Dusty może poczekać. Dziś zje trochę później i tyle.

Jimmy rzucił okiem na zaciągnięte zasłony w oknach salonu i Cathy odgadła, że pomyślał o jej ojcu. Zobaczyła niezdecydowanie na jego twarzy.

- Możesz zjeść ze mną w kuchni - powiedziała łagodnie. - Mój ojciec chyba zje przed telewizorem w bawialni.

Spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Dzięki.

- Chodź. - Ruszyła przodem obok rzędu doniczek po schodkach frontowego ganku. - Zjemy coś.

## ALLAN ODCHYLIŁ SIĘ DO TYŁU W ZEPSUTYM FOTELU

OBROTOWYM, masując skronie czubkami palców. Zgasił górne światło i pokój oświetlały tylko latarnie przed posterunkiem policji. Po drugiej stronie ulicy widniał ciemny park, naturalna okrągła czarna masa na tle sztucznie oświetlonych geometrycznych zarysów miasta. Po chodniku przeszła powoli rodzina Nawahów.

Allan zamknął oczy. Zaplanował spokojny wieczór w domu. The Sum grał w Los Angeles, więc liczył, że usiądzie przed pudłem z kilkoma browarami, miską popcornu i obejrzy, jak Lakersi spuszczać im łomot, ale ten plan poszedł w diabły. Z

niewiadomego powodu Allan pomyślał o Jacku Nicholsonie, który miał karnety sezonowe na Lakersów i siedział w pierwszym rzędzie na każdym miejscowym meczu. Szkoda, że sam nie miał czasu korzystać z karnetów. Ani pieniędzy, żeby je wykupić.

Źle wybrałeś zawód, powiedział sobie.

Interkom zabrzączał cicho. Allan otworzył oczy, westchnął ciężko i opuścił fotel do zwykłej pozycji. Podniósł słuchawkę.

- Porucznik Grant.

- Przyszły wyniki sprawdzania komputerowego. - Głos Adamsona też nie tryskał entuzjazmem. - Chyba nie tego szukasz.

- Zaraz schodzę.

Odłożył słuchawkę, wyszedł z pokoju i szybko ruszył

korytarzem. Mi-nał dyspozytornie i wszedł do pokoju komputerowego akurat w chwili kiedy Adamson wyjmował

wydruk. Wziął kartkę perforowanego papieru z ręki technika.

Szybki rzut oka powiedział mu wszystko, co trzeba. Ka-pitan miał

rację. Dwaj mężczyźni powiązani z kultem Ramreesh zostali zamordowani w południowej Kalifornii pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku. Zdjęto im skórę z rąk i nóg. Trzej inni zostali oskarżeni o tę zbrodnię i skazani na dożywotnie więzienie.

Wszyscy trzej wciąż przebywali w więzieniu o zastrzonym rygorze.

- Cholera - zaklął cicho Allan. - Tego się bałem. — Jeszcze raz przeczytał informację, potem złożył



wydruk i schował do kieszeni marynarki. - Dzięki, Jack.

- Przepraszam, że nie tego szukałeś.

- To nie twoja wina. Adamson się uśmiechnął.

- Nie mówiłem, że moja. - Wyłączył drukarkę. - Co teraz zrobisz?

- To, co powinienem zrobić wiele godzin temu: pójdę do domu.

-Kiwnął głową. - Na razie.

Wyszedł z pokoju komputerowego, przeszedł krótkim korytarzem pomiędzy dyspozytornią a administracją i skręcił do holu. Spojrzał w stronę gabinetu Pynchona, ale drzwi były zamknięte. Kapitan już dawno poszedł do domu.

Allan poczłapał z powrotem do swojej klitki, zapalił światło, wyjął wydruk z kieszeni i rzucił na nieporządne sterty papierów zalegające biurko. Potarł piekące oczy. Zapowiadała się cholerna sprawa. W domu nie znaleziono żadnych odcisków palców oprócz Morrisona i jego sprzątaczk. Czyste też okazały się przybory kuchenne, którymi przybito staruszka do stołu.

Sprzątaczk praktycznie nic nie powiedziała, a ekspertyza sądowa nie wykryła nic godnego uwagi. Jak dotąd nie odnotowano też żadnych listów, telefonów czy innych ostrzeżeń.

Nawet żaden ze zwykłych świrów nie zadzwonił, żeby przypisać sobie to morderstwo.

Siedzieli w gównie po szyję.

Wziął klucze z biurka, poklepał się po marynarce, żeby się upewnić, czy ma portfel, i rozejrzał po pokoju, czy czegoś nie zapomniał.

Stosowali zwykłą policyjną procedurę. Opisy ofiary i modus operandi mordercy rozesłano wcześniej teleksem do biur szeryfów i posterunków policji w całym stanie. Starannie sprawdzono wszystko, co zdołali sobie przypomnieć sąsiedzi Morrisona. Policjanci nawet przeczesywali okolicę. Ale na tym etapie właściwie nic nie mogli zrobić, żeby schwytać sprawcę bestialskiej zbrodni.

Zamknął drzwi swojego pokoju na klucz, stał przez chwilę, słuchając nieznanomych nocnych odgłosów komendy policji. To była najgorsza część dochodzenia, trudny czas - nie ma żadnych tropów, a morderca wciąż przebywa na wolności i może działać bez przeszkód. Wtedy rodzi się frustracja i poczucie winy, wtedy gliniarz czuje się najbardziej bezradny. Na podstawie tylko jednego morderstwa nie można określić wzorca zachowań zabójcy. A dopóki nie określi się wzorca albo nie natrafi na istotną wskazówkę, nie ma sposobu, żeby ochronić potencjalne ofiary.

Mogli tylko czekać, aż zbrodniarz znowu uderzy, Allan przełknął

ślinę- W ustach mu zaschło i czuł kwaśny smród swo-jego oddechu. Potrzebował drinka. Żołądek zaburczał głośno.

Potrzebował

też jedzenia. Nic nie jadł przez cały dzień oprócz grzanki na śniadanie i połowy torebki frytek z McDonalda w porze lunchu.

Przeszedł korytarzem do holu i pomachał na dobranoc sierżantowi za biurkiem oraz dwóm dyżurnym funkcjonariuszom, zanim wyszedł przez automatyczne podwójne drzwi na boczny dziedziniec. Po drodze do swojego poobijanego białego bronco minął rząd radiowozów i skonfiskowanych samochodów. Spróbował sobie przypomnieć, co miał w domu. W

barku stała nieotwarta półlitrowa butelka szkockiej, pozostałość po wrześniowej parapetówce, ale nie było nic do jedzenia. W tym tygodniu nie miał czasu na zakupy. Zresztą i tak nie chciało mu się gotować. Postanowił kupić jakieś paskudztwo na wynos. Po drodze miał Taco Bell, Burger Kinga, Pizze Hut, Jack in the Box.

Znajdzie coś na ząb.

Wyjechał z dziedzińca na ulicę. Ruch był spory, zwłaszcza jak na tę godzinę, i Allan nie zdążył zmienić pasa dostatecznie szybko, żeby zjechać do Taco Bell, więc przy następnej przecznicy skręcił do Jack in the Box, po prawej stronie ulicy. Zamówił jumbo jacka, duże frytki i jabłecznik. Doszedł do wniosku, że szkocka nie pasuje do hamburgera, więc rozszerzył zamówienie o ekstradują dietetyczną colę.

Frytki zniknęły, zanim dojechał do apartamentowca, a zanim wszedł po schodach na swoje piętro, torba zawierająca hamburgera i jabłecznik zrobiła się zimna. Balansując napojem i jedzeniem w jednym ręku, drugą ręką otworzył drzwi. Zapalił

światło w mieszkaniu. Lamy wbudowane w biały sufit oświetliły frontowy pokój, rzuciły miękki blask na beżowy dywan i nowoczesne meble. Szynowy system oświetlał od góry oprawione reprodukcje na ścianie nad sofą. Allan postawił dietetyczną colę na niskim stoliku do kawy i zaniósł hamburgera do kuchni, żeby go podgrzać w mikrofalówce. Po chwili przyniósł z powrotem do salonu parującego teraz jumbo jacka i jabłecznik, włączył telewizor i usiadł na podłodze obok stolika.

Jedząc, przeglądał program telewizyjny, ale nadawano same bzdety. Mecz się skończył, film na kablówce leciał już od czterdziestu pięciu minut, więc Allan wstał i zmienił kanał na lokalne wiadomości. Usiadł z powrotem na dywanie, oparty o sofę, żeby zjeść deser. W wiadomościach mówili o nowym konflikcie na Bliskim Wschodzie oraz krótko podsumowali wydarzenia dnia w Waszyngtonie.

Najpoważniejszą informacją w lokalnych wiadomościach było morderstwo Morrisona. Allan szybko wzmocnił dźwięk.

Pokazano fotografię staruszka zrobioną przed rokiem oraz materiał filmowy z tego ranka, kiedy nakryte ciało wkładano do karetki pogotowia. Reporter powiedział, że ofiara została obdarta ze skóry, że nie ustalono jeszcze narzędzia tortur i że policja

„obecnie bada wszelkie istniejące poszlaki". Allan uśmiechnął się na te słowa.

Zanim reporter się pożegnał, zwrócił jeszcze uwagę na podobieństwo między tą zbrodnią a dwoma morderstwami, które popełniono w północnej Kalifornii kilka lat temu. Allan pokręcił

głową. Zawsze go zdumiewało, jak szybko reporterzy wyłapywali informacje. Dokończył ostami kęs jabłecznika, wyrzucił torbę i kubek. Może powinien przydzielić do tej sprawy kilku reporterów, zamiast policjantów.

Właśnie szedł do łazienki, żeby wziąć odprężający prysznic, kiedy zadzwonił telefon.

Drgnął z zaskoczenia.

Nie, pomyślał, zamykając oczy. Proszę, tylko nie to.

Ale zanim jeszcze podniósł słuchawkę, wiedział, kto dzwoni.

Znowu miał przed oczami czerwone obnażone mięśnie starego człowieka, stos zatłuczonej skóry na stole w jadalni, kałuże skrzepłej krwi. Poczul mdlący odór przemocy. Telefon znowu zabrzączał i Allan podniósł słuchawkę.

- Halo?

Serce mu zamarło, kiedy usłyszał szorstki głos Pynchona:

- Mamy następne.

en mały gnojek już poszedł?

Cathy odstawiła szklanę, którą właśnie płukała, i odwróciła się do ojca. Opierał się na jednej kuli, wolną ręką przytrzymywał się framugi kuchennych drzwi. Krótkie siwe włosy miał

zmierzwione, jakby dopiero co wstał z łóżka, kąciaki ust opuszczone w grymasie. Cathy wytarła ręce w suchą ścierkę i zmusiła się, żeby zachować spokój.

- Jimmy wyszedł - odpowiedziała.

- No i dobrze. - Wciągnął się do kuchni, jedną ręką opierając się o ścianę, w drugiej ścisnął metalową kulę. - Nie cierpię tego gówniarza.

- Mogłeś przynajmniej potraktować go przyzwoicie. On się ciebie śmiertelnie boi.

- I powinien.

- Nie wiem, czemu go tak nie lubisz.

- A ja nie wiem, czemu ty go lubisz. - Podpierając się kulą, opadł

na krzesło i ciągnął obrzydliwie dwuznacznym tonem: - To nienaturalne, żeby dorosła kobieta zabawiała się z małymi chłopcami.

Puściła mimo uszu tę wstrętą insynuację, nie zaszczyciwszy ojca odpowiedzią. Odwróciła się do zlewu i zaczęła wkładać brudne naczynia, które płukała, do pustej zmywarki.

- Dlaczego nigdy nie wychodzisz z facetami w twoim wieku?

Cathy skupiła się na naczyniach, ale mimowolnie zacisnęła zęby.

Nienawidziła takich rozmów. Chociaż ten temat już dawno został

wyczerpany, ojciec wałkował go w kółko, ustawicznie i systematycznie wypominał jej brak życia towarzyskiego, mimo że wiedział, jakie to dla niej bolesne. Twierdził, że chodzi mu o jej dobro, że martwi się o jej przyszłość, ale te uwagi zawsze ociekały złośliwym krytykanctwem, ledwo zamaskowanym jako życzliwe rady. Tak naprawdę cieszył się, że spędzała prawie wszystkie wieczory sama z nim w domu. W milczeniu skończyła ładować większe sztuki, wepchnęła dolną półkę zmywarki i wyciągnęła górną.

- No? - rzucił natarczywym, niemal agresywnym tonem.

- Co „no”?

- Dlaczego nigdy nie wychodzisz?

- Przerabialiśmy to już milion razy. Nie mam ochoty teraz o tym dyskutować.

Załadowała zmywarkę do końca, wyjęła spod zlewu pudełko cascade i wsypała detergent do plastikowego zagłębienia na wewnętrznej stronie drzwiczek. Zamknęła drzwiczki i nastawiła urządzenie na pełny cykl.

- Dlaczego nigdy nie wychodzisz? Wstawiła detergent z powrotem pod zlew.

- Słuchaj, nie chcę o tym rozmawiać, okej?

- Nie możesz zwać winy na Davida, sama wiesz. Cathy obróciła się gwałtownie. Ojciec siedział przy kuchennym stole i udawał, że ogląda sobie paznokcie, ale na jego pobrużdżonej twarzy malowała się satysfakcja.

- Nie zwalam winy na Davida - powiedziała spokojnie.

- Czekasz, żeby się odnalazł? Czekasz, żeby wrócił?

- Jesteś chory.

- Więc dlaczego nigdy nie wychodzisz?

Napotkała jego spojrzenie i zobaczyła tam coś, czego nie rozpoznała. Zimny uśmiezek na jego wargach emanował

okrucieństwem.

Wzdrygnęła się, zszokowana niemal otwartą wrogością ojca.

Często bywał złośliwy, okrutny, bezmyślny, ale nigdy nie ranił jej z taką premedytacją

- Czasami wychodzę - odparła obronnym tonem.

- Kiedy?

- Czasami.

- Nie wychodzisz od pięciu lat. Pokręciła głową.

- Wcale nie tak długo. Wychodziłam przecież z George'em Wrightem. I z Campbellem Haughtem, tym kolegą brata Ann.

Prychnął.

- Chodzi mi o randki. Prawdziwe randki.

- To były randki.

- Gówno prawda! — Przeszył ją wściekłym wzrokiem, aż sięgnęła za siebie i chwyciła się krawędzi zlewu, szukając oparcia.

Wwiercał się oczami w jej oczy. - Dlaczego więcej z nimi nie wyszłaś?

- Słuchaj — zaczęła -nie mam za dużo czasu na rozrywki. Muszę pracować. Muszę się tobą opiekować. Muszę...

- Próbowali ci się dobrać do majtek?

- Idź do diabła! — warknęła i cisnęła w niego ścierką.

wyszła z kuchni i zdecydowanym krokiem przemaszerowała przez hol. Serce jej waliło. Jeszcze nigdy nie przeklinała przy ojcu.

Nigdy nie odważyła się mu postawić. On często na nią klął i często się z nim sprzeczała, ale chociaż wiele razy miała ochotę go posłać clo diabła, nigdy nie zdobyła się na odwagę. Zawsze się wycofywała, poddawała i próbowała go ugłaskać. Tym razem jednak przebrał miarę.

Cathy wpadła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi. Zanim rzuciła się na łóżko, zarnknęła drzwi na klucz. Nie chciała, żeby ojciec do niej przyszedł. Nie chciała, żeby wchodził do jej pokoju.

We frontowej części domu rozległo się znajome rytmiczne, synko-powane postukiwanie, kiedy manewrował kulami po twardej drewnianej podłodze. Wychodził z kuchni, szedł do bawialni oglądać telewizję. Słyszała miękkie uderzenia wyściełanych końcówek kul i wypełniał ją gniew. Nienawidziła odgłosów związanych z kalectwem ojca, podobnie jak słodkiego, lepkiego zapachu jego lekarstwa. Litość, którą niegdyś w niej budził, dawno się wyczerpała. Teraz czuła do niego niemal niechęć i odrazę.

Cathy na chwilę przysiadła na łóżku i zaniknęła oczy. Stopniowo łomotanie serca zwolniło do bardziej naturalnego rytmu i oddech się wyrównał. Wstała i przeszła przez pokój do regału z książkami, gdzie włączyła mały czarno-biały telewizor. Znalazła stary film, komedię z Carym Grantem, wróciła do łóżka i położyła się wygodnie.

Nie czuła nienawiści do ojca. Naprawdę. Ale coraz trudniej było go kochać. Stawał się coraz bardziej zgorzkniały, coraz bardziej bezmyślny i egocentryczny, i Cathy musiała cofać się myślami w przeszłość, przypominać sobie „dawnego” ojca, żeby w ogóle coś do niego poczuć. Zdawała sobie sprawę, że to, co wcześniej robiła z miłości i dobroci, teraz robiła z obowiązku. Przykro, że odezwała się do niego w taki sposób, ale nie miała wyrzutów sumienia. Zasłużył sobie. Zasłużył nawet na więcej.

Cary Grant leżał na kanapie w swoim biurze reklamowym i próbował się wyrobić w terminie. Strzelał palcami, szukając pomysłów i zasypywał propozycjami sekretarkę.

Cathy oglądała film. Pomyślała, że wychodziłaby częściej, gdyby na świecie było więcej takich mężczyzn jak Cary Grant.

Wiedziała, że to idiotyczna myśl, prosto z romansideł Harlequina, ale miło byłoby spotkać kogoś czarującego, szarmanckiego i wyrafinowanego. Kogoś romantycznego, zamiast kolejnego prostaka z brudnymi myślami. Próbowali ci się dobrać do majtek?

Pomyślała o swoich dwóch ostatnich nieudanych randkach, ponad rok wcześniej. Przypomniała sobie niezdarne zaloty, niemal błagalną natarczywość i własną narastającą panikę.

Starła się skupić na filmie. Potem usłyszała głos ojca. Dał jej standardowe piętnaście minut, żeby ochłonęła, a teraz chciał, żeby wróciła do obowiązków, żeby zrobiła coś dla niego, usłużywała mu, zaparzyła kawę, przyniosła piwo.

- Cathy!

Zignorowała wołanie. Tym razem nie ustąpi. Tym razem zażąda przeprosin. Leżała na łóżku i oglądała film, nie zwracając uwagi na wrzaski. Po kilku minutach przestał wołać.

Po filmie Cathy przełączyła na najbardziej popularne wydanie dziennika. Czołową wiadomość stanowiło morderstwo. Usiadła w łóżku, oparła się o wezglowie i patrzyła z zaciekawieniem, kiedy pokazano fotografię starego człowieka, a następnie jego martwe ciało ładowane do ambulansu. Nawet pod tym kątem widziała krew rozbryzniętą na wewnętrznej stronie plastikowego worka.

- Według policji - mówił reporter - Morrison został żywcem obdarty ze skóry. Nie ustalono jeszcze narzędzia zbrodni i policja bada wszelkie istniejące poszlaki.

Następne ujęcie pokazywało dom otoczony żółtą policyjną taśmą.

Cathy poczuła gęsią skórę na ramionach, kiedy rozpoznała znajomy dom i drzewa na ulicy. Kto mógł popełnić takie morderstwo? - zadała sobie pytanie. I dlaczego?

Przyłapała się na tym, że myśli o Davidzie. I króliku.

Przeszedł ją dreszcz. Próbowwała sobie przypomnieć, czy zamknęła drzwi frontowe na klucz i zasuwę po wyjściu Jimmy'ego, ale nie pamiętała. Ojciec nie pofatyguje się, żeby sprawdzić.

Obejrzała pozostałe wiadomości i powtórkę serialu komediowego. Potem usłyszała, że ojciec za pomocą obu kul człapie przez hol do sypialni. Kiedy zamknął drzwi, dała mu jeszcze kilka minut, żeby się położył. Potem powoli otworzyła swoje drzwi. Światło w holu wciąż się paliło, podobnie jak światło w kuchni. Nie wyłączył telewizora - słyszała salwy sitco-mowego śmiechu dobiegające z bawialni.

Po cichu przeszła przez hol i sprawdziła, czy drzwi kuchenne są zamknięte na klucz. Zgasiła światło, wyłączyła telewizor w bawialni i podeszła do frontowych drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Przesunęła zasuwę i przekręciła klucz w zamku, zadowolona, że zdecydowała się sprawdzić. Wyjrząwszy przez okno obok frontowych drzwi, zobaczyła, że w domu Lauterów wciąż pali się światło. Za cienką zieloną zasłoną dostrzegła małą, ciemną sylwetkę przyciśniętą do szyby. Cathy odsunęła się od okna, nagle zdjęta chłodem.

Wróciła do sypialni. Postanowiła w najbliższych dniach poznać nowych sąsiadów. Pewnie okażą się całkiem zwyczajnymi, miłymi ludźmi i spotkanie z nimi wyleczy ją z irracjonalnego lęku, który czuła za każdym razem, kiedy spoglądała na ich dom.

Nie wspomni o Lauterach.

Posłała łóżko, ale zanim przebrała się w piżamę, zamknęła za sobą drzwi na klucz.



Pomimo weekendu i późnej pory Tucker Avenue była rzęsiście oświetlona. Całą ulicę otoczono kordonem, policyjne samochody, oznakowane i nie-oznakowane, parkowały ukośnie na jezdni. W

większości domów otwarto drzwi, mężczyźni, kobiety i dzieci niekompletnie ubrani stali na frontowych trawnikach. Chociaż panował tłok i ożywiony ruch, atmosfera bynajmniej nie była świąteczna. Allan poczuł ciężar wiszący w powietrzu, gdy tylko wysiadł z bronco.

Pynchon już przyjechał i stał na środku ulicy, koordynując działania

policji i wyszczekując rozkazy. Głos miał jeszcze bardziej szorstki niż zwykle i kiedy zobaczył Allana, który przepychał się przez tłum na chodniku, przywołał go szybkim ruchem ręki. - Rusz pan tutaj tyłek!

Allan prześliznął się obok młodej kobiety we frotowym szlafroku, która mocno przyciskała do siebie dwóch podeksytowanych chłopców i próbowała zasłonić im widok zwłok. Przeszedł

między dwoma radiowozami zaparkowanymi maska w maskę i przepchnął się przez szereg umundurowanych funkcjonariuszy, blokujących dostęp do ciała.

Martwa kobieta leżała na środku jezdni, nakryta prześcieradłem, które teraz piętrzyło się wokół jej stóp. Allan patrzył z łomoczącym sercem, ogarnięty falą zimna. Po potwornym morderstwie Morrisona dziś rano myślał, że wie, czego się spodziewać, i przygotował się na jakąś okropność, i Ale nie przygotował się na widok, który teraz zobaczył.

Kobieta na asfalcie była naga, jej gibkie ciało zostało umyślnie skręcone i powyginane w kształt jakiegoś niemożliwego do wyobrażenia obwarzanka. Kręgosłup i rdzeń kręgowy miała złamany, tułów zgięty pod kątem prostym tak, że głowa spoczywała tyłem pomiędzy kolanami, jakby ciało pękło na pół.

Stawy łączące nogi z biodrami i ramiona z torsem umiejętnie wybito, zaokrąglone krawędzie wyraźnie odznaczających się kości sterczały z panewek, prawie, ale nie całkiem przebijając skórę. Potrzaskane żebra utworzyły maleńki łańcuch górski, biegnący przez środek klatki piersiowej. Na pustej twarzy kostne wypukłości, doskonale zarysowane pod napiętą skórą, niemal przysłaniały wytrzeszczone oczy i rozwarte usta. Nos został

wepchnięty w głąb czaszki.

Ale zmasakrowane ciało nie krwawiło.

Wszystkie obrażenia były podskórne.

- Jezu - sapnął Allan. Odwrócił się do kapitana. - Co się stało, do cholery?

Pynchon kiwnął głową w stronę srebrno-czarnego cadillaca, wbitego w drzewo po drugiej stronie

ulicy. - Pogadaj pan z kierowcą. Jest z tyłu w furgonetce. Allan zmarszczył brwi.

- Tej kobiety nie przejechał samochód.

- Pogadaj pan z kierowcą.

Allan obszedł nagie, skrzycone ciało, minął fotografa oraz dwóch czekających sanitariuszy z noszami i skręcił tam, gdzie parkowała policyjna furgonetka. Williams stał przed otwartymi tylnymi drzwiami pojazdu i spisywał zeznanie mężczyzny siedzącego na podłodze. Obejrzał się i ze znużeniem kiwnął głową.

- Poruczniku.

Allan odpowiedział skinieniem głowy i zerknął na świadka.

Mężczyzna, pewnie w wieku czterdziestu pięciu-pięćdziesięciu lat, teraz wyglądał znacznie starzej. Twarz miał bladą i ciemne worki pod przekrwionymi oczami. Dłonie, które trzymał

między kolanami, duże i czerwone, zaciskały się i rozwierały nerwowo. Podniósł na Allana oczy, szkliste i nieprzytomne jak oczy pijaka.

- Brak alkoholu - powiedział Williams, jakby czytał w myślach porucznika. W jego głosie, opanowanym i starannie modulowanym, brzmiała nuta strachu.

Allan napotkał niespokojne spojrzenie funkcjonariusza.

- Co się stało? - zapytał cicho.

- Pan Hodges - Williams wskazał mężczyznę na podłodze furgonetki — jechał do domu ze sklepu spożywczego. Postanowił

wracać skrótem przez Tucker i w połowie ulicy ją zobaczył.

- Zauważyłem ją dopiero w ostatniej chwili - odezwał się mężczyzna. Głos miał monotony i pozbawiony wyrazu, jakby czytał

tekst z tele-promptera albo recytował z pamięci. - Nic nie mogłem zrobić. Musiałem skręcić na drzewa

Allan ze zrozumieniem kiwnął głową

- Trudno dojrzeć coś na jezdni po ciemku.

- Ona nie leżała na jezdni - zaprzeczył mężczyzna. - Właśnie schodziła z chodnika.

- Co? — Allan zamrugał. Przeszedł go dreszcz, kiedy obejrzał się na martwą kobietę na asfalcie. Widział tylko jedną dziwnie powyginaną stopę pomiędzy nogami stłoczonych policjantów. -

Twierdzi pan, że ona jeszcze żyła?

- Ruszała się. Jakby... pełzała, tylko że jej nogi i ramiona nie działały jak trzeba. Takie powykręcane i pogieęte. Ja... zobaczyłem ją przez chwilę w świetle reflektorów i nie wiedziałem, co to jest.

Była cała biała i... nie wiedziałem nawet, czy to człowiek, czy zwierzę, czy co. Skręciłem, żeby ją ominąć, i wpadłem na drzewo.

- Oblizął wargi. - Ktoś widocznie już was wezwał, bo radiowóz nadjechał, zanim wysiadłem z samochodu. Pobiegłem zobaczyć, co z nią... Wyglądała jak zdeformowana, jak przełamana do tyłu, jakby jej wszystkie kości się przesunęły nie tam, gdzie trzeba, jak...

Nie wiem...

- Mówiła coś? - zapytał Allan. - Słyszał pan, czy coś powiedziała?

- Była już martwa. Po prostu upadła na środku jezdni i... -

Wykonał skręt rękaw powietrza, niezdolny dokończyć zdania.

Allan spojrzał na Williamsa, który teraz odczytywał swoje notatki.

- Kto to zgłosił? Funkcjonariusz pokręcił głową.

- Anonim. Kobieta, ale nie zadzwoniła na 911 i nie mogliśmy namierzyć linii. Montoya, Lee, Dobrinin i Whitehead właśnie obchodzą ulicę. Nawet jeśli nie znajdą tej osoby, mamy spore szanse, że ktoś coś widział. Liczymy na jakąś wskazówkę. -

Milczał przez chwilę. - Poruczniku?

- Tak?

- Myśli pan, że to jest powiązane z morderstwem Morrisom?

- Jeszcze nie wiemy, czy to jest morderstwo. Nawet jeśli tak, modus operandi nie przypomina mordercy Morrisona.

- Ale pan tak uważa. Allan powoli przytaknął.

- Myślę, że są powiązane, - westchnął, spoglądając na tłum sąsiadów, którzy napierali na policyjną barykadę i próbowali dojrzeć ciało. - To mnie przeraża jak cholera - przyznał. - Wiesz co?

Nie mamy tu do czynienia ze zwykłym psycholem albo przeciętnym seryjnym zabójcą. Jeśli to zrobił ten sam gość, a przypuszczam, że ten sam, jest nieprzewidywalny nie tylko w wyborze ofiary, ale też w wyborze metody. On doskonale wie, co robi, i cholernie dokładnie pilnuje, żeby nie zostawiać śladów.

Kapitan Pynchon, wciąż wyrzaskujący rozkazy do grupy policjantów i sanitariuszy otaczających ciało, obszedł furgonetkę i zbliżył się do Allana.

- Jeszcze nie ustalono tożsamości - powiedział. - Kazałem dwóm ludziom przeczesać teren i poszukać ubrania tej kobiety.

Sprawdzamy zaginione osoby i przepuszczę jej zdjęcie przez komputer, kiedy je wywołają. - Zmarszczył gęste czarne brwi w pojedynczą linię gniewu. - Musimy jak najszybciej dorwać tego skurwiela. Nie chcę jeszcze paniki na dokładkę.

Porucznik doskonale go rozumiał.

- Jakies ślady, pomysły, cokolwiek? Allan pokręcił głową.

- Jeszcze wszystkiego nie obejrzałem, ale tak na poczekaniu powiedziałbym, że jedyne, co te morderstwa mają ze sobą wspólnego, to ich całkowita odmienność. Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby nie wyglądały na powiązane.

- Czy on uważa nas za idiotów? Dwa zwariowane morderstwa tego samego dnia w tej samej dzielnicy i on myśli, że nie dodamy dwa do dwóch? |

- Pynchon splunął na ziemię, mamrocząc pod nosem. Przechwycił

wzrok Williamsa, który przyglądał mu się uważnie. - Nie stój tak!

Jeśli skończyłeś spisywać zeznanie tego faceta, zacznij pukać do drzwi. Williams zaniknął notatnik.

- Tak jest, sir.

Przysunął się do pana Hodgesa, wciąż siedzącego w oszołomieniu na podłodze furgonetki, i zaczął mu wyjaśniać procedurę policyjną dotyczącą świadków morderstwa.

- Gówniany dzień - mruknął Pynchon. Pomasował sobie skronie, jakby głowa go bolała. - Dasz sobie radę z tym cyrkiem, Grant?

- Tak, sir - odparł Allan.

- Trzymaj pan cholernych reporterów z dala od ciała, zrozumiano? Nie chcę żadnych zdjęć tego czegoś w jutrzejszej gazecie. Rano wygłoszę oficjalne oświadczenie dla prasy. Może tak pan powiedziec w razie czego, żeby im zatkać gęby. - Znowu splunął i skrzywił się paskudnie. - Teraz chcę iść do domu i trochę się przespać. Nie wiem, po co w ogóle tu przyjeżdżałem.

Powinienem zostawić panu ten bajzel.

Allan kiwnął głową.

- Proszę iść do domu. Zajmę się wszystkim.

- Tylko nie nie schrzańcie. Niech ktoś przez cały czas pilnuje ciała.

Tym razem nie chcę, żeby koroner się zgrywał i znowu odstawiał

swo-je numery. I na litość boską, niech pan nie dopuszcza tych ciekawskich. Mamy tu robotę do wykonania.

- Zrobi się. - Allan próbował powstrzymać ziewnięcie, ale bez powodzenia. Wzruszył ramionami, kiedy Pynchon zgromił go wzrokiem. - Pracuję na dwie zmiany.

- Więc niech pan zrobi tu porządek i wraca do domu. Potrzebuję pana jutro w dobrej formie.

Sanitariusz w białym kombinezonie obszedł furgonetkę i zwrócił

się do kapitana:

- Sir? Już są gotowi zabrać ciało.

- Chodźmy.

Kapitan wyszedł przed furgonetkę, brutalnie odpychając stojących mu na drodze dwóch ludzi z biura koronera. Allan, który deptał mu po piętach, zobaczył guzowaty poczwarny kształt okryty plastikiem. Gdyby nie wiedział, nie zgadłby, że przedmiot w worku to człowiek. Pynchon dał znak i dwaj pomocnicy załadowali ciało do ambulansu.

Fotograf wysunął się do przodu. Kiwnął głową Allanowi i zapytał

kapitana:

- Ile odbitek pan sobie życzy?

Pynchon ze znużeniem wskazał kciukiem porucznika.

- On prowadzi śledztwo. Ja wracam do domu.

- Chcę odbitkę dla każdego członka zespołu dochodzeniowego -

po-wiedział Allan. - To będzie pięć. I półtonową, żeby przepuścić przez kom-puter, i coś dla prasy. I odbitkę plakatową.

- Załatwione. - Fotograf odprowadził spojrzeniem ambulans, który powoli przeciskał się przez tłum.

- Macie już jakieś poszlaki?

- Muszę wracać do pracy - odparł Allan i wyminął fotografa.

Patrzył, jak Pynchon wsiada do samochodu i odjeżdża. Zaczął

wyda-

wać rozkazy.

W DDRODZE DO DOMU AL GOLDSTEIN WSTĄPIŁ DO

BENNY'EGO, jak co wieczór od dwóch tygodni. Zaparkował

wielkiego oldsmobile'a na zrytym koleinami, tylko częściowo wybrukowanym parkingu z boku  
obskurnego budyń-

ku i wszedł do ciemnego, zadymionego baru. Po ścianie spływała kaskada nieustannie migoczącego  
światła, reklama piwa Olympia, słabo oświetlająca dwa z czterech boksów.

Czerwono-biały neonowy emblemat Bud Light nad kontuarem, odbity w ciemnym lustrze nad kasą,  
stanowił drugie i ostatnie źródło światła.

Al usiadł na pustym stołku blisko drzwi i położył na kontuarze banknot dwudziestodolarowy.

- Nalej.

Jimbo Gleason, jedyny właściciel po śmierci Benny'ego Colemana.

uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Jasna sprawa, panie Goldstein.

Nalał kieliszek johnniego walkera z czerwoną nalepką, postawił

na kontuarze i wymienił na dwudziestkę.

- Mam podawać, dopóki forsa się nie skończy?

- Zgadłeś.

Al patrzył, jak Jimbo wkłada dwudziestkę do kasy i chwyta mokrą szmatę, żeby przetrzeć kontuar. Na  
drugim końcu baru trzech starszuchów kłóciło się głośno, który prezydent był

najbardziej nieuczciwy. W jednym z boksów kobieta i mężczyzna chichotali cicho.

Al nie cierpiał tego miejsca. Bar był brudny i przygnębiający, i zawsze wprawiał go w parszywy  
nastrój. Ale lepsze to niż powrót do domu. Przynajmniej tu nie musiał przez cały czas patrzeć na  
symbol swojej porażki. Przynajmniej tu przeszłość nawiedzała go tylko wtedy, kiedy jej pozwolił. W  
domu musiał stawić czoło przeszłości.

Musiał stawić czoło własnemu synowi.

Osuszył szklaneczkę johnniego walkera i postukał w kontuar, żeby dostać następny. To okropne, ale  
nie lubił syna. Ostatnio spędzał coraz więcej czasu poza domem, żeby tylko się od niego odczepić,

choć właściwie nie rozumiał powodów swojej niechęci. Nie był złym ojcem. Nie bił Jimmy'ego. Nie robił mu żadnej krzywdy. Ale doskonale zdawał sobie sprawę, że nie wypełnia należycie swoich ojcowskich obowiązków. I dlatego czuł jeszcze większą urazę do chłopca.

Czy kiedykolwiek kochał swojego syna? Czy chociaż go lubił?

Szczerze mówiąc, nie pamiętał. Na pewno kiedyś tak, ale zanim dostał rozwód z Shirley, Jimmy stał się dla niego jedynie kartą przetargową, sposobem, żeby zranić tę sukę równie mocno, jak ona go zraniła.

I zranił ją, a jakże. Zranił ją dotkliwie.

Jimbo podszedł z butelką i na nowo napełnił szklaneczkę. Al przełknął alkohol jednym haustem i gestem zażądał więcej.

Barman rzucił mu

dziwne, na wpół ukradkowe spojrzenie i chyba zamierzał

wygłosić jakiś komentarz, ale wtedy ktoś wszedł do baru i zamówił piwo, więc Jimbo pospieszył obsłużyć klienta.

Al spojrzał w przydymione lustro nad kasą i zobaczył swoje ciemne odbicie, pomniejszone przez rozmiary pustej sali.

Wyglądał jeszcze gorzej, niż się czuł, jeśli to w ogóle możliwe.

Rzadkie włosy miał przetłuszczzone i potargane, wory pod oczami przypominały maskę klauna.

Dopił trzeciego drinka. Może wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby chłopiec nie był do niej tak cholernie podobny. Za każdym razem, kiedy Al patrzył na syna - jej syna - widział ciemną cerę Shirley, cienki, spiczasty nos Shirley, duże brązowe oczy Shirley.

Wiedział, że reaguje dziecinnie, głupio i nieracjonalnie, ale chociaż rozumiał to na poziomie intelektualnym, nie mógł w sobie stłumić silnej niechęci do chłopca.

Zamknął oczy i nagle zrobiło mu się gorąco, jak zawsze, kiedy wypił za dużo i za szybko. Zastanawiał się, gdzie jest teraz Shirley. Ciekawe, dla kogo ta zdzira rozkłada nogi dziś wieczorem. Na pewno już się rozstała z rzeczoznawcą od roszczeń, z którym kiedyś kręciła. Kurwa, pewnie od tamtej pory zaliczyła już z dziesięciu facetów.

— Ostatnia — powiedział Jimbo, wracając do jego części baru. -

Na pewno da pan radę? Czy może woli pan dostać resztę?

Al podniósł na niego wzrok i spróbował się uśmiechnąć.



- Polej.

Barman w milczeniu napełnił małą szklaneczkę i odstawił

butelkę, zanim znowu wyciągnął szmatę. Starł kontuar i sięgnął

po małą ściereczkę. Zaczaj wycierać szklanki, ustawione w stertę obok kranu. Obejrzał się na Ala i odchrząknął.

- No więc, panie Goldstein, jak życie pana traktuje?

- Jak gówno.

- Nie chciałem nic mówić, ale coś mamie pan wygląda. Co się stało? Praca? Dzieciak? Stara?

Al kiwnął głową.

- Aha.

Barman polerował szkło i zastanawiał się, co jeszcze mógłby powiedzieć. W głębi baru jeden ze starszków głośno obwieścił, że Richard Nixon był najbardziej nieuczciwym prezydentem ze wszystkich sprawujących ten urząd.

- A ja na niego głosowałem! - zawołał. - Głosowałem na tego śliskiego, załganego skurwysyna!

Al wiedział, że Jimmy już wrócił do domu. Pewnie podgrzał sobie pizzę w mikrofalówce i teraz odrabia lekcje albo ogląda telewizję.

Dobry z niego dzieciak, naprawdę. Al czuł się winny na myśl, że chłopiec spędza tyle czasu sam w pustym domu. Litował się nad nim. Ale była to abstrakcyjna litość, pełna hipokryzji, nie dość silna, żeby zmusić go do powrotu do domu. Nie zamierzał

wracać, dopóki Jimmy nie pójdzie spać.

- Przejdzie panu - odezwał się Jimbo. Al zamrugął.

- Co?

- Cokolwiek pana dręczy... przejdzie panu. - Barman odłożył

ścierekę, odstawił szklankę i przechylił się przez kontuar. -

Pamiętam, kiedy rozstaliśmy się z żoną. Myślałem, że świat się dla mnie skończył. Nie jadłem, nie spałem, nie srałem. Kurwa, nawet się nie kąpałem przez cały tydzień. Bzykała się z innym i w końcu się dowiedziałem. Wtedy ona próbowała wykręcić kota ogonem, że to niby moja wina. Wyrzuciłem ją za drzwi i jej wszystkie rzeczy. Nie wiedziałem, co robić. Mówię ci, człowieku, całkiem się pogubiłem. Czułem się trochę tak, jak ty wyglądasz.

Chciałem ją zabić, chciałem sam się zabić. - Pokręcił głową. - Ale wiesz co? To nie koniec świata. Przeżyłem, przebolełem, zostawiłem wszystko za sobą. Teraz, kiedy wspominam tamte czasy, nie mogę uwierzyć, jakim byłem idiotą.

- Nazywasz mnie idiotą? Jimbo się zmieszał.

- Nie, nie o to mi chodziło. Ja tylko... Al zaśmiał się z przymusem.

- Wiem. Rozumiem, o czym mówisz. Wszystko się kończy, wszystko przemija, poradzę sobie.

- Właśnie.

Al wstał i opróżnił ostatni kieliszek. Skinął głową barmanowi.

- Dzięki za drinki i za pociechę.

- Już pan wychodzi? - zdziwił się Jimbo.

Tak, żebym nie musiał więcej wysłuchiwać twojego bzdurnego prostackiego głędzenia, pomyślał Al, na głos jednak powiedział z uśmiechem:

- Tak, muszę lecieć.

- Niech pan jedzie ostrożnie.

Po ciemnym wnętrzu baru wieczór na zewnątrz wydawał się niemal jasny. Chociaż w tej części Phoenix paliły się tylko nieliczne latarnie, na niebie świecił księżyc w pełni i zaćmiewał

wszystkie gwiazdy oprócz najjaśniejszych. Al przeszedł przez mały parking, który wydawał się jeszcze bardziej wyboisty, i wsiadł do samochodu. Przez chwilę siedział za kierownicą bez ruchu, gapiąc się przed siebie na mur pokryty graffiti. Pomyślał, że trzeba wracać do domu. Był bardziej pijany niż zwykle i nie powinien prowadzić w takim stanie. Poza tym Jimmy siedział

całkiem sam przez trzeci wieczór z rzędu. Al naprawdę powinien dołożyć starań, żeby traktować chłopca po ojcowsku, interesować się jego szkołą, jego życiem.

Uruchomił silnik, wrzucił wsteczny bieg i wyjechał na ulicę.

Ruszył przez Central w stronę domu, ale zatrzymało go czerwone światło przy Washington. Zerknął na samochód obok, czarny thunderbird, i zobaczył dwoje nastolatków przytulonych do siebie na przednim siedzeniu; chłopiec opiekuńczo obejmował

ramieniem dziewczynę, która wygodnie oparła głowę o jego szyję.

Al odwrócił wzrok. W dawnych, lepszych czasach mógł być na miejscu tego chłopca. On też jeździł w kółko po dolinie, obejmując ramieniem Shirley, snując niebotyczne plany na przyszłość, kiedy w tle radio grało ich piosenki.

Światło zmieniło się na zielone, samochód stojący obok odjechał i Al nie miał już ochoty wracać do domu. Nie miał dokąd pójść, ale tego wieczoru nie chciał być ojcem. Nie chciał być byłym mężem.

Chciał być tylko zwyczajnym dawnym Alem Goldsteinem.

Jechał bez celu w stronę otwartej pustyni, nie zważając, dokąd. Im dłużej rozmyślał, tym mroczniejsze stawały się jego myśli, aż gdzieś po drodze przypomniał sobie miejsce, dokąd mógł pójść, znalazł coś, co mógł zrobić.

Kiedy wreszcie wrócił do domu, grubo po północy, Jimmy mocno spał.

## ŚNIADANIE UPŁYNEŁO W NAPIĘTEJ ATMOSFERZE.

Cathy zbudziła się wcześniej, wzięła prysznic, ubrała się i poszła do kuchni ugotować owsiankę, udając, że nic się nie stało.

Wyjrzała za drzwi, podniosła gazetę, którą nadgorliwy rozwoziciel rzucił na grządkę, i położyła na stole przed nakryciem ojca, obok kawy i soku pomarańczowego. Wszedł parę chwil później, opierając się ciężko na kulach, z twarzą zastygłą w maskę cierpienia. Od razu poznała, że miał zły dzień. Opuścił się na krzesło, oparł kule o stół i rozłożył gazetę. Cathy, stojąc przy kuchence, odchrząknęła nieśmiało.

- Przepraszam - bąknęła. Słyszała tylko stłumione skrobanie metalu o metal, kiedy mieszała owsiankę w garnku. - Za wczorajszy wieczór.

Ojciec dalej czytał gazetę i nie raczył odpowiedzieć.

- Ojcze?

Łyknął soku pomarańczowego i otworzył gazetę, żeby przeczytać drugą stronę, zasłoniwszy się drukiem jak murem.

Cathy nałożyła owsiankę do dwóch misek i postawiła jedną na stole przed ojcem.

- Powiedziałam, że przepraszam.

Zignorował ją i hałaśliwie przewrócił stronę w gazecie. Patrzyła na niego, potem postawiła swoją miskę na stole i usiadła.

- Jak sobie chcesz.

Oboje milczeli. W jasno oświetlonej kuchni rozlegało się tylko ciche pobrzękiwanie sztućców w naczyniach, kiedy jedli owsiankę. Za oknem ptaki świergotały w kapryfolium. Przedłużająca się cisza działała Cathy na nerwy. W połowie miski kobieta wstała, włączyła radio i nastawiła na wiadomości. Autorytatywny głos spikera, punktowany przez rytmiczne trzaskanie nagranych dalekopisu, brzmiał niemal kojąco. Cathy usiadła z powrotem przy stole i trochę się odprężyła.

Przytapała się na tym, że spogląda na kolekcję zabytkowych tarek do sera ustawionych na półce nad lodówką, zamiast na pierwszą stronę gazety naprzeciwko. Umyślnie starała się nie patrzeć na ojca. Złościła się na siebie, wściekała się, że znowu wpadła w jego pułapkę, że ciągle się go bała, ale gniew wkrótce odpłynął, zastąpiony przez tępą melancholię.

Zapowiadał się długi dzień. Soboty zawsze się dłużyły. Nie pracowała i właściwie nie miała przyjaciół, z którymi mogła wyjść na miasto, więc zwykle poświęcała ten dzień na prace domowe i zakupy spożywcze. Zaryzykowała zerknięcie w stronę ojca, ale wciąż ukrywał się za gazetą. Miała w

Bogu nadzieję, że ojciec gdzieś dziś wyjdzie. Czasami spędzał ten dzień w klubie z Geoffem, Donem lub Robem, częściej jednak zostawał w domu i przeszkadzał na każdym kroku, krytykował ją, kiedy sprzątała, szpiegował, gdy robiła porządki na podwórku. Nie chciała przez to przechodzić. Nie dziś. Jeśli zamierzał spędzić ten dzień w domu, ona musi wyjść, żeby uwolnić się od niego. Może pójdzie do Metro Center kupić coś z ubrania albo przespaceruje się po Fifth Avenue w Scottsdale i poogląda wystawy.

Zaniosła do zlewu swoją miskę i szklanę po soku pomarańczowym.

- Lokalna wiadomość dnia - oznajmiło radio. - Następne morderstwo, drugie w ciągu dwóch dni, popełniono wczoraj późnym wieczorem w północnym Phoenix. Według policji niejaką Susan Welmers, trzydzie-stoletnią aplikantkę, znaleziono pobitą na śmierć na Tucker Avenue... Tucker Avenue! Cathy odstawiła naczynia i wbiła spojrzenie w czarne plastikowe radio. To przy następnej przecznicy. Zbliża się.

Automatycznie przeniosła wzrok na ojca, ale on chyba nie słyszał

albo nie słuchał. Odsunął krzesło od stołu i sięgał po kule. Jedna stała trochę poza jego zasięgiem. Wyciągnął rękę i bezskutecznie usiłował ją chwycić. Mógł poprosić Cathy o pomoc jak zwykle, ale nie zamierzał dać córce tej satysfakcji, że zauważył jej obecność.

Patrzyła, jak jego palce daremnie sięgają po ergonomiczny uchwyt kuli. Zapomniała o morderstwie, obeszła stół, wzięła kulę i podała ojcu.

- Proszę - powiedziała.

Przyjął kulę bez słowa, nie spojrzawszy na Cathy. Ona dalej trzymała drugi koniec.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - zapytała, korzystając z okazji.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Oczy miał zimne, nieprzeniknione.

- Lunatykowałeś wczoraj w nocy. Zamrugła.

- Co?

- Słyszałaś.

Lunaticzka. Popatrzyła na ojca w nadziei, że żartował, ale wiedziała, że mówił poważnie, Ogarnął ją strach. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz zdarzyło jej się lunatykować.

- Wcale nie.

- Słyszałem cię. - Przesunął swój ciężar na kulach. - Myślałem, że już dawno z tym skończyłaś.

Nie odpowiedziała, tylko podeszła do zlewu.

- Może powinnaś znowu iść do psychiatry. Odwrócić się do niego.

- O co ci chodzi? Czemu ciągle się mnie czepiasz?

- Martwię się o twoje zdrowie psychiczne.

- Daruj sobie.

Telefon zadzwonił i ojciec patrzył na nią w milczeniu, dopóki nie ode- I brała. Dzwonił Geoff z pytaniem, o której ma przyjechać po ojca. W klubie urządzano wielki turniej pokerowy, mówił Geoff, i chciał tam wcześniej przyjechać. Odwróciła się do ojca, żeby zapytać, o której chce wyjechać, ale on wyjąwszy jej słuchawkę z ręki, odwrócił się plecami.

Zostawiła go samego i wróciła do kuchni, żeby pozmywać.

Po wyjeździe ojca Cathy wyszła przed dom, żeby wyrwać się z klaustrofobicznej domowej atmosfery. Powietrze było ciepłe i suche, niebo ciemnobłękitne. Jimmy jeździł na rowerze od jednego rogu do drugiego, jedyny znak życia na pustej ulicy.

Pomachała mu, rozwinęła wąż i włączyła spryskiwacz. Kiedy miała dziewięć lat, w sobotnie poranki obie strony ulicy tętniły życiem. Dzieci się bawiły, ojcowie kosili trawniki, matki wyrwały chwasty. Teraz podwórkami zajmowali się wynajęci ogrodnicy w dni powszednie, a w weekendowe poranki nieodmiennie jedynymi ludźmi na ulicy byli ona i Jimmy.

Podjechał do niej i zahamował na podjeździe, obracając się o sto osiemdziesiąt stopni. Uśmiechnął się szeroko, odgarniając włosy z oczu.

- Cześć.

- Cześć.

- Widziałem, jak twój tata wyjeżdżał rano. Cathy nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Pomachałeś mu?

- Aha. Ale chyba mnie nie widział.

- Nie będzie go przez cały dzień - oznajmiła i z przyjemnością zobaczyła wyraz ulgi na jego twarzy.

Ustawiła spryskiwacz pośrodku trawnika i tak wyregulowała wodę, żeby zraszała trawę, ale nie moczyła chodnika. Spojrzenie jej padło na dom Lamerów po drugiej stronie ulicy. W jasnym świetle poranka wcale nie wyglądał złowieszczo. Lekkie zielone zasłony we frontowych oknach i dwie doniczki z kaktusami flankujące schodki na ganek nadawały mu niemal wesoły wygląd.

Przez kuchenne okno Cathy widziała kobietę krzątającą się przy zlewie. Spojrzała na Jimmy'ego, bujającego się z roztargnieniem na rowerku.

- Chodź, poznamy nowych sąsiadów - zaproponowała. Oczy mu się rozjaśniły.

-Okej.

- Pomożesz mi upiec ciasto. Zaniesiemy im w prezencie na nowe mieszkanie.

Jimmy zeskoczył z rowerka.

- Dobra!

Śmiejąc się z jego entuzjazmu, ruszyła przodem przez garaż do kuchni. Cieszyła się, że Jimmy z nią pójdzie. Sama pewnie nie zdobyłaby się na odwagę. Nie dlatego, że ten dom ją przerażał -

choć w nocy rzeczywiście robił niemiłe wrażenie - ale nie bardzo wiedziała, co powiedzieć nowym sąsiadom. Brakowało jej talentów towarzyskich. Mogła się przywitać, przedstawić, porozmawiać krótko o okolicy albo Arizonie, jeśli pochodzili spoza stanu, z pewnością jednak nie miała wystarczającej ogłady, żeby podtrzymywać konwersację z całkiem obcymi ludźmi.

A jednak dorastała na tej ulicy, znała swoich sąsiadów przez całe życie i czuła się niejako zobowiązana, żeby powitać nowych mieszkańców HBniejszej społeczności. Potrafiła również im współczuć. Ona też wiedziała, jak to jest stać poza nawiasem.

W każdym razie cieszyła się z towarzystwa Jimmy'ego. Mogła na nim polegać, że gadatliwością wypełni każdą chwilę niezręcznego milczenia. Mogła też wykorzystać jego obecność jako pretekst, żeby wyjść wcześniej w razie konieczności. Spojrzała na niego, uśmiechniętego radośnie, i poczuła lekkie wyrzuty sumienia, że zamierza go wykorzystać, ale odepchnęła tę myśl.

- Zrobimy ciasto czekoladowe - powiedziała. - Możesz potem wylizać miskę.

Minęło południe, zanim ciasto się upiekło. Cathy przygotowała dla nich obojga kanapki z tuńczykiem na lunch. Zrobiłaby z masłem orzechowym i galaretką ale pomyślała, że Jimmy pewnie ma tego dosyć w domu. Powinien zjeść coś pożywnego.

Po skończonym posiłku owinęła ciasto w celofan i przewiązała pakunek czerwoną wstążką. Pozwoliła, żeby Jimmy przeniósł je przez ulicę.

Dziwnie było iść przez podjazd domu Lauterów. Przez całe życie nigdy jeszcze nie podeszła tak blisko i nawet teraz miała wrażenie, że robi coś zakazanego. Z wyrazu twarzy Jimmy'ego poznała, że czuł to samo. Spojrzeli na siebie i parsknęli śmiechem, przełamując nastrój.

Cathy obejrzała fasadę domu. Z tej perspektywy nie dostrzegła nic strasznego ani złowrogiego. Typowy parterowy domek, identyczny z jej własnym. Zastanawiała się, jacy ludzie kupili ten dom. Miała nadzieję, że są młodzi. I miała nadzieję, że ją polubią; przyjemnie byłoby mieć po sąsiedzku przyjaciół zamiast zwykłych znajomych.

Weszli po stopniach ganku i Cathy nacisnęła dzwonek. Nie usłyszała brzęczenia, żadnego dźwięku, ale odczekała chwilę, zanim zastukała. Stuknęła dwa razy, lecz bez skutku. Spojrzała na Jimmy'ego i

zapukała jeszcze raz.

- Idę - rozległ się zmęczony głos w środku.

Kobieta, która otworzyła drzwi, wyglądała na przedwcześnie postarzałą. Nosila wyblakłą kwiecistą podomkę i wytarte, niegdyś czerwone kapcie. Mysie włosy zwinęła w nieporządny kok. Była bez makijażu, chociaż rozpaczliwie go potrzebowała. Nie mogła się poszczycić ani zdrową brązową opalenizną, ani egzotyczną albinoską bielą — jej cera miała szarawy.

ziemisty odcień jak u osoby, która rzadko przebywa na świeżym powietrzu. Głębokie bruzdy biegły wokół ust i oczu; z ułożenia zmarszczek Cathy odgadła, że nie powstały od śmiechu.

Poczuła rozczarowanie, kiedy spojrzała na kobietę, ale próbowała nic po sobie nie pokazać. Przywołała na twarz najbardziej pogodny uśmiech, wzięła ciasto od Jimmy'ego i niezręcznie wysunęła je przed siebie,

- Witam - powiedziała. - Nazywam się Cathy Riley. Jestem pani sąsiadką z naprzeciwka. - Położyła dłoń na głowie Jimmy'ego. -

To jest Jimmy Goldstein. Mieszka trzy domy ode mnie, w tym brązowym ceglanym domu z kaktusem na podwórku.

Kobieta spojrzała na nią pustym wzrokiem i przyjęła ciasto. -

Pomyślałam, że powitamy panią w sąsiedztwie - ciągnęła Cathy wesołym, serdecznym tonem, chociaż widziała, że powitalny program nie wypalił. Gorący rumieniec oblał jej policzki. Miała dotkliwą świadomość, że Jimmy stoi obok i ogląda jej występ.

Zauważyła, że kobieta wpatruje się w chłopca. Zmusiła się do uśmiechu. - Jak pani się nazywa? - zapytała.

Kobieta przesunęła spojrzenie z Jimmy'ego na Cathy i skupiła wzrok. Pokręciła głową, jakby chciała się otrząsnąć z zamyślenia.

Pociła się obficie.

- Przepraszam - powiedziała. - Nazywam się West. Katrina West proszę mi mówić Katrina. - Otworzyła szerzej drzwi, odstepiła na bok gestem zaprosiła ich do środka. - Wejdziecie? Katrina. Cathy pomyślała, że takie atrakcyjne imię wcale nie pasuje do kobiety tak celowo zaniedbanej. Przekroczyła próg, Jimmy wszedł za nią.

W środku dom Lauterów wyglądał jak każdy inny dom z sąsiedztwa. Niski, otynkowany sufit; centralny kominek oddzielający pokój rodzinny od bawialni. Chociaż ściany wyraźnie domagały się odmalowania, nie było na nich rozbryzgów zaschłej krwi. Linoleum na podłodze błyszczało czystością po niedawnym woskowaniu.

- Przepraszam za te wszystkie pudła. — Katrina wskazała górę zapieczętowanych kartonów i



skrzynkę w pokoju rodzinnym. -

Jeszcze się nie rozpakowaliśmy.

Cathy kiwnęła głową

- Mieszka pani tylko z mężem?

- Mój mąż nie żyje. Mieszkam z synem.

- Przykro mi - bąknęła Cathy. Odchrząknęła. - To znaczy przykro mi, że pani mąż nie żyje - poprawiła się. - Nie że pani mieszka z synem. - Rozejrzała się, jakby szukając wyjścia z werbalnej pułapki, w którą sama się wpędziła. - Hm, ile lat ma pani syn?

- Dziewięć.

- Więc jest w wieku Jimmy'ego! - Uśmiechnęła się do chłopca, który zaglądał za róg do jadalni. - Jak to miło, że będzie miał się z kim bawić. W okolicy nie ma dzieci nawet na lekarstwo.

- Mój syn jest niedorozwinięty.

Cathy poczuła się zaskoczona tak obcesowym określeniem. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie wiedziała, jak potraktować tę informację, o co tu chodziło, co to miało znaczyć. Oblizła wargi i udawała, że podziwia widok za oknem pokoju rodzinnego. Przez świeżo umyte szyby widziała własny dom i żałowała, że nie została w swoim pokoju, zamiast robić z siebie idiotkę.

- Ale i tak pani syn na pewno chętnie się pobawi z kimś w swoim wieku - wykrztusiła kulawo.

- Mój syn nie bawi się z innymi dziećmi.

Nie powinniśmy tu przychodzić, pomyślała Cathy. To był błąd.

Kobieta dalej gapiała się na Jimmy'ego, który teraz wbijał wzrok w buty i nerwowo wiercił jedną nogą. Niedorozwinięty? To słowo zabrzmiało okrutnie, niepotrzebnie szorstko. Jakie życie prowadził ten nieszczęsny chłopiec? Cathy zdawało się, że wyczuła ton urazy w głosie Katriny, kiedy wspomniała o synu. Na pewno krótko go trzymała, Cathy domyśliła się tego nawet po tak zdawkowej rozmowie. Napotkała spojrzenie Jimmy'ego, który lekko skłonił głowę w stronę drzwi w niezbyt subtelnej aluzji. Zaczęła szukać jakiegoś prostego, taktownego pretekstu, żeby stąd wyjść jak najszybciej.

- Chcecie poznać mojego syna? - zapytała Katrina. Próbowwała się uśmiechnąć, ale w tym grymasie zabrakło ciepła czy humoru, oczy pozostały zimne i twarde. Zupełnie jakby mięśnie ust poruszały się niezależnie od reszty twarzy, wbrew właścicielce.

Uśmiech jak namalowany, pomyślała Cathy, jakby nie należał do tej kobiety, co wygląda niemal upiornie.

- Chcecie poznać Randy'ego?

Cathy zmusiła się, żeby entuzjastycznie przytaknąć.

- Tak - powiedziała, rzucając Jimmy'emu przepraszające spojrzenie.

- Z przyjemnością.

- On jest w swoim pokoju.

Katrina poprowadziła ich przez korytarz, wciąż z ciastem w rękach, ostrzegając, żeby nie potknęli się o pudła i torby rozrzucone na podłodze. Cathy szła powoli. W korytarzu było nienaturalnie ciemno. Minęli troje zamkniętych drzwi. Katrina zapukała do drzwi na końcu korytarza, zanim otworzyła je kluczem.

Weszła do środka, a Cathy ruszyła za nią, opiekuńczo obejmując ramieniem Jimmy'ego.

W pokoju panował jeszcze głębszy mrok niż w korytarzu. Ciężkie czerwone zasłony były zaciągnięte, światła zgaszone i trwało chwilę, zanim oczy Cathy przyzwyczyły się do ciemności.

Wytężyła wzrok.

Randy siedział na skraju niezastłanego łóżka i patrzył tępo przed siebie, na oprawiony oleodruk przedstawiający owczarka collie w śnieżycy. Nad jego głową wisiała reprodukcja renesansowego obrazu ukrzyżowanego Jezusa. Oprócz tych dwóch ozdób ściany były szare i puste. Jedyne umeblowanie pokoju stanowiło łóżko.

Trzy lub cztery małe zabawki walały się na dywanowej wykładzinie podłogi. W otwartej, pustej szafie stało pudło z ubraniami.

Cathy patrzyła na chłopca i czuła się dziwnie nieswojo.

Spodziewana litość dla tego dziecka jakoś się nie zmaterializowała. Jego widok wywołał tylko narastające zaniepokojenie. Z obwisłą szczęką, z grubym językiem wystającym nieco z otwartych ust, z brodą błyszczącą od cienkiej warstewki śliny, patrzył na nią nieprzeniknionymi ciemnobrązowymi oczami. Rysy jego twarzy miały lekko orientalny wygląd, typowy dla osób z ze-społem Downa, ale krył

się w nich jakiś subtelnie zmienny element, coś dziwnego i nieokreślonego, co Cathy się nie podobało. Przyłapała się na tym, że odwraca wzrok od jego twarzy i skupiła na rękach. Grube, za duże

palce ugniatały białą piłkę futbolową, którą trzymał na kolanach, obracały ją w kółko i w kółko.

- Randy! - zawołała matka.

Bezmyślna twarz chłopca natychmiast przybrała wyraz kretyńskiej radości. Zaczął podskakiwać na

łóżku.

- Ha! - wrzasnął. - Ha ma ma ma ma ma ma!

- Randy, poznaj nowych przyjaciół. - Katrina mówiła powoli i wyraźnie, ale bez protekcyjnego tonu, jakby zwracała się do dorosłego, który trochę niedosłyszy. - To jest Cathy.

Cathy uprzejmie kiwnęła głową.

- A to jest Jimmy.

Cathy zerknęła na swojego młodocianego towarzysza. Jimmy uśmiechnął się niezręcznie do chłopca na łóżku, symulując przyjaźń, której najwyraźniej nie odczuwał. Zauważyła, że też był

zdenerwowany. Ścisnęła go za ramię - milcząca obietnica, że wyjdą jak najszybciej.

- Pa! - ryknął Randy. Nagle rzucił piłką w Jimmy'ego, który złapał

ją w powietrzu. - Pa! Pa pa pa pa pa pa!

Zmieszany Jimmy spojrzał na matkę chłopca.

- Co mam zrobić? - zapytał.

- Odrzuć mu piłkę.

Rzucił piłkę powolnym lobem spod ręki. Randy chwycił ją i przycisnął do siebie, wrzeszcząc nieartykułowanie. Znowu rzucił

piłkę tak mocno, że Jimmy ledwie zdążył wyciągnąć ręce i zablokować uderzenie. Randy podskoczył na łóżku, śmiejąc się i klaszcząc.

- On chyba cię lubi - powiedziała Katrina. Odwróciła się do Cathy i chociaż twarz nadal miała ponurą, pełną wrodzonej, naturalnej rezygnacji, wydawała się odrobinę pogodniejsza, bardziej odprężona. - Może dobrze mu zrobi, jeśli będzie miał się z kim bawić.

Jimmy znowu odrzucił piłkę i tym razem Randy natychmiast cisnął ją z powrotem. Piłka świsnęła w powietrzu i trzasnęła Jimmy'ego prosto w twarz. Chłopiec krzyknął z bólu i odwrócił

się, a piłka odbiła się i potoczyła po dywanie. Randy gorliwie zeskoczył z łóżka, żeby ją złapać, ale matka pogroziła mu palcem.

- Przestań! - rozkazała. — Już!

Chłopiec wycofał się na łóżko i usiadł nadąsany. Chwycił

poduszkę

i przycisnął do twarzy, jakby się wstydził. Katrina podeszła do Jimmy'ego.

- Nic ci nie jest? - zapytała. Głos miała bezbarwny, niewyrażający żadnego zainteresowania, żadnej troski; pytała tylko z obowiązku.

Jimmy pokręcił głową, ale łzy nabiegły mu do oczu, a skórę na prawym policzku miał jasnoczerwoną w miejscu, gdzie uderzyła piłka.

- Lepiej już idźcie. Cathy odchrząknęła.

- Szybko - ponagliła zimno Katrina.

- To był wypadek - zaczęła Cathy. - Na pewno... Wyblakłe niebieskie oczy kobiety spojrzały na nią twardo.

- Proszę mi nie mówić, jak mam prowadzić własny dom -

warknęła. Wwiercała się gniewnym spojrzeniem w Cathy, która musiała odwrócić wzrok. W milczeniu wyprowadziła gości z sypialni, zamknęła za nimi drzwi i popędziła ich przez korytarz do wyjścia.

Cathy wyczuwała dłonią drżenie ramion Jimmy'ego. Wiedziała, że chłopiec bardzo się stara być dzielny. Nie płakał głośno, ale ciągle ukradkiem ocierał oczy, zanim łzy spłynęły po policzkach.

Miała wyrzuty sumienia, że go tu przyprowadziła.

Katrina otworzyła frontowe drzwi.

- Wynocha - powiedziała. - Dostyc już narobiliście. Cała uprzejmość znikła z jej głosu.

wyszli z domu i Cathy się odwróciła.

- Cieszę się, że panią poznałam... — zaczęła. Drzwi się zatrzasnęły,

Cathy i Jimmy przez długą chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

Potem Cathy się uśmiechnęła, a Jimmy odwzajemnił uśmiech i zanim doszli do końca podjazdu, oboje śmiali się głośno.

BUDZIK WYRWAŁ ALLANA ZE SNU O WIELE ZA WCZEŚNIE, uporczywe elektroniczne piszczenie brutalnie przywróciło mu świadomość. Nadal czuł się zmęczony po zarwanej nocy.

Próbował otworzyć oczy, ale zapiekły jak sklezione piaskiem, więc zamknął je czym prędzej. Sięgnął w górę i próbował wcisnąć guzik drzemki na budziku, żeby dać sobie jeszcze dziesięć minut, ale chyba przejściowo stracił koordynację mniejszych mięśni; jego palce po prostu nie dały sobie rady z tak precyzyjnym zadaniem. Półprzytomnie usiadł, opierając się o wezglowie, i siłą woli otworzył oczy. Smętnie wyłączył budzik.

W głowie wciąż wirowały mu luźno powiązane obrazy z częściowo zapamiętanego snu, kiedy wygramolił się z łóżka i poczłapał do łazienki. Pamiętał kobietę o piersiach obdartych ze skóry, kołyszącą martwe nie-mowlę; manekin ze sklepu odzieżowego z ohydnie rozdętymi rybimi wargami, sprzedający broń w sklepie z nożami; kapitana Pynchona uciekają-cego co sił

przed czymś wielkim i czarnym, oślizłym i cuchnącym. Allan pokręcił głową. To było do niego niepodobne. Rzadko śnił i nie pamiętał już, kiedy ostatnim razem miał aż taki koszmar. Ta sprawa naprawdę zalaż-ła mu za skórę.

Odkręcił prysznic i siedział przez chwilę na zamkniętym wieku sedesu, czekając, aż woda się nagrzeje.

Przynajmniej nie musiał zawiadamiać rodziny tej kobiety, co się stało. Czuł się paskudnie, ale zanim ustalili jej tożsamość, dochodziło wpół do trzeciej i padał na nos, więc zmałpował

Pynchona i zepchnął ten obowią-zek na Williamsa.

Wyciągnął rękę i wsadzi palce pod strumień wody, żeby sprawdzić temperaturę. Okazała się odpowiednia, więc zdjął

piżamę i wszedł pod natrysk. Ciepły prysznic na twarzy trochę go orzeźwił ale oczy wciąż bolały jak cholera. Ustawił niżej głowicę prysznica i sięgnął po mydło oraz myjkę. Namydlił ręce i nogi.

Stopniowo odzyskał trochę czucia w zmęczonych mięśniach.

Telefon dzwonił, kiedy Allan wyszedł spod prysznica, ale nie pofatygował się odebrać. Wytarł się ręcznikiem, potem ubrał i wyjął krem do golenia z apteczki. Telefon wciąż dzwonił. Allan wiedział, że to ktoś z komendy, lecz nie miał ochoty teraz rozmawiać. I tak zaraz tam przyjedzie.

Dwadzieścia minut później siedział w swoim pokoju na komendzie. Nie zdążył zrobić śniadania, więc wpadł do McDonalda po sok i mcmuf-fina z jajkiem.

Jeżu, pomyślał, patrząc na kanapkę, wykończy mnie to śmieciarskie jedzenie.

Ale wiedział, że to nieodłączna cecha jego zawodu. Gliny rzadko jadają regularne posiłki

Dokończył mcmuffina i wyrzucił papierowy pojemnik do śmieci.

- Allan?

Podniósł wzrok, jeszcze z pełnymi ustami.

- Mm?

Thomasson uśmiechnął się ze znużeniem.

- Kapitan cię wzywa.

- Dobra.

Chwycił notes z biurka i ruszył przez hol do gabinetu Pynchona.

Po drodze zerknął na notatki, które nabazgrał zeszłej nocy, ale wtedy zmęczenie dawało o sobie znać i światło było słabe, więc teraz nie mógł ich odcyfrować.

Zapukał głośno do zamkniętych drzwi gabinetu.

- Wejść! - rozległ się zachrypły, ale wciąż donośny i rozkazujący głos Pynchona.

Allan pchnął drzwi i wszedł. Kapitan stał przy oknie i wyglądał

na dziedziniec w dole. Odwrócił się i krótkim kiwnięciem głowy wskazał mu krzesło z prostym oparciem.

- Siadaj pan. Allan usiadł.

Pynchon odszedł od okna i usadowił się w obrotowym fotelu za biurkiem.

- Gdzie jest Whitehead? - zapytał. Allan zmarszczył brwi.

- Whitehead? Przepraszam sir, nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Nie rozumie pan, o czym mówię? - Kapitan walnął wielką pięścią w blat - Jezu Chryste! Nawet się pan nie kontaktuje z własnym cholernym zespołem?

- Przepraszam, sir. Przyszedłem dopiero pięć minut temu...

- To żadne usprawiedliwienie! - Kapitan zakaszlał głośno, zasłaniając pięścią usta. - Kurwa. - Spiorunował wzrokiem Allana.

- Pana obowiązkiem, poruczniku, jest dokładnie znać przebieg śledztwa. Musi pan przydzielając zadania, podejmować decyzje i wyznaczać zakres odpowiedzialności, na bieżąco kontrolować, co kto robi. Jeśli nie daje pan rady, odbiorę panu tę sprawę.

Allan przypomniał sobie dzwoniący telefon i miał ochotę kopnąć się w tyłek.

- Ale...

- Nie chcę słyszeć żadnych wymówek.

- Co z Whiteheadem?

- Zaginął.

Allan wstał. Zimny węzeł strachu ścisnął mu żołądek. Zeszłej nocy, po ustaleniu tożsamości kobiety, wysłał Whiteheada, Lee i Dobrinina na przeszukanie ulicy w nadziei, że coś wywęszą. To byli jego trzej najlepsi ludzie i wiedział, że jeśli oni nic nie znajdą, sprawa jest beznadziejna. Nagle zaschło mu w ustach. Odetchnął

głęboko.

- Od kiedy? - zapytał.

- Nie zgłosił się po powrocie. Dobrinin i Lec zameldowali się kilka godzin temu i żaden z nich nie wie, co się stało z Whiteheadem.

Zakładali, że już wrócił.

- Może zwyczajnie poszedł do domu i nie zdał służby. Późna pora, był zmęczony, pewnie na nogach od...

- Nie jesteśmy kompletnymi idiotami - prychnął Pynchon. - Kelly dzwonił do niego kilka razy, ale nikt nie odbierał. Osobiście wysłałem tam człowieka piętnaście minut temu. - Jego oczy napotkały spojrzenie porucznika. - Miałem nadzieję, że pan mi powie, co się stało.

Allan bezradnie pokręcił głową.

- Może po prostu poszedł do baru albo co. Bogu wiadomo, że po...

tym, co wczoraj widziałem, sam miałem ochotę strzelić sobie parę kolejek. - Kapitan odkaszlnął w pięść i splunął hałaśliwie. - Nie po raz pierwszy brak kontaktu prawie wywołał panikę, więc zaczekamy jeszcze jakąś godzinę, zanim zaczniemy się martwić.

Albo przynajmniej dopóki się nie dowiemy, czy wczoraj w nocy wrócił do domu. Tymczasem masz pan się zająć śledztwami.

Zakładamy, że są powiązane, racja?

- Tak jest, sir. Nic ich nie wiąże oprócz dziwaczności i kompletnego braku dowodów, ale zakładamy, że są powiązane.

- Dobra. - Kapitan kiwnął głową. - Teraz chcę, żeby pan zwołał zebranie na dziesiątą dziś rano dla nas i wszystkich innych z ekipy śledczej. Whiteheada też, jeśli go znajdziemy. Chcę podsumować, co mamy, czego nie mamy, co wiemy, co podejrzewamy, i zobaczyć, czy ktoś ma jakieś pomysły.

- Jasne.

- Jak pan widzi, tracę głos, więc pan poprowadzi zebranie.

Porucznik przytaknął bez słowa. Chrypka czy nie chrypka, wiedział,

że Pynchon nikogo nie dopuści do głosu. W obecności kapitana trudno było wtrącić chociaż słowo.

- A więc rusz pan tyłek i do roboty. Zapowiada się gorąca sprawa i jeśli mój tyłek chociaż trochę się przygrzeje, pański się sfajczy.

Zrozumiano?

- Zrozumiano. Mój tyłek się sfajczy.

Pynchon uśmiechnął się półgębkiem, ale prawie natychmiast chwycił go znów atak kaszlu. Machnął ręką na podwładnego.

- Zabieraj się pan stąd.

Allan szybko przeszedł przez hol, ogarnięty narastającym niepokojem. Miał złe przeczucia co do Whiteheada, chociaż sam nie wiedział, dlaczego. Boże, czasami nienawidził tej pracy.

Wszedł do dyspozytorni i klepnął Yvonne w ramię.

- Cześć, ślicznotko. - Okręciła się gwałtownie. - Daj mi domowy numer Boba Whiteheada.

Na widok porucznika oburzenie znikło z jej twarzy.

- Nie odpowiada - odparła. - Próbuję od rana.

- Spróbuj jeszcze raz.

Wcisnęła kilka guzików na konsoli. Allan wziął zestaw słuchawkowy i przycisnął małą słuchawkę do ucha. Sygnał na linii zahuczał raz, dwa, trzy razy, a potem ktoś odebrał.

- Halo! - zawołał Allan. - Whitehead? Mówi porucznik Grant. Głos na drugim końcu linii był bezbarwny, oficjalny, wyprany z emocji.

- To nie Whitehead. Mówi Cannon. Drzwi Whiteheada nie były zamknięte na klucz, więc postanowiłem wejść do mieszkania. -

Zrobił przerwę. - Nie ma go tu, poruczniku. W ogóle nie wrócił do domu wczoraj w nocy.



BOB WHITEHEAD NIE WIEDZIAŁ, GDZIE JEST. W jednej chwili czołgał się

przez krzaki obok domu w północnym Phoenix, a w następnej ocknął się... Gdzie?

Próbował usiąść, ale nie miał siły, jakby jego mięśnie pozbawiono energii. Leżał nieruchomo na plecach. Nie był związany, ale dosłownie nie mógł ruszyć nawet palcem. Otaczała go ciemność.

Najgłębsza ciemność, jaką dotąd znał. Nie rozróżniał żadnych kształtów; czerń wokół niego nie miała odcieni. Świat składał się wyłącznie z atramentowego monochromatycznego mroku. W

głowie dziwnie go łupało i rozpoznawał raczej, niż czuł, krew spływającą po twarzy.

Nie odczuwał nic. Żadnego bólu. Żadnych doznań. Próbował

dotknąć czubka głowy, żeby sprawdzić, czy jest ranny, ale ręce nie chciały go słuchać.

Widocznie stracił mnóstwo krwi, dlatego był taki słaby.

Kiedy chciał krzyknąć, wezwać pomoc, odkrył, że nie może wydobyć z siebie głosu. Nawet nie wiedział, czy jego wargi się poruszają; nie czuł ich.

Gdzie był?

Starł się uporządkować w myślach wszystko, co się wydarzyło, wszystko, co zapamiętał. Był pewien, że szedł lewą stroną Cherry Street i próbował odtworzyć hipotetyczną trasę tej kobiety, Susan Welmers, a Lee i Dobrinin przeczesywali prawą stronę ulicy. W

domu Welmersów nie znaleźli żadnych poszlak wskazujących, że tam dokonano zbrodni, więc założyli, że kobieta wyszła z domu i napadnięto ją gdzieś w pobliżu. Została okaleczona na zewnątrz albo uprowadzona do któregoś z sąsiednich do-ptnów i torturowana, zanim resztką sił dotarła na Tucker Avenue. Jej mąż, całkowicie zszokowany i oszołomiony, nie udzielił absolutnie żadnej pomocy, więc postanowili poszukać śladów, dopóki jeszcze jakieś ślady istniały. Rozdzielili się: Lee i Dobrinin wzięli stronę ulicy bliższą do Tucker, a on został po tej samej stronie co dom Welmersów. W połowie przecznicy usłyszał jakiś dźwięk -

cichy szelest w krzakach obok domu z wygaszonymi światłami.

Rozejrzał się za towarzyszami, ale druga strona ulicy wydawała się całkowicie pusta. Znowu usłyszał hałas. Może to pies, pomyślał. Albo kot.

Lecz kiedy hałas się powtórzył, Whitehead wiedział, że to nie jest ani kot, ani pies.

Nie miał czasu szukać Dobrinina i Lee, więc wyciągnął broń, kucnął i próbował zajrzeć pod dolne gałęzie starannie przyciętego krzaka. Nic nie zobaczył, nie zauważył żadnego ruchu.

- Policja, funkcjonariusz Whitehead - powiedział głośno. - Proszę wyjść i się wylegitymować.

Rozległ się szelest, jakby coś próbowało uciekać w drugą stronę.

Whitehead opadł na kolana, szybko sprawdził, czy broń jest zabezpieczona, i zaczął się czołgać wzdłuż ściany domu.

I ocknął się tu.

Gdziekolwiek był.

Usłyszał jakiś hałas. W ciemności nie potrafił ocenić, skąd dochodzi ten dźwięk. Dziwaczne, piskliwe gdakanie, przypominające obłąkańczy śmiech, brzmiało tak niedorzecznie, że Whiteheadowi ciarki przeszły po plecach. Spróbował usiąść i znowu mu się nie udało. Zrozumiał, że jest całkowicie bezradny.

Nie mógł się ruszyć, nie mógł się bronić, nie mógł nawet krzyknąć.

I nikt nie wiedział, gdzie on jest.

Nikt go nie uratuje.

Nagle uświadomił sobie bliskość zagrożenia i najwyższym wysiłkiem woli nakazał sobie wstać, uciekać, przynajmniej zmienić pozycję. Nic nie

wskórał. Wezbrała w nim panika, teraz już bardzo blisko powierzchni. Czy-wciąż jeszcze miał pistolet? Czy też odebrano mu broń?

Gdaczący chichot zabrzmiał bardzo blisko. Tak blisko, że Whitehead j podskoczyłby, gdyby mógł. Usłyszał głucho szuranie, jakby coś ciężkiego

wleczono po podłodze, a potem... ..a potem rozbłysło światło.

Po całkowitych ciemnościach światło wydawało się rażąco białe.

Źrenice go paliły, jakby spoglądał prosto w serce słońca. W jednej sekundzie panowała wszechobecna czerń, w następnej oślepiająca biel.

Zamknąłby oczy, gdyby mógł.

Kim jesteś?! - chciał wrzasnąć. Gdzie ja jestem, do cholery? Co się dzieje? Co ty chcesz mi zrobić? Ale połączenie pomiędzy jego mózgiem a ustami zostało przerwane.

A potem światło zbladło. Oślepiająca biel przygasła do żółci i kiedy oczy Whiteheada przyzwyczyły się, stopniowo zaczął

widzieć umeblowanie pokoju. Stojąca lampa i wyściełany fotel nakryty plastikiem. Stół, na którym

spiętrzono kilka krzeseł. Stare kufry, ustawione jeden na drugim. Zrozumiał, że znajduje się na strychu. Albo w piwnicy.

Wzrok jeszcze bardziej mu się poprawił i okazało się, że światło, które

wydawało się takie jasne i mocne, w rzeczywistości płynęło z pojedynczej słabej żarówki, zawieszanej na splecionym kablu pod drewnianym sufitem. Potem pomiędzy jego wzniesione oczy a sufit wsunęło się drugie lustro. kierowane niewidzialnymi rękami.

I wtedy zobaczył, dlaczego nie mógł się ruszać, mówić ani mrugać.

Patrzył na swoje odbicie w lustrze. Był zupełnie nagi. Czerwona, wilgotna krew pokrywała jego opalone ciało. Z poprzebijanej skóry wystawały setki, może tysiące maleńkich szpilek i igieł.

Wyglądał jak groteskowa parodia diagramu do akupunktury.

Uświadomił sobie, że igły zostały fachowo umieszczone w punktach połączeń mięśni i nerwów, że wszystkie włókna nerwowe w jego ciele zostały poprzecinane. Był całkowicie bezsilny, unieruchomiony, niezdolny do żadnej fizycznej reakcji.

Przecięcie nerwów skutecznie zablokowało wszelki ból, ale widok własnego krwawiącego-go, umęczonego ciała spowodował, że przeciążony mózg zaczął wypełniać luki. Whitehead nagle poczuł

każdą igłę przebijającą jego skórę.

Chciał zamknąć oczy, ale powieki miał przyszpilone do brwi.

Gdakanie rozbrzmiało tuż przy jego prawym uchu jak okrzyk triumfu,

SIEDZIAŁ NA GANKU SWOJEGO DOMU I PATRZYŁ NA NIĄ.

Cathy włożyła lunch do samochodu i spojrzała na drugą stronę ulicy, na Randy'ego Westa. Nawet z tej odległości widziała rozdziawione, obwisłe usta i znużone pochylenie masywnej, niezgrabnej sylwetki. Pomachała z uśmiechem, ale on nie zareagował, tylko dalej się gapił, dopóki się nie odwróciła.

Pomyślała, że ten dzieciak działa jej na nerwy, i natychmiast opadły ją wyrzuty sumienia. Zawsze uważała się za osobę współczującą i wyrozumiałą, nieoceniającą innych po pozorach, teraz jednak zaczęła podejrzewać, że sama się okłamywała. Czy to możliwe, że nie lubiła chłopca tylko z powodu jego upośledzenia?

Czy naprawdę była taka płytka?

Przypomniała sobie własne odczucia w jego pokoju, całą dziwną scenę i niemal agresywne zachowanie chłopca wobec Jimmy'ego.

Nie. Randy West wzbudzał w niej niechęć nie dlatego, że był

niedorozwinięty. W tym chłopcu kryło się coś innego, co jej się nie podobało.

Obeszła samochód dookoła i odkręciła wąż, żeby szybko podlać kwiaty przed wyjściem do pracy. Zapowiadał się upalny dzień i rośliny potrzebowały więcej wilgoci. Zraszając rabatki, doznawała nieprzyjemnego wra-

żenia, że oczy Randy'ego śledzą każdy jej ruch. Niemal czuła świdrujący wzrok na plecach. Nagle Cathy zrobiło się gorąco i zaswędziało ją między łopatkami. Podlewała o wiele za długo, aż w końcu musiała przyznać, że zwyczajnie boi się odwrócić. W

wyobraźni zobaczyła oczy kształtu migdałów, czujne i bystre w szerokiej twarzy. To głupie, powiedziała sobie. Chłopiec jest niedorozwinięty. Nie mógł jej obserwować. A spojrzenie miał

tępe, mętne, wcale nie spostrzegawcze.

Więc dlaczego odniosła wrażenie, że świadomie skupia wzrok na niej? Zakręciła wąż i zmusiła się, żeby zerknąć na drugą stronę ulicy. Wciąż się gapił.

Potem frontowe drzwi otworzyły się i na ganek wyszła Katrina, ubrana w luźny niebieski szlafrok, który przytrzymywała pod szyją, z potarganymi mysimi włosami.

- Nie! - zawołała. - Znowu?

Dźwięk niósł się daleko w porannym powietrzu i nawet z tej odległości Cathy słyszała nutę strachu w głosie kobiety.

- Jak ty wyszedłeś? Zabroniłam wychodzić!

- Pa! - wrzasnął Randy. - Pa! Pa! Pa! Papapapapapa!

Wskazał na drugą stronę ulicy, na Cathy.

Dopiero teraz Katrina zauważyła Cathy, która poczerwieniała, przyła-pana na podglądaniu. Dziewczyna pomachała na przywitanie, próbując ra-tować twarz, ale starsza kobieta nie odpowiedziała. Ujęła syna pod pach, i dźwignęła go do pozycji stojącej. Najwyraźniej sporo ważył i musiała się namęczyć, żeby go podnieść na nogi. Randy wcale jej nie pomagał. Zwisiał

bezwładnie i powłóczył nogami, kiedy matka wciągała go w otwarte drzwi domu.

- Papapapapapa!

A potem wrzask nagle ucichł.

Kręcąc głową, Cathy wsiadła do samochodu. Nie bardzo rozumiała czego była świadkiem, lecz wcale jej się to nie podobało.

Ranek mijał powoli. Jeff dziś nie pracował, Ann kończyła zajęcia o pierwszej, więc nie powinna zjawić się przed drugą. Cathy miała cały sklep dla siebie i chociaż zwykle nie znosiła pracować sama, dziś była zadowolona. Dręczyła ją ostra migrena, której nie złagodziła nawet aspiryna, ale przynajmniej oprócz zwykłych obowiązków nie musiała jeszcze rozmawiać.

Przez pierwsze parę godzin sprzątała bałagan z zeszłego wieczoru, ustawiała z powrotem paperbacki, zapelniała puste miejsca na półkach.

Podczas pracy zerknęła na reklamy na okładkach, szukając czegoś intere-sującego do czytania. Właśnie skończyła najnowszą książkę Johna Bartna i potrzebowała czegoś lekkiego, żeby się rozerwać przez parę dni. W końcu wybrała szmirowaty hollywoodzki romans i kupiła go od siebie samej, nabiła cenę na kasę i włożyła pieniądze do szufladki.

Po zakupie książki stała przez chwilę za kontuarem z zamkniętymi oczami. W głowie ją łupało coraz mocniej. Od godziny ból utrzymywał się na tym samym stałym, znośnym poziomie, teraz jednak narastał niepowstrzymanie. Chociaż nie powinna zażywać więcej aspiryny przez najbliższe dwie godziny, sięgnęła pod kontuar po plastikową buteleczkę, wrzuciła dwie pigułki do ust i połknęła bez wody. Nie miała takiego bólu głowy od... no, odkąd przestała chodzić do doktora Magnusena.

Oparła się o kontuar i czekając, aż aspiryna zadziała, rozmyślała o swoim psychiatrze. Z pewnością był najbardziej wyrozumiałym, współczującym człowiekiem, jakiego знаła. Wprawdzie zdawała sobie sprawę, że na tym polega jego praca, wyczuwała w nim jednak głębszą, nie tylko wyuczoną życzliwość dla ludzi i wierzyła, że naprawdę go obchodzą jej problemy. Czasami nawet brakowało Cathy rozmów z Magnusenem. Powiedział, że jest zdrowa, wręcz przekonał ją o tym i pomógł przystosować się do normalnego życia po wypadku. Ale powiedział jej również, że ilekroć poczuje się przytłoczona, ilekroć będzie chciała z kimś pogadać, przyjmie ją, w każdej chwili. Nigdy do niego nie wróciła, wolała zostawić poza sobą ten fragment przeszłości, ale kilka razy miała ochotę

go odwiedzić. Pozostały pytania, na które chciała uzyskać odpowiedzi, szczegóły, które chciała wyjaśnić do końca, ale jakoś nigdy się nie zdobyła na ponowną wizytę w jego gabinecie. Teraz upłynęło już tyle czasu, że nie wiedziała, czy oferta jeszcze zachowała ważność. Nie wiedziała nawet, czy lekarz w ogóle ją pamięta; w końcu na pewno miał po niej setki pacjentów.

Ból głowy zniknął równie nagle, jak się pojawił, bez śladu.

Pozostawił po sobie jasność i porządek w myślach. Atakował nieregularnie, co niepokoiło Cathy równie mocno jak jego natężenie.

Lunatyzm i migreny.

Odepchnęła od siebie tę myśl i wróciła do ustawiania książek.

W południe zaczął się ruch, pracownicy pobliskich sklepów i biur wpadali poszperać wśród książek i Cathy miała zajęcie.

Większość ograniczyła się do działu czasopism, gdzie czytali najnowsze magazyny, ale należało odpowiedzieć na wiele pytań.

Nowa książka Stephena Kinga wyszła w miękkiej oprawie i sporo osób kupiło egzemplarze. Godzina minęła jak z bicza strzelił.

Około pierwszej tłum zmalął do paru osób, a wpół do drugiej całkowicie zniknął.

Piętnaście minut później weszła Ann. Uśmiechnęła się, pomachała do Cathy i wrzuciła plecak za kontuar.

- Ciężki dzień - powiedziała, kręcąc głową.

Podeszła do rzędu klasyki, stanęła przed paperbackami z serii Pengui-na i przesuwała palcem wzdłuż półki, bezgłośnie odczytując tytuły. Wystawiła głowę zza regału i poprawiła spadające okulary.

- Chodziłaś na uniwersytet stanowy, tak? - zapytała. Cathy kiwnęła głową.

- Miałaś kiedyś zajęcia z angielskiego z doktorem Vartonem?

- Nie. Słyszałam o nim same złe rzeczy, więc nie zapisałam się do jego grupy. Wybrałam Smitha.

- Mądra decyzja.

- Co z nim masz? Literaturę amerykańską?

- Aha. - Ann pokręciła głową. - Musimy przeczytać Wściekłość i wrzask i napisać analizę do środy. Zrobi nam z tego sprawdzian.

Boże, nienawidzę tych zajęć.

Cathy się roześmiała.

- Skorzystaj z bryków.

- Kto wie. - Ann zdjęła książkę z półki. Westchnęła. - Czytałam to w szkole średniej, ale tylko z grubsza pamiętam fabułę. Znajac Vartona, zapyta nas o piątą wypowiedz czwartej osoby w trzecim rozdziale albo każe wyliczyć, ile dokładnie godzin trwa akcja.

- Zaczniij czytać od razu - zaproponowała Cathy, wskazując pustą księgarnię. - Nie ma żadnego ruchu.

- Nie. Muszę odetchnąć. Przeczytam to wieczorem. - Weszła za kontuar, rozsunęła zamek plecaka i wrzuciła książkę do środka. -

Dolicz do mojego rachunku.

Cathy znalazła cenę książki i zapisała na kartce przyklepionej z boku kasy, gdzie notowano zakupy pracowników. Ann weszła do magazynu na zapleczu, żeby podpisać listę. Wróciła po chwili, popijając sprite'a, którego wyjęła z lodówki. Weszła za kontuar od frontu, gdzie Cathy bezmyślnie gryzmoliła na świstku papieru.

Cathy podniosła wzrok.

- Więc już postanowiłaś, co chcesz robić po studiach? - zagadnęła.

- Obronisz magisterium?

- Jeszcze nie wiem. Szczerze mówiąc, mam dość nauki. Nawet jeśli zdecyduję się na magisterkę, chyba najpierw wezmę rok przerwy, żeby się zabawić. Rozejrzę się, jaką pracę mogę dostać z tytułem magistra. - Milczała przez chwilę i Cathy odgadła jej myśli. - Dlaczego nie poszukas? lepszej roboty? - zapytała w końcu. - Wiesz, że stać cię na więcej. Cathy wzruszyła ramionami.

- Pewnie przez lenistwo. I z przyzwyczajenia. Tu nie jest tak źle.

- Ale zarobki gówniane. Cathy się zaśmiała.

- Tak, żałuję, że nie zarabiam więcej. Z moją pensją i kalectwem ojca ledwie sobie radzimy.

- Czemu się nie rozejrzysz?

- Niewiele można robić po studiach humanistycznych.

- Możesz uczyć.

- Nie chcę uczyć.

Ann przeczesła włosy ręką.

- Czasami naprawdę doprowadzasz mnie do rozpacz. - Spojrzała przyjaciółce w oczy. - Mówię o tym tylko dlatego, żeby cię przekonać, że nie musisz przez resztę życia być sprzedawczynią w księgarni.

- Lubię pracować w księgarni - odparła Cathy obronnym tonem. -

To...

- Racjonalizujesz - przerwała jej Ann. - Wymyślasz wymówki.

- Masz rację.

- Myślałam tylko...

- Zmieńmy temat, okej? Ann westchnęła.

- Jesteś niemożliwa.

- Porozmawiajmy o tobie dla odmiany.

- O mnie? Okej. - Ann wzięła z kontuaru zakładkę, obejrzała ją.

- Mam jutro randkę.

- Z kim?

- Ktoś nowy.

- Naprawdę? Gdzie go poznałaś? Na zajęciach?

- W księgami - wyznała Ano.

- Tu? — zdziwiła się Cathy. Ann się uśmiechnęła.

- Możesz nie wierzyć, ale to dobre miejsce do poznawania ludzi.

Dużo lepsze niż szkoła. Jeśli się spotkam z facetem z grupy i nic nie wyjdzie, dalej muszę go widywać trzy razy w tygodniu. Jeśli tu nie wyjdzie, on może kupować książki u B. Daltona i nigdy więcej go nie zobaczę.

- Racja - przyznała Cathy. Milczały przez chwilę.

- Wiesz, naprawdę powinnaś częściej spotykać się z ludźmi -

zaczęła



Ann łagodnie, ale poważnym, zatroskanym tonem. Cathy poczerwieniała.

- Co jest? - rzuciła lekko, próbując obrócić to w żart. - Dzień czepiania się Cathy?

- Mówię ci to jako przyjaciółka. Cathy westchnęła i kiwnęła głową.

- Wiem. Tylko że...

- Że co?

- Po prostu nie umiem poznawać ludzi. Nigdy nie wiem, co powiedzieć.

- To nie takie trudne.

- Łatwo ci mówić.

Ann odchrząknęła nerwowo.

- A jeśli cię umówię na randkę w ciemno? Cathy parsknęła śmiechem.

- Następną? Nie, wielkie dzięki.

- Możemy ustawić podwójną randkę. Będzie fajnie.

- Wiem... On ma wspaniałą osobowość - Cathy się uśmiechnęła.

- Doceniam twoje wysiłki, ale nie jestem aż taka zdesperowana. -

Zrobiła przerwę. - Na razie.

Obie się roześmiały.

- Chodź - powiedziała Cathy, zmieniając temat - Wczoraj przysłała duża dostawa i potrzebuję twojej pomocy, żeby zataścić pudło do sklepu.

- Dobra.

Cathy wyjęła spod kontuaru mały dzwoneczek, postawiła go obok tabliczki, "Dzwonić po obsługę" i obie wyszły do magazynu na zaplecze.

ALLAN PRZEGLĄDAŁ DANE, aż głowa go rozbolała, ale nie znalazł nic kojarzącego się z najnowszymi morderstwami.

Spojrzał na wydruki i raporty rozłożone na biurku. Miał spisy ostatnio zbiegłych i zwolnionych warunkowo skazańców z więzień w Arizonie i na całym południowym zachodzie, listy niebezpiecznych pacjentów wypuszczonych ze szpitali psychiatrycznych na tym samym obszarze geograficznym oraz spisy morderstw popełnionych w ciągu ostatniego półrocza we wszystkich stanach na zachód od Missisipi. Przejrzał i porównał

te listy, ale nie znalazł żadnych korelacji i co gorsza, żadnych podobieństw do tego, co działo się w Phoenix.

Potań bolące czoło. Zamierzał skorzystać z komputera, żeby sprawdzić dane za ostatni rok, może dwa lata, ale nie bardzo wierzył, że cokolwiek wygrzebie. Przeczuwał, że mają do czynienia z czymś zupełnie nowym, nienotowanym w annałach amerykańskich organów ochrony porządku publicznego, co go bynajmniej nie cieszyło. Zawężali opcje dochodzenia, wykluczali kolejne możliwości i wkrótce zaczną działać na oślep, licząc jedynie na łut szczęścia.

Technologia wciąż nie stanowiła skutecznej broni w walce z psychotycznym umysłem.

Z westchnieniem wyjął z szuflady buteleczkę tylenolu, wrzucił do ust dwie małe białe tabletki i popił zimną kawą. Popatrzył na biały plastikowy pojemniczek, zanim schował go z powrotem do biurka. Od czasu afery z tylenolem sprzed kilku lat odczuwał

niepokój za każdym razem, kiedy łykał tabletkę, jakby robił coś niebezpiecznego, i dotąd myślał, że głównie dlatego nadal zażywał ten lek.

Teraz jednak z pewnością nie potrzebował dodatkowej podniety.

Połączył się przez interkom z Pynchonem i zawiadomił kapitana, że wychodzi do pracy w terenie, chociaż naprawdę wychodził się przewietrzyć i coś zjeść. Był głodny i dostawał już klaustrofobii od siedzenia w czterech ścianach, więc musiał się wyrwać chociaż na dziesięć minut, żeby nie zwariować.

Na zewnątrz panował suchy upał pod błękitnym, bezchmurnym niebem Arizony. Jeszcze me lato, ale cholernie blisko. Allan przeszedł po rozgrzanym asfalcie, czując, jak ciepło przenika przez gumowe podeszwy tenisówek. Za miesiąc asfalt rozmięknie od gorąca i nawierzchnia parkingu zacznie się uginać pod stopami.

Czasami żałował, że nie pracuje w bardziej umiarkowanym klimacie.

Wsiadł do bronco, włączył klimatyzację i wyjechał tyłem na ulicę.

Stał w kolejce na podjeździe do Taco Bell, kiedy zapiszczał jego pager. Allan spojrzał na

kwadratowe menu zaledwie jeden samochód przed nim, skupił wzrok na małym czarnym interkomie u góry, zwodniczo bliskim.

- Cholera — mruknął.

Wrzucił wsteczny bieg, cofnął się i wjechał na jedno z oznaczonych miejsc parkingowych z boku restauracji. Wiedział, że powinien był wziąć radiowóz. W bronco nie miał radia i zawsze musiał polegać na cholernym pagerze, który nieodmiennie odzywał się w najmniej odpowiednich chwilach.

Poobijany biały pikap wjechał na podjazd i zajął jego miejsce.

Normalnie zaczekałby w kolejce, zamówił i zjadł przed telefonem na komendę. Ale to nie była normalna sytuacja. W brzuchu mu burczało, kiedy wkroczył do brązowego tynkowanego budynku i podszedł do najbliższej kasjerki, przesadnie umalowanej blondynki w wieku szkolnym.

- Przepraszam - powiedział- - Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Obok w sklepie z alkoholem jest publiczny telefon - odparła.

Porucznik sięgnął do tylnej kieszeni, wyciągnął portfel i mignął odznaką.

- Jestem policjantem. Muszę zadzwonić. Dziewczyna się zmieszała.

— Nie wolno nam udostępniać służbowego telefonu - wybąkała-

-Ale... Proszę poczekać, zawołam kierowniczkę.

— Nieważne.

Allan wyszedł z restauracji i pospieszył przez parking do sklepu z alkoholem. Nie miał czasu użerać się z idiotkami.

Po obu stronach podwójnych drzwi sklepu z alkoholem wisiały dwa aparaty telefoniczne, osłonięte kwadratowymi kopułami z przyciemnionego plastiku. Allan chwycił słuchawkę, wrzucił

ćwierćdolarówkę i wybrał numer komendy.

- Halo, departament policji Phoenix...

- Yvonne - przerwał jej - to ja, Allan. Co się stało?

- Znaleźli Whiteheada, sir.

- Czy on...?

- Znaleźli jego ciało w pustym domu na Center.

- Jezu. - Allan zamknął oczy i przełknął z wysiłkiem. Nagle zrobiło mu się zimno. - W jaki sposób?

- Niedobrze, sir.

- Jak?

- Niedobrze.

Allan pojechał prosto na Center, zapomniawszy o głodzie. Center Street przecinała Tucker Avenue niedaleko na północ od miejsca, gdzie znaleźli ciało Susan Weimers. To już coś, pomyślał.

Morderca widocznie działał na niewielkim terenie.

Tym razem nie było tłumu gapiów ani karawany policyjnych samochodów. Tylko trzy nieoznakowane pojazdy parkowały po obu stronach rezydencji Pogotowie jeszcze nie przyjechało. Allan wysiadł z bronco i spojrzał na dom. Nietypowy w tej okolicy, szalowany deskami budynek z lat czterdziestych, jedno piętro i suterena. Podwórze zarosły usychające chwasty, biała farba łuszczyła się, odsłaniając żółtą pod spodem. Przy chodniku stał

napis „Na sprzedaż” z miejscowej agencji nieruchomości.

Porucznik ruszył chodnikiem, wpatrując się w puste okna domu.

Czarne i otchłanne, nieprzyjemnie przypominały wrogie oczy ożywionego domu, który kiedyś widział na surrealistycznym obrazie. Z pewnością to był pierwszy dom w okolicy, a wokół

niego powstało osiedle. W dolinie znajdowało się kilka takich domów, starych wiejskich gospodarstw i rezydencji, wokół

których grunty sprzedano deweloperom. Oryginalne budowle pozostały jako interesujące anachronizmy w morzu pudełkowej identyczności.

Otworzył frontowe drzwi.

- Porucznik Grant! - zawołał.

- Tutaj!

Podążył za głosem Williamsa do kuchni, gdzie ten siedział z Lee, Dobrininem i jeszcze dwoma funkcjonariuszami na stole z jadalni, jedynym meblu na całym parterze. Naprzeciwko podpierał ścianę jakiś blady, i wstrząśnięty mężczyzna, w czerwonym płaszczu z przypiętą plaketką agenta nieruchomości.

- Wprowadźcie mnie - zażądał Allan. - Co się stało?

Williams wstał i nerwowo obliznął usta. Najwyraźniej też przeżył

spory szok.

- Obecny tu pan Ansley pokazywał dom parze przyszłych nabywców. - Kiwnął głową w stronę bladego mężczyzny. -

Znaleźli Boba na strychu.

- Nikt nie ruszał ciała?

- Nic nie robiliśmy. Czekaliśmy na pana.

- Czy kapitan wie? Williams przytaknął.

- Powiedział, że zawiadomi rodziców Whiteheada. Mówił, żeby pan przejął sprawę na miejscu.

- Gdzie jest ambulans?

- Z tyłu. - Williams wskazał zniszczony drewniany płot, widoczny przez zamglone kuchenne okno, nad którym wystawało czerwone światelko. - Za tymi domami biegnie alejka i kapitan kazał, żeby ambulans tam wjechał, z wyłączoną syreną. Nie chciał rozgłosu.

Porucznik kiwnął głową.

- Fotograf? Techniczni?

- Przyjadą łąda chwila.

Allan spojrzał na agenta nieruchomości i znowu zwrócił się do policjant.

- Niecił ktoś go zawiezie na komendę i spisze zeznanie. On me musi

Lee wstał.

- Tak jest, sir.

- Dziękuję panu - wykrztusił mężczyzna. Allan krótko kiwnął głową.

- Chodźmy na górę.

Williams poprowadził ich po drewnianych schodach na piętro.

Przeszli zakurczonym korytarzem do następnych schodów, znacznie węższych, krótszych i bardziej stromych. Nawet stąd Allan czuł zapach krwi, zapach przemocy. Fala mdłości wezbrała mu w gardle, serce łomotało jak szalone. Williams patrzył na szczyt schodów, kilka stóp nad jego głową. Zamiast wchodzić, zawahał się chwilę. Allan położył mu rękę na ramieniu i prze-

śliznął się obok niego.

- Pójdę pierwszy - powiedział cicho.

Następnych kilka stopni ciągnęło się bez końca. Allan mimo woli zastanawiał się, jak długie wydają się skazańcowi schody na szubienicę, na krzesło elektryczne, do komory gazowej. Dłuższe od tych? Zmuszał się, żeby stawiać jedną stopę przed drugą.

Czekała na niego nie ofiara bez twarzy,

nie obce ciało, ale Bob Whitehead, człowiek, którego znał i z którym pracował od trzech lat. Po raz pierwszy w życiu nie był

obojętnym świadkiem, postrzegającym ofiarę jako zwykłego trupa, dowód zbrodni, za którą ktoś musi ponieść karę. Znał Boba Whiteheada jako żywą, oddychającą ludzką istotę, jako myślącego, czującego człowieka. Znał gust Boba w muzyce, ubraniu, samochodach, kobietach. Znał jego sympatie i antypatie, nadzieje, obawy, marzenia.

Pokonał następny stopień i następny, zanurzając się w coraz mocniejszy, ohydny smród śmierci. Teraz widział już podłogę strychu, stare meble, które z niewiadomych powodów tu pozostały, chociaż resztę domu opróżniono. Jeszcze jeden stopień i jeszcze jeden, aż znalazł się na górze, przed Wiliamsem i innymi. Wyjął z kieszeni chustkę i przycisnął do nosa.

- On jest za tamtą szafką - oznajmił Williams. - Obok lampy.

Allan powoli ruszył do przodu, z napiętymi mięśniami. Przed sobą na zakurzonej podłodze zobaczył szeroki ślad, który widocznie zostawiło ciało Whiteheada, wleczone na miejsce egzekucji. Wskazał ślad oraz chaotyczny wzór odcisków stóp dookoła.

- Czy któryś z was pomyślał, żeby wyodrębnić ślady stóp, zanim tu wszystko stratowaliście?

- Trzymaliśmy się w obrębie śladu... ciała Boba - odparł Dobrinin.

- Te inne to ślady pana Ansleya i ludzi, którym pokazywał dom. -

Gdzie są ci ludzie?

- Wyszli, zanim przyjechaliśmy - wyjaśnił Williams. - Ale Ansley ma ich nazwiska. Łatwo będzie dopasować odciski butów, w których dziś chodzili. Jeśli jest tu czwarta para, znajdziemy ją.

- Dobra - mruknął Allan.

Przeszedł po smudze na zakurzonej podłodze do szafki wskazanej przez Williamsa, przygotowując się na najgorsze.

Znowu okazał się nieprzygotowany.

Nagie ciało Whiteheada spoczywało na podłodze. Policjant najwyraźniej nie żył już od dłuższego czasu. Zasnęta krew przybrała rdzawo-brązowy odcień. Trup leżał na plecach, wpatrując się otwartymi oczami w sufit. Tyle igieł i szpilek tkwiło w jego skórze, tak gęsto wbitych, że wyglądał niemal jak ubrany w dziwaczny metaliczny kombinezon. Z bliska Allan zauważył, że igły i szpilki tworzyły rozmaite wzory. Na górnej części uda widniała kratka do gry w krzyżyk i kółko, klatkę piersiową zdobiła szachownica. Rzędy szpilek biegingy wzdłuż ramion. Igły okalały oczy, usta i nos. Inne, wepchnięte do samego końca, umieszczono losowo w nagim ciele.

Gęsto powbijane szpilki całkowicie pokrywały jądra i penis.

- Boże - Allan westchnął ciężko. Williams wsysał powietrze przez zęby.

Z zewnątrz dobiegł hałas parkujących samochodów, pisk starych, zużytych opon przy hamowaniu. Dobrinin wyrztał przez okno strychu.

- Fotograf - oznajmił.

- Zejdź po niego na dół - polecił Allan. - Powiedz mu, gdzie może chodzić. Nie chcemy zniszczyć śladów stóp. To nasze jedyne poszlaki.

Ponownie spojrztał na zhańbione ciało Whiteheada. Policjant najwyraźniej był torturowany i zmarł ohydną śmiercią, w niewyobrażalnym bólu. Allan nie mógł oderwać wzroku od twarzy Whiteheada, twarzy, która jeszcze przed dwoma dniami żyła, odczuwała, wyrażała myśli i emocje, teraz zastygłej w agonii, przyszpilonej jak potworny eksponat

- Dopadniemy tego bydlaka - powiedział cicho Allan. - I powiesimy go za pokręconą dupę.

JIMMY WYJĄŁ BURRITO Z MIKROFALÓWKI, odwinął plastik i rzucił jedzenie na talerz. Nalał sobie mleka i zaniósł obiad do salonu. Właściwie to był jego drugi obiad. Wcześniej zrobił sobie hot doga, ale to mu nie wystarczyło i wkrótce stwierdził, że znowu jest głodny. Spojrzał na zegar ustawiony na telewizorze, siadając na kanapie. Dziewiąta. Późno nawet jak na tatę.

Zastanawiał się, co ojciec robi tak długo po pracy. Wiedział, że zwykle wstępował na parę drinków przed powrotem do domu -

zawsze potrafił wyczuć alkohol w oddechu starego - ale przez ostatnie tygodnie tata wracał do domu dużo później niż zwykle, czasami dopiero wtedy, kiedy Jimmy już poszedł spać.

Spodziewałby się raczej, że ojciec spróbuje wracać do domu wcześniej ze względu na te morderstwa. Na przykład rodzice Paula teraz bardziej go pilnowali i w ogóle nie chcieli wypuszczać samego z domu. Rodzice większości dzieciaków w szkole też podejmowali dodatkowe środki ostrożności.

Ale nie tata.

Jimmy ugryzł burrito, które okazało się wciąż za gorące i sparzyło go w podniebienie. Szybko łyknął mleka, żeby ugasić pożar w ustach.

Odstawił talerz na niski stolik do kawy i spojrzał na telewizor.

Nie mógł się skupić z powodu hałasu, więc wyłączył dźwięk, kiedy odrabiał lekcje. Teraz patrzył, jak serialowa rodzina goni jedno drugie ze śmiechem wokół kanapy w salonie.

zastanawiał się, co teraz robi jego mama. Zastanawiał się, czy o nim myśli.

Czasami żałował, że nie wzięła go mama zamiast taty.

Wiedział, że to nieładnie. Kochał ojca. Rozumiał, że on ma dużo zmartwień i obowiązków. Ale czasami... no, czasami żałował, że nie mieszka z mamą i me widuje ojca tylko przy specjalnych okazjach, zamiast na odwrót

Z zewnątrz dobiegł krzyk. Piskliwy wrzask.

Jimmy podskoczył. Wstał i szybko sprawdził, czy frontowe i tylne drzwi są zamknięte na klucz. Wrzask nie brzmiał groźnie ani nawet specjalnie przerażająco. Raczej jakby ktoś się przewrócił

czy skaleczył w palec. Dźwięk niósł się daleko o tej porze nocy.

Ale Jimmy nie zamierzał ryzykować. Nie teraz, kiedy tak blisko popełniono morderstwa.

Nie teraz, kiedy Halback i Sam son na niego polują.



To głupie. Przecież nie czają się pod domem. Nie posuną się do tego.

A może tak. Może wiedzą, że jest sam. Może wiedzą, że jego tata wróci późno.

Podszedł do otwartego bocznego okna obok otomany, żeby je zamknąć, uświadomiwszy sobie nagle, jaki jest bezbronny w pustym domu.

Krzyk rozległ się ponownie, kobiecy krzyk. Ciarki przeszły Jimmy'emu po ramionach, kiedy się zorientował, że krzyki dochodzą z domu Lauterów.

Szybko zamknął okno, podbiegł do telewizora i wzmocnił

dźwięk, wdzięczny za nagrany śmiech.

Kobieta, którą Al Goldstein spotkał u Benny'ego, wyglądała cholernie podobnie do Shirley. Wysoka brunetka, równe białe zęby, ciemna opalenizna. Ale ładniejsza od Shirley, z czystymi zielonymi oczami, pełnymi wargami i idealnym orlim nosem.

I miała wielkie cycki.

Pijana w cztery dupy. Wiedział, że tylko dlatego w ogóle go dopuściła do siebie. Zasługiwała na coś dużo lepszego. Ale przecież sama go zaczepiła, nawiązała rozmowę, a kimże on był, żeby odrzucić dobrą okazję?

Na imię miała Joannę. Powiedziała, że robi karierę, dlatego nie ma czasu na związki, dała też wyraźnie do zrozumienia, jak tylko pijana kobieta potrafi, że chce się zabawić. Al zauważył obrączkę na palcu i podejrzę-

wał, że gdyby otworzył jej torebkę i zajrzał do portfela, zobaczyłby zdjęcia dzieci, ale nic nie mówił. Niecodziennie szczęście uśmiechało się do niego, doceniał więc okruchy, które wpadły mu w ręce.

Pilnował, żeby nie pić za dużo, zachować trzeźwość na tyle, by móc prowadzić, i rzeczywiście wkrótce zaproponowała, żeby się przenieść do niego. Zgodził się skwapliwie i chociaż na myśl o Jimmym ogarnęło go poczucie winy, wszelkie wyrzuty sumienia znikły, kiedy szli przez parking do samochodu i ona wsunęła rękę do tylnej kieszeni jego spodni.

Jimmy siedział na podłodze w salonie razem z Dusty i oglądał

telewizję, kiedy weszli. Al spróbował się uśmiechnąć, lecz grymas na jego twarzy wydawał się sztuczny i fałszywy.

- Jimmy - powiedział. - Możesz iść do swojego pokoju? Joanne i ja mamy parę spraw do omówienia.

Chłopiec kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Jasne, tato.

Wyłączył telewizor, poklepał Dusty po łbie i ruszył przez korytarz do swojej sypialni.

- Nie zapomnij się wykapać! - krzyknął za nim Al.

- Już się kąpałem!

Joanne zachichotała pijacko, przyciskając lewą pierś do ramienia Ala.

- Czyli wanna zostaje dla nas. Al przyłożył palec do ust

- Musimy być cicho. — Wskazał zamknięte drzwi sypialni Jimmy'ego. — Nie chcemy deprawować młodocianych.

Dusty wstała, ziewnęła, przeciągnęła się i podeszła do Ala, radośnie machając ogonem.

Al szybko pocałował Joanne w usta.

- Zaczekaj chwilę - poprosił. - Muszę wyrzucić tego cholernego psa.

Złapał Dusty za obrozę i zaciągnął ją przez kuchnię do tylnych drzwi.

- Wynoś się stąd! - zawołał i wypchnął psa na dwór, po czym zamknął drzwi na klucz.

- Ładny pies — zauważyła Joanne, kiedy wrócił.

- Jeśli lubisz psy.

- Ty nie lubisz?

- Nie znoszę.

Zaśmiała się, a on zaprowadził ją do sypialni. Spojrzał na podwójne łóżko i pomyślał, że po raz pierwszy, odkąd Shirley odeszła, jest tu kobieta. Z jakiegoś zakamarka podświadomości wypłynęła myśl o zdradzie, ale

ją odepchnął. Ta dziwka go rzuciła, uciekła pieprzyć się z innym.

Miał absolutne prawo pójść do łóżka, z kim tylko zechce.

Zamknął drzwi sypialni, podszedł do łóżka i odchylił kołdrę.

- Witam w moim buduarze - powiedział, a Joanne zachichotała.

Przyłożył palec do ust i kazał jej się uciszyć, ale kiedy ściągnęła rop, odsłaniając duże, krągłe piersi o sterczących brązowych sutkach, uświadomił sobie, że wcale go nie obchodzi, czy Jimmy ich usłyszy, czy nie.

DZIEŃ WCALE NIE BYŁ ZIMNY I POCHMURNY, JAK

POWINIEN. Ciemne chmury nie groziły deszczem, porywisty wiatr nie świstał po cmentarzu. Typowy majowy dzień w Phoenix, słoneczny i gorący. Głęboki, bezchmurny błękit nieba, drzewa i trawa soczyście zielone jak w technikolorze. Wielu za-

łobników nosiło ciemne okulary i Allan wcale by się nie zdziwił, gdyby niektórzy z młodszych mieli kąpielówki pod trzyczęściowymi ciemnymi garniturami, żeby po pogrzebie jechać prosto nad rzekę i już nie wstępować do domu.

Sceneria wyglądała zbyt pogodnie, co tylko trywializowało ceremonię i niejako pomniejszało śmierć Boba Whiteheada. Kilka osób stojących na końcu tłumu rozmawiało między sobą i wymieniało uśmiechy. Uśmiechy!

To nie tak, pomyślał Allan. Wszystko nie tak. Pogrzeb nie powinien stanowić tylko kolejnej pozycji w planie dnia, czegoś upchniętego pomiędzy śniadaniem a partią tenisa. Powinien być ważny, do cholery, powinien coś znaczyć.

Lecz Allan nie miał władzy nad pogodą i nie mógł zmienić scenerii na bardziej odpowiednią. Nie był malarzem, nie tworzył

obrazu, nie decydował o elementach kompozycji.

Niemniej frekwencja dopisała. Przynajmniej tyle dobrego. Zjawili się nie tylko bliscy przyjaciele Whiteheada, prawdziwi przyjaciele, ale niemal wszyscy jego koledzy z policji. Przyszedł nawet Pynchon, chociaż chorował i od dwóch dni nie pokazywał się w pracy.

Żegnali go także przyjaciele spoza policji, co podniosło Allana na duchu. Zawsze przyjemnie wiedzieć, że czyjeś życie towarzyskie nie ograniczało się wyłącznie do kręgu znajomych z pracy.

Pastor skończył przemawiać i żałobnicy pochylili głowy w modlitwie. Allan wiedział, że pewnie naoglądał się za dużo filmów, ale nie mógł się powstrzymać przed zerkaniem na obecnych w poszukiwaniu nieznanym twarzy. Raczej mało prawdopodobne, żeby morderca tak inteligentny i wyrafinowany, który dokonał zbrodni technicznie doskonałych, nie zostawiając najmniejszego śladu, popełnił szampowy, rutynowy błąd i przyszedł na pogrzeb ofiary, lecz nie zaszkodzi sprawdzić. Kto wie? Morderca był oczywiście geniuszem, ale - co równie oczywiste - był bardzo chory. Taki melodramatyczny, rażąco filmowy chwyt mógł przemówić do jego wypaczonego poczucia humoru.

Na cmentarzu jednakże nie zjawił się nikt, kogo Allan nie znał

przynajmniej z widzenia. Nie pamiętał nazwisk wielu żałobników, lecz żadna twarz nie wydawała się całkiem obca.

Pastor skończył modlitwę i na jego skinienie wszyscy spojrzeli w lewo, gdzie oddział policji oddał

improwizowaną dziesięcioprowadnicową salwę karabinową. Echo wystrzałów poniosło się daleko w nieruchomym powietrzu nad płaskim cmentarzem.

Salut wyszedł nierówno, pomysł z ostatniej chwili, nieprzećwiczony, Allan jednak wiedział, że Bobowi by się spodobało. Whitehead nigdy nie cenił gładkich, starannie dopracowanych rzeczy. Kiedyś z okazji urodzin kazano mu wybierać obiadem w drogiej francuskiej restauracji a domowymi hamburgerami, wybrał hamburgery.

Ale jego czas wybierania się skończył.

Gdy przebrzmiało echo ostatniego wystrzału, Allan przypomniał

sobie motto Whiteheada: „Życie to chuj umazany gównem i wepchnięty do gardła”. Bob kazał wyryć te słowa na drewnianej tabliczce, którą trzymał na biurku, i chociaż inni funkcjonariusze uważali to za cholernie śmieszne, on zawsze traktował swoje motto ze śmiertelną powagą. Nie uznawał optymistycznego podejścia do życia. Preferował tak zwane podejście realistyczne.

„Nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło”, mawiał.

„Życie to chuj umazany gównem i wepchnięty do gardła”.

Zamkniętą trumnę opuszczono do grobu. Nastąpiło ogólne pociąganie nosami i sięganie po chusteczki. Allan wbił wzrok w ziemię. Zdawało mu się, że słońce właśnie zaświeciło bardzo jasno albo powietrze nagle wypełniło się smogiem, bo oczy go zapiekły. Bolały i łzawiły, i chociaż czuł raczej gniew niż smutek, płakał. Kilku innych mężczyzn wokół niego wpatrywało się w swoje buty albo ocierało oczy.

Allan podniósł wzrok. Łzy wyschły równie szybko, jak napłynęły, smutek ustąpił przed strachem. Zimne palce przebiegły mu po grzbiecie,

grając na kręgach jak na klawiszach fortepianu. Stojąc obok Williamsa i jego żony w szeregu żałobników, nagle doznał

wrażenia, że jest obserwowany. Obejrzał się szybko i chociaż nie zauważył nic niezwykłego na cmentarzu ani za bramą, żadnych tajemniczych zaczajonych obcych, nie mógł się pozbyć uczucia, że czyjeś nieżyczliwe spojrzenie wwierca się w jego plecy. Ruszył do przodu z innymi żałobnikami, żeby oddać ostatnią posługę i ceremonialnie sypnąć garść ziemi na trumnę. Zapomniał o obserwujących oczach na parę chwil, kiedy stał nad otwartym grobem, ale wkrótce wrażenie powróciło.

Prześladowało go przez całą drogę do samochodu.

Nie zniknęło, dopóki nie wyjechał z cmentarza na ulicę.

## NA PLACU ZABAW ŻYCIE ZAMIENIŁO SIĘ W PIEKŁO.

Halback i Samson byli wszędzie, przemykali przez tłum, żeby wychynąć obok huśtawek, nagle wyrastali przy stole podczas lunchu. Jimmy na przerwach trzymał się blisko nauczycieli, nie odstępował dyżurnego przy lunchu i kręcił się przy drzwiach dyrektora po szkołę, wiedział jednak, że sanktuarium na pobrzeżach świata dorosłych jest tylko tymczasowe - wcześniej czy później będzie musiał stawić czoło dwóm łobuzom, zmierzyć się ze swoim problemem. Na razie był bezpieczny, ale tych dwóch zaczęło go osaczać. Sieć się zacieśniała. Wczoraj dopadli po szkole Boba Wade'a, jego kumpla z klasy, ściągnęli mu spodnie przy dziewczynach i kazali pocałować ziemię. Gonili Paula, ale go nie złapali. I co rano przed lekcjami na drzwiach klasy Jimmy'ego pojawiała się słowo: „trup”, wypisane dużymi drukowanymi literami. To tylko kwestia czasu.

Nie zapomnieli o nim, jak przepowiadała Cathy, na co Jimmy sekretnie liczył. Przeciwnie, podwoili wysiłki - stał się ich obsesją.

Wiedział, że jeśli teraz go złapią, spotka go kara znacznie gorsza, surowsza, bardziej brutalna, niż gdyby pozwolił się zbić pierwszego dnia. Wymykał im się już od dłuższego czasu i to ich doprowadzało do szału. Koniecznie chcieli go dopaść i kiedy wreszcie go złapią, nie poprzestaną na kilku kopniakach.

Obcięli mu fiuta.

Nie mógł zapomnieć opowieści Paula, ciągle miał przed oczami ten okropny widok dziecka siedzącego na klozecie i wrzeszczącego w agonii,

kiedy krew buchała z krwawego kikuta, resztki po penisie.

Owszem, to brat Samsona popełnił ten plugawy czyn, ale Jimmy łatwo mógł sobie wyobrazić, jak Samson robi dokładnie to samo.

A Halback podaje mu nóż i szczyrzy zęby. Obcięli mu fiuta.

Nic dziwnego, że jego nauka w szkole ucierpiała przez ostatni tydzień. Jak miał się skupić na matmie, ortografii i nauce o społeczeństwie, kiedy dwóch gości chciało go załatwić?

Teraz, ukryty za ceglana kolumną, w zadaszonym pasażu obok gabinetu dyrektora, Jimmy podglądał Samsona i Halbacka, którzy czekali na niego przy furtce placu zabaw. Nie wiedzieli, gdzie się schował - zaczekał, aż wyjdą z terenu szkoły, zanim odważył się przemknąć do swojej kryjówki - ale mieli pewność, że nie poszedł

do domu. Zaciskali twarde paluchy na siatkowym ogrodzeniu i łypali groźnie na dzieciaki wychodzące ze szkoły, które tak się ich bały, że wolały wracać inną drogą. Stopniowo złowrogie spojrzenia zastąpiło znużenie, dwaj chłopcy zaczęli rzucać kamieniami we wrak samochodu po drugiej stronie ulicy, trochę się potarmosili i poszli do domu, przekonani, że Jimmy albo wyszedł

wcześniej, albo jakimś sposobem wymknął się z zasadzki.

Tak czy owak jutro będą wściekli.

Pół godziny później, idąc pustą ulicą, Jimmy mimo woli zaglądał

za każde drzewo i krzak, ostrożnie skręcał za każdy róg z obawy, że łobuzy tam na niego czekają. Wiedział, że to głupie. Halback i Samson wrócili już do domu. Widział, jak odchodzą spod szkoły piętnaście po trzeciej, i dał im jeszcze pół godziny, zanim ruszył

do domu. Ale wciąż czuł strach, nieważne, jak bardzo się starał to sobie wyperswadować, nieważne, jak usilnie przekonywał sam siebie, że zachowuje się jak dziecko.

Powoli szedł ulicąw stronę swojego domu. Zbliżało się lato, właściwie już nadeszło. Na niebie błękitnym jak woda w basenie świeciło rozżarzone słońce, które wypaliło nawet najmniejsze kłaczkichmur. Kilka trawników przy jezdni zalano przy nawadnianiu, krótkie źdźbła trawy znikły pod wodą. W

nieruchomym popołudniowym upale Jimmy słyszał łagodny szum klimatyzatorów, preludium do czerwcowej, lipcowej i sierpniowej muzyki. Wiedział, że powinien się cieszyć z nadejścia lata, ale czuł tylko niezrozumiały niepokój, niemal strach.

Widocznie coś z nim było nie w porządku. Nie wyczekiwał z niecierpliwością na koniec szkoły, chociaż wtedy pewnie skończą się jego kłopoty z Halbackiem i Samsonem. Wcale nie skakał z radości, że zbliża się lato i pełne trzy miesiące laby. Odczuwał

tylko głuchą obawę i pustkę zbliżoną do depresji.

Nie mógł tego zwalić na dwóch starszych chłopców. To było coś całkiem innego.

Z następnej przecznicy dobiegły krzyki i śmiechy grupki przedszko-laków, bawiących się w słońcu. Z tej odległości nie rozróżniał słów, tylko piskliwe dźwięki. Nasłuchiwał, schylając się, żeby podnieść centa z chodnika. Wrzaski dzieci przypominały mu wrzaski z zeszłej nocy.

przyjaciółki ojca.

„O Boże, Al! O Boże!”

Nie wiedział dokładnie, co się działo poprzedniej nocy, ale miał

jakieś takie pojęcie. Nie był głupi. I chociaż ani rodzice, ani nauczyciele nigdy nie pofatygowali się, żeby mu objaśnić podstawowe fakty życia, orientował się z grubsza, o co chodzi w seksie, z podsłuchiwania na placu zabaw i z filmów w telewizji.

„O Boże!”

Nie podobały mu się te słowa ani dźwięki wydawane przez kobietę: urywane wzdychnienia i rytmiczne

pojękiwania. A jeszcze mniej mu się podobało gardłowe stękanie, które brzmiało tak, jakby wydobywało się z gardła jego ojca. Nakrył głowę poduszką, żeby stłumić hałasy, a kiedy to nie pomogło, zatkał uszy palcami.

Rano kobieta znikła.

Może właśnie dlatego ten dzień wydawał się taki dziwny, dlatego Jimmy czuł w środku tylko pustkę.

Żałował, że mama już z nimi nie mieszka. - Pa!

Na ten dźwięk Jimmy podniósł wzrok, bo natychmiast rozpoznał

hd kotliwy głos Randy'ego Westa. Rzeczywiście upośledzony chłopiec stał po drugiej stronie ulicy przed swoim domem, przyciskając do brzucha coś, co wyglądało jak piłka.

Jimmy pomachał i próbował się uśmiechnąć, chociaż nie czuł

sympatii do tego chłopca. Pamiętał aż za dobrze, jak ostatnim razem Randy rzucił w niego piłką, nie dla zabawy, ale złośliwie, z całej siły. Trochę żałował Randy'ego - nie jego wina, że był

upośledzony. Taki się urodził i nic nie mógł na to poradzić. Ale zdawał sobie również sprawę, że upośledzenie nie rozgrzesza ze wszystkiego. Widział twarz Randy'ego, kiedy chłopiec rzucił

piłkę. Chciał go skrzywdzić.

Teraz Randy miał pustą twarz, całkowicie pozbawioną wyrazu.

Gapi się tępo na Jimmy'ego, jakby go nie poznawał. Jimmy przestał machać i powoli opuścił ramię. Kręcąc głową, ruszył w stronę domu.

Nagle Randy przebiegł przez ulicę. Nawet się nie rozejrzał za samochodami, tylko popędził prosto jak strzała do Jimmy'ego, łomocząc grubymi nogami po asfalcie.

- Hej! - krzyknął Jimmy, zaskoczony.

- Aaaaaaaa! - wrzasnął Randy.

W biegu rzucił piłkę z całej siły. Trzasnęła Jimmy'ego w usta, roz-gniotła wargi o zęby i rozcięła dolną wargę. Jimmy poczuł

mdlący, słona-wy smak krwi. Zatoczył się do tyłu, przyciskając rękę do broczących ust.

- Co...?-zaczął przez rozcięte wargi.

Ale upośledzony chłopiec miał już piłkę w ręku i natychmiast znowu ją rzucił. Tym razem trafiła Jimmy'ego prosto w oko.

Jimmy upadł na ziemię, przeszyty niewiarygodnie intensywnym bólem. Mruganiem powstrzymywał łzy, czując, że twarz już mu puchnie. Zaczął się gramolić na nogi, ale silny cios w tył głowy znowu go powalił.

- Pa pa pa pa pa! - wrzeszczał Randy.

Jimmy jak najszybciej przeczołgał się przez wąski pas trawy obok chodnika, przygotowując się na następne uderzenie.

- Ratunku! - wrzasnął co sił w płucach. - Pomocy!

Piłka walnęła go w krzyż, odbiła się i potoczyła. Sięgnął po nią na oślep, bo prawie nic nie widział. Podbite oko już się zamknęło, a drugie

łzawiło boleśnie. Namacał piłkę, zamknął na niej palce i przyciągnął okrągły przedmiot do piersi.

- Ma pa! Ma pa! Ma pa!

Grube palce Randy'ego zacisnęły się na jego dłoniach i wyrwały piłkę.

- Randy!

Po drugiej stronie ulicy rozległ się głos pani West, czysty i wyraźny, pełen nieskrywanej wściekłości.

- Pa! - powtórzył Randy, ale ciszej, bardziej uległym tonem, pozbawionym tej maniackiej furii, która napędzała go zaledwie przed sekundą.

- Wracaj mi tu zaraz! - Jej głos się zbliżał. - Mówiłam ci milion razy, nie wolno ci wychodzić z podwórka. Rozumiesz?

Jimmy podniósł wzrok i zobaczył, jak pani West odbiera piłkę synowi i wymierza mu mocnego klapsa w ramię. Spojrzała na Jimmy'ego.

- Przepraszam - powiedziała. - Randy nie chciał zrobić nic złego.

On nie panuje nad sobą.

Przeszła z powrotem przez ulicę, stanowczo holując za sobą niedorozwiniętego chłopca. Jimmy wstał i patrzył, jak wciągnęła go do domu i zatrzasnęła za nim drzwi.

Przepraszam?

Krew spływała mu z ust aż na brodę. Zamglonymi oczami widział czerwone plamy na ubraniu i na chodniku. Cała prawa strona twarzy mu spuchła. Przepraszam? Tylko na tyle było ją stać? Rozejrzał się po ulicy, wypatrując świadka, kogoś, kto widział całe zajście, ale nadaremnie. Ludzie siedzieli w domach. Z



następnej ulicy dochodziły odgłosy dziecięcej zabawy.

Jimmy przyciskał rękę do ust, żeby zatamować krwawienie. Czuł straszliwy ból w plecach. Kulejąc, powlókł się w stronę domu.

## PRACA W TERENIE.

Dawniej lubił pracować w terenie. Papierkową robotę odwalał z obowiązku, ale praca w terenie sprawiała mu przyjemność. Chyba już nie tak bardzo.

Allan dał sygnał i skręcił w lewo, w Siódmą. Nadal podobały mu się techniczne aspekty śledztwa w sprawie zabójstwa, nadal chętnie przeprowadzał analizę sceny zbrodni, nadal odczuwał satysfakcję, kiedy stosował rozumowanie dedukcyjne do dowodów zdobytych naukowymi metodami, ale inne zadania, które kiedyś dodawały mu energii, teraz pozostawiały po sobie tylko pustkę i wyczerpanie.

Najbardziej nie znosił zajmować się ofiarami. I niedoszłymi ofiarami. Żywi ludzie. Trupy przynajmniej nie mają uczuć. Nie musiał się przejmować ich emocjonalnymi reakcjami, nie musiał

ukrywać przed nimi swoich reakcji. Ale wobec ofiar i niedobitków powinien zachować dystans, pozostać obiektywny i bezstronny, odgrywać beznamiętnego robota przy ich ludzkich emocjach.

A to się robiło coraz trudniejsze.

Właśnie skończył przesłuchiwać po raz drugi męża Susan Welmers. Nie uważał, że morderstwo popełnił ktoś z rodziny czy znajomych kobiety, ale drugie przesłuchanie to standardowa procedura operacyjna. Przeczucia i intuicja przydawały się w śledztwie, nie można jednak budować sprawy na takich nieuchwytnych rzeczach, a proces eliminacji wymagał, żeby przed wykluczeniem danej możliwości zbadać ją gruntownie i wyczerpująco.

Ray Welmers, co zrozumiałe, wciąż był zdruzgotany po stracie żony. Widok jego żałoby sprawiał Allanowi niemal fizyczny ból.

Wnętrze domu Wellmersów wyglądało jak niesprzątane od wielu dni, brudne naczynia, niedopite szklanki i kubki piętrzyły się na wszystkich stołach i blatach. Ray cuchnął potem i alkoholem, chodził bez butów, w skarpetkach nie do pary. Twarz miał

czerwoną, oczy zapuchnięte i podkrążone.

Allan chciał go pocieszyć, chociaż wiedział, że żadne jego słowa nie zdołają zmniejszyć czy złagodzić ciężaru tej tragedii. Lecz ograniczony rolą oficera śledczego, wbrew osobistym chęciom, musiał ponownie zadawać bolesne pytania, na które mąż już udzielił odpowiedzi w noc morderstwa.

Ray chętnie współpracował i początkowo odpowiadał na pytania bez oporów. Jednak wprowadził Allana w zakłopotanie, kiedy odpowiedział na dwa pytania pod rząd w taki sposób, jakby jego żona po prostu zaginęła. Allan poczuł się jeszcze gorzej, kiedy Ray kazał mu zaczekać chwilę i przyniósł z sypialni szlafrok żony.

- Może psy znajdą tu zapach Susan i ją wytropią - powiedział z nadzieją.

Allan łagodnie przypomniał Rayowi, że jego żona nie zginęła, tylko została zamordowana. Potem siedział nieruchomo na kanapie, kiedy mężczyzna załamał się i płakał bez przerwy przez całe pięć minut. Po przesłuchaniu wręczył Rayowi wizytówkę z numerem telefonu Kliniki Zdrowia Psychicznego okręgu Maricopa.

Teraz wracał na komendę, żeby porozmawiać z kobietą, którą próbowano porwać tego ranka w Glendale. Policjanci z Glendale podejrzewali, że to morderca chciał uprowadzić kobietę, więc przywieźli ją do Phoenix, żeby Allan i jego zespół ustalili, czy istniały jakieś powiązania.

Dobrinin już ustawił kamerę wideo i czekał w pokoju przesłuchań z tą kobietą, Martha Brenner. Allan nie tracił czasu, tylko usiadł, przeprosił za spóźnienie, przejrzał raport z Glendale i natychmiast zaczął zadawać pytania.

Martha Brenner, dwadzieścia osiem lat, kelnerka w knajpie U

Boba, wychodziła po nocnej zmianie o szóstej, kiedy rzucił się na nią jakiś mężczyzna, ukryty za śmietnikiem z boku restauracji, Mężczyzna nie był uzbrojony ani szczególnie silny, lecz zaatakował z zaskoczenia i zanim Marma się zorientowała, powłókł ją do swojego samochodu. Szarpała się i kopła, ugryzła dłoń, która próbowała ją zakneblować, przypadkiem udało jej się kopnąć go w krocze i zdołała się wyrwać. Uciekła z wrzaskiem do restauracji, a napastnik wskoczył do samochodu i odjechał.

- Jaki to był samochód? - zapytał Allan.

- Duży. Chyba oldsmobile. Może buick. Nie jestem pewna. Białe.

- Pamięta pani jakieś cyfry czy litery z tablicy rejestracyjnej?

Martha pokręciła głową.

- Zna pani jakiś powód, jakkolwiek powód, żeby ktoś chciał

panią porwać?

- Nie. - Ze znużeniem przeczesła ręką włosy. - Słuchajcie, opowiedziałam już wszystko porucznikowi Hopperowi w Glendale. Ile razy muszę to wałkować? Chcę wam pomóc, chcę, żebyście złapali tego faceta, ale jestem zmęczona i naprawdę nie mam nic więcej do powiedzenia. Nie wiem, co się stało ani dlaczego, po prostu... nie wiem.

Allan spojrział na leżący przed nim raport. Policja z Glendale zaopatrzyła ich już w szkic pamięciowy przestępcy, ale chciał

spróbować jeszcze raz z ich własnym rysownikiem, Ralphem Sable'em.

- Wiem i przepraszam, ale jeśli wytrzyma pani jeszcze trochę, zakończymy to i oszczędzimy pani następnego przyjazdu jutro.

Martha z rezygnacją przystała.

- No dobrze.

Allan powtórzył wszystko jeszcze raz, punkt po punkcie w nadziei, że odświeży jej pamięć, że odkryje coś, co umknęło policji w Glendale, ale zeznania kobiety się nie zmieniały, wręcz zastygały w mechanicznie recytowane formułki, toteż na tym etapie postanowił zrobić przerwę.

- Czy mogę panią prosić jeszcze o jedną ostatnią przysługę? -

zapytał. Przytaknęła.

- Mamy kilka albumów z fotografiami i chciałbym, żeby pani je przejrzała. Zdjęcia policyjne schwytanych przestępców. Niech pani obejrzy te zdjęcia i zobaczy, czy któreś przypomina tego mężczyznę, którego pani widziała. Zrobi to pani dla mnie?

- Spróbuję.

Allan obdarzył ją zachęcającym uśmiechem.

- Dzięki.

Wyprowadził ją z pokoju przesłuchań do biblioteki technicznej, przystając po drodze, żeby wziąć dla niej z automatu dietetycznego dr. peppera, posadził ją przy stole i spiętrzył przed nią stos albumów. Poradził, żeby się nie spieszyła i odpoczęła, kiedy twarze zaczną się zamazywać, i poinformowała detektywa Dobrinina, jeśli natrafi na mężczyznę podobnego do napastnika.

Wyjaśnił jej wszystko cierpliwie i grzecznie, ale w głębi duszy był

przekonany, że niedoszły porywacz nie miał żadnych powiązań z mordercą, którego szukali. Zabójca zdolny do bezbłędnego popełnienia tak makabrycznie oryginalnych zbrodni nie był

typem człowieka, który

wyskakuje zza śmietnika na zatłoczonym parkingu, żeby dokonać nieudanej próby porwania.

- Zostań z nią - polecił Dobrininowi. Drugi policjant kiwnął

głową.

- Zrobi się.

Allan pożegnał się z Martha Brenner i starał się nie okazywać zniechęcenia, kiedy szedł przez hol do świetlicy na spóźniony lunch z automatu.

JIMMY SIEDZIAŁ NA KRAWEŻNIKU PRZED SWOIM DOMEM, kiedy Cathy przejechała ulicą. Na jej widok zerwał się i zaczął

machać rękami. Nawet z tej odległości widziała ciemne plamy zaschniętej krwi na jego koszulce. Podjechała do niego i zobaczyła ciemne sińce, czerwień rozbitych warg, opuchliznę pokrywającą całą jedną stronę twarzy.

Zahamowała, szarpnięciem otworzyła drzwi i podbiegła do niego.

- Jezu Chryste! Co się stało? - W pierwszej chwili pomyśle, że po-biły go szkolne łobuzy, i natychmiast poczuła się winna, że zbagatelizowała to zagrożenie. - Nic ci nie jest?

Kiwnął głową i spróbował się uśmiechnąć. Wysilek się nie powiódł, Cathy zobaczyła grymas bólu.

- Ten debil - powiedział.

- Randy? - zdziwiła się Cathy. - On to zrobił?

- Wracałem ze szkoły do domu, a on mnie zaatakował. Piłką.

Potem wyszła jego mama i zabrała go do domu.

- I zostawiła cię tak? Po prostu?

Przytaknął. Zapłonął w niej gniew. Spojrzała w stronę domu Westów. Zasłony były zaciągnięte, frontowe drzwi zamknięte.

Odwróciła się z powrotem do Jimmy'ego.

- Co ty tu robisz? Dlaczego nie wszedłeś do domu? Zadzwońiłeś do ojca i powiedziałeś mu, co się stało?

Zrobił zawstydzoną minę.

- Nie mogę znaleźć klucza.

- Siedziałeś tu przez cały czas? - zapytała wstrząśnięta Cathy. -

Czemu nie poszedłeś do Boykinów albo do pani Maltin?

Jimmy wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

- Chodź, wsiadaj.

Obeszła volkswagena od przodu, usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik. Otworzyła drzwi po

stronie pasażera i Jimmy wskoczył na siedzenie obok niej. Podjechała pod swój dom i skręciła na podjazd.

- Mam bactine na twoje skaleczenia - powiedziała, wpuszczając chłopca do domu frontowymi drzwiami. - Zadzwoń do ojca i powiedz mu, co się stało. Potem wrócimy do ciebie i zaczekamy na niego.

- Nie mogę znaleźć klucza. Nie wiem, gdzie go wsadziłem.

- Mam w kuchni zapasowy klucz, pamiętasz? Twój ojciec mi go dał na wszelki wypadek.

- Atak.

Telewizor w bawialni był włączony i Cathy wiedziała, że jej ojciec jest w domu, ale nie zajrzała do niego, żeby się przywitać i zawiadomić, że już wróciła. Trzymając Jimmy'ego za ramię, zaprowadziła go do łazienki na tyłach i posadziła na zamkniętym sedesie. Z apteczki wyjęła środek odkażający i plastry opatrunkowe. Dolna warga chłopca wyglądała fatalnie. Cathy delikatnie oczyściła ranę wacikiem nasączonym środkiem odka-

żającym, zastanawiając się, czy nie trzeba tego zszywać. Długie rozcięcie

w poprzek wargi wydawało się tak szerokie, że mogło się nie zrosnąć. Jed-nak po oczyszczeniu ranka nie zaczęła znowu krwawić, więc Cathy postanowiła pozostawić tę decyzję ojcu Jimmy'ego.

Opatrzywszy skaleczenia chłopca, zabrała go do kuchni, otworzyła zamrażarkę, wyjęła dwie kostki lodu i zawinęła w czystą ściereczkę.

- Proszę - powiedziała, podając mu okład. - Przyłóż do twarzy, dopóki opuchlizna trochę nie zejdzie. - Przeszła przez kuchnię do telefonu, podniosła słuchawkę i podała chłopcu. - Teraz dzwoń do ojca.

- Nie znam numeru - przyznał Jimmy. - Jest w domu. Cathy pokręciła głową z uśmiechem.

- Masz dziś pechowy dzień, co? Jimmy odwzajemnił uśmiech.

- Aha.

- No więc chodź. - Wyszła na korytarz i wzięła kółko z zapasowymi kluczami z małego biurka przy drzwiach. -

Pójdziemy do ciebie.

Wyszli bocznymi drzwiami, minęli garaż i ruszyli po chodniku, spojrzała na zakrwawioną koszulkę Jimmy'ego.

- On po prostu cię zaatakował bez powodu? Nie zrobiłeś nic, żeby go sprowokować?

- Sprowokować? - Podniósł na nią wzrok

- Rozzłościć.

Jimmy stanowczo pokręcił głową.

- Wracalem do domu ze szkoły, a on przebiegl przez ulice i rzucil

we mnie pilka. Mocno. Trafil mnie w twarz i dalej rzucal, az jego mama go zabrala.

Dotarli juz do domu Jimmy'ego i przeszli podjazdem do drzwi.

Chwile zabralo Cathy znalezienie wlasciwego klucza w paku nieznanomych kawalkow metalu, ale Jimmy go wskazal. Wlozyla klucz do zamka, przekrecila klamke i otworzyla drzwi.

I wrzasnela.

Na podlodze, obok malego stolika z drobiazgami w korytarzu, lezalo zakrwawione truchlo psa.

Cathy instynktownie chwycila glowe Jimmy'ego i odwrócila od tego widoku. Sama tez czym prędezej oderwala wzrok. Nie przyjrzała się dobrze, ale zdazyła rozpoznać Dusty, psa Jimmy'ego. Zamknęła oczy, z wysilkiem powstrzymujac wymioty i mocno przyciskala do brzucha glowe Jimmy'ego.

- Co jest? - zawolal. - Co sie stalo?

Niezdolna wydobyć z siebie glosu, pokręcila glowe chociaz wiedziala, ze nie mogl zobaczyc tego gestu. Serce jej walilo dziko, krew przesycona adrenaliną pulsowala w glowie i w nadgarstkach. Modlila sie.

zeby to byla nieprawda, ale mdlosci wzbierajace w zoladku nie pozwalaly jej sie

ludziec. Nagle zaschlo jej w ustach. Pomyslala o Davidzie. Krolik.

Chwiejnym krokiem zesla z ganku, ciagnac za soba Jimmy'ego.

Nawet kiedy patrzyla na ulice, wciaz miala przed oczami krwawy widok, wyryty w pamieci.

- Co sie stalo?

Sięgnęła w dół i chwycila Jimmy'ego za ramiona.

- Dusty - powiedziala.

Patrzyl na nia rozszerzonymi oczami - zrozumial mimowolnie.

- Dusty?

- Biegnij do mojego domu i zadzwoń po policje. Szybko.

- Chce...

- Szybko! - Spojrzała mu w oczy. - Została zabita. Ktokolwiek się tego dopuścił, może jeszcze jest w twoim domu.

- Co zrobisz?

- Zostanę tu. Zobaczę, czy ktoś wyjdzie. Jeśli kogoś zauważę, spróbuję zapamiętać tablicę rejestracyjną czy cokolwiek. -

Popchnęła go. -Dzwoń po nich. No już.

- Ale twój tata jest w domu...

- Biegnij!-wrzasnęła.

Pobiegł jak strzała, tenisówki rytmicznie uderzały w nawierzchnię. Na ulicy zapadła cisza. Niebo na wschodzie przybrało już mętny żółtawy odcień, zapowiedź zachodu słońca.

Cathy stała na chodniku przed domem Jimmy'ego, patrząc na otwarte okna i otwarte drzwi, wypatrywała jakiegoś ruchu, ale dom był cichy, martwy.

Martwy.

Słońce świeciło jej w oczy, więc wewnątrz domu Jimmy'ego wydawało się ciemne. Nie mogła zajrzeć do korytarza, chociaż drzwi były na wpół otwarte. Nie mogła zobaczyć ciała Dusty.

Chwilami chciała pobiec na ganek i zerknąć do środka, żeby się upewnić, czy naprawdę widziała to, co widziała. Ale to głupi pomysł i niebezpieczny. Poza tym wiedziała, co tam jest, chociaż to wydawało się niewiarygodne i niemożliwe. Nie potrzebowała potwierdzenia. Czuła przenikliwe zimno, jakby już nigdy nie miała się rozgrzać. Wciąż widziała ten obraz wyryty w myślach -

Dusty wywrócona na lewą stronę, leżąca przodem do drzwi, jakby czekała na powrót pana do domu, jej czerwony bezwargi pysk ociekał krwią, rozciągnięty w wymuszonym nienaturalnym uśmiechu.

Radiowóz podjechał przed dom niecałe dziesięć minut później.

Jimmy wrócił i siedział na brzegu krawężnika, wpatrując się w rynsztok, z twarzą bladą i nieruchomą. Cathy stała obok niego na chodniku. Nie widziała, żeby ktoś wychodził z domu, nie zauważyła wewnątrz żadnego ruchu, ale nie pozwoliła chłopcu zobaczyć Dusty i nalegała, żeby oboje zaczekali przed demem na policję. Spoglądając na domy naprzeciwko, odwrócona plecami do uchylonych drzwi, częściowo otrząsnęła się ze zgrozy, zastąpionej przez litość nad Jimmym i gniew na jego niedbałego ojca. Lecz po przyjeździe policji nietrwała bańka normalności prysła i Cathy znowu poczuła strach. Obejrzała się ukradkiem na dom. W wyobraźni ujrzała łeb Dusty, z wywróconą skórą, z pyskiem wyszczerzonym w krwawym psim uśmiechu. Zamknęła oczy i odepchnęła od siebie ten obraz. Radiowóz zatrzymał się, a Jimmy wstał i wyszedł na spotkanie wysia-dającego policjanta.

Cathy poczuła, że ma spocone dłonie, więc wytarła je o dzinsy.



Zawsze się denerwowała, kiedy miała do czynienia z przedstawicielami władz, zwłaszcza w mundurach.

- Panno Riley?

Zachowaj spokój, napomniała się.

Funkcjonariusz policji był młodszy, niż się spodziewała, mniej onieśmielający. Oczekiwała wielkiego, potężnego faceta, ostrzyżonego najeża, z granitowymi rysami twarzy i postawą twardziela, ale mężczyzna idący w jej stronę, z czarnymi włosami i wąsami, był od niej starszy tylko o kilka lat. Chociaż miał

poważny wyraz twarzy, spoglądał łagodnie i wyrozumiale, więc Cathy od razu poczuła się swobodniej.

- Halo - powiedziała, wyciągając rękę. Silne palce policjanta objęły jej dłoń.

- Nazywam się McClure - przedstawił się.

- Cathy Riley. Spojrzał na Jimmy'ego.

- Ty jesteś Jimmy Goldstein?

Chłopiec przytaknął. Poruszał się powoli i ze znużeniem.

- Zabili mi psa.

- Gdzie jest ten pies? - zapytał McClure ze współczuciem.

- W domu - odparła Cathy. - Nie chciałam, żeby... żeby Jimmy ją zobaczył.

Policjant wyjął mały notes i długopis z kieszeni koszuli.

- Wiem, że to przykre, ale może mi pani wyjaśnić, co się dokładnie stało?

Zerknęła na bladą, pozbawioną życia twarz Jimmy'ego i odwróciła wzrok. Łatwiej jej było patrzeć na policjanta.

- Dusty leży tuż przy drzwiach. Ona... ona została... - Cathy odetchnęła. - Wygląda tak, jakby została wyrócona na lewą stronę.

McClure zagapił się na nią.

- Na lewą stronę? Przytaknęła.

- Chciałbym obejrzeć psa. - Policjant mówił teraz bardziej stonowanym, oficjalnym tonem, błysk w jego oczach świadczył o zwiększonym zainteresowaniu.

Cathy gestem dała Jimmy'emu znak, żeby został na miejscu, i poprowadziła policjanta do frontowych drzwi. Położyła rękę na mosiężnej klamce i przez chwilę stała bez ruchu, wpatrując się w drewniany prostokąt przed swoją twarzą. Nie mogła się zdobyć na to, żeby otworzyć szeroko drzwi. Cofnęła dłoń i spojrzała przepaszająco na McClure'a.

- Tam - powiedziała. - Zaraz za drzwiami. McClure ze zrozumieniem kiwnął głową i pchnął drzwi.

Nie patrzyła na okaleczone ciało psa, ale wyraźnie widziała odbicie tego widoku w twarzy policjanta. Objął wzrokiem całą scenę, powiódł oczami z lewa na prawo i zbladł. Zaciśnął usta w ponurą, wąską linię. Wciąż wpatrując się w psa, zamknął drzwi.

- Lepiej zadzwonię do porucznika Granta - stwierdził.

Nadjechały jednocześnie - radiowóz i biały bronco. W radiowozie wyłączono syrenę i koguta, ale dwa policyjne wozy i jeden obcy pojazd wystarczyły aż nadto, żeby wzbudzić zainteresowanie w sąsiedztwie. Po paru sekundach okoliczni mieszkańcy wyszli na ganki i trawniki, żeby zobaczyć, co się dzieje. Kilku najbliższych sąsiadów - wśród nich pani Matlin i pan Green - podeszli bliżej, chcąc osobiście się przekonać, o co tu chodzi. Spoglądali pytająco na Cathy w nadziei, że uzyskają od niej jakieś informacje, ona jednak pokręciła głową na znak, że nie może mówić, i ruszyła za McClure'em, który zdecydowanym krokiem podszedł do bronco.

Mężczyzna, który wyszedł im na spotkanie, nosił zwyczajne ubranie, ale nawet w mundurze nie wyglądałby na gliniarza. Był

wysoki i szczupły, niemal chudy. Proste brązowe włosy sięgały mu do kołnierzyka. W oczach, dużych i brązowych, malowały się współczucie i inteligencja - oczy artysty, nie gliniarza. Ponura mina ostro kontrastująca z rysami twarzy wy wała się rażąco nie na miejscu, jakby należała do kogoś innego i omyłkowo osiadła na niewłaściwej osobie. Krótko skinął głową do McClure'a.

- Poruczniku - powiedział McClure.

- Zobaczmy to.

Porucznik mówił zimnym, bezbarwnym głosem, brzmiącym nienaturalnie w jego ustach, jakby nie przywykł do używania takiego tonu.

- To jest Cathy Riley i Jimmy Goldstein - mówił McClure, wskazując ich po kolei. - Oni znaleźli... ee... zwierzę. - Z grzeczności zniżył głos, żeby go nie słyszeli, ale Cathy słyszała każde słowo i Jimmy na pewno też - Ten pies... suka... należała do Jimmy'ego.

Porucznik spojrzał na Jimmy'ego i przez chwilę wszystkie niedopasowane elementy jego twarzy zlały się w wyrazie szczerego współczucia. Głos stracił zimną barwę i nabrał bardziej ludzkiego brzmienia.

- Jak ona się nazywała, Jimmy?

- Dusty - odpowiedział i pierwsze łzy popłynęły mu z oczu.

Gniewnie starł je z policzka wierzchem dłoni. - Nazywa się... -

podniósł wzrok na Cathy, która ujrzała ból w jego twarzy -

...nazywała się Dusty.

Objęła go ramieniem i przytuliła mocno.

Następna godzina rozmyła się w niewyraźną plamę. Cathy stała na dworze z Jimmym, kiedy policjanci przeszukiwali dom, zbierali odciski palców, ręcznie odkurzali podłogę, szukając poszlak. McClure został z nimi prawie przez cały czas, pilnował, żeby nie wchodzili w drogę technikom, chronił ich przed nietaktownymi pytaniami ciągle rosnącego tłumu. Najbliżsi sąsiedzi, których Cathy знаła, w większości wrócili do domów po pierwszej fali ciekawości, ale na ich miejscu zjawili się inni z dalszych ulic, napierali na żółtą policyjną taśmę i usiłowali coś wypatrzeć. Na ulicy parkowały furgonetki czterech miejscowych stacji telewizyjnych i reporterzy, których Cathy dotąd widywała tylko na ekranie, dobijali się o wywiad.

W końcu policja zabrała ciało Dusty z domu i załadowała do ambulansu z jakimś specjalnym wyposażeniem.

McClure skończył spisywać zeznanie Cathy i właśnie przesłuchiwał Jimmy'ego, kiedy nadjechał ojciec chłopca.

Kilkakrotnie zatrąbił klaksonem i próbował wjechać na podjazd, ale został zatrzymany przez umundurowanego policjanta.

Wyskoczył z samochodu i przebiegł pod barierką, zanim ktoś go zdążył powstrzymać. Twarz miał czerwona i najwyraźniej już wypił.

- Co się stało? - zapytał gwałtownie. - Gdzie jest Jimmy? Gdzie mój synek? Czy coś mu się stało?

- Tato! - krzyknął Jimmy.

Przebiegł przez trawnik do ojca, objął go i przycisnął twarz do jego brzucha.

- To pan Goldstein - wyjaśniła Cathy niepotrzebnie, bo McClure na pewno sam się domyślił.

Dał znak trzem policjantom za barierą, żeby przepuścili tego mężczyznę.

Oszołomiony, ze szklistym wzrokiem, Al Goldstein podszedł

razem z Jimmym do miejsca, gdzie na trawniku stali Cathy i McClure, niczym wysepka spokoju pośród gorączkowej aktywności. Po chwili dołączył do nich porucznik. Kiwnął głową, przedstawił się ojcu Jimmy'ego, streścił mu pokrótce przebieg wydarzeń, zadał kilka rutynowych pytań i wrócił do domu, żeby nadzorować dochodzenie.

- Dlaczego tu jest tyle ludzi? - zapytał pan Goldstein. McClure popatrzył na niego, jakby uważał pytanie za idiotyczne.

- Słyszał pan o morderstwach z ostatnich tygodni? Ojciec Jimmy'ego przytaknął.

- Ten morderca właśnie zabił waszego psa.

Al Goldstein milczał. Widocznie potrzebował paru chwil, żeby sformułować pytanie w mózgu zamroczonym alkoholem, ale kiedy się odezwał, nie wydawał się ani rozgniewany, ani zdziwiony.

- Czemu miałby zabijać psa? McClure uśmiechnął się posępnie.

- Gdybyśmy znali odpowiedzi na takie pytania, pewni już byśmy go złapali.

Czterdzieści pięć minut później ambulans i większość policjantów odjechali. Porucznik Grant podszedł do Cathy. Wydawał się zmęczony i zniechęcony.

- Chciałbym już skończyć na dziś. Ale prosiłbym, żeby pani i Jimmy wpadli jutro na komendę w celu złożenia dalszych zeznań.

Nic poważnego. Po prostu czasami po dobrze przespanej nocy ludzie przypominają sobie rzeczy, których w pierwszej chwili nie pamiętali. - Przeniósł wzrok z Cathy i Jimmy'ego na ojca chłopca.

- Tylko na parę minut. Byłbym bardzo wdzięczny.

- Jasne - zgodziła się Cathy. - Jutro pracuję dopiero po południu.

Mogę rano podrzucić Jimmy'ego. Jeśli to panu odpowiada, panie Goldstein.

Al Goldstein kiwnął głową i ścisnął rękę syna. Cathy spojrzała na porucznika i z trudem przełknęła ślinę.

- Naprawdę pan myśli, że to ten sam człowiek, który...? - urwała.

Przytaknął.

- Czy nie powinniśmy... To znaczy czy nie należy podjąć dodatkowych środków ostrożności?

- Proszę zamknąć okna i drzwi na klucz. Zostać w domu. Zgłaszać każdą dziwną rzecz. Przyślę dwóch ludzi, będą w nocy patrolować teren, jeden obejmie stałą wartę na ulicy, żeby zapewnić wam ochronę. Wątpię, czy cokolwiek się stanie, ale na wszelki wypadek będziemy przygotowani.

Uśmiechnął się do niej zyczliwie i ten uśmiech dodał jej więcej otuchy niż słowa.

McClure i porucznik odjechali jednocześnie. Cathy po raz ostatni ścisnęła Jimmy'ego za ramię i ruszyła do domu. Była pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń gapiów, ale nie odpowiadała na żadne pytania. Skręciła na swój podjazd i przez sekundę widziała twarz ojca, który wyglądał z okna

bawialni, zanim zasłony opadły.

Kiedy weszła do domu, siedział w fotelu i udawał, że śpi.

CHOCIAŻ BYŁA SOBOTA I AL GOLDSTEIN NIE PRACOWAŁ, nie chciał towarzyszyć Cathy i Jimmy'emu na komendę policji.

- Gdyby porucznik chciał ze mną rozmawiać - oświadczył -

kazałby mi przyjść. Wezwał tylko panią i Jimmy'ego.

Zażenowana Cathy stała na środku salonu Goldsteinów i nie wiedziała, co robić. Nieogolony, w brudnym szlafroku, ojciec Jimmy'ego wyglądał niemal jak wrak człowieka, chociaż nie zauważyła, żeby cierpiał z powodu przepicia. Umysł miał jasny i nie zdradzał żadnych objawów kaca.

- Może jednak powinien pan pojechać z nami?

- Nic mu nie mogę powiedzieć. Nawet mnie tu nie było, kiedy to się stało. - Pokręcił głową. - Jest pani dużą dziewczynką. Nie trzeba pani prowadzić za rączkę. Jedźcie we dwoje. Zaczekam tu na was.

- Chodź, Jimmy. - Próbowała ukryć gniew, ale jej głos zabrzmiał zimno i surowo.

Odwróciła się i wyszła z salonu. Jimmy bez słowa poszedł za nią.

Zaparkowała samochód na podjeździe przed swoim domem. W milczeniu maszerowali ulicą. Kiedy dotarli do podjazdu, Jimmy odchrząknął.

- Tata mówi, że możemy pochować Dusty na tylnym podwórzu.

Ona lubiła się tam bawić.

Cathy nie odpowiedziała. Nie ufała sobie na tyle, żeby spojrzeć na Jimmy'ego. Poważnie wątpiła, czy władze pozwolą pogrzebać psa na tylnym podwórzu. Przede wszystkim prawo zabraniało grzebania zwierząt na terenie zabudowanym. Zresztą Dusty zabito w taki sposób, że władze pewnie w ogóle nie wydadzą ciała. Nie zdziwiłaby się, gdyby urząd miasta, policja czy inny organ decyzyjny, kazał już skremować zwłoki psa.

Po namyśle doszła jednak do wniosku, że nie zdążyli jeszcze przeprowadzić autopsji.

Ojciec Jimmy'ego na pewno zdawał sobie z tego sprawę, więc nie rozumiała, dlaczego zwodził syna, po co rozbudzał w nim fałszywą nadzieję. Czy nie wiedział, że w końcu tylko jeszcze bardziej zrani Jimmy'ego? Czy ten człowiek nie ma żadnego poczucia przyzwoitości ani odpowiedzialności?

Widocznie nie ma, stwierdziła. Ale tego należało się spodziewać.

To było do przewidzenia. Cholera, nawet niespecjalnie się przejął

utrata psa. Ani się nie zdziwił.

Cathy poczuła na karku lodowatą pieśczołę palców strachu.

Cathy możliwe, że pan Goldstein już wiedział, co spotkało Dusty, zanim wczoraj wrócił do domu? Czy to możliwe, że był częściowo albo całkowicie odpowiedzialny za śmierć psa?

Odepchnęła od siebie tę myśl. Goldstein wprawdzie nie lubił

Dusty i był pijakiem, ale nie zabójcą.

- Wybrałem już miejsce pod drzewem - ciągnął Jimmy. - Zrobię krzyż z kawałków drewna, które tam leżą.

- Dobry był z niej pies - powiedziała Cathy. Jimmy przytaknął i przełknął ślinę.

- Tak - potwierdził zgrubiałym głosem.

Wsiedli do samochodu. Cathy wyjęła z torebki świstek, na którym zapisała adres komendy policji, po czym uruchomiła silnik.

Zapięła pas i sprawdziła, czy Jimmy też to zrobił, zanim wyjechała ty-łem na ulicę.

Jechali w milczenia.

Dzień był wyjątkowo pogodny, nawet jak na Phocnix.

Śnieżnobiałe obłoki, podobne do wielkich kłębow waty, płynęły leniwie po czystym pustynnym niebie, dodając głębi błękitnej pustce. Na północnym wschodzie wdzięczna sylwetka Camelback Mountain stanowiła malownicze tło dla miejskich zabudowań. W

oddali, nawet tak wcześnie rano rozmyte przez migotliwe fale gorąca, wznosiły się nieregularne, prawie nieziemskie zarysy Superstition Mountains, pełniące straż nad parkiem kempingowym w miasteczku Apache Junction.

Wspaniała pogoda, wymarzona na wycieczkę, dziś jednak wydawała się niestosowna, niemal szydercza. Cathy wciąż miała przed oczami potworny widok Dusty wywróconej na lewą stronę.

Starsza kobieta w szarym cadillaku z tablicami rejestracyjnymi Minnesoty zajęła jej drogę, nie dając sygnału. Cathy nacisnęła na hamulec. Starsza pani, jedna z ostatnich turystek w sezonie, włączyła lewy kierunkowskaz i skręciła w prawo.

Cathy uśmiechnęła się do Jimmy'ego i z ulgą zobaczyła blady uśmiech na jego twarzy.

- Emeryci - westchnęła. Jimmy przytaknął.

- Zaden nie umie prowadzić.

Cathy skręciła w prawo na Central i zerknęła na adres, kartkę trzymała na kolanach. Wiedziała, że na pewno już przejeżdżała obok komendy policji, ale nigdy tam nie była i nie pamiętała dokładnie lokalizacji. Minę-

li szereg wysokich biurowców, produkt uboczny szału rozbudowy, który ogarnął Phoenix pod koniec lat siedemdziesiątych. Zwolniła.

- Pięćdziesiąt dwa osiemdziesiąt. Wypatruj numeru. Chyba będzie po twojej stronie.

Minęli duży park.

- Tam jest! - zawołał Jimmy.

Komenda mieściła się w brunatnym jednopiętrowym budynku z niewielkim parkingiem po jednej stronie i biurem prawnym po drugiej. Teraz Cathy rozpoznała to miejsce. Niska, przysadzista budowla, wzniesiona w stylu do niedawna ulubionym przez niemal wszystkich architektów z południowego zachodu, wyglądała dziwnie nie na miejscu na tle nowych wieżowców z lustrzanego szkła, górujących nad ulicą.

Cathy wjechała na parking. Było tam mnóstwo oznakowanych miejsc, ale żadnego dla gości. Wszystkie przeznaczono albo dla urzędników, albo do kontroli samochodów. Wróciła na ulicę i objechała przecznice, zanim znalazła wreszcie miejsce w parku naprzeciwko.

Wysiedli z samochodu. Grupa jaskrawo ubranych dzieciaków przemknęła po chodniku na deskorolkach, prześcigając się nawzajem w zręcznych manewrach i popisowych trikach.

Dziadek w kowbojskim kapeluszu przeczłapał powoli, z policzkiem wypchanym ogromną prymką tytoniu do żucia. Tu i tam, na ławkach, pod krzakami, spali bezdomni w płaszczach.

Wczekali na przerwę w ruchu, przebiegli przez jezdnię i weszli do komendy. Cathy ruszyła prosto do umundurowanego funkcjonariusza za

biurkiem.

- Przyszliśmy do porucznika Granta - powiedziała.

Chciała, żeby jej głos zabrzmiał pewnie i zdecydowanie, ale wyszedł jej jakiś bojaźliwy pisk. Nie lubiła mieć do czynienia z władzami. Panno Riley?

- Mogę prosić o nazwiska? - zapytał funkcjonariusz.

- Cathy Riley i Jimmy Goldstein.



- W jakiej sprawie?

- Wezwał nas. Jesteśmy umówieni.

Policjant wskazał rząd niskich, wyściełanych ławek pod ścianą.

- Więc proszę usiąść. Zadzwoń do niego. Przyjdzie jak najszybciej. Usiedli. Na komendzie panował spokój, całkiem inaczej niż Cathy sobie wyobrażała. W holu nie było nikogo oprócz nich i sierżanta za biurkiem. Ani śladu chaotycznej krzątaniny, hałaśliwych tłumów aresztantów, kanciarzy i świrów, jakie na Mimach w telewizji zapełniały każdy posterunek policji.

Cathy rozejrzała się dookoła. Na nad biurkiem sierżanta wisiały fotografie mundurowych policjantów i szefów policji. Naprzeciwko znajdował się duży pastelowy fresk, przedstawiający Camelback Mountain oraz garstkę domów u podnóża góry.

Jimmy poklepał ją po ramieniu, więc spojrzała na niego.

- Jak myślisz, o co nas będzie pytać? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Ale nie ma się czym przejmować. Wytarł ręce o swoje lewisy.

- Właściwie trochę się denerwuję.

- Ja też - przyznała z uśmiechem. - Ale nie martw się. Będę przy tobie.

- Może to Samson i Halback - powiedział Jimmy.

- Co?

- Ci dwaj, którzy się na mnie uwzięli. Może to oni zabili Dusty.

Cathy pokręciła głową.

- Nie przypuszczam.

Sierżant zza biurka podszedł do nich.

- Porucznik Grant jest u siebie. Prosił mnie, żebym was zaprowadził. - Rozejrzał się po pustym holu.

- Chyba mogę wyjść na chwilę - stwierdził ironicznie. - Panujemy nad tłumem.

Cathy się uśmiechnęła.

Sierżant poprowadził ich przez dwie pary podwójnych drzwi i długie, czyste korytarze. Zatrzymali się przed zwykłymi białymi drzwiami, oznakowanymi drewnianą tabliczką: „Porucznik Allan Grant”. Sierżant zapukał dwukrotnie i otworzył drzwi.

- To oni - oznajmił.

- Dzięki.

Sierżant cofnął się, a porucznik gestem zaprosił ich do środka.

Cathy rozejrzała się po pokoju. Biuro porucznika było ciasne i zagracone, ale nie wyglądało nieporządnie. Na biurku każdy skrawek miejsca zajmowały stosy oficjalnych dokumentów, magnetofon, kilka policyjnych podręczników, gazeta, egzemplarz czasopisma „Sztuka południowego zachodu” i poplamiony kubek po kawie. Pod ścianą na prawo od drzwi stał regał wyladowany książkami, a na ścianie po lewej wisiały oprawione reprodukcje Peny, R.C. Gormana, Dana Naminghy'ego i innych rdzennych amerykańskich artystów. Za plecami porucznik miał wielkie okno z widokiem na ulicę i park.

- Siadajcie - zaprosił Allan, wskazując dwa dyrektorskie fotele przed biurkiem. - Musimy to szybko załatwić.

Cathy spojrzała na Jimmy'ego, po czym zajęła fotel bliżej ściany.

Chłopiec usadowił się w drugim.

Allan wziął folder ze sterty dokumentów na biurku, otworzył i zerknął na zawartość.

- To jest raport z autopsji Dusty. Dostałem go dopiero przed godziną. - Namyslał się przez chwilę, potem rzucił papiery z powrotem na biurko i zmarszczył brwi. - Myślałem, że twój ojciec też przyjdzie - zwrócił się do Jimmy'ego.

Chłopiec pokręcił głową i wzrokiem szukał pomocy u Cathy.

- Nie mógł - wyjaśniła, ale już wymawiając te słowa, zastanawiała się, dlaczego nie chciał przyjść, dlaczego się upierał, że zostanie w domu.

Allan milczał, przegarniając ręką włosy. Wydawał się zamyślony.

Podejrzliwy?

- Okej. - Nachylił się do przodu. - Po pierwsze, czy ktoś z was zna kogoś, kto mógłby to zrobić?

Cathy pokręciła głową. Twarz ją paliła, rumieniec wypełził na policzki, kropelki potu zbierały się na czole pod włosami. Czowała się winna, chociaż wiedziała, że nie ma powodu, czowała się tak, jakby zrobiła coś złego, chociaż nic nie zrobiła.

- Nie znam nikogo takiego - powiedziała. \_ Tak, myślałem.

Chciałem tylko dla porządku zapytać...

- Ja znam! - palnął Jimmy.

Brwi Allana podjechały do góry w zdumieniu.

- Kto?

- Tim Halback i Dan Samson. Porucznik zmarszczył czoło.

- Kim są Tim Halback i Dan Samson?

- Chodzą do mojej szkoły. Do piątej klasy. Próbują mnie dopaść prawie od miesiąca, ale zawsze im uciekam. Mogli się dowiedzieć, gdzie mieszkam, i...

Allan pokręcił głową, uśmiechając się łagodnie.

- Tego nie zrobili piątoklasiści, Jimmy.

- Samson mógł namówić brata. Jego brat... - Obejrzał się na Cathy, twarz mu poczerwieniała. - Jego brat ze swoją bandą zabili dziecko.

- Zabili dziecko? - Głos Allana brzmiał poważnie, oczy wwiercały się w oczy Jimmy'ego. - Kiedy to było? I gdzie?

- Nie wiem, kiedy. Jakiś czas temu. Powinien teraz siedzieć w wię-

zieniu. Ale to się stało w Safeway obok mojego domu. - Zerknął

na Cathy,

szybko odwrócił wzrok i nachylił się bliżej do Allana. - To było w toalecie. Obcięli mu... - Poczerwieniał z zakłopotania. - No, wie pan. Allan spochmurniał.

- Sprawdź to. Nic takiego nie zdarzyło się w tym dystrykcie, odkąd służę w policji, czyli od ośmiu lat, ale nie powinienem niczego lekceważyć. Rozejrzę się i przesłucham tego... Samsona?

- Tim Halback i Dan Samson. Nie znam imienia brata Samsona.

Kiedy porucznik zapisywał nazwiska, przez twarz Jimmy'ego przemknął cień obawy. Allan zauważył minę chłopca.

- Nie bój się - powiedział. - Nie wymienię twojego nazwiska. Nie dowiedzą się o tobie. - Uśmiechnął się do Jimmy'ego, ale znowu się zachmurzył, kiedy spostrzegł siniaki na twarzy chłopca, wyciągnął rękę i łagodnie odwrócił policzek Jimmy'ego do światła. - Oni ci to zrobili?

Jimmy pokręcił głową.

- Wdał się w bójkę z innym chłopcem po sąsiedzku - wyjaśniła Cathy.

- On jest niedorozwinięty i pobił mnie bez powodu. Porucznik rzucił długopis na biurko.

- Masz pechowy tydzień, co?

- Chyba tak.

Allan spojrział na zegarek.

- Przepraszam. Nie chcę was wyrzucać, ale robi się późno i za parę minut mam konferencję. Morderstwo Dusty to teraz część większego śledztwa. Wybaczcie, że kazałem wam tu przyjechać.

Powinienem się z wami umówić na kiedy indziej, ale zebranie zwołano w ostatniej chwili i nie zdążyłem was zawiadomić. Mam jeszcze parę pytań, głównie formalnych, ale zadzwonię i umówimy się na spotkanie. Tym razem przyjadę w dogodnym dla was terminie. - Podniósł kartkę, na której zapisał nazwiska. -

Sprawdzę również tych dwóch, ale będę z wami szczerzy: naprawdę nie sądzę, że ci chłopcy zabili Dusty. Pies został

zamordowany w bardzo wyrafinowany sposób przez kogoś, kto wie mnóstwo rzeczy o psiej fizjologii.

Cathy nerwowo splotła dłonie na podołku.

- Macie w ogóle jakieś poszlaki?

- Skłamałbym, gdybym odpowiedział twierdząco. - Uśmiechnął

się, ale z pewnym przymusem. - Chyba nie powinienem tego mówić. Przepraszam. Nie chciałem was przestraszyć. Pracujemy nad tym i złapiemy mordercę. Wcześniej czy później noga mu się powinie, popełni błąd, a my to wykorzystamy. Na razie ciągle jesteśmy w punkcie wyjścia. Jednak koncentrujemy pokaźne siły w waszym rejonie i zapewniam, że jeśli on znowu spróbuje czegoś w okolicy, przygwoździmy go. - Ponownie spojrział na zegarek. - Przepraszam. Naprawdę muszę iść. Ale przedtem muszę zapytać, czy przypominacie sobie cokolwiek, czego nam nie powiedzieliście wczoraj. Cokolwiek.

Cathy przez cały ranek wysilała pamięć, żeby przypomnieć sobie jakiś szczegół, który mogła przeoczyć w ustnym zeznaniu, jakiś drobiazg, który mogła zauważyć, ale po prostu wyparła z umysłu.

Jednak nic nie znalazła. Nie widziała żadnych śladów włamania, żadnych uciekających podejrzanych, nic.

Tylko Dusty.

Królik.

Pokręciła głową.

- Nie.

Jimmy też pokręcił głową.

- Tak myślałem. Chciałem tylko się upewnić. Wielkie dzięki, że przyjechaliście. Zajmę się Halbackiem i Samsonem. - Porucznik wstał. - Odprowadzę was.

Przeszli przez korytarz i Allan otworzył drzwi do holu.

- Mamy wasze numery telefonów, domowe i do pracy? Cathy przytaknęła.

- Dobrze. Jeszcze raz dziękuję. Dam wam znać, jeśli coś wykryjemy. Skontaktuję się za kilka dni, żeby zadać jeszcze parę pytań. - Poklepał Jimmy'ego po ramieniu. - Nie wdawaj się w bójki. I powiedz ojcu, żeby do mnie zadzwonił. Chciałbym z nim również porozmawiać, okej?

- Okej.

- Będziemy w kontakcie.

Pomachał na pożegnanie i zamknął za sobą drzwi.

Oboje stali przez chwilę bez ruchu. Cathy spojrzała na Jimmy'ego.

- Masz ochotę gdzieś wejść na pączka czy coś w tym rodzaju? - zagadnęła. - Czy wolisz wracać do domu?

- A co z Dusty? - zapytał. - Kiedy ją dostaniemy z powrotem?

- Nie wiem. Twój ojciec musi to z nimi załatwić. — Objęła go ramieniem. - Co chcesz teraz robić?

Wzruszył ramionami.

- Wszystko mi jedno.

- Chcesz wstąpić na pączka? Albo do McDonalda?

- Jasne - mruknął bez entuzjazmu.

- Okej. Chodźmy coś zjeść. Poszli do samochodu.

## PODOBNIIE JAK ZBYT WIELU BYŁYCH GOSPODARZY

telewizyjnych programów dla dzieci, Tomek Zabawkarz skończył

tańcem na linie dyndającej pod sufitem garażu, w konopnym krawacie. Powody jego samobójstwa pozostały niejasne, ale Rina Ralston nie pozwoliła, żeby zaginęła pamięć o jej mężu. Z zapałem i determinacją prawdziwie oddanej żony otworzyła Sklep z Zabawkami Tomka Zabawkarza i uzbrojona jedynie w skromny kapitał oraz obsesyjną, niemal fanatyczną żądzę sukcesu, zmieniła go w najmodniejszy sklep z zabawkami w Scottsdale.

Niestety lata działalności w biznesie sprawiły, że traktowała cynicznie zarówno spuściznę po mężu, jak i jego zgon, chociaż to jej ręcznie robione lalki, powiększone szmaciane wizerunki postaci, które małżonek odgrywał w swoim programie telewizyjnym, przyciągały do sklepu stada japiszonów.

Rina jechała po Camelback Road w stronę zachodzącego słońca, olbrzymiej pomarańczowej półkuli na skraju pustynnego horyzontu. Jak co dzień, spoglądała z podziwem przez przednią szybę na niektóre wielkie domy na Camelback Mountain. W

najbliższej przyszłości miała nadzieję

zamieszkać w takim domu. Wzrok jej przyciągnęła brązowa ceglana konstrukcja, która wyglądała jak średniowieczny zamek.

Marzenie okazało się wcale nie takie nierealne, jak niegdyś myślała. Od dziesięciu lat ciułała grosz do grosza, inwestowała zyski w obligacje skarbowe, certyfikaty depozytowe i inne bezpieczne lokaty, i wciąż mieszkała w północnym Phoe-nix, w małym domku, który kiedyś dzieliła z Tomkiem Zabawkarzem.

Jeśli sprzedaż utrzyma się na dotychczasowym poziomie - a nie miała powodów, żeby sądzić inaczej - w ciągu następnego roku powinna zgromadzić dość pieniędzy, żeby wpłacić pokaźną zaliczkę na wymarzony dom.

Rina zahamowała na skrzyżowaniu Camelback i Central, kiedy światło zmieniło się na czerwone. Radio grało za głośno, więc przyciszyła dźwięk. Przyłapała się na tym, że wygląda jednocześnie przez boczne szyby po stronie kierowcy i pasażera.

Chociaż znalazła się w nie najlepszej dzielnicy, nigdy dotąd nie bała się tu zatrzymywać. Nawet kilka razy jadła posiłki w małej meksykańskiej restauracji nieopodal, na chodniku. Ale po tych morderstwach, o których wszędzie trąbili od paru tygodni, robiła się coraz bardziej ostrożna i coraz bardziej paranoiczna. Przed maską samochodu przeszedł brodaty mężczyzna, więc szybko sprawdziła, czy wszystkie zamki w drzwiach są zamknięte.

Kiedy światło zmieniło się na zielone, od razu ruszyła. Ha niebie pozostał tylko rozmyty odbłask po zachodniej stronie, gdy Rina dziesięć minut później wjechała na swój podjazd. Wyłączyła silnik,

chwyciła z tylnego siedzenia torbę z niedokończonymi talkami i wysiadła z samochodu. Na patio panowały ciemności.

Zakłęła. Przed miesiącem wymieniła żarówkę na ganku, a ta cholera znowu się przepaliła. Czy w tych czasach nic już nie robią jak należy?

Wyjęła z torebki kółko z kluczami i po omacku przebierała w kluczach, aż znalazła ten od domu. Otworzyła frontowe drzwi, zapaliła światło w salonie, weszła i natychmiast zamknęła drzwi za sobą na klucz. Wzdychając z niesmakiem, rzuciła torbę z lalkami na kanapę. Zsunęła pantofle i odkopnęła je na dywanik obok stolika do kawy. Miała za sobą długi dzień - zbyt długi - i przede wszystkim chciała wziąć gorącą kąpiel, wymoczyć się w wodzie i odpocząć.

Przeszła przez dom, zapalając światła po drodze. Salon. Sypialnia.

Hol. Światło w łazience nie chciało się zapalić. Pstryknęła przełącznikiem. Nic. - Cholera - mruknęła.

Weszła do ciemnego pomieszczenia i stanęła na palcach, żeby dosięgnąć świetlówki.

Z pokoju do szycia po drugiej stronie holu dobiegł niski chichot Rina szybko opadła na pięty i wyteżyła słuch. W domu panowała cisza.

Nie, nie całkiem.

Zdawało jej się, że słyszy szuranie stóp w szwalni. Nie panikuj, powiedziała sobie. Zachowaj spokój. Zgasły światła w całym domu.

Teraz na pewno to słyszała — ciche szuranie, miękkie buty przesuwające się ostrożnie po podłodze. Próbowwała zachować ciszę, ale chociaż nie wrzeszczała, intruz na pewno wiedział, gdzie ona jest - w nieruchomym powietrzu jej urywany, chrapliwy oddech brzmiał jak wzmocnione sapanie Dartha Vadera,

Odgłos się zbliżył.

Serce jej waliło szaleńczo. Czy powinna się wymknąć ukradkiem, czy uciekać co sił?

Myślała szybko. Jeśli wyśliźnie się powoli z łazienki, a on wie, gdzie ona jest, złapie ją natychmiast. Z drugiej strony, jeśli nie wie dokładnie, a ona wyskoczy stamtąd biegiem, zdradzi swoją obecność i sprowokuje go do pościgu.

Musiała podjąć decyzję w ułamku sekundy i podjęła. Dziesięć lat w świecie biznesu nauczyło ją przynajmniej podejmowania decyzji. Powoli wysunęła się z łazienki, możliwie jak najciszej, i ruszyła korytarzem w stronę przeciwną niż szwalnia. Nadal oddychała głośno, ale może nie tak głośno, jak się obawiała.

Skradała się pod ścianą i modliła, żeby się o nic nie potknąć.

Skręciła za róg do salonu. Nie całkiem jednorodny amalgamat niebieskawego światła latarni ulicznej i odbitego żółtego światła z ganku sąsiedniego domu wlewał się przez okna do wnętrza ciemnego pokoju.

A potem to wypełzło z kąta, poczołgało się po podłodze zwinnie jak olbrzymi kot. Tylko że Rina widziała ludzką głowę, dłonie i stopy. W załamany światło błysnęła stal noża.

Wrzasnęła i popędziła z powrotem. Wrzask, chociaż nieartykułowany, żadne tam „Ratunku, policja!”, zabrzmiał tak głośno i przenikliwie, pełen prawdziwej grozy, że przekazał

wiadomość bardziej dobitnie od wszelkich słów.

Bezmyślnie pobiegła korytarzem do pokoju i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że uciekła do szwalni.

Tam, skąd dochodziły pierwsze odgłosy.

Może ich jest więcej.

A jeśli zamknęła się razem z nim?

O mój Boże, pomyślała i chwyciła za klamkę. Jednym szybkim, zadziwiająco skoordynowanym ruchem odemknęła drzwi i wyskoczyła z powrotem na korytarz.

Coś złapało ją za nogę. Zanim zdążyła uwolnić się kopniakiem, czyjaś ręka zerwała z niej spódnicę. Rina upadła do przodu i mocno uderzyła podbródkiem o drewnianą podłogę. Silna, brudna dłoń zatkała jej usta.

Dźwięk, który usłyszała, zanim nóż uciszył ją na zawsze, ani trochę nic przypominał ludzkiego głosu.



BYŁA W DOMU LAUTERÓW. Nierozpakowane pudła Katriny West leżały porozrzucane na podłodze. Na ścianach widniały wielkie, czerwone rozbryzgi, ociekające krwią. Przed nią stał

David, a obok Davida, ze skórą

wywróconą na lewą stronę, z wyszczerzonymi zębami, tkwiła w pozycji wystawiania zwierzyny Dusty. Niski warkot wydobywał

się z gardła martwego psa. David zrobił krok do przodu i zobaczyła, że miał rozpięty rozporek i to... coś mu zwisało. Było długie, białe i śliskie. Zaczął to głaskać, zbliżając się do niej, a to rosło, coraz grubsze i twardsze. „Chcesz tego”, powiedział David.

„Wiesz, że tak”.

Cathy zbudziła się gotowa krzyczeć, ale zdusiła wrzask w gardle, kiedy wokół niej zestaliły się mroczne kontury rzeczywistości.

Skopała z łóżka wszystkie nakrycia, poduszka w miejscu, którego dotykała jej twarz, przesiąkła potem strachu. Usiadła, serce głośno łomotało jej w piersi. Spojrzała na budzik na nocnym stoliku obok łóżka. Dwunasta.

Spała tylko przez dwie godziny.

Jeszcze sześć.

Zwiesiła nogi z krawędzi łóżka. Oddychała głęboko, próbowała spowolnić pulsowanie krwi. Sięgnęła po koc, podniosła go z podłogi, zmięła na kolanach i ścisnęła mocno. Od dawna już nie miała koszmarów, w których David odgrywał główną rolę, ale ostatnio często jej się

śnił.

Niemal bardziej od samego koszmaru przerażała ją świadomość, że teraz już nie zaśnie. Będzie leżała rozbudzona w łóżku, kręciła się i wierciła przez resztę bezkresnej nocy, chwytając tylko strzępki snu, podczas gdy długie godziny będą się wlec powoli do świtu.

Patrzyła na regał z książkami, jasny na tle ciemności jak negatyw, i słuchała ciszy. Wszystkie telewizory były wyłączone, tylko w kuchni cicho szumiała lodówka. Z pokoju ojca nie dochodziły żadne odgłosy. Spał. Gdyby czuwał, słyszałaby nieustające, niespokojne postukiwanie kul, kiedy chodził tam i z powrotem po sypialni.

Dawniej dotrzymywała mu towarzystwa przy bezsenności, a on pocieszał ją, kiedy miała koszmary. Wtedy czuła, jak bardzo są sobie bliscy. Nawet po wypadku ta więź istniała między nimi. Ale coś się z ojcem stało, przynajmniej z jego częścią - ważną częścią.

Zmiana nie nastąpiła nagle, na skutek jednego epifanicznego incydentu. Był to stopniowy upadek, erozja człowieczeństwa.

Często myślała, że właśnie dlatego Billy wyprowadził się tak daleko. Teraz ojciec już nawet nie udawał, że się nią interesuje.

Wczoraj wieczorem, kiedy mu opowiadała o Jimmym i Dusty, o policji, powiedział tylko: „Więc dlatego nie dostałem obiadu?”

O mało wtedy nie wyszła, wściekła na niego za tę uwagę. Niczego bardziej nie chciała niż jeździć w kółko przez kilka godzin, aż ojciec albo

na tyle zgłodnieje, żeby samemu zrobić sobie coś do jedzenia, albo na tyle się rozzłości, żeby dostać jakiegoś ataku. Chciała go ukarać za bezmyślność i okrucieństwo, podobnie jak on ją karał za pomniejsze wykroczenia.

Ale poczucie obowiązku przeważało. Poszła do kuchni i przyrządziła mu hamburgera.

Dziś całkowicie ignorowali się nawzajem, świadomie schodzili sobie z drogi.

Zjadł obiad z przyjaciółmi w klubie.

Cathy przeczesła ręką zmierzwione włosy i zapaliła lampkę na nocnym stoliku przy łóżku. Krąg światła padającego spod klosza sprawił, że kąty pokoju wydawały się jeszcze ciemniejsze.

Przypomniała jej się Dusty.

Królik

Dlaczego znowu musiała o tym myśleć? Zamknęła oczy i próbowała wyrzucić ten obraz z pamięci, ale on nie chciał

zniknąć. Królik

Nigdy nikomu nie powiedziała o króliku. Ani rodzicom, ani koleżankom, nawet Billy'emu. Z czasem prawie uwierzyła, że to się nie stało naprawdę, że tylko jej się przyśniło.

Ale się jej nie przyśniło. To się stało.

Wracała do domu ze szkoły. Szła sama, pożegnała się już z Pam, i na pustej parceli przy końcu ulicy natknęła się na Davida. Z

chodnika zobaczyła go na środku placu, dostrzegła czubek jego głowy ponad podobnymi do zboża lodygami zeschniętych chwastów. Zamierzała iść dalej do domu, ale on również ją zobaczył i zawołał:

- Ca-athy! - Śpiewny głos. Przyspieszyła kroku.

- Cathy! - Poważny głos. Przystanęła.

- Cathy!

Wbrew własnej woli, zbyt słaba, żeby mu się sprzeciwić, precyzyjnie się przecisnęła przez ścianę chwastów do miejsca, gdzie stał

David. Nagi, oprawiający królika nożem X-Acto.

Zamarła w bezruchu na skraju małej polanki, tak przerażona i zmieszana, że nie wiedziała, co robić. Królik leżał na niskim pniaku, martwy i częściowo obdarty ze skóry, z resztkami futerka sterczącymi w nieporządku czerwono-brązowych kępkach.

David stał przed nim z nożem X-Acto w ręku. Jego spodnie, koszula i bielizna, starannie poskładane, leża-

ły obok butów i skarpetek po drugiej stronie polanki, nagie ciało zachlapanie krwią wyglądało prawie tak, jakby sam się obdarł ze skóry. Miał erekcję.

Chciała uciekać, ale David złapał ją za ramię i zmusił, żeby została. Czowała śliską, lepłą, ciepłą krew na jego palcach. Szczerzył

zęby, rozkoszując się jej strachem i odrazą.

- Jeśli powiesz mamie albo tacie, zabiję cię. - Za uśmiechem kryła się stal.

Nozdrza jej wypełniał ohydny smród zwierzęcej krwi i fekalii.

Kręciło jej się w głowie, ale jakimś cudem nie zemdlała.

Zaśmiał się, puścił jej ramię. Zakrwawionymi palcami dotknął

swojego penisa, zaczął go pocierać.

Cathy uciekła.

Biegła przez całą drogę do domu, nie zatrzymała się ani razu.

David zjawiał się pół godziny później, spokojny, jakby nic się nie stało, nieskazitelnie czysty, w ubraniu bez jednej plamki. Wyjaśnił

matce, że się spóźnił, bo po drodze zajrzał do biblioteki.

Uciekł dwa lata później, rok po wypadku.

Siedząc na łóżku, Cathy zastanawiała się, gdzie jest teraz David i co robi. Chociaż nie wierzyła w

przecucia ani zjawiska parapsychiczne zjawiska parapsychiczne.

ostatnio często jej się śnił i wbrew sobie, w jakimś mrocznym, irracjonalnym zakamarku umysłu lękała się, że wrócił.

Rozległo się lekkie stukanie w okienną szybę.

Cathy podskoczyła, serce stanęło jej w gardle. Bez namysłu chwyciła brzegi zasłon i rozsunęła.

Na zewnątrz stał Randy West i patrzył na nią. Wyglądał upiornie w odbitym świetle lampy, otoczony ciemnością. Uśmiechał się szeroko, pojedyncza nitka śliny ściekała mu po brodzie i wciąż pukał w szybę grubym, kwadratowym palcem.

Nie wrzasnęła, chociaż bardzo mało brakowało. Zebrała resztki odwagi i wymierzyła w niego palcem.

- Idź do domu! - rozkazała stanowczo. - Randy, do domu! Patrzył

na nią z uśmiechem i wciąż stukał w szybę.

- Wynoś się stąd!

Pozwoliła, żeby zasłony opadły. Przez cienką szparę pomiędzy dwiema połówkami widziała jego ciemną, pękatą sylwetkę. Stał w miejscu i ciągle stukał. Zatkaną uszy palcami i jeszcze raz kazała mu odejść. Czekwała z zatkanymi uszami, wpatrując się w zasłony.

Po kilku minutach wreszcie zobaczyła, że odsunął się od okna i przeszedł przez podwórze.

Jezu.

Siedziała na brzegu łóżka, drżąca, cała w strachu i wytrącona z równowagi znacznie bardziej, niż powinna. Coś w tym dzieciaku ją przerażało. Coś dziwnego, coś niewłaściwego, nienormalność jednocześnie subtelniej-sza i znacznie głębsza niż jego oczywiste upośledzenie.

Dlaczego wyszedł w środku nocy? - zastanawiała się. I jak się dostał na tylne podwórze jej domu?

Jutro porozmawia z jego matką. Najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił. Dziś rano opowiedziała ojcu Jimmy'go, jak Randy potraktował jego syna, i zaproponowała, żeby skontaktował się z panią West. Obiecał, że to zrobi, ale Cathy wiedziała, że obiecał

tylko na odczepnego, żeby się zamknęła i wreszcie sobie poszła.

Zdawała sobie sprawę, że jeśli chce coś osiągnąć, jeśli zależy jej na rezultatach, powinna sama pójść do Katriny. Ta kobieta krótko trzymała syna, niemal fanatycznie pilnowała, żeby nie wychodził

z domu, więc na pewno nie miała pojęcia, że urządzał sobie nocne spacery, zakradał się na cudze podwórka i pukał do okien. Kiedy tylko się dowie, niewątpliwie z miejsca położy temu kres.

Robiło się późno czy raczej wcześniej. Cathy poszła do kuchni, żeby się napić wody. Po powrocie zamknęła drzwi sypialni na klucz, wygładziła koc i położyła się do łóżka. Zerknęła przez okno i przekonała się z ulgą, że nigdzie nie widać Randv'ego. Zamknęła oczy, ale chociaż z całej siły udawała senność, wcale nie chętało jej się spać. Wkrótce znowu oczy miała szeroko otwarte i umysł całkiem rozbudzony.

Leżąc na plecach, wpatrywała się w sufit. Rozróżniała nawet ozdobne zawijasy na białym stiuku. Z niewiadomych powodów zaczęła myśleć o poruczniku Grancie. Zrobił na niej wrażenie, kiedy okazał Jimmy'emu szacunek, podszedł do chłopca poważnie. Większość dorosłych, zwłaszcza przedstawiciele władz, traktuje dzieci z góry, protekcyjnie, on jednak instynktownie uznał inteligencję i godność Jimmy'ego, co się Cathy spodobało.

To również bardzo atrakcyjny mężczyzna. Atrakcyjny?

Upłynęło wiele czasu, odkąd ostatnio tak o kimś myślała, nawet leżąc samotnie w ciemnościach, poczuła zażenowanie. To głupie, skarciła się w duchu. Była za stara na takie szczeniackie numery.

Ale jednocześnie beztroskie fantazjowanie sprawiało jej przyjemność i nawet zaczęła spekulować, co by mogło się zdarzyć, gdyby spotkali się w innych okolicznościach, może na studiach, czy nawiązałyby bliższe stosunki.

Uśmiechnęła się do siebie. Nigdy nie oddawała się fantazjom o mężczyznach, ani swoich znajomych, ani słynnych osobistościach.

Wiedziała, że wiele kobiet marzy o mistrzach sportu albo gwiazdorch filmowych czy też wyobraża sobie związki z mężczyznami, którzy im się spodobali, zawsze jednak uważała to za niepotrzebną stratę czasu. To takie niemądre i niepoważne.

Jasne, po obejrzeniu filmu czy przeczytaniu książki czasami zastanawiała się przelotnie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby spotkała na swojej drodze tego czy tamtego, ale romantyczne marzenia nigdy nie wydawały jej się sensowną formą rozrywki umysłowej. Ponadto niewielu mężczyzn uważała za naprawdę interesujących. Nawet na studiach, otoczona przez samców do wzięcia, nie znalazła nikogo, z kim chciałaby się związać.

Oczywiście wiele w tym jej winy. Zawsze zachowywała emocjonalny dystans wobec mężczyzn, nie interesowały jej żadne romanse, chociaż intelektualnie rozumiała, że na pewno były tuziny mężczyzn, których mogłaby polubić, gdyby dała im szansę. Ale tak dobrze siebie знаła - aż za dobrze. Zaliczyła wystarczająco dużo kursów psychologii, przeczytała wystarczająco dużo literatury przedmiotu, żeby poznać swój wzorzec zachowania, swój typ osobowości. Wiedziała, że tak naprawdę brakuje jej odwagi, żeby podjąć ryzyko, zaangażować się w związek.

Nie żeby kiedyś powstała taka sytuacja.

Jedno wynikało z drugiego. Chociaż kilka razy umawiała się, nigdy właściwie nie miała okazji stworzyć prawdziwego związku.

Czasami zastanawiała się, dlaczego, ale zastanawiała się bez większego zainteresowania, niemal obojętnie. Nie dręczyło jej to pytanie, nie przejmowała się tym specjalnie. Jeśli nie była zadowolona ze swojego życia, to przy najmniej nie była niezadowolona, a trudno wymagać więcej.

Więc dlaczego osoba tego policjanta tak zapadła jej w pamięć?

Przekręciła się na bok, zamknęła oczy i próbowała o niczym nie myśleć. Musiała ujarzmić wyobrażenie, by móc zasnąć. Czeka ją bezsenna noc, jak zwykle po koszmarach.

Skupiła się na swoim oddechu, narzuciła sobie miarowy, spokojny rytm w nadziei, że oszuka ciało i podstępem nakłoni je do zaśnięcia. Nie myślała o niczym, myślała o ciemności.

Ostatnie, co zobaczyła oczami duszy, zanim zapadła w sen, to była zniekształcona twarz Randy'ego Westa, który patrzył na nią przez szybę, uśmiechając się szeroko.

PRZYPADKOWOŚĆ. Jedna z rzeczy, które najbardziej go niepokoiły w tych morderstwach. Chaos. Morderstwa w afekcie, morderstwa dla pieniędzy, nawet porachunki gangów - wszystkie popełniano z jakiegoś powodu. Dawały się zrozumieć, a więc i rozwiązać. Ale przypadkowe morderstwa, z pozornie przypadkowym wyborem metody zabójstwa, były praktycznie nie do ugryzienia. Przy tak perfekcyjnie dokonywanych mordach tylko szczęśliwy traf albo zbieg okoliczności mógł doprowadzić do ich rozwiązania. Dopóki nie znaleźli albo świadka którejś zbrodni, albo błędu popełnionego przez mordercę, dochodzenie pomimo najlepszych chęci i wysiłków tkwiło w martwym punkcie.

Allan spojrział na album Miro rozłożony przed sobą na stole. To właśnie lubił w sztuce. Nawet w pozornie najbardziej chaotycznych obrazach, w najbardziej arbitralnych dziełach sztuki istniały cel, porządek, metoda. Za przypadkowością krył się powód, za bałaganem - logika. Zorganizowany chaos.

Gdybyż tylko życie naśladowało sztukę.

Koroner znalazł inne nakłucia w ciele Whiteheada, otwory, które dokładnie odpowiadały punktom śmiertelnym na schematach akupunktury i pokrywały się z położeniem niemal wszystkich ważnych nerwów. Policjant nie zmarł szybką śmiercią. Takie precyzyjne rozmieszczenie igieł i szpilek wymagało mnóstwa czasu. I rozległej wiedzy. Nawet pracując ze schematami, koroner musiał poświęcić dwa dni, żeby udokumentować każdą z tysiąca stu trzydziestu dwóch małych dziurek w skórze Whiteheada.

Odłożył album, odchylił się do tyłu na miękkiej sofie i zamknął

oczy. W tym szaleństwie mogła się kryć metoda, niemniej szaleństwo pozostało szaleństwem, którego nie rozumiał.

Zakładali, że morderstwo Whiteheada stanowiło swego rodzaju ostrzeżenie. Inaczej po co zabijać glinę? I po co mozolnie wbijać setki igieł i szpilek, żeby stworzyć tak uproszczony i pozbawiony znaczenia wzór, jak plansza do gry w krzyżyk i kółko?

Trywializacja śmierci Whiteheada, niemal niedbałe wyklucie bzdurnych symboli na jego ciele mogło oznaczać pogardę. W

języku mordercy to był policzek wymierzony władzy, szyderstwo z policji. Mogłem to zrobić jemu i równie łatwo mogę to zrobić tobie.

Zabicie psa małego Goldsteina należało odczytać w ten sam sposób - szyderstwo, demonstracja, że zabójca może robić, co mu się podoba, pod samym nosem bezradnej policji. Tak wyrafinowane morderstwo popełnione na zwierzęciu świadczyło o zamiarze ostatecznego upokorzenia.

Porucznik miał tego ranka trzy spotkania: z Pynchonem, ze swoimi ludźmi i z przedstawicielami departamentów policji z Glendale, Mesa, Tempe i Scottsdale. Dużo było gadania w kółko o tym

samym, co sprowadzało się do jednego: od tygodnia nie zbliżyli się nawet na krok do rozwiązania sprawy. Z powodu makabrycznych aspektów zbrodni przyjęli założenie, że zostały popełnione przez pojedynczego osobnika. Wbrew tej koncepcji, już dostatecznie przerażającej, Allan coraz bardziej podejrzewał, że morderstwa stanowiły dzieło jakiegoś gangu czy kultu. To praktycznie niemożliwe, myślał, żeby jeden człowiek tak perfekcyjnie popełnił cztery całkowicie różne zabójstwa i nie zostawił żadnego śladu. Wyliczył, że brały w tym udział co najmniej dwie osoby - jedna mordowała, a druga organizowała transport, stała na warcie i dbała o szczegóły.

Naprawdę przerażająca myśl.

Jeszcze bardziej przerażała możliwość, że niedopracowana teoria Pyn-chona ma jakieś podstawy, że morderca to gliniarz. Albo gliniarze.

Allan otworzył oczy i spojrzał na cyfrowy zegar magnetowidu obok te-lewizora. Za pięć minut północ. Powinien już dawno spać. Wcześniej rano miał spotkanie i potrzebował tyle snu, ile mógł złapać. Ostatnio sypiał przeciętnie trzy godziny na dobę.

Dziś wrócił do domu wcześniej, zaraz po szóstej. Planował walnąć się do łóżka o ósmej i nadrobić trochę zaległości w spaniu, ale nie mógł się odprężyć: przypominał sobie każdy najdrobniejszy szczegół, sprawdzał każdą możliwość, przeżywał na nowo każdy błąd. Położył się tuż po ósmej i leżał chyba przez całe godziny, wierząc się i rzucając w pościeli. Wreszcie usiadł, spojrzał na zegarek i zobaczył, że upłynęło zaledwie czterdzieści pięć minut.

Wtedy narzucił szlafrok i przeszedł do salonu. Skoro i tak nie zaśnie, przynajmniej wykorzysta produktywnie ten czas.

Teraz zrobiło się za późno na sen. Nawet gdyby zdołał zasnąć w ciągu godziny, nadal musiał wstać o piątej. Zostanie mu najwyżej cztery czy pięć godzin snu. Uśmiechnął się. W tym tempie złapie mononukleozę i skończy w jakimś szpitalu, popijając soki i łykając witaminy.

Ale od kogo miał się zarazić? Nie całował nikogo... Jak długo? Od sześciu miesięcy?

Smutna jest dola policjanta, pomyślał kwaśno.

Dziękował przynajmniej za jedno: jeśli nie liczyć psa, od czasu White-beada nie doszło do następnych morderstw. Jeżeli zabójca nie zrezygnował na dobre, to przynajmniej zrobił sobie przerwę.

W tym czasie może coś wypłynie i przyskrzynią go, zanim znowu uderzy.

Wstał i poszedł do kuchni, żeby się czegoś napić, kiedy przeniknął go zimny dreszcz. Spojrzał na swoje nagie ramiona i zobaczył, że pokrywają się gęsią skórką. Zjeżyły mu się włosy na karku.

Nagle poczuł, że tygodniowy okres spokoju dobiegł końca, że zamordowano następną ofiarę.

Nigdy przedtem nie doświadczył tak silnego przeczucia i gdyby nie przemęczenie oraz napięcie ostatnich dni, uznałby je za prawdziwe zjawisko parapsychiczne. Stał jak wryty i utkwiał



wzrok w telefonie, czekając na dzwonek.

Stał co najmniej pięć minut nieruchomo i wiedział, że telefon zadzwoni, wiedział, że kiedy podniesie słuchawkę, usłyszy głos, którego najbardziej nie chciał usłyszeć - chropawy głos Pynchona rozkazujący, żeby brał dupę w troki, „mamy następne”.

Ale telefon nie zadzwonił. Allan wypił trochę zwietrzałego soku pomarańczowego i wrócił do sypialni, gotów jeszcze raz spróbować zasnąć. Nie mam żadnych parapsychicznych objawień, pomyślał, nic, czego nie wyleczy parę godzin odpoczynku. Lecz chociaż usilnie się starał odpędzić grozę, nie odeszła; wypełniła mu głowę niczym alkoholowe oszołomienie, barwiąc wszystkie myśli, dopóki w końcu nie zasnął. Telefon obudził go o szóstej.

Ciało kobiety, ubranej tylko w żółtą bieliznę, leżało obok otwartej maszyny do szycia. Cienka linia czarnej nitki biegła od igły w maszynie do lewej dłoni kobiety, której palce zostały zszyte.

Pochyliwszy się bliżej, porucznik zobaczył, że oczy również zaszyto, podobnie jak usta. Mały supełek zadzierzgnięty na nitce sterczał z dolnej wargi. Allan przeniósł wzrok na niską półkę nad maszyną do szycia i zobaczył tam ustawione w podwójnym rzędzie, jeden na drugim, weki wypełnione niewątpliwie krwią.

Ale skąd się wzięła krew?

Przyjrzał się uważniej zwłokom, a potem odwrócił się, przelękając żółć, która podeszła mu do gardła. Nogi kobiety zostały zamienione, podobnie jak ramiona. Kończyny czysto amputowano i zastąpiono odpowiednikami. Przyszyto je starannie z powrotem poczwórną czarną nitką. Allan odwrócił się Williamsa.

- Zamieniono jej ręce i nogi. Williams kiwnął głową.

- Zupełnie jak jakiś pieprzony nazistowski eksperyment.

- To na pewno zabrało trochę czasu. Musiał ją zabić, odpiłować ręce i nogi, odsączyć krew do słoików, przyszyć ręce i nogi z powrotem, a potem posprzątać. — Spuścił wzrok. - Popatrz na podłogę, ani kropli krwi.

Williams znowu kiwnął głową.

- Pewnie spędził trzy do czterech godzin w nocy. Chcę, żeby opylono dom od góry do dołu. Jeśli nie nosił rękawiczek, musiał

zostawić przynajmniej jeden rozmazany odcisk, przebywając tu tyle czasu. Szukajcie włókien z tkaniny innej niż ubranie denatki, szukajcie brudu spod podeszew jego butów. Szukajcie wszystkiego, co się wydaje nie na miejscu. - Spojrzał jeszcze raz na weki wypełnione krwią. - Chcę dorwać tego drania.

- Tak jest, sir.

- Trzeba również przeczesać okolicę. To starsze osiedle, wiele osób pewnie mieszka tu od dawna. Starzy ludzie zwracają uwagę na każdą nową czy nieznaną rzecz. Chcę wiedzieć, czy coś choćby odrobinę niezwykłego wydarzyło się tu w ciągu ostatniej doby.

- Jasne.

Allan wyrzwał przez okno szwalni na tylne podwórze. Brzask wstawał nad horyzontem, zalewając pomarańczowobiałym światłem drzewa owocowe i krzaki róż. Policjanci w mundurach świecili szperaczkami po krzakach i przejeżdżali po trawie wykrywaczami metalu, szukając narzędzia, którego nie spodziewali się znaleźć. W kuchni z tyłu Lee rozmawiał z Mary Hughes, siostrą ofiary; ona znalazła ciało.

- To inna dzielnica - powiedział cicho Williams. - Myśli pan, że mamy do czynienia z naśladowcą...

- Nie - odparł ponuro Allan. - Chyba że któryś z miejscowych chi-rurgów lunatykuje przy księżycu. Żaden naśladowca nie działa z taką precyzją.

- Więc się przeniósł. Allan przytaknął markotnie.

- Straciliśmy jedyny stały punkt odniesienia. Chciałbym powiedzieć, że wpadliśmy w gówno po szyję, ale siedzimy w gównie od tygodnia i ciągle go przybywa.

Przeszedł do kuchni, gdzie stanął na chwilę przy oknie od frontu, czekając na koronera; słuchał, jak Lee próbuje uspokoić siostrę denatki.

W salonie zadzwonił telefon. Po głosie Dobrinina Allan poznał, że dzwonił Pynchon. Wiedział, że powinien tam pójść i porozmawiać

z kapitanem, ale w tej chwili akurat nie miał ochoty na wysłuchiwanie reprimendy. Przed domem zahamował brązowy samochód i wysiadł z niego koroner, taszcząc walizkę ze sprzętem. Allan odwrócił się od okna, kazał dwóm policjantom, którzy właśnie weszli do kuchni, żeby zaczęli opylać okolice drzwi i okna, a sam wyszedł koronerowi na spotkanie.

Zaprowadzi } starszego mężczyznę dookoła do tylnego wejścia i szwalni.

- Jezu -jęknął koroner, kiedy wszedł do środka. Allan wskazał

półkę nad maszyną do szycia.

- Osiem słoików wypełnionych krwią, Zakładamy, że resztę krwi sprzątnięto. Szukamy szmaty albo ręcznika, jakiegoś śladu. Jeśli to możliwe, chcielibyśmy się od pana dowiedzieć, w jaki sposób spuszczone krew z ciała. Czy to zrobiono przed amputacją, czy po niej.

Fotograf już skończył pracę i Allan zaprosił koronera do oględzin.

Patrzył, jak starszy mężczyzna schyla się i ostrożnie obmacuje, naciska i sonduje każdy centymetr ciała kobiety. Małymi nożyczkami wyjętymi z walizki rozciął jej majtki i odsunął na bok cienki

materiał. Zaświecił małą latarką pomiędzy nogi kobiety.

- Zaszyto jej pochwę - stwierdził. Przesunął niżej promień latarki.

- Również odbył.

Allan się skrzywił.

- Powie pan coś jeszcze? Koroner podniósł wzrok.

- Dopiero po dokładniejszym badaniu. Wydaje się, że niektóre organy wewnętrzne zostały przemieszczone... Miejsce pod mostkiem jest nienaturalnie rozdęte... ale nie uzyskam pewności, dopóki nie przeprowadzę autopsji. Zauważyłem nacięcia pod brodą, pod pachami i w pachwinach, więc przypuszczam, że właśnie tamtędy spuszczone krew.

- Pana zdaniem jak długo trwa taka operacja?

- Autopsja?

- Nie. Morderstwo. Koroner wzruszył ramionami.

- Trzy do pięciu godzin, minimum, nie licząc sprzątanania.

- Według pana oceny jak długo ona nie żyje?

- Ciało zachowało jeszcze trochę ciepła, nawet po utracie krwi. Powiedziałbym, że mniej niż dwie godziny.

- Williams! - zawołał Allan.

Drugi policjant podniósł wzrok znad stosu prania, który przekopywał w poszukiwaniu zakrwawionych ręczników czy szmat.

- Natychmiast wzmocnić sieć. Radiowozy niech patrolują każdą ulicę i alejkę w promieniu ośmiu kilometrów, zwłaszcza mniej uczęszczane trasy - mówił szybko porucznik. - Jeśli on ucieka piechotą, możemy jeszcze

go złapać.

- Jasne. - Williams wybiegł tylnymi drzwiami, wykrzykując już rozkazy do ludzi przed frontem domu.

- Naprawdę pan myśli, że go złapiecie? - zapytał koroner. Allan pokręcił głową.

- Nie. Ale coś muszę zrobić. - Słoje z krwią na półce znowu przyciągnęły jego wzrok. - Trzeba powstrzymać tego bydlaka.

Spojrzał na ciało, na cienką nitkę łączącą maszynę do szycia z lewą dłonią martwej kobiety. Czuł się

bezsilny, beżyteczny, ale czuł również gniew i po ośmiu latach w policji wiedział, jak wykorzystać ten gniew do własnych celów.

- Niech pan wezwie swoich ludzi - zwrócił się do koronera równym, beznamiętnym głosem. - Zabierzmy ciało do kostnicy.

## WSTYD PRYZNAĆ, ALE TO MORDERSTWO BYŁY

NAJLEPSZĄ RZECZĄ, jaka pots kała Toma Houghtona podczas dwóch lat pracy w „Arizona Republic”. Miał lekkie poczucie winy, że robi karierę na śmierci innych ludzi, lecz wyrzuty sumienia nie spędzały mu snu z powiek. Nie czuł się odpowiedzialny za żadne z tych zabójstw. Morrisem, Welmers, Whitehead i Ralston zginęliby z nim czy bez niego. Po prostu napisał o nich po fakcie.

I owszem, skorzystał na tym.

Tak się kręcił reporterski światek.

Houghton przyjechał do Phoenix świeżo po studiach, ale już mógł

się pochwalić imponującą listą publikacji. Wydawca uniwersyteckiej gazety w UC-LA, pracował jako wolny strzelec dla magazynu „California” i kuku miejscowych dzienników, i całkiem sporo jego artykułów zostało wykorzystanych przez Associated Press. Odbył staż w „Los Angeles Timesie” i na swoje szczęście wylądował w dziale policyjnym. Zwróciwszy na siebie uwagę serią głośnych artykułów o spektakularnym morderstwie, miał cichą nadzieję, że po dyplomie załapie posadę w „Timesie”, ale gazeta z zasady nie zatrudniała żółtodziobów - potrzebowali reporterów z większym doświadczeniem.

Więc dostał robotę w Phoenix, gdzie spodziewał się zabłysnąć i wyrobić sobie nazwisko.

I gdzie nic się nie działo.

Właściwie to nie była wina „Republic”. Współpracownicy i redaktorzy chętnie mu pomagali, wszyscy traktowali go dobrze.

Poprosił o dział policyjny i dostał go, ale równie dobrze mogli mu przydzielić kurorty dla emerytów. W Phoenix popełniano przestępstwa, wszystkie jednak były nieodmiennie rutynowe, nieodparcie nudne - bójki w kowbojskich barach, przypadkowe rabunki, wypadki drogowe, wypadki na polowaniu. Wielka, soczysta sensacja na pierwszą stronę? Nic, zero, nul. Houghton miał swoją porcję artykułów z pierwszych stron, ale w Arizonie, gdzie nic się nie działo, to niewiele znaczyło. Z pewnością nie miał takiego artykułu, jakiego chciał i na jaki zasługiwał.

Aż do teraz.

Czytał artykuł wyświetlony na monitorze - kawałek o prostych środkach ostrożności, które każdy powinien stosować, żeby nie paść ofiarą mordercy. Wprawdzie nie ma gwarancji, ale można zrobić kilka prostych i oczywistych rzeczy, by uniknąć sytuacji zagrożenia. To bardzo dobry artykuł, nawet jeśli sam tak uważał.

Przewinał do korka. Nigdy nie przyznałby się nikomu, że morderca był dla niego istnym darem niebios. Za-mierzał trzymać się tej historii i wyciągnąć z niej jak najwięcej, wycisnąć ją do ostatniej

kropki. Sporządził już charakterystykę każdej z ofiar oraz ich rodzin, przeprowadził wywiady z psychologami na temat prawdopodobnej konstrukcji psychicznej mordercy i napisał kilka artykułów opartych na aktualnych informacjach, które codziennie podawał departament policji.

Chociaż oportunistą, Houghton nie był zwykłym pismakiem, zainteresowanym wyłącznie własną karierą. Nie chciał wywołać paniki. Zależało mu, żeby mieszkańcy doliny zdawali sobie sprawę, co się dzieje, ale nie chciał ich niepotrzebnie straszyć.

W tym wypadku chyba jednak warto ich postraszyć. Na Boga, on sam się bał. Chociaż nie pozwolono mu obejrzeć ciała, otrzymał i nagrał szczegółowe opisy od naocznych świadków. I widział

zdjęcia Susan Welmers. Ciało tej kobiety złożono na pół do tyłu, kości wyłamano ze stawów i przemieszczono tak, że sterczały pod dziwnymi kątami, okropnie poprzekęcane i przesunięte na niewłaściwe miejsca pod skórą. Zmaltretowany kręgosłup wyglądał jak dzieło kręgarza psychopaty obdarzonego nieograniczoną siłą fizyczną. Same zdjęcia wystarczyły, żeby zrobiło mu się niedobrze, i nie mógł na nie długo patrzeć.

Ktoś, kto zrobił coś takiego, myślał Houghton, nie jest człowiekiem. To potwór, szatan. Szatan.

Houghton szybko przewinął z powrotem do nagłówka.

Wykasował fragment: „morderca przebywający wciąż na wolności w dolinie” i zastąpił go zwrotem: „morderca zwany Szatanem z Phoenix”. Przeczytał całe zdanie, powtórzył na głos.

„Szatan z Phoenix”.

Dobrze brzmiało i pasowało do kontekstu. Chwytiliwe. Ponownie z namysłem przeczytał nagłówek. Zdawał sobie sprawę, że to ryzykowne ukuć własną nazwę i przypisać ją innym, jak właśnie zrobił, ale w ten sposób fraza nabierała mocy i wydawała się mniej sensacyjna. Szatan z Phoenix. Zręczne i łatwo się przyjmie.

Jeśli przeczytają to właściwi ludzie - a przeczytają na pewno -

Houghton nie zdziwi się, kiedy za dzień czy dwa usłyszy ten zwrot w telewizyjnych wiadomościach albo przeczyta w konkurencyjnej gazecie.

Przyznawał, że to banalne, ale robiło wrażenie. Takie nieformalne przezwiska dla morderców miały liczne precedensy nawet w najbardziej szacownej prasie. Nie stanowiły domeny wyłącznie brukowców w rodzaju „National Enquirer”. Niektóre określenia, na przykład „Zodiakalny Zabójca”, powstały na podstawie faktów znanych ze śledztwa, ale inne, jak „Nocny Łowca”, nazwa zaczerpnięta z telewizyjnego filmu, nie miały takich referencji. Wymyślili je przedsiębiorczy reporterzy. Jak on.

Houghton napisał krótką notatkę do redaktora wydania z sugestią, żeby wykorzystał zwrot „Szatan z Phoenix” w zapowiedziach, zanim zapisał artykuł i wyłączył monitor. Rzucił

notkę na biurko redaktora i wyszedł z biura.

Na zewnątrz wieczór był ciepły, wciąż czuło się dzienny upał, chociaż jego źródło dawno zniknęło za horyzontem. Może sam się zasugerował, jednak zdawało mu się, że na ulicy jest mniej ludzi niż zwykle. Nawet przy największym wysiłku wyobraźni nie dało się nazwać Phoenix „nocnym” miastem, ale zwykle w śródmieściu o tej porze widywało się więcej przechodniów i samochodów.

Może ludzie za bardzo się bali. Może nie powinien podsycać tego strachu, wymyślając takie okropne przezwiska, jak „Szatan”.

Houghton podskoczył na dźwięk głosu za plecami. Okręcił się i zobaczył Verna Rogersa, kolegę z działu reportaży, idącego w jego stronę z powitalnie uniesioną ręką.

- Cholera - burknął, kiedy Rogers się z nim zównał. -

Przestraszyłeś mnie na śmierć.

- Wszystko przez te morderstwa, które obsługujesz. Nic dziwnego, że dostajesz świra, kiedy pracujesz przy czymś takim. -

Pokręcił głową - Każdy by się bał.

- Aha.

Postanowił, że zachowa tę nazwę. Szatan z Phoenix. Dobrze brzmiała. Pasowała.

ALLAN WSTAŁ, ZAMKNAŁ NOTES, WYŁĄCZYŁ

MAGNETOFON i podał rękę panu Goldsteinowi, dziękując za złożenie zeznań. Uśmiechał się uprzejmie, chociaż wcale nie miał

ochoty. Tamtego pierwszego wieczoru nie wyrobił

sobie jeszcze opinii o Goldsteinie - wszystko działo się w takim gorączko-wym tempie, że następnego dnia prawie nie pamiętał

faceta, tylko tyle, że tamten pił - teraz jednak opinia już się ugruntowała. Niekorzystna opinia.

Al Goldstein zgodził się, żeby porucznik przyszedł do jego biura, i odpowiadał na pytania śledczego z pozoru szczerze, szczegółowo i bez wykrętów. Jednak zachowanie biznesmena wydawało się Allanowi nie tyle podejrzanym, ile... fałszywym.

Niewyraźny typ. Rozpływał się w uśmiechach, okazywał dobrą wolę, demonstrował zatroskanie i gniew w odpowiednich proporcjach, ale miał w sobie jakiś fałsz, jakby odgrywał rolę.

Jakby coś ukrywał.

Allan wyczuł to już wtedy, kiedy Cathy i Jimmy zjawili się w jego biurze. Wydawało mu się dziwne, że ojciec nie przyszedł z synem na posterunek policji w sprawie morderstwa domowego psa, a kiedy Cathy przeprosiła w imieniu Goldsteina, pod jej bezbarwnymi słowami wyczuł urazę do tego człowieka, pretensję, że musiała go kryć. Tonem głosu dawała do zrozumienia, że uważa Al Goldsteina za śmiecia.

Skłonny był się zgodzić z oceną Cathy. Facet miał gładkie maniery i pyszałkową minę urodzonego sprzedawcy używanych samochodów.

Mówił właściwe rzeczy we właściwych chwilach, ale każde jego słowo wydawało się kłamstwem.

Goldstein go niepokoił. Wprawdzie nie zrobił nic, do czego można się przyczepić, ale samo to, że w jednym zdaniu deklarował, jak bardzo nim wstrząsnęła śmierć psa, a w następnym wyznawał, że wcale się tym nie zmartwił, wystarczyło, by postawić na baczność policyjną antenę Allana.

Zamierzał dyskretnie sprawdzić pana Al Goldsteina. A jeśli wygrzebie coś niezwykłego, zarządzi obserwację tego człowieka, Biznesmen odprowadził porucznika do windy i nacisnął za niego guzik.

- Dziękuję za poświęcony czas - powiedział Allan. Goldstein uśmiechnął się i jednocześnie drzwi windy się otwały.

- Nie ma sprawy.



Jadąc na dół, Allan zastanawiał się, czy Goldstein dysponował

wystarczającą wiedzą medyczną, żeby spuścić krew z ciała.

Przed powrotem na komendę Allan zawadził o dom pani Ralston, gdzie trwało obecnie drugie przeszukanie. Nic nie znaleziono we wstępnym śledztwie, ale dom został zapieczętowany i ekipa dochodzeniowa badała wszystko za pomocą bardziej zaawansowanego technicznie sprzętu, stosując dokładniejsze procedury.

Zatrzymał się przed budynkiem, za policyjnymi samochodami.

Wysiadł i zanurkował pod żółtą taśmą blokującą podjazd Williams i Dobrinin byli w szwalni, gdzie popełniono morderstwo. Dobrinin sprawdzał maszynę do szycia, a Williams katalogował zawartość małego różowego kosza na papiery przy drzwiach. Obaj mężczyźni podnieśli wzrok, Allan kiwnął im głową na powitanie.

- Macie coś?

Williams westchnął ciężko.

- Zero.

Allan zmarszczył brwi, rozejrzał się po pokoju.

- Gdzie jest Lee?

- Zrobił sobie przerwę.

- Jak to przerwę? To nie klub podmiejski. Może sobie zrobić przerwę, kiedy wróci na komendę. To miejsce ma być zbadane i przeanalizowane na wczoraj. Dokąd poszedł?

Dobrinin wzruszył ramionami

- Chyba do Burger Kinga. Jest jeden za rogiem. Pić mu się chciało, a oczywiście tu nie mógł nic pić, żeby nie schrzanić dowodów.

- Kiedy wyszedł?

- Nie wiem.

Williams zerknął na zegarek.

- Cholera, jest później, niż myślałem. Minęło już pół godziny. -

Wstał i spojrzał z zakłopotaniem na Allana. - Przepraszam, sir.

Nie zauważyłem, że tak długo go nie ma. - Odchrząknął, zerknął

na Dobrinina, znowu przeniósł wzrok na Allana. - Właściwie miał

nam też przynieść colę.

- Nie chciałem was ochrzaniać - zaczął Allan. - Ale musimy to skończyć przed... - urwał w połowie zdania, bo zobaczył Lee idącego od garażu w stronę domu. Rzucił okiem na Williamsa. -

Podobno poszedł do Burger Kinga.

- Tak myślałem.

Lee otworzył drzwi szwalni i wszedł do środka. Wydawał się zdziwiony na widok Allana, ale powiedział spokojnie:

- Dzień dobry, panie poruczniku.

- Gdzie byłeś?

- W garażu.

- Po co?

- Sprawdzaliśmy, czy czegoś nie przeoczyliśmy. - Zmarszczył brwi z zaskoczeniem. - Dlaczego? Coś nie tak?

- Mówiłeś, że idziesz do Burger Kinga.

- Rozmyśliłem się. Postanowiłem, że wpadniemy gdzieś po drodze do domu i napijemy się czegoś. Robi się późno, więc pomyślałem, że lepiej się sprężyć i szybciej stąd wyjść.

- Dlaczego nikomu nie powiedziałeś?

- Powiedziałem. Chyba nie usłyszeli.

Allan popatrzył na młodego policjanta. Może wpadał w paranoję, ale po raz drugi tego dnia miał wrażenie, że człowiek stojący naprzeciwko nie mówi całej prawdy.

Przypomniał sobie, że Lee był partnerem Whiteheada tamtej nocy, kiedy Bob zniknął.

- Wracaj na komendę - rozkazał. - Ja tu skończę.

- Co ja...

- Wyjdź! Na razie zdejmuję cię z tej sprawy. Jeśli chcesz później o tym pogadać, omówimy sytuację, kiedy wrócę.

Lee zeszywniał.

- Przepraszam. Ja tylko kończyłem to, co zacząłem wcześniej. Nie myślałem..

- Właśnie. Nie myślałeś. - Allan zdawał sobie sprawę, że zachowuje się despotycznie i arogancko, niemal jak Pynchon że wszyscy trzej mężczyźni gapią się na niego zszokowani, z niedowierzaniem, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że Lee coś ukrywa. - Zobaczymy się na komendzie.

- Sir... - zaczął Williams.

- Zamknij się i wracaj do pracy. Skończmy to wreszcie.

Williams i Dobrinin wrócili do swoich obowiązków, a Lee ruszył

przez podjazd do swojego samochodu, zaparkowanego na ulicy.

Allan odprowadził go wzrokiem, potem wyszedł z domu i pomaszerował do garażu.

## HALBACK I SAMSON NIE POKAZALI SIĘ W SZKOLE PRZEZ

CAŁY TYDZIEŃ, co martwiło Jimmy'ego. Nie wiedział, dlaczego nie przychodzą, nie wiedział, co robią, ale na pewno nie planowali nic dobrego. Wiedział, że nie aresztowano ich za zabicie Dusty. Gdyby zostali zatrzymani, porucznik Grant zadzwoniłby, żeby mu powiedzieć. Ale nie miał żadnych wiadomości od porucznika, nie rozmawiał z nim, odkąd byli z Cathy na komendzie.

Jimmy stał obok gabinetu dyrektora na swoim zwykłym miejscu i pa-trzył, jak inne dzieci wychodzą przez bramę do szkolnego autobusu albo idą do domu na piechotę. Widział, jak inni piątoklasiści wychodzą z klas w drugim budynku. Niecierpliwie przepatrywał morze twarzy, ale nie dostrzegł tych dwóch, których szukał.

Gdzie oni byli? Co knuli?

Kusiło go, żeby zadzwonić do porucznika Granta i zapytać, co się stało, ale się bał. Porucznik wydawał się miły, Jimmy jednak wiedział, że dorośli, cokolwiek by mówili, po prostu nie zwracają uwagi na dzieci. Nie traktują ich poważnie.

Może poprosi Cathy, żeby zadzwoniła.

Prosił już ojca, żeby zatelefonował na komendę i dowiedział się o Du-sty, ale tata ciągle to odkładał. Grób został wykopany na tylnym podwórku, u stóp drzewa pod płotem, i Jimmy zrobił

nagrobek z dwóch deseczek, na których napisał: „Dusty R.I.P.”

Wszystko przygotował. Ale tata nie zadzwonił, twierdził, że nie ma czasu, udawał, że zapomniał. Jimmy miał okropne przeczucie, że ojciec wie coś, czego mu nie mówi, ukrywa jakąś tajemnicę, ale wolał o tym nie myśleć. Zabronił sobie spekulowania na ten temat. Starał się zachować optymizm i patrzeć na życie pogodnie.

Ostatnio miał już dosyć smutków.

Nie widział Randy'ego Westa ani jego matki od czasu napaści.

Cathy kilka razy chodziła do nich, żeby porozmawiać z panią West, lecz nikt nie otwierał drzwi. Chociaż byli w domu, na pewno. Jimmy nie widział, żeby ktoś wchodził czy wychodził, ale widział światła w oknach. I słyszał hałasy w nocy.

Dziwne hałasy.

- Buuu!

Jimmy podskoczył na dźwięk głosu i usłyszał, że Paul śmieje się na całe gardło. Odwrócił się gwałtownie do młodszego chłopca, który stał przy drzwiach gabinetu.

- Mało się nie zesrałem ze strachu!

- Co tak pękasz? Tych gości nawet dziś nie ma w szkole.

- Właśnie tego się boję. - Znowu się odwrócił i obserwował

uczniów wychodzących ze szkoły, omiatał wzrokiem chodnik i ulicę, lustrował rzędy szeregowych domów, wypatrując jakiegoś śladu dwóch łobuzów. - Czasami straszny z ciebie głupek.

- Hej, przepraszam. Nie miałem złych zamiarów. Po prostu zobaczyłem, że tak stoisz, i nie mogłem się powstrzymać.

Paul mówił urażonym tonem i Jimmy'emu natychmiast zrobiło się przykro. Zanim to wszystko się zaczęło, on też ochoczo skorzysta z okazji, żeby nastraszyć kolegę. To nie wina Paula, że Halback i Samson go prześladowali i wpadał w paranoję.

- Wiem - przyznał Jimmy. - Przepraszam. Nie chciałem się wściekać na ciebie.

- Więc ciągle jest wojna, tak?

Jimmy przytaknął. Podniósł książki z podłogi i wysunął się zza kolumny, uspokojony, że dwaj starsi chłopcy nie byli w szkole i nie czekają na niego za bramą. Mogli urządzić zasadzkę gdzieś po drodze do domu, ale tu ich nie było i przynajmniej teraz poczuł

się bezpiecznie.

- Może gliny ich zwinęły - zasugerował Paul. - Może oni naprawdę zabili twojego psa i policja ich złapała, i wsadzą ich do więzienia.

Jimmy spojrzał na niego.

- Tak myślisz?

- Nie. Tylko próbowałem cię rozweselić.

- Dzięki - prychnął Jimmy. - Bardzo mi pomagasz. - Powoli wyszedł z cienia przy gabinecie, minął salę ogólną i ruszył w stronę placu zabaw i wyjścia. - Jeśli wytrzymam do lata, będę bezpieczny. Oni pewnie o mnie zapomną przez wakacje.

- Nie licz na to - ostrzegł Paul. - Mieszkają niedaleko od ciebie, są starsi i rodzice ich nie pilnują. W każdej chwili mogą przyjść do twojego domu i spuścić ci łomot.

- Więc co mam robić? Przeprowadzić się do innego miasta? Paul wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Na szczęście to nie mnie chcą załatwić.

Weszli przez otwartą bramę na plac zabaw. Jimmy obejrzał się przez ramię na szkołę za siatkowym

ogrodzeniem. Z tego miejsca wyglądała jak więźnia i czuł się tam jak w więzieniu.

- Może powinieneś wziąć w lecie lekcje boksu albo czegoś takiego podsunął Paul. - Wtedy ty im dołożysz. - Tak, jasne - mruknął

Jimmy z rezygnacją i skręcił w stronę domu. >o jutra.

- Jeśli wcześniej nie zginiesz - zarechotał Paul. Ruszył w przeciwną stronę, do własnego domu. - Na razie.

- Nara - odparł Jimmy.

Szedł powoli, wpatrując się w ziemię. Przynajmniej Paul nie zmuszał go do rozmowy o Dusty. Całe szczęście. Wiedział, że śmierć jego psa stanowi w szkole temat numer jeden i chociaż sam nie chciał o tym rozmawiać, nie mógł uniknąć podsłuchiwanie rozmów innych dzieci.

Wielu uczniów, szczególnie dziewczynki, omijało go z daleko od tamtego czasu, starało się go unikać, jakby się go bali. Krążyły pogłoski o czarownicach, zaklęciach, demonach. Żaden człowiek nie mógł wywrócić psa na lewą stronę, szeptali uczniowie.

Jimmy wiedział, że to tylko głupie gadanie, ale i tak go przerażało. Nie mógł nic poradzić. Nie wierzył, że Dusty zabiło coś nadnaturalnego, ale nie przypuszczał też, że to sprawka Samsona i Halbacka. Nie wiedział, kto popełnił morderstwo, dlatego się bał. Chciał, żeby wszystko zostało wyjaśnione do końca. Chciał, żeby złapali zabójcę i wsadzili do więzienia.

Nagle poczuł się samotny, bezbronny. Przyspieszył kroku i próbował nie myśleć o Dusty, próbował o niczym nie myśleć.

Ojciec był w domu.

Idąc ulicą, Jimmy zobaczył oldsmobile'a zaparkowanego na podjeździe i frontowe drzwi otwarte. Nie wiedział, czy powinien się cieszyć czy bać. Ojciec tak rzadko wracał z pracy punktualnie albo wcześniej, że to stanowiło wyjątkowe wydarzenie, może nawet powód do zmartwienia.

Może ta kobieta z nim jest, pomyślał Jimmy.

Ale kobieta zjawiała się tylko dwa razy od czasu tamtej pierwszej nocy, a w zeszłym tygodniu wcale nie przychodziła.

Niemniej Jimmy umyślnie głośno upuścił książki, odchrząknął i narobił mnóstwo ostrzegawczego hałasu, zanim podszedł do drzwi. Sięgnął do drzwi siatkowych, spodziewając się, że są zamknięte na klucz, i chciał już nacisnąć dzwonek, ale ku jego zdumieniu siatkowe drzwi okazały się otwarte. Wszedł do domu.

- Tato?

Nie było odpowiedzi i nagle ogarnęło go zdenerwowanie. Ani Cathy, ani policja nie pozwolili mu

zobaczyć Dusty, ale w wyobraźni stworzył sobie szczegółowy obraz zabitego psa na podstawie opisów, które słyszał. Teraz wyobraził sobie ojca w takiej samej sytuacji - leżącego za drzwiami, wywróconego na lewą stronę, przenicowanego niczym jakiś okropny śliski, czerwony manekin. Przystanął obok kanapy i starannie położył

książki na najbliższej poduszce. Pomyślał, że może lepiej pójść po Cathy.

Nie, to dziecinne zachowanie. Z napiętymi mięśniami zmusił się, żeby powoli przejść parę kroków, gotów w każdej chwili odskoczyć i popędzić do drzwi, gdyby zobaczył coś niezwykłego.

Ostrożnie wyrzął za róg salonu do kuchni.

Ojciec siedział przy stole, wyglądając przez okno z zaaferowaną miną, z kubkiem kawy w ręku. Na stole przed nim leżało olbrzymie pudło klocków lego: średniowieczny zamek z murami obronnymi i figurkami żołnierzy.

Taki, o jaki Jimmy prosił na gwiazdkę, ale go nie dostał.

- Tato? - zagadnął nerwowo.

Ojciec skupił na nim spojrzenie i się uśmiechnął.

- Jak tam w szkole?

- Dobrze - odparł Jimmy. Nie wiedział, co powiedzieć. Coś tu nie grało, ale nie umiał tego określić.

- Dzwoniłem w sprawie Dusty - zaczął ojciec. - Już została skremowana. Przepisy nie pozwalają pochować jej obok domu.

To wszystko? Jimmy poczuł, że ciężar spadł mu z serca.

Wiadomość zła, ale nie taka okropna, jak się obawiał. Tego przynajmniej mógł się spodziewać. Sam nie wiedział, czego się bał, ale to było coś niewyobrazalnie złego. Poczuł pustkę w środku na myśl o Dusty skremowanej samotnie, z dala od rodziny, lecz mimo wszystko trochę się odprężył.

Ojciec odchrząknął z zażenowaniem.

- Ee... kupiłem ci to dzisiaj. Wiem, że bardzo chciałeś dostać taki zamek.

Jimmy skinął głową w podzięcie, chociaż nie czuł wdzięczności.

Chciał zestaw lego na gwiazdkę i pewnie nadal chciał go mieć albo chciałby w innych okolicznościach, ale w tej sytuacji prezent wydawał się rażąco niestosowny, równie atrakcyjny jak zwierzęta cola.

- Dzięki, tato - bąknął.

Ojciec nie odpowiedział, tylko wstał, okrążył stół i podszedł do syna. Po raz pierwszy od długiego czasu nie cuchnął piwem i alkoholem. Niezręcznie objął syna długimi ramionami, przytulił go, uściskał. To był dziwaczny gest, nienaturalny i koturnowy, wykonany w nieodpowiedniej chwili i pewnie z nieodpowiednich powodów, ale Jimmy odruchowo odwzajemnił uścisk. Mocno zamknął oczy, żeby uwięzić pod powiekami łzy, ale wkrótce popłynęły po policzkach i przywierając do ojca, Jimmy głośno szlochał.



PO PRACY CATHY POSZŁA Z ANN COŚ PRZEKAŚCIĆ.

Ponieważ obie musiały się liczyć z groszem i żadna nie lubiła śmieciarskiego jedzenia, postanowiły pójść do Garcii.

Meksykańskie jedzenie było jednocześnie sycące i stosunkowo niedrogie. Mogły zamówić coś taniego i dopchać się darmowymi tortillami z sosem.

W restauracji panował tłok i musiały czekać piętnaście minut w grupie ponurych biznesmenów oraz szczęśliwych zakochanych par, zanim hostessa w wieku licealnym posadziła je przy małym stoliku na środku głównej sali. Natychmiast podszedł do nich hiszpański pomocnik kelnera z koszyczkiem tortilli i dwiema małymi miseczkami sosu.

- Przychodziłam tu na randki - powiedziała Ann, kiedy pomocnik kelnera nalewał im wody.

Cathy się uśmiechnęła.

- Powinnaś mnie uprzedzić. Nie chcę wywoływać złych wspomnień.

- Daj mi klapsa, jeśli zacznę marudzić.

Cathy zanurzyła tortillę w czerwonym sosie i ugryzła. Był tak ostry, że musiała wziąć duży łyk wody, żeby ugasić pożar na języku. Rozejrzała się po sali. Przy stoliku po przekątnej siedzieli dwaj młodzi, dwudziestokilkuletni mężczyźni w czerwono-żółtych koszulkach Sun Devil, oznaczających studentów uniwersytetu stanu Arizona. Ten siedzący przodem do Cathy kiwnął jej głową z uśmiechem, potem nachylił się do przodu, żeby powiedzieć coś do kolegi. Cathy szybko odwróciła wzrok i skupiła uwagę na koszyczku tortilli. Sięgnęła po wodę i wypiła łyk.

- Ci dwaj faceci gapią się na nas.

Ann rozejrzała się po sali, dyskretnie ich obserwując.

- Są fajni - oceniła, odwróciwszy się z powrotem do Cathy. — Ale wyglądają trochę na mięśniaków.

Cathy zerknęła w stronę drugiego stolika. Młody człowiek podniósł rękę w subtelnym pozdrowieniu - Jego kolega odwrócił

się i obdarzył ją uśmiechem. Zarumieniona Cathy schyliła głowę nad menu.

Ann zachichotała.

- Godowe rytuały amerykańskich mieszcuchów.

- Bardzo śmieszne.

- W końcu — ciągnęła Ann - zawsze najpierw zwraca się uwagę na wygląd fizyczny. Nie można budować związku na pociągu fizycznym, ale jeśli nie jesteś ślepa, widzisz kogoś, zanim z nim porozmawiasz, zanim go poznasz. Uważamy się za cywilizowanych i wysoko rozwiniętych, ale jeśli się zastanowić, niezbyt daleko odeszliśmy od zwierząt

- Antropologia kultury, co? Ann się roześmiała.

- Też chodziłaś na te zajęcia?

- Są obowiązkowe.

Zjawiała się kelnerka, żeby przyjąć zamówienia. Cathy szybko przejrzała menu, podczas gdy Ann zamawiała. Zdecydowała się na sałatkę taco i dużą mrożoną herbatę. Kelnerka uśmiechnęła się do nich, przedstawiła się, zabrała menu i odeszła. Ann posoliła tortillę i nabrała nią jak łyżką pokąsną porcję sosu.

- A jak tam twój ojciec? Cathy wzruszyła ramionami.

- Bez zmian. Zręczliwy, samolubny, nieznośny. Jak zwykle.

- Myślałaś kiedyś, żeby się wyprowadzić? Znaleźć własne mieszkanie? Pokręciła głową.

- Nie mogę go tak zwyczajnie zostawić.

- To nie powód, żeby znosić jego fochy. Ty też masz swoje prawa.

Każ mu się poprawić albo do widzenia.

Cathy się uśmiechnęła.

- To nie takie proste. Poza tym on mnie potrzebuje. Potrzebuje mojej pomocy przy różnych rzeczach, żebym mu gotowała, żebym mu pomagała finansowo. Z renty inwalidzkiej nie wyżyje, sama wiesz.

- Wiec wynajmij mieszkanie w pobliżu. Będziesz dalej mu pomagać, będziesz obok w razie czego, ale będziesz miała własny kąt

- Bogu wiadomo, że często o tym myślałam.

- Więc czemu nie? Nie musisz robić z siebie męczennicy. Cathy spojrzała podejrzliwie na Ann.

- Skąd to nagle zainteresowanie moją przeprowadzką?

- Przejrzałaś mnie - zaśmiała się Ann. - Sama chcę się wyprowadzić i potrzebuję współlokatorki. Nie stać mnie na własne mieszkanie. Nie z tego, co zarabiam w księgarni.

Cathy to pochlebiło, ale również zdziwiło. Zerknęła na młodszą dziewczynę pałaszującą tortille i poczuła, że bardzo chciałyby zamieszkać z Ann.

Ale czy mogła z czystym sumieniem zostawić ojca? I czy powinna? Owszem, był okrutny i bezmyślny, ale to jej ojciec i ma wobec niego zobowiązania.

- Daj mi trochę czasu, muszę się zastanowić - powiedziała i sama się zdziwiła, że wystarczyło jej odwagi nawet na taką deklarację.

Ann kiwnęła głową.

- Zgoda. Pewnie i tak to nie będzie szybko. Myślałam o lipcu, może sierpniu.

Po chwili kelnerka przyniosła im zamówienia.

- Proszę uważać - ostrzegła, stawiając przed nimi jedzenie. -

Talerze są gorące.

- Możemy dostać jeszcze trochę sosu? - poprosiła Ann.

- Jasne. Podać coś jeszcze? Ann pokręciła głową.

- Na razie dziękujemy.

Kelnerka odeszła i Cathy spojrzała na ich posiłek.

- Obie zamówiliśmy sałatki taco - stwierdziła. - Jakim cudem talerze mogą być gorące?

- Odruch Pawłowa. - Ann sięgnęła po widelec. - Ona pewnie mówi to samo za każdym razem, kiedy stawia talerz przed gościem.

Przez chwilę jadły w milczeniu. Kelnerka wróciła z następną miseczką sosu, który Ann szybko wylała na swoją sałatkę.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że na twojej ulicy popełniono morderstwo, kilka domów od ciebie.

Cathy starała się unikać tego tematu jak ognia, nie lubiła o tym mówić i znowu irracjonalnie przypomniał jej się David. Niemniej uśmiechnęła się dzielnie.

- Szatan z Phoenix.

- Musieli go jakoś nazwać. Trzeba przecież sprzedawać gazety, zapewnić wysoką oglądalność. - Ann wzięła kęs jedzenia. - Ale ciągle nie mogę uwierzyć.

- Ja też.

- Nie boisz się? No wiesz, jeszcze go nie złapali. Może on właśnie teraz czyha pod twoim domem, zaczajony na podwórzu.

- Wielkie dzięki.

- Nigdy o tym nie myślisz?

- Oczywiście, że myślę. Ale policja stale patroluje okolicę, ja zamykam na noc wszystkie okna i drzwi na klucz i staram się wracać przed zmrokiem. Co jeszcze mogę zrobić? Nie chowam głowy w piasek, ale nie pozwolę, żeby strach rządził moim życiem. Jeśli ciągle będę o tym myśleć, wpadnę w nerwicę. I tak już się boję.

- Modlę się tylko, żeby złapali tego faceta. Ja też się boję. I nie chcę poznawać nowych mężczyzn. Trzymam się facetów, których znam od dawna. Nigdy nie wiadomo, kogo spotkasz. To niebezpieczne.

- Chyba że się umawiasz z gliniarzem.

- Z gliniarzem? Kto chciałby się umawiać z gliną? Cathy zmilczała.

- I nikt nie wie, jak ten psychol wygląda. Może wyglądać całkiem zwyczajnie. Może być wszędzie.

- Dzięki - powtórzyła Cathy. - Muszę jeszcze iść do sklepu i kupić coś do jedzenia.

Ann się zaśmiała.

- Jedz szybciej - poradziła.

Rzeczywiście zjadły szybko i chociaż rozmawiały nie całkiem serio, Cathy cieszyła się, że nadchodzi lato i dni stają się dłuższe.

Zanim jednak wyszły z restauracji, zapadł zmierzch. Pożegnały się i każda poszła do swojego samochodu. Cathy natychmiast pojechała do Bayless, gdzie kupiła zapas żywności na następnych kilka dni.

Ojca nie zastała w domu. Rozejrzała się za kartką na lodówce czy kuchennym stole, ale nic nie znalazła. Oczywiście. Jeśli wcześniej nie zostawił jej wiadomości przez niedbalstwo, teraz postępował

tak umyślnie, na złość, żeby jej sprawić jak najwięcej kłopotów.

Postawiła torbę z zakupami na blacie obok zlewu i poszła przynieść dwie pozostałe torby z samochodu. Wyjęła najcięższą z tylnego siedzenia i biodrem zatrzasnęła drzwi.

Po drugiej stronie ulicy rozległy się krzyki. Chociaż nie miała pewności, wrzeszczący głos należał chyba do Katriny West.

Pewnie wrzeszczy na Randy'ego, pomyślała.

Tydzień wcześniej, przed napaścią na Jimmy'ego, rozgniewałyby ją takie wrzaski, oburzyłyby się na Katrinę za okrucieństwo i znęcanie się nad synem.

Teraz pomyślała, że chłopiec pewnie sobie zasłużył.

Weszła do domu, ustawiła torbę na ladzie, po czym wróciła po ostatni ładunek. Dźwigając torbę w jednym ręku, drugą zamykała samochód i rzuciła okiem na dom Lauterów.

Dom Lauterów.

Dziwne, że wciąż myślała o nim jak o domu Lauterów, chociaż teraz należał do Westów. Trudno się pozbyć starych nawyków.

Nazywała go domem Lauterów przez dwadzieścia lat, więc pewnie będzie go tak nazywać do śmierci.

Może jednak miała trochę słuszności. Chociaż dom zmienił

właścicieli, zachował wiele ze swojego pierwotnego charakteru i pomimo nowych zasłon oraz śladów modernizacji nie zmienił się w jej wyobrażeniach. Nawet jeśli nie był nawiedzony w tradycyjnym sensie, z pewnością roztaczał taką atmosferę.

Wrzaski ucichły. Cathy zniosła do domu ostatnią torbę z zakupami i postawiła ją na stole. Zastanawiała się, gdzie jest ojciec. Pewnie w klubie, doszła do wniosku. Ostatnio rzadko wychodził gdzie indziej.

W drodze ze sklepu niemal wyperswadowała sobie pomysł

przeprowadzki i postanowiła zostać z ojcem, ale teraz pomysł

zamieszkania oddzielnie wydał jej się usprawiedliwiony. Miała już serdecznie dość jego zachowania. Miała już powyżej uszu traktowania jej jak śmiecia. Nie spodziewała się wdzięczności ani podziękowań; to nie leżało w naturze ojca. Ale oczekiwała przynajmniej trochę grzeczności, a po tych morderstwach zwykła przyzwoitość wymagała, żeby informował, dokąd się wybiera.

Wprawdzie nie mogła się z nim dogadać, ale wciąż się o niego martwiła. Nie musiał jej prosić o pozwolenie, jednak powinien przynajmniej uprzedzić o swoich planach.

Pochowała zapasy, poszła do bawialni i włączyła telewizor.

Trafiła na wiadomości i znowu głównym lokalnym tematem były poszukiwania Szatana z Phoenix. Policja, mówił prezenter, koncentruje wysiłki na wschodzie doliny. W Mesa jakaś kobieta została napadnięta przez dobrze ubranego mężczyznę w średnim wieku na parkingu Fiesta Mail, a w Apache Junction zaginęło dziecko. Właściwie nic nie świadczyło o związku tych dwóch incydentów z Szatanem, policja jednak na tym etapie nie mogła ryzykować. Pokazano portret pamięciowy napastnika, sporządzony na podstawie zeznań poszkodowanej kobiety; apelowano, żeby każdy, kto widział

mężczyznę odpowiadającego temu opisowi, zgłosił się na policję w Mesa lub Phoenix.

Cathy wzięła program telewizyjny ze stolika. Nie miała teraz ochoty oglądać wiadomości. Obejrzy później, o dziesiątej.

Przejrzała program. Na kanale piątym leciała Deszczowa piosenka, pewnie pocięta na strzępki, żeby zrobić miejsce dla reklam, ale lepsza zła Deszczowa piosenka niż żadna. Przełączyła kanał i zaczęła oglądać.

Ojciec wrócił do domu godzinę później, ale chociaż go zawołała, poszedł prosto do swojego pokoju bez słowa i zamknął drzwi.

Cathy skończyła oglądać film, obejrzała powtórkę starego Bob New-hart Show, potem wiadomości i też poszła do łóżka.

Znowu przyśnił jej się David.

W sennym koszmarze David przyszedł po nią. Znowu miała trzynaście lat. Byli sami w domu, on stał w korytarzu przed jej sypialnią. Przez szparę w drzwiach widziała, jak przyciskał ręce do rozporoka dzinsów. Coś się tam wyrzuślało, podłużny kształt.

Cienka warstewka potu pokrywała twarz Davida. Zobaczył, że Cathy wygląda przez szparę, więc szybko zamknęła drzwi.

- Chodź! - zawołał, niemal zaskomlał. - Spodoba ci się! Będzie fajnie!

Zaparła się plecami o drzwi i trzymała z całej siły, ale on miał jej więcej. Drzwi zaczęły się otwierać centymetr po centymetrze.

A potem była w łazience, siedziała na sedesie z majtkami spuszczoneymi do kostek. Sikala i strumyk moczu pluskał

melodyjnie, wpadając do wody w misce klozetowej.

Drzwi rozwarły się szeroko i na progu stanął David z trójką kolegów. Gapił się na nią, chichotał i pokazywał palcem, a ona czuła się brudna, wstydziła się siebie, wstydziła się, że jest dziewczyną, David i jego koledzy rechotali szyderczo.

Cathy zbudziła się spocona, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, i minęło dużo czasu, zanim znowu zasnęła.

## HALO

Cathy podniosła wzrok znad kontuaru, gdzie sprawdzała listę nowych książek. Allan Grant stał przed nią z przyjaznym uśmiechem na twarzy.

- Nie wiedziałem, że pani tu pracuje.

Cathy w milczeniu kiwnęła głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

Czuła ciepło rozchodzące się po policzkach.

- Często tu przychodzę. Nigdy wcześniej pani nie zauważyłem.

- Ja też nigdy pana nie widziałam.

- Zawsze tak jest. Jeśli już zwrócisz na coś uwagę, wszędzie zaczy-nasz to widzieć. Kilka lat temu, kiedy kupiłem samochód, nagle wszędzie zacząłem widywać bronco. Jakby ludzie tylko nimi jeździli. Jakieś sześć czy siedem lat temu zobaczyłem obraz Dana Naminghiego w czasopiśmie o sztuce i bardzo mi się spodobał.

Potem odkryłem, że jego prace wiszą w galeriach w całym Scottsdale, a ja po prostu ich nie zauważyłem. - Pokręcił głową. -

Przychodziłem do tej księgarni ze czterdzieści czy pięćdziesiąt razy. Pewnie nawet kupowałem książki od pani. Ale nigdy pani nie widziałem. - Zaśmiał się swobodnie. - Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

- Nie szkodzi - powiedziała Cathy.

Próbowała się uśmiechnąć, lecz z mizernym skutkiem.

Denerwowała się, że twarz ją zdradza i że on czyta w niej jak w otwartej książce. Ręce jej trochę drżały, więc oparła je na kontuarze.

- Oczywiście wszystko zależy od okoliczności. Niemo kiwnęła głową.

- Czym mogę służyć? Czego pan szuka?

Wzdrygnęła się wewnętrznie. Przejście było zbyt nagłe, zbyt niezręczne. Jak zwykle wszystko psuła przez brak towarzyskiego obycia. Allan jakby nic nie zauważył.

- Właśnie mam przerwę na lunch i pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, czy macie tę nową książkę o ekspresjonizmie. Podobno jest bardzo dobra. - Spojrzał na nią pytająco. - Interesuje się pani sztuką?

- Nie - przyznała. - Nie bardzo się na tym znam.

- Jedna z głównych wad systemu szkół publicznych.

- Chodziłam do szkoły katolickiej.

- Naprawdę? Ja też. Nie byłem katolikiem, ale przyjmowali każdego, kto zdał egzaminy wstępne, a moi rodzice uważali, że dzieci po szkole parafialnej mają większe szanse dostać się na dobrą uczelnię. - Uśmiechnął się. - Więc poszedłem na uniwersytet stanowy, zrobiłem dyplom z kryminalistyki, dodatkowo zaliczyłem historię sztuki i zostałem policyjnym detektywem.

- Ja też chodziłam na uniwersytet stanowy.

- Świat jednak jest mały. Z czego pani robiła dyplom?

- Z anglistyki. - Uśmiechnęła się skromnie. - Więc zostałam sprzedawczynią.

Allan roześmiał się i ten szczery, niewymuszony śmiech sprawił, że Cathy trochę się odprężyła.

- Jak idzie śledztwo? - zagadnęła. - Zbliżacie się do wykrycia tego... mordercy?

Uśmiech zgasł i twarz Allana przybrała twardego wyraz.

Odpowiedział poważnym, niemal ponurym tonem:

- Nie wolno mi nic mówić. Szef już jest na mnie cięty. Ale prawdę powiedziawszy nie, wcale się nie zbliżyliśmy.

Cathy natychmiast pożałowała, że poruszyła ten temat.

- Kimkolwiek jest ten facet, jest dobry. Prawie jak ktoś z filmu o Sherlocku Holmesie albo kiepskiego kryminału. On po prostu nas omija, nie zostawia żadnych śladów, a my błądzimy po omacku.

- Szatan z Phoenix.

- Proszę! - Allan przesadnym gestem zakrył sobie oczy. - Nie chcę słyszeć tego określenia. - Odjął rękę od oczu. - Ta nazwa doprowadza mnie do szału. Jak z artykułu w „National Enquirer”.

- Uśmiechnął się. - Co u Jimmy'ego? Dzwoniłem do jego domu kilka dni temu, ale nikt nie odebrał. Spróbuje jeszcze raz.

Chciałem się z nim skontaktować i sprawdzić, jak on sobie radzi.

- Dobrze - odparła Cathy. - Znacznie lepiej niż się spodziewałam.

Był bardzo przywiązany do Dusty.



- Tak myślałem.

- To dzielny chłopczyk. Odważny i wytrzymały znacznie ponad swój wiek. Przeżył kilka ciężkich lat.

- Dlaczego? Przez ojca?

Cathy przyjrzała się twarzy Allana.

- Tak - przyznała ostrożnie.

Allan chyba chciał coś dorzucić, zadać jakieś pytanie, ale powiedział tylko:

- Przynajmniej Jimmy ma taką przyjaciółkę jak pani. W tym mu się poszczęściło.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, tym razem bez żadnego przymusu.

- Chciałam panu podziękować, że pan go tak życzliwie przyjął w swoim biurze. Tak życzliwie przyjął nas oboje. Dorośli jakoś nie traktują dzieci poważnie. Nie wiem, dlaczego. Może zapomnieli, jak to jest w tym wieku. Ale dzieci nie lubią, kiedy się na nie patrzy z góry. Chcą, żeby z nimi rozmawiać jak równy z równym.

Właśnie tak pan rozmawiał z Jimmym.

- Może pani powinna być nauczycielką. Pokręciła głową.

- Stać przed całą klasą i gadać przez osiem godzin dziennie? Nie jestem taka przebojowa.

- Mogłaby pani samą siebie zadziwić. - Spojrzał na zegarek. -

Przepraszam. Robi się późno, nie mam za dużo czasu. Ostatnio jesteśmy bardzo zabiegani. Muszę wrócić na komendę przed pierwszą. Może mi pani powiedzieć, czy już jest ta książka?

- Zna pan tytuł?

- Nie, niestety. Ale wiem, że ma w tytule słowo „ekspresjonizm”.

Cathy spojrzała na listę nowości przed sobą, ale nic nie znalazła.

Sięgnęła pod kontuar po wydruk od dystrybutora, sprawdziła spis tytułów i tematów.

- Jest jedna zatytułowana po prostu Ekspresjonizm.

- To ta.

- Powinna tu być — powiedziała Cathy - ale jej nie widziałam.

Spraw-

dzę na zaplecza.

- Okej

Allan wziął magazyn "Us" i zaczął kartkować, a ona pospiesznie ruszyła środkową alejką do magazynu.

- Niezły facet - skomentowała Ann, kiedy Cathy ją mijiała.

- Gliniarz - odpowiedziała.

Pchnęła drzwi magazynu i przeszła przez całe pomieszczenie do działu literatury faktu. Część książek ustawiono alfabetycznie na półkach, ale większość wciąż pozostawała w skrzyniach.

- Cholera - mruknęła Cathy. Jeff powinien rozpakować te skrzynie dwa dni temu.

- Teraz rozumiem aluzję do gliniarza.

Ann opierała się o framugę. Porozumiewawczo kiwnęła głową. -

Jaką aluzję?

Cathy przejrzała książki na półkach. Ekspresjonizm. Znalazła.

Sięgnęła i zdjęła książkę.

- Wtedy wieczorem przy obiedzie. Powiedziałam, że niebezpiecznie poznawać nowych mężczyzn, kiedy morderca jest na wolności. Ty odpowiedziałaś, że bezpiecznie można się spotykać z gliniarzem.

Cathy wyjęła długopis z kieszonki koszuli i postawiła znaczek obok tytułu książki na tymczasowym spisie magazynowym wiszącym na słupku regału.

- Nagrywasz wszystko, co mówię?

- Nie, ale to było na tyle interesujące, że zapamiętałam. Nieczęsto rozmawiamy na te tematy. Zaciekawilo mnie, co się dzieje. - Ann wzięła się pod boki gniewnym gestem, ale na jej ustach igrał

uśmiech. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że się z kimś spotykasz?

- zapytała z udawanym oburzeniem. - Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

- Z nikim się nie spotykam. To jest porucznik, który prowadzi tę sprawę. Poznałam go, kiedy zabito psa Jimmy'ego.

- Ale jesteś zainteresowana. Przyznaj się.

- Nie jestem. Wypuść mnie stąd. On czeka.

Cathy przecisnęła się obok Ann i pchnęła drzwi ramieniem. Allan wciąż przeglądał „Us”, szybko przerzucał strony, widocznie nie znalazł nic ciekawego w magazynie.

- Proszę bardzo. - Cathy podeszła do kontuaru i podała książkę Allanowi. - Sporo kosztuje, poruczniku. Trzydzieści pięć dolarów.

- Rzeczywiście sporo - przyznał. - Ale proszę nie mówić do mnie

„poruczniku”. Pani tu pracuje, nie ja. W wolnym czasie jestem Allan.

- Okej. - Cathy się uśmiechnęła. - Niech pan to przejrzy i sprawdzi, czy jest pan zainteresowany.

- Dzięki. - Allan ostrożnie położył książkę na szklanym kontuarze, otworzył na spisie treści, przestudiował tytuły rozdziałów i podrozdziałów, po czym zaczął przeglądać kolorowe ilustracje w teksie. - Nigdy pani nie słyszała o ekspresjonizmie?

- Tego nie mówiłam. Oczywiście, że słyszałem, i pewnie potrafię, go rozpoznać. Po prostu nie znam się specjalnie na malarstwie.

- Przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć.

- Nie. to Ja przepraszam - bąknęła zaczerwieniona Cathy. Wstyd jej się zrobiło, że wyszła na taką nadętą snobkę. Znowu wszystko schrzaniła.

- Cześć!

Cathy podniosła wzrok znad książki i zobaczyła Ann podchodzącą do kontuaru. Wbrew sobie poczuła ostre ukłucie zazdrości, kiedy młodsza dziewczyna stanęła obok niej, Ann nie nosiła staniku i kontury jej dużych piersi odznaczały się wyraźnie pod cienką bluzką. Sama sobie się dziwiła, ledwie mogła uwierzyć we własną reakcję,

Wprawdzie nie chciała się przyznać, ale była zainteresowana.

- Cześć - odpowiedział Allan.

Cathy poczuła ściskanie w żołądku, Ann oczaruje Allana tak, jak czarowała wszystkich innych.

- Więc pan jest tym porucznikiem, o którym opowiada Cathy,

-Uśmiechnęła się promiennie,

Cathy wytrzeszczyła na nią oczy ze zgrozą. To niemożliwe. Stała jak przykuta do miejsca, oniemiała, sparaliżowana strachem.

Allan wydawał się zdziwiony.

- Co?

Cathy chciała się zapaść pod ziemię. Spojrzała błagalnie na Ann, próbując ją zmusić, żeby się zamknęła, żeby nic już nie mówiła, ale ona tylko się uśmiechnęła.

- Och, nic - odparła niewinnie.

Cathy spiorunowała ją wzrokiem. Ann ruszyła z powrotem alejką, jakby nic się nie stało. Cathy spuściła oczy na książkę o malarstwie, zbyt zażenowana i onieśmielona, żeby spojrzeć na Allana. Zauważyła, że jego dłonie znieruchomiały i już nie przewracają stronic. Zamknęła oczy i zapragnęła, żeby to był sen, nie rzeczywistość.

Przełknęła ślinę i zmusiła się, by podnieść wzrok, przygotowana na zmieszanie, zakłopotanie, nawet pogardę w twarzy Allana. Nie spodziewała się zobaczyć lekkiego rozbawienia.

- Opowiada pani o mnie, he? - Zaśmiał się. - No, skoro o tym mowa, co pani robi na obiad dziś wieczorem?

To również jest niemożliwe.

- Nic — usłyszała własny głos.

- Pójdziemy coś zjeść?

Naprawdę potrzebowała czasu, żeby się przygotować, żeby wszystko przemyśleć, żeby zaplanować swoje reakcje, opracować swoje odpowiedzi, ale wiedziała, że to niemożliwe. Wymyślone scenariusze można odgrywać w nieskończoność, przeciwiczyć do perfekcji, lecz prawdziwe życie wymaga szybkich wyborów, natychmiastowych decyzji. Odruchowo, niemal bez udziału woli kiwnęła głową.

- Jasne.

- W porządku, więc jesteśmy umówieni. - Allan zamknął książkę i popchnął w jej stronę. - Muszę już iść, ale chcę ją kupić. Może ją pani dla mnie odłożyć?

- Nie ma sprawy.

- Potrzebuje pani mojego nazwiska czy czegoś takiego?

- Znam pana nazwisko.

- Racja. - Pokręcił głową, stuknął się w czoło. - Alzheimer. Przyjechać tu po panią około siódmej?

- Kończę o piątej.

Więc zabiorę panią z domu.

- Okej. - Sięgnęła po długopis i kartkę papieru.

- Znam pani adres - przypomniał jej Allan. - Przyjmowałem pani zeznanie, pamięta pani?

Uśmiechnęła się.

- Alzheimer.

- No, przynajmniej mamy coś wspólnego. - Spojrzał na zegarek.

-Muszę lecieć. Do zobaczenia wieczorem.

- Okej.

- Do widzenia - powiedział. - Cathy.

Odprowadzała go wzrokiem, kiedy wychodził, i znowu czuła rumieniec na policzkach. Pomachał do niej, a ona odmachwała.

Wszystko działo się o wiele za szybko. Nie mogła złapać tchu i nagle nabrała pewności, że podjęła złą decyzję. Nie powinna się z nim umawiać na wieczór. Prawie go nie знаła. Był policyjnym detektywem i chodził do katolickiej szkoły. Na tym kończyła się jej wiedza o tym człowieku.

Był policyjnym detektywem.

Policjant.

To ją przerażało. Nigdy nie czuła się swobodnie w towarzystwie policjantów i chociaż Allan nie bardzo przypominał gliniarza, właściwie wcale nie przypominał gliniarza, wiedziała, że zbyt pochopnie przyjęła jego zaproszenie.

Panno Riley? Mam złe wiadomości.

Przeszła na drugi koniec kontuaru, żeby jakoś rozładować napięcie. A jeśli się okaże, że nie mają ze sobą nic wspólnego? A jeśli nawet się nie polubią?

Ann wróciła, skradając się ostrożnie alejką, jakby podchodziła do głodnego lwa. Przybrała skruszoną minę, spod której przebijało wyraźne zadowolenie.

- Przepraszam, bardzo żałuję. - Mówiła melodramatycznie cienkim i nieśmiałym głosem małej dziewczynki.

Cathy spojrzała na Ann i odkryła, że mimo wszystko nie może się na nią gniewać. W głębi duszy była wdzięczna przyjaciółce, chociaż nie chciała się do tego przyznać. Policjant czy nie, Allan jej się podobał.

- Wcale nie żałujesz - burknęła Ann się roześmiała.

- No nie, nie żałuję. Wiedziałam, że nie wystarczy ci asertywności.

Potrzebowałaś, żeby ktoś cię popchnął, więc ci pomogłam. Ale przepraszam, jeśli poczułaś się skrępowana. Nie chciałam cię urazić.

- Wiem. - Cathy westchnęła. - No więc teraz mam randkę dziś wieczorem.

- Wiedziałam! - zawołała Ann. - Mogłam się domyślić!

- Nie wiem, czy powinnam iść.

- Dlaczego? - Ann była zszokowana.

- O czym mam rozmawiać? Nawet go nie znam. A jeśli nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego?

- Kto nic nie ryzykuje, ten nic nie ma - stwierdziła Ann. Cathy tylko na nią popatrzyła.

- Słuchaj, na pierwszej randce zawsze jest o czym rozmawiać.

Wtedy zadajesz wszystkie pytania i poznajesz mroczną przeszłość faceta. To jak egzamin. Jeśli zda, spotkasz się z nim znowu.

- A jeśli ja nie zdam? Ann pokręciła głową.

- Musisz myśleć pozytywnie.

Do sklepu weszła klientka, kobieta w średnim wieku szukająca najnowszej książki Jackie Collins, więc Ann zaprowadziła ją do sekcji książek w twardych oprawkach. Cathy została za kontuarem i próbowała myśleć pozytywnie. Podobał jej się Allan Grant i chciała też mu się spodobać, ale nie mogła się pozbyć dręczącego przeświadczenia, że popełniła poważny

W DRODZE DO SAMOCHODU ALLAN ZASTANAWIAŁ SIĘ, dlaczego

właściwie zaproponował Cathy Riley randkę. Zwłaszcza teraz.

Owszem, była atrakcyjna i chciał ją poznać lepiej. Była też nieśmiała, niemal zahukana, co uznał za dziwnie odświeżające po różnych płytkich, lecz towarzysko wyrobionych panienkach, z którymi się umawiał w przeszłości. Ale zdawał sobie sprawę, że przy tych wymagających żmudnego śledztwa morderstwach zabraknie mu czasu na pielęgnowanie tej znajomości. Pewnie będzie musiał odwołać co najmniej połowę randek - rzecz zwyczajna dla gliniarza nawet w normalnych okolicznościach - i kiedy kilka razy wystawi Cathy do wiatru, rozczarowana dziewczyna nie zechce go więcej widzieć. To już mu się zdarzało w znacznie spokojniejszych okresach życia. Ale wciąż chciał się z nią spotkać.

Dziwna dziewczyna... Bez wątplenia. Wtedy w swoim biurze, kiedy z nią rozmawiał, wydawała się skrępowana i zdenerwowana, rzadko

spoglądała mu w oczy i natychmiast odwracała wzrok. Nawet teraz, w księgami, wyglądała na przerażoną, kiedy zjawiała się jej koleżanka.

Allan uśmiechnął się do siebie. Podobała mu się mimo wszystko.

Chociaż na pozór pełna zahamowań, wydawała się interesująca i inteligentna. To byłby nie lada wyczyn sprawić, żeby wyszła ze swojej skorupy, ale miał przecucie, że gra jest warta świeczki. W dodatku wyglądała na „miłą dziewczynę”, jak to eufemistycznie określała jego matka. Rzadkie znalezisko w tych czasach, zwłaszcza dla policjanta. Gliniarze zazwyczaj nie obracają się w wytwornym towarzystwie i na ogół spotykają się z kobietami stojącymi tylko o jeden szczebel wyżej od tych, które aresztują.

Dlatego właśnie departament w zeszłym roku sponsorował

bezpłatne

badania na AIDS, opryszczkę i choroby weneryczne.

I dlatego Allan natychmiast się przebadał.

Wsiadł do samochodu i pojechała z powrotem na komendę.

Pomimo wszelkich zastrzeżeń nie żałował, że umówił się z Cathy.

Cieszył się, że to zrobił. I ciągle o niej myślał, kiedy włączył

klimatyzację i skręcił na południe do śródmieścia Phoenix.

Trzej członkowie Kościoła Iwaspo stali przed Allanem, ubrani od stóp do głów w czerń. Każdy ze starszków miał długą siwą brodę i nosił iden-tyczny biały krucyfiks, zawieszony na szyi na srebrnym łańcuszku. Joseph, rzecznik grupy, gadał bez przerwy od kwadransa i chociaż Allan już po pierwszej minucie chciał go wyrzucić razem z kumplami na zbity pysk, zmusił się do obiektywnego podejścia, zachował obojętny wyraz twarzy i pozwolił Iwaspo rozwijać jego dziwaczną teorię. Joseph najwyraźniej wierzył w każde swoje słowo, Allanowi jednak nie bardzo trafiały do przekonania dogmaty kultu składającego się z siedmiu wyznawców, którzy spotykali się w czyimś garażu przy każdej pełni księżyca.

Allan odchylił się do tyłu w krześle i przenosił wzrok z jednego starucha na drugiego.

- A więc - zagaił - wierzycie, że te morderstwa popełnił jakiś demon.

- My nie wierzymy. My wiemy. To przez nasz rytuał nieumyślnie uwolniliśmy Alsatha z piekła i wypuściliśmy go na ziemię, by dokonywał niegodziwych i plugawych czynów.

W zegarku Allana zapiszczał pager. Porucznik nacisnął guziczek, żeby wyłączyć dźwięk.

- Przepraszam - powiedział. - Mam ważne spotkanie. Dziękuję za udzielone informacje. Proszę zostawić nazwiska, adresy i numery telefonów u dyżurnego sierżanta. Skontaktujemy się z wami, jeśli coś z tego się potwierdzi.

Wstał, żeby wyjść.

- Pan nie rozumie - Joseph, bardzo przejęty, zatrzymał go. - Alsath grasuje swobodnie po ziemi, gotów popełniać bluźnierstwa.

- No, na razie pozostaje w granicach Phoenix - odparł Allan. -

Więc powinniśmy go znaleźć.

- Czy pan szydzi z naszej wiary?

Wszyscy trzej starcy przeszli go płomiennym wzrokiem, aż niemal poczuł siłę ich przekonań. Podniósł ręce pojednawczym gestem.

- Nie, nie - zapewnił. - Przepraszam, jeśli odnieśliście takie wrażenie. Wybaczcie, jeśli was obraziłem. Ale dziś jestem naprawdę bardzo zajęty. Dziękuję za wasz czas, troskę i wysiłek. Obiecuję, że sprawdzimy informacje, których nam dostarczyliście.

Joseph z powagą kiwnął głową, widocznie usatysfakcjonowany.

Allan otworzył drzwi pokoju przesłuchań i zaprowadził trzech mężczyzn do biurka dyżurnego.

- Funkcjonariusz Hall rozda panom formularze do wypełnienia i chętnie udzieli wam wszelkiej możliwej pomocy. - Uścisnął po kolei dłonie wyznawców Iwaspo, dziękując Hallowi spojrzeniem za ich plecami. - Muszę iść.



Przemierzył westybul i pomaszerował przez labirynt korytarzy do gabinetu kapitana. Dzięki Bogu za stary sposób z pagerem.

Nauczył się tej sztuczki jeszcze jako nowicjusz - udawanie, że masz umówione spotkanie, żeby się uwolnić od nudnych przesłuchań, które trwają za długo. Zresztą w tym wypadku właściwie nie skłamał. Naprawdę powinien się spotkać z Pynchonem, żeby omówić raporty, które on i jego ludzie złożyli dziś rano, ale mógł to zrobić w dowolnym czasie.

Allan westchnął. Jak dotąd dzień wyglądałby fatalnie, gdyby nie wizyta w księgarni w porze lunchu, i nie zanosilo się na poprawę.

Kilku nowych rekrutów rzuciło mu dziwne spojrzenia, kiedy ich mijał. Zaczynał się przyzwyczajać do takich reakcji. Czy to ze względu na makabryczne aspekty, czy coś nawet bardziej nieokreślonego, te morderstwa budziły lęk w gliniarzach z komendy, zarówno pracujących nad sprawą, jak i pozostałych.

Brakowało zwyczajowych dowcipów, znikł wisielczy humor towarzyszący prawie wszystkim zabójstwom. Nawet nikt z komendy nie zbierał zakładów i Allan martwił się tym zahamowaniem normalnych reakcji niemal tak samo, jak brakiem widocznych postępów w śledztwie.

Dotarł do gabinetu Pynchona i zapukał głośno w zamknięte drzwi.

- Wejść!

Wszedł i zamknął drzwi za sobą.

Pynchon siedział za biurkiem i groźnie marszczył krzaczaste brwi. Wstał, zebrał raporty leżące na biurku, starannie spiął je spinaczem, po czym rzucił całym plikiem w ścianę nad głową porucznika. Allan zrobił unik, kartki rozsypały się i trzepocząc sfrunęły nieszkodliwie na podłogę.

- Gnojki! - ryknął Pynchon. - Kretyni! Co wyście robili, do kurwy nędzy, odkąd wyszedłem? Przez tego faceta wyglądamy jak banda amatorów prosto po szkółce dla błaznów, a wy siedzicie na tyłkach i czekacie, żeby cholerne rozwiązanie samo wam spadło z nieba. Nie tak się robi!

Allan schylił się, żeby pozbierać z dywanu rozsypane raporty.

- Słuchasz mnie, Grant?

Porucznik wyprostował się i stanął przed kapitanem, zostawiając raporty na podłodze.

- Tak jest, sir.

Pynchon chwycił gazetę z biurka.

- Widział pan dzisiejszą „Republic”? - Allan pokręcił głową i Pynchon cisnął mu gazetę. - W połowie strony.

Dokładnie na środku pierwszej strony, tuż pod artykułem o najnowszych prognozach ekonomicznych, widniała zapowiedź

„Oficer śledczy mówi” nad nagłówkiem: Morderca jest sprytniejszy od policji. Allan podniósł wzrok.

- No... - zaczął.

- Tak pan powiedział? - warknął Pynchon.

- No tak, ale...

- Żadnych ale! - Kapitan przeszył Allana wściekłym wzrokiem.

- Prosiłem pana, żeby tym razem ograniczył pan współpracę z prasą. Przynajmniej niech pan nie podważa naszych wysiłków! I bez tego mamy dość problemów!

- To wolny kraj. Mamy wolność prasy.

- Ale pan pracuje w policji, nie w „Arizona Republic”! — Pynchon wychylił się zza biurka i wyrwał Allanowi gazetę. - Chcę, żeby pan na jutro zwołał konferencję prasową i zaprosił wszystkie lokalne media. Najlepiej na rano, żeby zdążyli ją pokazać w dzienniku telewizyjnym. Ma pan robić dobrą minę do złej gry i opowiedzieć im ładną bajeczkę, żebyśmy nie wyszli na takich głupków. Zrozumiano? Przez pański długi jęzor ciągle mnie opieprzają z góry i wcale mi się to nie podoba. - Pokiwał grubym palcem przed twarzą Allana. - Ja też będę na tej konferencji i dopilnuję, żeby pan czegoś nie chlapnął niepotrzebnie.

Rozumiemy się?

Allan odpowiedział cichym, łagodnym głosem:

- Nie uważa pan, że trochę przesadził?

Spojrzał wyzywająco na Pynchona, w duchu przygotowując się na nieuniknioną burzę. Ku jego zdumieniu Pynchon cofnął się i usiadł za biurkiem. Położył dłonie na blacie, spuścił wzrok i oddychał miarowo, próbując się opanować.

- Ma pan rację - powiedział.

- Co?

- Ma pan rację. Przepraszam.

Allan wytrzeszczył na niego oczy, zszokowany. Przez wszystkie swoje lata w policji nigdy nie słyszał, żeby Pynchon kogoś przeproszał. Nigdy. Ani razu.

- Wiem, że pan jest zestresowany - mówił kapitan, podnosząc wzrok. - Jak my wszyscy. Przez

dwadzieścia lat, odkąd jestem kapitanem, mieliśmy tylko jednego seryjnego mordercę, który został schwytany, kiedy próbował zadźgać swoją trzecią ofiarę.

Tym razem mamy już cztery trupy, w tym jednego gliniarza, a skurwysyn wciąż jest na wolności.

- I psa - wtrącił Allan. - On zabił czyjegoś psa.

- Pies. - Pynchon wyprostował się, trzymając rękę na krzyżu i skrzywił się boleśnie. - Co pan z tego rozumie? Zabijanie zwierząt?

Allan nie wiedział, co odpowiedzieć. Pynchon milczał przez chwilę.

- Czytałem również pański raport o Lee i zgadzam się, że nie ma podstaw go podejrzewać o jakieś wykroczenie, ale nie chcę go w zespole. Bywa, że pierwsze wrażenie jest najbardziej trame i czasami warto się go trzymać. Nadal nie wykluczam możliwości, iż zabójca jest gliną, i dopóki nie udowodnimy, że jest inaczej, Lee niech siedzi w domu.

- Nie będziemy wszczynać postępowania dyscyplinarnego, prawda? Jego zeznania pasują i...

- Nic w jego aktach i oficjalne przeprosiny, jeśli coś spieprzycie.

Po prostu chwilowo go przenosimy.

Allan kiwnął głową.

- W takim razie potrzebuję zastępstwa.

- Dostanie pan kilku ludzi. Zwracam się o pomoc w tej sprawie.

Pozostałe departamenty w dolinie już współpracują, ale chcę zorganizować połączony zespół dochodzeniowy, zebrać najlepsze mózgi z Mesa, Scotts-dale, Chandler, Tempe, Glendale, Paradise Valley i zobaczyć, co wymyślimy. Ten skurwiel w końcu popełni błąd, a my musimy czekać w pogotowiu. Pan i ja spotkamy się z przedstawicielami pozostałych departamentów jutro o ósmej. Omówimy strategię i taktykę, urządzimy małą burzę mózgów. Ma pan jakieś pomysły, które chce pan najpierw ze mną skonsultować?

- O ósmej? - powtórzył Allan. - Wtedy, kiedy mam konferencję prasową?

Pynchon uśmiechnął się, ale bez humoru.

- Wynoś się pan stąd - rzucił. ~ Do jutra nie chcę oglądać pańskiej paskudnej gęby.

Allan wyszedł z gabinetu kapitana i zamknął za sobą drzwi.

Następne zebranie. Miał już po dziurki w nosie tych zebrań. Tak bardzo, aż czasami żałował, że awansował na porucznika.

Zarabiał nieźle i cieszył się pewną niezależnością przy prowadzeniu śledztwa, ale musiał odwalić tony budżetów, odbębniać mnóstwo bzdurnych rytuałów, zamiast po prostu wykonywać swoją pracę.

Kiedy przechodził obok dyspozytorni, Yvonne ze współczuciem pokręciła głową.

- Pynchon dziś wkroczył na wojenną ścieżkę.

- Przeżyłem. - Allan się uśmiechnął. Przeczesał włosy palcami, chwycił pełną garść i pociągnął. - Zachowałem skalp.

Szedł dalej przez hol, patrząc na białe kwadraty płytek posadzki.

Z otwartych drzwi mijanych biur dolatywały do niego strzępki rozmów, ale me

zwracał na nie uwagi. Chciał wyciągnąć się w starym, wygodnym fotelu w swoim pokoju i przez chwilę nie myśleć, odprężyć się, odpocząć.

- Allan!

Podniósł wzrok na dźwięk głosu Thomassona. Potężny detektyw garbił się nad swoim szumiącym underwoodem, widocznie wystukiwał jakiś raport. Na głowie miał wysłużony słomkowy kowbojski kapelusz, do którego wcale nie pasował niebieski garnitur.

- Jak się pisze „obsceniczny”? - zapytał. Allan pokręcił głową.

- Nie wiem. Zajrzyj do słownika.

- Myślisz, że tylko ty tu pracujesz? Właśnie zgarnęliśmy szajkę prostytutek w Van Buren i teraz mam papierkowej roboty na jakieś sześć dni.

- Serce mi krwawi z żalu nad tobą.

- Zwinęliśmy tam twoją siostrę - Thomas son się wyszczerzył. -

Na kolanach błagała o mojego wacka.

Zazwyczaj Allan potrafił stawić czoło wyzwaniu i odciąć się należycie, ale tym razem nie miał ochoty na żarty. Machnął tylko ręką i wszedł do swojego biura.

- Ona chciała kutasa! - zawołał Thomasson, żeby sprowokować jakąś reakcję. - Aż piszczała do niego! Sama się prosiła!

Allan zamknął za sobą drzwi i usiadł za biurkiem. Przed nim leżała lista kilku osób, do których powinien zadzwonić w związku z dochodzeniem. Był już zmęczony i zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Cathy i nie odwołać randki, ale postanowił tego nie robić. Wprawdzie czuł się wypompowany, lecz miał dziś wolny wieczór, co mogło się nie powtórzyć w najbliższej przyszłości.

Obrócił się w fotelu i wyjrzał na ulicę. Park po drugiej stronie wyglądał świeżo, zielono i zapraszająco. Allana nagle ogarnęła ochota, żeby tam pójść i po prostu usiąść na ławce, wachać kwiaty, patrzeć w niebo. Ale nie miał czasu ani na bezcelowe spacerowanie, ani na bezsensowne fantazje.

Obrócił się z powrotem, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał pierwszy numer z listy.

CATHY WYSZŁA PIĘTNAŚCIE MINUT WCZEŚNIEJ, ulegając namowom Ann.

- To wielki dzień - oświadczyła przyjaciółka, - Potrzebujesz więcej czasu, żeby się przygotować.
- To nie jest moja pierwsza randka - zaprotestowała Cathy.
- Ale pierwsza od długiego czasu. Cathy się uśmiechnęła.
- Tak - przyznała. - Rzeczywiście.

Chociaż Jeff miał zacząć pracę o piątej, dobrze się złożyło, że przyszedł piętnaście minut wcześniej, ubrany całkiem na czarno, z włosami utlenionymi na blond.

- Jak wam się podoba? - zapytał, obracając się dookoła. Kurtkę na plecach miał rozdartą, w strategicznym miejscu,
- Cudownie - zapewniła Cathy, przewracając oczami. Ann pokręciła głową.
- Za dwadzieścia lat obejrzysz swoje zdjęcia i zawstydzisz się własnej głupoty. Zdajesz sobie z tego sprawę?
- Nie uważasz, że to powiew przyszłości? Ann podsunęła okulary na nosie.
- To już jest passe. Nawet w Phoenix. Jeff się zaśmiał.
- Jesteś taka cool i trendy.

Ann zignorowała docinek i wróciła do faktur, które spisywała.

Cathy spojrzała na zegar na tylnej ścianie. Czwarta czterdzieści.

Odchrząknęła.

- Wychodzę wcześniej - oznajmiła. - We dwoje dacie sobie radę.

Barry powiedział, że wpadnie po siódmej, żeby sprawdzić paragony i zabrać karty zegarowe.

- Wielka szucha - burknął Jeff. - Zaczekaj, aż mu powiem, że się wcześniej zerwałaś.
- Zmiataj stąd - rozkazała jej Ann. - Ja się zajmę tym głupkiem.
- Dzięki.
- Pogadamy później. Chcę poznać szczegóły.

- Randka? - zagadnął Jeff. - Nasza Cathy naprawdę idzie na randkę?

- Zaniknij się - skarciła go Ann.

Cathy przyjechała do domu wcześniej, o tej porze, o której zwykle wychodziła z księgarni. Jimmy jak zawsze czekał przed domem, ale wyjaśniła mu, że ma walną randkę. Kiwnął głową, powiedział

„do jutra” i popedałował na rowerze z powrotem do siebie, Cathy weszła do środka. Ojciec siedział w bawialni z zaciągniętymi zasłonami i oglądał telewizję. Właśnie leciał

teleturniej i chociaż wiedziała, że ojciec nie znosi teleturniejów, teraz udawał zainteresowanie i nie odrywał oczu od ekranu, nawet kiedy weszła do pokoju. Zdawała sobie sprawę, że celowo ją ignorował, żeby sprowokować do gniewu, ale nie połknęła haczyka. Usiadła na kanapie.

- Mam dzisiaj randkę - oznajmiła. Nie odpowiedział.

~ Słyszałeś, co mówiłam?

- Słyszałem. Czego chcesz ode mnie? Mam skakać z radości? Całować cię po nogach? — Spojrzał na nią po raz pierwszy chłodnym, odległym wzrokiem. Odwrócił twarz. - Przepraszam. Baw się dobrze. Miłego wieczoru.

Bezbarwny ton jego głosu zaprzeczał treści słów.

- Myślałam, że przynajmniej się zainteresujesz. Ciągle gderasz, że powinnam częściej wychodzić.

- Interesuję się.

Próbowali ci się dobrać do majtek?

Z powrotem skupił uwagę na teleturnieju.

- Co z obiadem? Co mam zrobić? Umrzeć z głodu?

- Przygotuję coś. Możesz zjeść teraz albo później podgrzać.

- Na przykład co?

- A co chcesz?

- Nie wiem.

- Zapiekankę?

- Nie znoszę zapiekanek.

- Może hamburgera?

Na jego twarzy odmalowało się krańcowe obrzydzenie.

- Czy ty nie potrafisz ugotować żadnego prawdziwego jedzenia?

- Co to jest prawdziwe jedzenie?

- Cokolwiek. Wstała.

- Nie zamierzam tego znosić. Muszę się przygotować do wyjścia.

On przyjedzie po mnie o siódmej. Chcesz, żebym ci coś zrobiła, czy nie?

- Nie.

- Świetnie.

Cathy ruszyła do drzwi.

- Czy będę musiał poznać tego dupka? Nie odpowiedziała, poszła do swojej sypialni. Zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Chociaż przymierzyła cztery bluzki, trzy pary spodni i dwie sukienki, zanim wreszcie zdecydowała, jak się ubrać na randkę.

Była gotowa dobre pół godziny za wcześnie.

Odstąpiła od lustra i próbowała spojrzeć na siebie obiektywnie, zobaczyć siebie taką, jaką zobaczy Allan. Rezultat jej nie zachwycił. Nos miała zbyt płaski. Włosy bez połysku, nieciekawie obcięte. Cofnęła się jeszcze dalej. W markowych dżinsach, które wybrała, jej tyłek wydawał się za wielki.

Nagle pożałowała, że nie ubrała się inaczej, ale gdyby teraz zaczęła się przebierać, musiałaby zmienić także bluzkę, a nie miała już czasu, żeby znowu przez to przechodzić.

Usiadła w bawialni z ojcem, oglądała telewizję i czekała.

Początkowo próbowała go wciągnąć w rozmowę, przełamać nastrój, ale on uparcie milczał i nawet na nią nie patrzył.

Zanim zjawił się Allan, zapadł zmierzch, niebo na zachodzie przybrało głęboką brazowopomarańczową barwę. Przez zasłonę zobaczyła światła jego samochodu, bliźniacze białe kręgi blasku, i wstała.

- Wychodzę — oznajmiła.

Ojciec nic nie powiedział, odwrócił się do niej plecami, kiedy wychodziła z pokoju. Wybiegła pospiesznie z domu, zanim Allan zdążył zadzwonić do drzwi, i przekręciła klucz w zamku.



Allan wyglądał dobrze. Niemal za dobrze. Nosił drogie, dyskretnie eleganckie ubranie, które sprawiło, że Cathy poczuła się skrępowana. Pomyślała, że powinna jednak włożyć coś innego. Dłonie jej się pociły, więc ukradkiem wytarła je o dzinsy, zanim wyciągnęła rękę do Allana.

Uśmiechnął się do niej z aprobatą i lekko uściśnął jej dłoń.

- Ładnie wyglądasz - powiedział.

Najwyraźniej mówił szczerze, więc Cathy spiekła raka i spuściła wzrok, boleśnie świadoma, że nie potrafi przyjmować komplementów. Uśmiechnął się łagodnie, jakby wyczuwał jej zakłopotanie. Podszedł do bronco i otworzył przed nią drzwi po stronie pasażera.

- Nie rozmyślałaś się? - zapytał, wkładając kluczyki do stacyjki.

- Nie - skłamała Cathy.

Wycofał wóz z podjazdu i ruszył w stronę Lincoln.

- To dobrze.

Allan prowadził rozmowę swobodnie i naturalnie, więc wkrótce Cathy przestała się martwić, że spędzi okropny wieczór w niewygodnym, niezręcznym milczeniu. Podejrzewała, że nawet gdyby milczała jak grób, Allan potrafiłby podtrzymywać rozmowę i sprawiać wrażenie, jakby to była najzwyczajniejsza sytuacja pod słońcem.

Wyjechali z jej dzielnicy i ruszyli po Central. Allan mówił tak swobodnie, jakby się znali od lat: nie zadawał pytań, nie opowiadał o sobie, tylko poruszał ogólne tematy, które mogły zainteresować ich oboje.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Cathy, kiedy skręcił w McDowell na wschód.

- Pomyślałem, że wpadniemy do Pinnacle Peak. Byłaś tam kiedyś?

Pokręciła głową.

- Słyszałam o tym miejscu.

- Myślę, że ci się spodoba. Świetna zabawa. Zwłaszcza o tej porze roku. Można jeść na patio pod gwiazdami. Mają tam kapelę country i można potańczyć...

- Nie lubię muzyki country - odparła. - I nie umiem tańczyć. Allan się zaśmiał.

- Ani ja. Ale to zabawne w takim otoczeniu. - Włączył radio. - Jaką muzykę lubisz? Klasyczną? Jazz?

- Cokolwiek.

- Nie, ty zdecyduj. Ja lubię prawie wszystko. Mam tu trochę taśm, jeśli chcesz przejrzeć.

Cathy cieszyła się, że zapada ciemność. Na studiach zaliczyła kursy umuzykalniające i podobała jej się muzyka klasyczna, z którą się zetknęła, ale jakoś nigdy nie pogłębiła swoich zainteresowań. Jazz był dla niej kompletnie obcy, muzyka innego pokolenia. Najwyraźniej miała do czynienia z kimś znacznie bardziej wyrafinowanym niż ona. Ta myśl ją przestraszyła, wywołała zdenerwowanie i napięcie, odebrała jej resztki pewności siebie.

Allan nie pozwolił tematowi wygasnąć.

- Czego słuchasz w samochodzie? - zapytał, spokojnie i z ciekawością.

- Lubię Beatlesów - odparła.

- Kto nie lubi? - Nie odrywając wzroku od jezdni, sięgnął

między siedzenia i wyciągnął coś, co wyglądało jak mała walizeczka. - Proszę. Poszperaj tam, na pewno coś znajdziesz.

Wiem, że mam gdzieś Abbey Road i Rubber Soul.

Przejrzała taśmy, zdziwiona, że wśród muzyki klasycznej i jazzu znalazła też kasety swoich ulubionych wykonawców - The Beach Boys, Paula Simona, Joni Mitchell. Znalazła Rubber Soul i włożyła kasetę do odtwarzacza. Znajome akordy sitaru z Norwegian Wood popłynęły z głośników i trochę pomogły jej się rozluźnić.

Pinnacle Peak znajdował się na pustyni za Scottsdale, prawie w Care-free. Jechali długo i chociaż Cathy wcześniej się obawiała, że droga upłynie w milczeniu, wypełnionym tylko przez muzykę, teraz przestała się martwić i nawet się odprężyła, kiedy ostatnie światła znikły za nimi i wyboista droga zanurzyła się w ciemność pustyni.

Minęli Rawhide, fałszywe pograniczne miasteczko, gdzie w ciągu dnia odbywały się pokazy kaskaderskie dla turystów, a wieczorami urządzano hałaśliwe tańce dla miejscowych kmiotków. Allan opowiedział, jak kiedyś zabrał tam dziewczynę na randkę - i stracił ją.

- Chciała tańczyć - wyjaśnił. - Ja nie umiem, więc tylko siedziałem przy stoliku i patrzyłem, jak ona szaleje na parkiecie. Widziałem, że tańczyła z jakimś wiejskim ciołkiem w czarnym kowbojskim kapeluszu, ale kiedy spojrzałem następnym razem, już jej nie zobaczyłem. Czekałem i czekałem, kapela zrobiła przerwę, parkiet opustoszał, ale ona nie wróciła. W końcu sam zjadłem obiad w McDonalddie i wróciłem do domu.

Cathy się roześmiała.

- Dlatego nie jedziemy do Rawhide?

- Zgadłś. - Allan się uśmiechnął.

Pinnacle Peak stał na wierzchołku grani z piaskowca i składał się z restauracji oraz kilku małych budynków w westernowym stylu. Allan zaparkował bronco przed koniowiązem i obszedł

samochód, żeby otworzyć drzwi przed Cathy. Wyciągnął do niej rękę, ale ona nie podała mu swojej, więc cofnął się szybko i uprzejmie. W powietrzu unosił się zapach grillo-wanych steków i skoczne dźwięki muzyki country, kiedy szli po drewnianym ganku do wahadłowych frontowych drzwi.

Kelnerka uzbrojona w pas z rewolwerami poprowadziła ich przez restaurację na patio. Tam, w muszli dla orkiestry stylizowanej na stodołę, grała kapela, śpiewając własną wersję Whisky River.

Wielkie steki skwierczały na długich grillach po obu stronach sceny. W oddali Cathy widziała światła doliny, sylwetki kaktusów saguaro rysowały się na tle miasta.

Usiedli przy stoliku w kącie, jak najdalej od kapeli. Cathy spojrzała na krótkie menu podane przez kelnerkę, udając, że zastanawia się nad wyborem, chociaż w rzeczywistości szukała czegoś do powiedzenia. Wyczuwała, że teraz nadeszła jej kolej na rozpoczęcie rozmowy, ale nie wiedziała, o czym mówić. Od jej ostatniej randki upłynęło dużo czasu i zupełnie wyszła z wprawy.

Nawet w najlepszych chwilach nigdy nie radziła sobie z randko-wymi rytuałami, a wskutek braku doświadczenia stała się przygnębiająco

niezdarna. Jako studentka umawiała się z innymi studentami, więc przynajmniej mieli wspólne tematy do rozmowy. Ale na tę randkę poszła bez przygotowania. Nie wiedziała nic o Allanie.

No, nie całkiem. Wiedziała, że jest policjantem, lecz ten temat wolała omijać. Wiedziała, że interesował się malarstwem, ale chociaż na drugim roku zaliczyła kurs historii sztuki i pewnie mogłaby jakoś przebrnąć przez rozmowę z laikiem, za mało umiała, żeby prowadzić inteligentną dyskusję z kimś znającym się na rzeczy.

Może to był błąd, pomyślała. Potem podniosła wzrok znad menu, zobaczyła uważną, troskliwą twarz Allana i odepchnęła od siebie tę myśl.

Złożył swoje menu.

- Wybrałaś już?

- Jeszcze nie.

- Trudna decyzja: stek, stek albo stek.

- Chyba wezmę stek. Mało wysmażony.

- Dobry wybór. - Uśmiechnął się i sięgnął po listę win, wciśniętą pomiędzy serwetnik a butelkę keczupu. - Masz ochotę na wino?

Pokręciła głową.

- Nie piję. Wyszczерzył zęby.

- Alkohol twój wróg.

Kapela przeszła od Bloody Mary Morning do On the Road Again, najwyraźniej w środku składanki Williego Nelsona. Cathy przyłapała się na tym, że odruchowo przytupuje do taktu. Nigdy nie przepadała za muzyką country, ale Allan miał rację. Tu, na pustyni, pod gwiazdami, z dala od świateł miasta, ta muzyka wydawała się jakoś na miejscu.

Kelnerka wróciła, żeby przyjąć zamówienia i zabrać menu.

- Tylko jedna podstawowa zasada - powiedział Allan po jej odejściu. - Żadnych rozmów o pracy. Nie chcę gadać o policji, morderstwach, śledztwach ani niczym takim. Zgoda?

Cathy kiwnęła głową.

- Zgoda. Chociaż...

- O nie -jęknął. Parsknęła śmiechem.

Przy posiłku rozmawiali głównie o książkach i filmach. Cathy odkryła, że jej towarzysz jest wyjątkowo odczytany, i szybko musiała zweryfikować swój stereotyp niepiśmiennego gliniarza.

Odkryła również, że oboje uwielbiają stare musicale i komedie, chociaż on lubił horrory, których ona nie znosiła. Wbrew podstawowej zasadzie Allana rozmowa zesła w końcu na pracę policji. Cathy zadawała mnóstwo pytań w nadziei, że wiedza pomoże jej pokonać emocjonalne uprzedzenia.

Panno Riley?

Zapytała, jak się posuwa dochodzenie w sprawie zabicia Dusty, a on wyjaśnił, że po śmierci psa przesłuchano wszystkich sąsiadów, nikt jednak nie widział nikogo obcego w okolicy.

- Skoro mowa o dziwnych rzeczach - zaczęła Cathy. - Rozmawiali-

ście z Katriną West?

Allan się zaśmiał.

- Rzeczywiście dziwna osoba. Nie wpuściła nas do domu, trzymała nas na ganku...

- Widziałeś jej syna?

- Tak. To on pobił Jimmy'ego, zgadza się? Z tego, jak Jimmy go opisał, spodziewałem się kogoś gwałtownego, ale on wydawał się całkiem pasywny.

- Jest gwałtowny. Ona trzyma go pod kluczem prawie przez cały czas i nie wypuszcza z domu. - Zrobiła przerwę. - Co mi całkowicie odpowiada.

Pytająco uniósł brwi.

- Nie dlatego, że Randy jest upośledzony - zapewniła. - Po prostu... ja się go boję. - Zaczerwieniła

się, zdając sobie sprawę, jak niemądrze to

zabrzmiało. - Wtedy w nocy zakradł się na nasze tylne podwórze i zaglądał do mojego okna, kiedy spałam. Wystraszył mnie na śmierć. Próbowałam o tym porozmawiać z jego matką, ale nawet mi nie otworzyła. Allan spoważniał.

- Chcesz, żebym zamienił z nią parę słów?

- Nie trzeba. Przynajmniej na razie.

- Westowie są dziwacznicy - przyznał. - Bez wątplenia. Ale nie przypuszczam, żeby mieli coś wspólnego ze śmiercią Dusty, a ty?

Powoli pokręciła głową.

- Nie. Właściwie nie. - Zjadła kawałek steku i uśmiechnęła się niepewnie. - Kiedy byliśmy dziećmi, myśleliśmy, że ten dom jest nawiedzony, ten, w którym mieszkają Westowie. Właściciel zabił

tam żonę, a potem popełnił samobójstwo w bawialni. Nikt tam długo nie pomieszkał.

On także się uśmiechnął.

- Nawiedzony dom, co? Katrina West powinna tam pasować. -

Wziął kromkę chleba z nakrytego koszyka pomiędzy nimi i smarował masłem. - Co myślisz o Alu Goldsteinie?

- Dlaczego pytasz? Wzruszył ramionami.

- Bez powodu. Dla kaprysu.

- Nie lubię go. Myślę, że to palant. Zachichotał.

- Zrobił na mnie takie samo wrażenie.

Cathy opowiedziała mu o trudnym rozwodzie Goldsteinów, o ich zażartych kłótniach, o fatalnym braku kwalifikacji pana Goldsteina jako samotnego ojca, o jego krańcowym egoizmie i nieodpowiedzialności.

- Myślisz, że on choć trochę przejął się śmiercią Dusty?

- Nie, on nigdy nie lubił tego psa. Dusty należała do Jimmy'ego i tylko do Jimmy'ego.

Rozmowa wkrótce zesłała na sprawy zawodowe i Cathy obawiała się, że będzie musiała bronić posady w księgami, usprawiedliwiać swoją pracę, Allan jednak nic naciskał jej w tej kwestii. Przyznała, że chociaż lubiła to zajęcie, zarobki pozostawiały sporo do życzenia, a on wyraził swoje współczucie. Powiedział, że za kilka miesięcy w policji zaczną negocjować wysokość pensji.

- Czasami służba publiczna daje się we znaki - powiedział, dopijając resztki mrożonej herbaty. - Mnóstwo ludzi nie ma zielonego pojęcia, jak działa rząd. Jesteśmy opłacani z podatków, więc ludzie myślą, że dostajemy pieniądze za nic. Oburzają się, kiedy żądamy pensji proporcjonalnych

do tych w sektorze prywatnym. Uważają nas za pijawki. Nie zdają sobie sprawy, że opłacają również pracowników z prywatnego sektora. Kiedy bułą dolara pięćdziesiąt za paczkę ciasta w proszku, w rzeczywistości płacą jakieś ćwierć dolara za samo ciasto, ćwierć za kampanię reklamową i dolara na wynagrodzenia pracowników firmy. Ponieważ te koszty są ukryte, ludzie nie protestują. Ale kiedy trzeba zapłacić tyle samo w formie podatku od sprzedaży, wrzeszczą wniebogłose. Zapłacą więcej, niż wynosi wartość produktu, żeby sfinansować firmę, ale nie chcą dorzucić paru centów na nasze pensje. - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Przepraszam, nie chciałem wygłaszać kazania.

- Nie masz za co przepraszać.

- Po prostu złości mnie, że jakiś prywatny ochroniarz za pilnowanie i patrolowanie hotelowych korytarzy zgarnia dwa razy tyle co prawdziwy policjant, a my narażamy życie i zdrowie za marne grosze.

- Zawsze możesz zmienić zawód.

- Nie o to chodzi. Ktoś przecież będzie musiał zająć moje miejsce i ten ktoś powinien otrzymywać godziwą pensję. Wiesz, gdyby każdy musiał płacić za własną prywatną służbę bezpieczeństwa, własną bibliotekę, własną naprawę dróg, własną szkołę, to by go kosztowało dużo więcej, niż wydaje na podatki.

- Przekonałeś mnie! Przekonałeś mnie! - zaśmiała się Cathy.

- Przepraszam - powtórzył.

- Więc dlaczego jesteś gliną? To znaczy nie wyglądasz na takiego.

- Jakiego?

- No wiesz.

- To znaczy, że nie pasuję do twojego stereotypu. Zaczerwieniła się, zawstydzona.

- Tak, chyba o to mi chodziło. Przepraszam, ja tylko... Allan się uśmiechnął.

- Naoglądałaś się za dużo filmów.

- Możliwe. - Milczała przez chwilę. - Ale dlaczego zostałeś gliniarzem? Przecież masz inne zainteresowania. Co cię do tego skłoniło?

Wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Czasami też się nad tym zastanawiałem.

- Ale lubisz swoją pracę.

- Sam nie wiem. - Namyslał się przez chwilę, potem oblizał wargi i spojrzał jej w oczy. - Wiesz, przez pierwszy miesiąc w policji jeździłem z Jeffem Herzogiem, starszym policjantem.

Patrowaliśmy teren na skraju pustyni, w kierunku Sunnyslope, kiedy na poboczu drogi zobaczyliśmy porzucony samochód. Nie zwróciliśmy na niego specjalnej uwagi, ale następnego dnia ciągle tam stał, więc postanowiliśmy sprawdzić. - Spojrzał na nią ponad krawędzią szklanki. -

Znaleźliśmy martwe ciało pod topolą, tuż za porzuconym samochodem. Był środek sierpnia, szczyt pory monsu-nów, trup leżał tam przez jakiś czas i kiedy podeszliśmy bliżej, mało się nie porzygaliśmy od smrodu. Facet leżał na wznak w piasku, ręce miał uniesione nad klatką piersiową, dłonie skierowane w stronę głowy. Obok leżała strzelba, kilkanaście centymetrów przed nim.

Próbował się zabić, włożył lufę do ust, pociągnął za spust, i wywalił sobie dziurę w głowie na wylot — Allan oblizał wargi. -

Tylko że nie umarł od razu. Upuścił strzelbę i zatoczył się parę kroków do tyłu, zanim upadł na piasek. Ręce zeszywniały mu w tej pozycji, bo sięgał do głowy,

- Mój Boże - Cathy westchnęła.

- Wszędzie roiło się od much - ciągnął Allan. - Brzęczały głośniejsze niż cykady. Nadaliśmy zgłoszenie przez radio i zaczęliśmy na karetkę, a kiedy przyjechała, położyliśmy go na noszach. Ciało było rozdęte, ale sztywne jak deska. Podnieśliśmy go za przód koszuli i przerzuciliśmy na nosze. Kiedy go dźwignęliśmy, na piasku zostały krew i kawałki zaschniętego mózgu, jak brązowy klej. Muchy... Muchy oblażyły mu tył głowy, wlażyły do dziury...

Właśnie stamtąd dochodziło brzęczenie. Wsadziliśmy go do ambulansu, zawieźliśmy do kostnicy, i wnieśliśmy do środka, ale dozorca zobaczył muchy i kazał go wynieść na dwór. Więc czekaliśmy pod drzwiami z tym zakrwawionym trupem, aż dozorca wyszedł z puszką raidu. Przez dobrych pięć minut psikał

nim do dziury w głowie tego faceta, żeby zabić muchy.

- Jezu. - Cathy próbowała skupić się na twarzy Allana, żeby odepchnąć od siebie te obrazy. On potrafił to wytrzymać, w dodatku sam sobie wybrał taki zawód, co powinno ją przestraszyć, ale jakoś się nie bała. - Więc zostałeś gliniarzem, żeby powstrzymać takie rzeczy? Walczyć z przemocą? Zamykać ludzi, którzy to robią?

Allan ułożył już wargi do słowa „tak”, ale kiedy spojrzał jej w oczy, chyba się rozmyślił.

- Nie wiem - powiedział. - Może.

Zanim Allan odwiózł ją do domu, minęła północ. Na ganku paliło się światło, w domu światła były pogaszone. Nic się nie poruszało na pustej ulicy oprócz zmiataczki, pełzającej powoli po jezdni

kilka przecznic na południe.

Allan wysiadł z samochodu, obiegł maskę od przodu i pomógł

Cathy wysiąść. Dygnęła wdzięcznie.

- Dziękuję, sir.

- Nie mów do mnie „sir”. - Wzdrygnął się z udawaną zgrozą. -

Czuję się jak w pracy.

Cathy się roześmiała.

- Dobrze się bawiłam.

- Ja też.

Zapadło niezręczne milczenie, po raz pierwszy w ciągu całego wieczoru. Cathy nagle poczuła, że oblewają gorąco. Tego zawsze najbardziej się lękała. Na każdej randce pożegnalny pocałunek zawsze stanowił część rytuału, symboliczną zapłatę z jej strony za jedzenie i rozrywkę. Tym razem jednak nie czuła znajomego przymusu, zobowiązania do spłaty długu. Zamiast tego ogarnęło ją niecierpliwe wyczekiwanie, niemal nadzieja, jakby sama chciała go pocałować. Pozostało jednak zdenerwowanie, napięcie i znowu ręce jej się pociły.

Allan widocznie to wyczuł, ponieważ ujął tylko jej dłoń i lekko pogłaskał.

- Mamy teraz urwanie głowy - powiedział. - Jak pewnie sama się domyślasz. Brakuje mi czasu. Ale jeśli w najbliższej przyszłości będę miał wolny wieczór, może chciałabyś znowu się ze mną spotkać?

Serce jej waliło tak głośno, że niemal je słyszała. Gładkie palce Alla-na dotykały jej skóry. Bała się, że głos ją zawiedzie, więc tylko kiwnęła głową.

Allan uśmiechnął się i odwrócił, żeby odejść.

- Zadzwoń do ciebie za parę dni - obiecał. Wyciągnęła rękę, ponownie chwyciła jego dłoń i uścisnęła.

- Będę czekać.

Będę czekać? Naprawdę powiedziała coś tak głupiego i banalnego? Owszem, lecz Allanowi chyba to nie przeszkadzało.

Wsiadł do swojego bronco, wycofał się z podjazdu, pomachał jej na pożegnanie i odjechał.

Weszła do domu. Ojciec spał, więc na palcach przeszła przez korytarz do swojego pokoju, żeby mu nie przeszkadzać. Spojrzała na okno obok łóżka, pomyślała o Randym Weście i szczelnie zaciągnęła



zasłony, żeby nie została nawet szparka. Rozebrała się, narzuciła koszulę nocną i położyła się do łóżka. Randka się udała, przerosła wszelkie oczekiwania. Cathy wciąż przeżywała na nowo sceny z minionego wieczoru, wciąż odtwarzała je w pamięci. Z głową pełną wspomnień wreszcie zasnęła.

Przyśnił jej się David.

Stał w drzwiach, ubrany tylko w policyjną czapkę. Z płataniny cienkich włosów łonowych pomiędzy jego nogami wyrastał

robak. Różowy

i oślizły, wił się chaotycznie w powietrzu. Potem David ją zobaczył i natychmiast robak skręcił w jej stronę. Widziała dwoje ohydnych wyłupiastych ślepiów, a pod nimi złośliwie uśmiechniętą gębę, pełną zębów ostrych jak brzytwy. Słyszała brzęczenie much, a kiedy David otworzył usta, zobaczyła przez nie dziurę z tyłu jego głowy.

Zbudziła się spocona i chociaż pamiętała sen zaraz po obudzeniu, przy śniadaniu pozostały tylko mgliste obrazy, a zanim wsiadła do samochodu, żeby pojechać do pracy, sen całkowicie zatarł się w pamięci.

KATRINA WRÓCIŁA Z PRACY DO DOMU ZARAZ PO

DWUNASTEJ W POŁUDNIE. Dzień

był upalny i strumyczki potu żłobiły warstewkę mąki, pokrywającą jej twarz i ramiona. Wstała o drugiej, piekła od trzeciej i wiedziała, że Randy pewnie już umiera z głodu. Z głodu i z gorąca.

Po jakie лихо przenieśli się do Phoenix?

Szybko odemknęła trzy zasuwy na frontowych drzwiach i weszła do domu. Oczywiście w środku panował zaduch nie do wytrzymania. Słyszała, jak Randy wrzeszczy w pokoju na tyłach cienkim głosem, pełnym paniki.

Chociaż mięśnie ją bolały i w głowie kręciło się ze zmęczenia, pospiesznie przeszła przez korytarza. Powoli, ostrożnie uchyliła drzwi do pokoju Randy'ego. Rozległ się donośny trzask, kiedy piłka uderzyła

o ścianę.

- Randy - powiedziała surowo Katrina.

Zaskomlał ze skruchą, a ona otworzyła drzwi. Randy siedział na łóżku, z obrozą na szyi, od której prowadziła smycz przymocowana do klamry w podłodze. Spojrzał na nią smutnymi, cierpiącymi oczami i natychmiast poczuła się winna, że go wychłostała.

- Randy. - Usiadła obok niego i go objęła. - Przepraszam.

- Ma! - zawołał. - Ma! Ma! Ma! Mamamamamamama!

Przytuliła go mocno i mimo woli przypomniało jej się, co zrobiła w zeszłym tygodniu. Zamknęła oczy i odpędziła to wspomnienie.

Źle się stało

i wiedziała, że źle postąpiła, ale nie miała wyboru. Wiedziała, że powinna ponieść karę, chciała zostać ukarana, ale silniejsza część jej natury, zde-cydowana przetrwać za wszelką cenę, nie zamierzała nikomu zdradzić, co się stało.

Wiedziała, że gdyby ją złapano, Randy zostałby jej odebrany i prawdopodobnie zamknięty w jakimś zakładzie. Od tych myśli zebrało jej się na płacz. On nie przeżyłby czegoś takiego.

Ani ona.

Randy wrzasnął jej do ucha i jej melancholijny nastrój prysnął

równie nagle, jak się pojawił. Znowu wrzasnął i Katrina się roześmiała. Zawsze potrafił ją rozweselić.

Ścisnęła go za ramię. Pod koszulą wyczuła twardość. Mięśnie. Nie zauważyła tego wcześniej. Zrobiło jej się trochę nieswojo.

Uświadomiła sobie, że Randy dorastał. Zdawało się, że zaledwie wczoraj jego ciało było miękkie, ustępliwe, sama skóra i dziecięcy tłuszcz. Ścisnęła mocniej. Z pewnością mięśnie. Dojrzewał.

Wkrótce będzie musiała zachowywać większą ostrożność.

Odczepiła smycz od obroży Randy'ego, potem zdjęła również obrożę. Przeczesła mu włosy palcami i uśmiechnęła się do niego.

Odpowiedział uśmiechem.

- Pora jeść- powiedziała. - Jedzenie. Śniadanie.

- Da! - krzyknął. - Da! Da! Da! Da! Da!

- Tak, śniadanie. Chodź.

Zaprowadziła go do kuchni, gdzie zrobiła mu kanapkę z galaretką i masłem orzechowym. Rzuciła kanapkę na podłogę i przycisnęła stopą, tak jak lubił. Randy upadł na czworaki, wcisnął

twarz w jedzenie i wepchnął je do kąta, zanim je zaatakował.

Katrina z pobłażliwym uśmiechem przyglądała się, jak jadł. Stała w drzwiach i kiedy kątem oka zobaczyła cień przesuwaną się po zaciągniętych zasłonach, odwróciła się w stronę bawialni.

Czekała, ale cień więcej się nie pokazał.

Rozejrzała się po pokoju: nierozpakowane pudła spiętrzone obok brązowej używanej kanapy, lampa bez abażuru na telewizyjnym stoliku. Wiedziała, że powinna się wstydzić. Ale nie czuła wstydu. Wiedziała, że jej dom jest brzydki, ale się tym nie przejmowała. Zdawała sobie sprawę, że inne kobiety dokładają wysiłków, żeby ozdobić swoje domy, starają się stworzyć przyjemne otoczenie. Zawsze jednak uważała, że to nie ma sensu, że nie warto tracić czasu na ustawianie mebli. Tu, podobnie jak przedtem, zostawiła swoje rzeczy tam, gdzie je położyli robotnicy od przeprowadzek.

Oprócz pokoju Randy'ego.

Tak, starała się urządzić pokój Randy'ego. Przyjemne otoczenie, chociaż dla niej nie miało znaczenia, odgrywało ważną rolę w rozwoju dziecka. A ona chciała, żeby jej syn rozwijał się możliwie normalnie.

Katrina otarła pot z czoła. Na palcach zostały białe, wilgotne ślady maki. Wytarła palce o spodnie. Przez lata pracowała w różnych gównianych miejscach, ale piekarnia była najgorsza. Nędzna płaca,

koszmarne godziny. Ludzie do kitu. Czasami chciała wrócić do zawodu pielęgniarki. Przyjemnie mieć prawdziwą pracę, gdzie można rzeczywiście coś robić, czegoś dokonać.

Ale kandydatki na stanowisko pielęgniarek dokładnie sprawdzano. A w tych skomputeryzowanych czasach sprawdzanie odbywało się błyskawicznie. Natychmiast wykryją, kim była i co zrobiła.

Nie mogła na to pozwolić.

Zresztą nie wiedziała, czy przy tych bólach głowy dałaby radę sprawnie wypełniać obowiązki pielęgniarki. A nie zamierzała ubiegać się o pracę, której nie mogła wykonywać jak należy. Miała swoją dumę.

- Da! - zawołał Randy. - Da! Da! Da!

Obejrzała się na kuchnię. Randy już skończył jeść. Została tylko mała wilgotna plamka na podłodze, skąd wylizał resztki, i trochę galaretki roz-mazanej na nosie i wokół ust. Wstał, a ona wzięła ścierkę znad zlewu, żeby wytrzeć mu twarz.

- Umyjemy ci buzię, a potem się pobawimy - powiedziała. - Okej?

- Ba! - krzyknął. - Ba! Ba! Ba! Zaczęła wycierać mu twarz.

## OŚMIU DETEKTYWÓW SIEDZIAŁO PRZY

KONFERENCYJNYM STOLE, roz-

partych na krzesłach, mieszałi łub popijali kawę, przeglądali leżące przed nimi wydruki i słuchali Allana, który prezydował u szczytu stołu.

- Nie znam sprawy choćby z grubsza podobnej do tej - mówił. -

Przestępcy działający z takim rozmachem zwykle sami się wypalają. Wzorce szybko się ujawniają, mordercy popełniają błędy i wpadają. Ale nie w tym wypadku. - Odetchnął głęboko. -

Nie wiem, może powinniśmy zmienić założenia. Dotąd opieraliśmy się na teorii, że te morderstwa popełniał jeden osobnik. Ale ich odmienność w połączeniu ze specyficznymi umiejętnościami, jakich wymagało każde z nich, sugerują wręcz działalność jakiegoś gangu. Nikt chyba nie ma wątpliwości, że te wszystkie zabójstwa są ze sobą powiązane, ale możliwe, że działa tu grupa morderców, z których każdy posiada fachowe przygotowanie w określonej dziedzinie. Pynchon na drugim końcu stołu odchrząknął hałaśliwie.

- Myślę, że Allan ma rację. Pomijając te bzdury z Szatanem z Phoenix, nie ma mowy, żeby jakiś psychol dokonał tego wszystkiego w pojedynkę i nie zostawił nawet jednego rozmazanego odcisku palca. Chyba że to jakiś pieprzony Albert Einstein zbrodni. A jeśli tak, jest gdzieś notowany. Coś takiego nie przejdzie niepostrzeżenie.

- Ale o jakim gangu mówimy? - zapytał Hank Reed, detektyw oddelegowany z Tempe. - Chirurdzy na chałturze? Dajcie spokój, uliczne gangi z reguły nie bawią się w takie skomplikowane morderstwa. To przerasta możliwości przeciętnego ćpuna.

- Nikt nie mówi o ćpunach czy ulicznych gangach. - Allan spojrzał

na leżące przed nim papiery. - Czy te morderstwa popełnia pojedynczy osobnik, czy grupa morderców, mamy do czynienia z czymś niezwykłym. Uważam, że nie powinniśmy się kierować rutynowymi opiniami czy schematami. Znaleźliśmy się na dziewiczym terenie, więc im bardziej się otworzymy na nowe pomysły, im mniej będziemy polegać na standardowych procedurach, tym większe mamy szanse na przełom.

- Cholerna racja - przyświadczył Pynchon.

- Ale to wciąż do niczego nie prowadzi - wytknął Reed.

- Nie - przyznał Allan. - Na razie musimy się ograniczyć do sprawdzania zwykłych plotek od bezdomnych, analizowania raportów z autopsji, inwigilacji środowiskowych i włożenia ludziom w oczy, żeby wszyscy nas widzieli. Przechesanie terenu zbrodni nie dało prawie żadnych rezultatów, podobnie jak komputerowa analiza porównawcza.

- Ale wciąż chcę wiedzieć, dlaczego morderca zadał sobie tyle trudu - upierał się Reed. - O co mu chodziło?

- O nic - odparł Pynchon. - Ten bydlak jest pojebany.

- Więc musi mieć jakiś pojebany powód. Inaczej po co tak się starał? Czemu po prostu nie zabił ofiar i na tym koniec? Wydaje mi się, że jeśli poznamy sposób myślenia faceta, jeśli dostroimy się do jego długości fal...

Kapitan prychnął.

- Rozumuje pan jak racjonalna osoba. Nie ma żadnych powodów.

Wariaci nie potrzebują powodów. Czasami nie stosują nawet własnej pokręconej logiki. Nie uznają żadnej logiki.

- Jeśli morderca jest na tyle szalony, że nie panuje nad sobą, musiałyby gdzieś coś schrzanić. Już byśmy go złapali.

- Widać nie jest - odparł sucho Pynchon i wstał. - No, panienki, chyba wystarczy tych pogaduszek. Powiedzieliśmy wszystko, co trzeba, a dalsze wałkowanie sprawy nic nam nie da. Jak powiedział Allan, przegrywamy zero do pięciu. Więc ruszcie tyłki. Nie chcę, żeby następnym dowodem był sztywniak.

Spróbujmy dorwać tego pojeba - spojrzął na Allana - albo tych pojebów, zanim znowu uderzą.

Wyszedł z pokoju. Zebranie zostało zamknięte.

- Kapitan jest wkurzony.

- Co ty powiesz, Sherlocku. - Allan wytrząsnął aspirynę na dłoń i zwrócił buteleczkę Yvonne, zanim łyknął kawy z kubka.

Thomasson wyszczerzył zęby.

- Sam też dziś nie wyglądasz jak promyczek słońca.

- A czego się, kurwa, spodziewałeś? Wiesz, nie każdy spędza czas, podrywając prostytutki na ulicy.

Uśmiech Thomassona zgasł.

- No i nie każdy ma szansę uratować zachodnią cywilizację. Jezu, Allan, wyluzuj.

- Wyluzuj?

- Właśnie, wyluzuj.

- Czy ty nie widzisz, co się dzieje wokół ciebie?

- Tak, ale nie biorę tego osobiście. Naprawdę za bardzo się przejmujesz tym głównym.

- Masz cholerną rację. Widziałeś ciało Boba? widziałeś, co mu zrobiono?

- Masz rację, Allan. Masz rację. - Thomasson podniósł ręce w geście poddania. Przewrócił oczami w stronę Yvonne i wyszedł, kręcąc głową.

Allan stał przez chwilę, potem spojrzał na dyspozytorkę.

- Myślisz, że za bardzo się przejmuję?

- No tak, ale przecież nie można inaczej.

- Przynajmniej ktoś jest po mojej stronie. - Podniósł plik papierów.

- Dzięki za aspirynę.

- Nie ma problemu. - Yvonne się uśmiechnęła.

Temperatura wyraźnie wzrosła, kiedy Allan wracał do swojego pokoju. Klimatyzator - ten, który obsługiwał całą wschodnią stronę budynku

- wysiadł wczoraj i chociaż ludzie z ekipy naprawczej przez cały ranek

balansowali na niewygodnie ustawionych drabinach, zagłębieni do połowy w kanałach wentylacyjnych, jak dotąd nie rozwiązyali problemu. Allan wytarł pot z czoła i wszedł do pokoju.

- Dobra robota, tylko tak dalej - rzucił sarkastycznie pod adresem pary nóg, wystających z kwadratowego otworu w suficie korytarza. Monter nie odpowiedział.

W pokoju stęchły zapach resztek lunchu - chili cheese dog z frytkami - przesycił nieruchome powietrze. Przechodząc obok kosza na papiery, Allan zobaczył niedojedzony posiłek, leżący na wierzchu. Skrzywił się z obrzydzenia, wyciągnął kilka chusteczek z pudełka na półce i zakrył kawałki hot dog. Wprawdzie musiał

wąchać jedzenie, ale z pewnością nie chciał na nie patrzeć.

Opadł na krzesło i spojrzał na biurko przed sobą. Na blacie leżały zdjęcia ofiar, powiększenia szczegółów w formacie osiem na dziesięć. Fotografie pierwotnie były ułożone chronologicznie, w zestawach, ale on rozłożył je w innej kolejności, zgrupowane według estetycznego podobieństwa. Na czarno-białych odbitkach krew wcale nie wyglądała realistycznie, wcale nie tak źle. Wiele ujęć powiększono i przycięto w taki sposób, że wydawały się całkowicie pozbawione związku z pierwowzorem, niemal artystyczne. Nawet nie rozpoznałby, co niektóre przedstawiają, gdyby nie widział ich rzeczywistych odpowiedników.

Ale widział.

I wiedział.

Ułożył fotografie w ten sposób, ponieważ wciąż prześladowała go myśl, że zabójca jest jakimś obłąkanym estetą, jakimś perwersyjnym purystą, dla którego morderstwo stanowi formę sztuki, a każda ofiara jest niepowtarzalnym dziełem. Nie potrafił

się uwolnić od tej niedorzecznej myśli, jakby z filmu klasy B, która jednak zawierała pewien dziwaczny sens. Pomimo własnych racjonalnych i wiarygodnych argumentów w głębi duszy nie wierzył, że zbrodnie popełniał jakiś gang czy zorganizowana grupa. Dla niego istniał tylko jeden zabójca, samotny, szalony geniusz śmierci.

Odchylił się do tyłu w fotelu i popatrzył na małe dziurki w kwadratowych sufitowych płytkach. Żył, oddychał i karmił się tymi morderstwami od tak dawna, więc nic dziwnego, że w wyobraźni zaczął z nich tworzyć film grozy.

Przynajmniej wystarczyło mu rozsądku, żeby udawać racjonalistę przed kolegami z pracy.

Szczęka go bolała, mięśnie na karku pulsowały boleśnie. Aspiryna jeszcze nie zaczęła działać. Zamknął oczy i spróbował na chwilę się odprężyć,

oczyścić umysł, ale zamiast tego przypomniał sobie sen z poprzedniej nocy. Prawie zawsze śnił o miejscach, które nie istniały, ludziach, których nigdy nie spotkał. W nielicznych snach, które pamiętał, zwykle odgrywał rolę oszołomionego widza w surrealistycznym wszechświecie, biernego obserwatora, czasem uczestnika niezrozumiałych wydarzeń. O ile pamiętał, nigdy nie śnił o znajomych osobach.

Ale poprzedniej nocy przyśniła mu się Cathy.

Po raz pierwszy od czasu morderstwa Whiteheada miał sen, który nie był koszmarem. On i Cathy zabłądzili w lesie, zapadała noc i wokół nie było żywej duszy. Cathy z początku się bała, ale las okazał się zadziwiająco przyjazny, z miękkim poszyciem, pozbawiony niebezpiecznych roślin, jak z filmów Disneya, gdzie jedyne zwierzęta to małe, śliczne wiewióreczki i puchate króliczki. Nawet ciemność wydawała się przyjemna: aksamitnie czarne niebo, puentylistycznie usiane milionami maleńkich mrugających gwiazd. Chociaż sam przyznawał, że to szczeniackie i żenujące, prawie w całym śnie Cathy występowała nago. Nie bardzo pamiętał, jak i dlaczego - szczegóły się zamazały - musiała się pozbyć ubrania. Potem przytulili się dla ciepła. Cudownie wyglądała nago - czarnowłosa Wenus Botticellego - i nawet teraz miał ją przez oczami, bladą skórę, miękką i gładką, ciało o idealnych proporcjach, piersi małe i spiczaste, z dużymi sutkami, skąpa kępka włosów pomiędzy nogami tworząca idealny czarny trójkąt.

Przyłapał się na zgadywaniu, jak naprawdę wyglądała nago.

Dlaczego myślał o Cathy, chociaż powinien się skoncentrować na śledztwie?

Allan westchnął i otworzył oczy. Często myślał o osobistych drobnych sprawach, kiedy miał znacznie



ważniejsze problemy zawodowe. Martwił go ten nawyk czy wada charakteru. Zupełnie jakby nie był w stanie należycie wypełniać swoich obowiązków.

W pracy nie potrafił się skupić wyłącznie na sprawach służbowych, a w domu nie potrafił całkowicie o nich zapomnieć.

Dwie sfery jego życia zawsze się przenikały. Tym razem nie powinien na to pozwolić. Zwłaszcza w tym wypadku musiał

odsunąć na bok sprawy osobiste przynajmniej na osiem czy dziesięć godzin, które spędzał na służbie, poświęcić ten czas tylko na pracę.

Cholera, co z nim jest nie tak?

Usiadł prosto. Cała ta sytuacja kosztowała go sporo zdrowia. Od kilku tygodni żył w napięciu, w niepewności, pod presją. Zwykle był sympatycznym, wyluzowanym facetem, ale ostatnio warczał

na kolegów z pracy, ostro traktował obcych i ogólnie zachowywał

się jak kutas.

Tylko Cathy stanowiła wyjątek od tej reguły. Przy niej czuł się odprężony, swobodny. Pewnie dlatego, że nie należała do środowiska, nie miała żadnych powiązań z organami porządku publicznego. Nie osądzała go, nie odgadywała jego zamiarów, nie oceniała jego sposobu prowadzenia sprawy. Na dodatek była chyba w jeszcze gorszym stanie psychicznym niż on, ale nie budziła w nim obronnych reakcji, tylko instynkty opiekuńcze.

Miłe uczucie.

Zadzwonił telefon i Allan drgnął z zaskoczenia. Wiedział, że coś się stało - coś złego - podczas gdy on siedział tutaj beczynnym.

Pospiesznie chwycił słuchawkę, ale serce łomotało mu tak głośno, że prawie nic nie słyszał. Proszę, Boże, modlił się, niech to nie będzie następne.

- Porucznik Grant.

- Tu Dobrinin.

- Co jest? Co się stało?

- Nic - odparł policjant zmęczonym głosem. - Tylko się melduję.

Allan zamknął oczy, odchylił się na oparcie krzesła i głęboko odetchnął z wdzięcznością.

- Dobrze - powiedział, czując niemal fizyczną ulgę. - Dobrze.

POWIETRZE BYŁO ZIMNE I WILGOTNE, więc początkowo sen Cathy dostosował szczegóły do zmiany temperatury -

romantyczne spotkanie z Allanem przeniosło się z Phoenix do Aspen, z lata na jesień - ale stopniowo zrobiło się za zimno, sen pierzchnął i Cathy się obudziła. Na trawie.

Na tylnym podwórzu.

Zamrugnęła, zamknęła oczy i znowu otworzyła z nadzieją, że to wciąż sen, ale pod głową nie czuła poduszki, tylko mokrą ziemię, a nad sobą widziała błękitne niebo zamiast sufitu.

Usiadła, dotykając stopami wilgotnego gruntu, rozgarniając dłońmi mokre od rosy źdźbła trawy. Cienka tkanina koszuli nocnej przemokła na wylot. Tylne drzwi domu były otwarte i wyraźnie widziała ślady prowadzące przez trawnik do miejsca, gdzie leżała.

Chodziła we śnie.

Strach zalał ją przytłaczającą falą. Szybko zerwała się na nogi i rozejrzała po podwórzu, jakby się bała, że ktoś ją przyłapie. Strach był potworny,

znacznie gorszy niż zwykła, obawa przed urazem fizycznym, ponieważ w tym wypadku zagrożenie pochodziło z wewnątrz, nie z zewnątrz. Nie mogła przed tym uciec ani się schować, to tkwiło w niej samej. A najbardziej ją przerażało, że nad tym nie panowała. Nie tylko nie potrafiła temu zapobiec, ale nawet nie zdawała sobie sprawy, że to się dzieje. Dowiadywała się dopiero po fakcie i musiała odgadywać lub odtwarzać przebieg wydarzeń.

Dlaczego to robiła? Na miłość boską, co z nią było nie tak?

Przemknęła przez podwórze, weszła do domu i zamknęła drzwi za sobą. Zegar na kominku pokazywał szóstą, wokół panowała cisza. Widocznie ojciec jeszcze się nie obudził. Przynajmniej jakaś pociecha. Modliła się, żeby nie słyszał, jak lunatykowała w nocy.

Weszła do kuchni, wyjęła szklankę z kredensu i napełniła wodą z kranu. Ręka jej drżała, kiedy unosiła szklankę do ust. Spojrzała na czarne plastikowe kuchenne radio. Nagle przyszło jej do głowy, że lunatykowanie zaczęło się mniej więcej w tym samym czasie co morderstwa. O mało nie upuściła szklanki. Odstawiła ją ostrożnie na blat obok zlewu. To głupie. Zwykły zbieg okoliczności. Jedno z drugim nie miało nic wspólnego. Oparła obie ręce na blacie i próbowała się uspokoić. Chyba zwariowała.

Naprawdę?

Spojrzała na swoje dłonie, zobaczyła brud pod paznokciami. Co robiła, kiedy zabito staruszkę? Kobieta? Psa? Wszystkich pozostałych? Spała, kiedy popełniono te zabójstwa, albo była w pracy. Fakt, że spała w czasie, gdy dokonano zbrodni, wcale jej nie uspokoił, ale trochę ją pocieszyła

świadomość, że w kilku przypadkach właśnie wtedy pracowała w księgarni, w otoczeniu ludzi, którzy mogą zaświadczyć o jej obecności. Nie ponosiła odpowiedzialności za te morderstwa. A skoro nie mogła ich popełnić nie popełniła również pozostałych. Wszystkie były dziełem tego samego sprawcy.

Ale jeśli wspomnienia z pracy są fałszywe? Jeśli w rzeczywistości robiła co innego i tylko jej się zdawało, że przebywała w księgarni?

Teraz przesadziła, usiłowała nagiąć fakty do teorii. Owszem, miała problemy, nawet po tylu latach, ale nie mordowała ludzi.

Nigdy nie miała skłonności do przemocy. Nawet nie zdarzały jej się agresywne myśli.

Naprawdę? -zapytał głos wewnętrzny. Nagle przypomniała sobie wizję z dawnego koszmaru: jak dźgała nożem nagiego chłopca, zadziwiająco podobnego do Davida.

Podobnego do Davida.

Ale nie jego.

Odepchnęła od siebie tę myśl. Po prostu jej odbiło. Zwariowała.

Nie miała w sobie ani odrobiny gwałtowności. Nigdy nie mogłaby skrzywdzić czy zranić drugiej istoty ludzkiej. Nawet muchy by nie zabiła -jeśli znajdowała w domu jakieś owady, nieodmiennie zgarniała je gazetą i wyrzucała na dwór, zamiast je rozgnieść czy otruć sprejem.

Ale niepokój pozostał, kiedy wracała do sypialni, zostawiając wilgotne ślady stóp.

DUPEK!

- O cholera - wydyszał Paul. - O cholera.

Jimmy szedł dalej. Nie odważył się obejrzeć, udawał, że nie słyszał.

- Hej, ty! Dupku!

Jimmy wbił wzrok w przejście dla pieszych. Jeśli zdoła dotrzeć do tych żółtych linii, do krawężnika, gdzie stary strażnik siedział w swoim zapadniętym ogrodowym krześle, będzie bezpieczny. Za przejściem zaczynała się szkoła. Sanktuarium.

- Co robimy? - szepnął spanikowany Paul. - Oni nas dopadną. -

Idź szybko - poradził Jimmy. - I nie oglądaj się.

Głos miał na pozór spokojny i opanowany. W rzeczywistości serce mu waliło szaleńczo i ręce drżały, chociaż ciężar podręczników nie pozwalał im wyraźnie dygotać. Dzieciaki w tłumie wokół nich i za nimi zaczęły już szeptać, komentować, słyszał podniecone i zażenowane chichoty którejs z dziewczynek.

- Już nie żyjesz!

Na chodniku za jego plecami nagle rozległy się kroki, donośny łomot ciężkich butów, biegnących coraz szybciej.

Samson i Halback chcieli go zaatakować od tyłu.

Jimmy ruszył biegiem. Paul wrzasnął, upuścił torbę z lunchem i pognał za nim. Obaj pędzili co sił, wymijali grupki uczniów, rozpaczliwie próbowali dotrzeć do strażnika i bezpieczeństwa.

Jimmy'emu już brakło tchu, mięśnie w nogach odmawiały posłuszeństwa. Nie przywykł do fizycznego wysiłku, ale strach i adrenalina nadały mu tempo, które mogło zaimponować nawet sportowcom z jego klasy.

Potem, popchnięty z tyłu, upuścił podręczniki i wyłożył się jak długi na chodniku. Zabrakło mu szybkości i koordynacji, żeby wysunąć przed siebie ręce i zamortyzować upadek. Rąbnął

twarzą o cement, górne i dolne zęby zwały się z głośnym traskiem, przeszywającym całe ciało. Gorąca krew chlusnęła z nosa, zalała usta i podbródek.

Paul wciąż biegł. Przez mgiełkę bólu, nawet pod tym kątem, Jimmy widział tenisówki przyjaciela, oddalające się w stronę strażnika przy następnej przecznicy.

Mocny kopniak wylądował na prawym boku Jimmy'ego, potężny cios, który wbił się głęboko w ciało i wycisnął z niego powietrze.

Jimmy jednocześnie skulił się z bólu i przetoczył, żeby uniknąć następnego kopniaka. Rozpaczliwie usiłował wciągnąć powietrze z powrotem do płuc. Nie mógł oddychać. Dusił się i miotał jak ryba wyrzucona na brzeg, mrużąc oczy w porannym słońcu.

Spodziewał się zobaczyć nad sobą Halbacka i Samsona, ale widział tylko Halbacka, patrzącego gniewnym wzrokiem.

— Mówiliśmy, że cię dorwiemy, gnojku. - Starszy chłopiec wyszczerzył zęby w triumfalnym, złośliwym uśmiechu. - Masz nauczkę, żeby z nami nie zadzierać.

Zebrał się tłum, w którym Jimmy rozpoznał Tinę Papatos. Donnę Tu-cker i dwie inne dziewczynki ze swojej klasy. Spodziewał się zobaczyć na ich twarzach współczucie, a przynajmniej zrozumienie, ale dziewczynki uśmiechały się i w ich uśmiechach widział szyderstwo, a w oczach pogardę. Chciał być dzielny, znieść to upokorzenie z godnością, skoro nie mógł uciec ani się obronić, ale gorące łzy wstydu spływały mu po twarzy.

- Ojoj - zapiszczał Halback drwiącym, afektowanym głosem.

-Dzidzius płacze? - Pochylił się nad Jimmym. - Biedny dzidzius płacze?

Jimmy próbował powstrzymać łzy, ale wciąż płynęły strumieniem. Usłyszał parsknięcie jakiegoś chłopca. Usłyszał

chichot Tiny.

- Wstawaj - rozkazał Halback.

Jimmy nie ruszał się, smakując krew, smakując łzy.

- No, wstawaj, bekso.

Halback znowu się schylił i chciał już złapać Jimmy'ego za włosy, kiedy wielka dłoń zacisnęła się na ramieniu łobuza i dorosły głos zapytał:

- Co tu się dzieje?

Za plecami Halbacka Jimmy zobaczył strażnika. Nigdy w życiu tak się nie ucieszył z niczyjego widoku. Zmusił się, żeby usiąść, chociaż ból po kopniaku w prawy bok odzywał się w każdej części ciała. Otarł twarz ręką, która zrobiła się lepka i czerwona od krwi.

Jak mogli się z niego śmiać, kiedy krwawił?

Rozejrzał się po tłumie, ale nie dostrzegł już kolegów i koleżanek z klasy w rosnącym kręgu uczniów. Bolała go cała głowa i kiedy ponownie otarł twarz, wyczuł dziwne guzy i obrzmienia. Szczęka

płonęła żywym

ogniem.

Gdzie jest Paul? Jimmy wstał, krzywiąc się z bólu, próbując powstrzymać nowy potok łez wzbierających pod powiekami.

Widocznie Paul nie wrócił ze strażnikiem.

Potem zobaczył przyjaciela i przepełniła go gorąca wdzięczność.

Paul pospiesznie szedł chodnikiem w jego stronę - prowadząc pana Millera, wicedyrektora. Jimmy uśmiechnął się przez łzy.

Paul wykazał wielką odwagę. Jeśli przedtem groziło mu niebezpieczeństwo ze strony Halbacka i Samsona, ponieważ trzymał z Jimmym, teraz sam im się naraził. Podjął działanie na własną rękę. Sprowadził dorosłych. Bronił przyjaciela. Jimmy nigdy w życiu nie był z nikogo taki dumny. Paul znał

konsekwencje swojego czynu, ale się nie zawahał, i w tamtej chwili nie istniał na świecie człowiek, którego Jimmy bardziej chciałby mieć za przyjaciela.

Paul szeroko otworzył oczy, kiedy zobaczył Jimmy'ego, kiedy zobaczył krew; ból i gniew, żal i poczucie winy odmalowały się na jego twarzy.

Jimmy się uśmiechnął.

- Nic mi nie jest - zapewnił, zbierając krew z ust wierzchem dłoni.

- Nic się nie stało.

Głos miał zachrypły i drżący.

- Co tu się dzieje? - zapytał surowo pan Miller.

- To nie teren szkoły - odparł hardo Halback. - Nic mi pan nie może zrobić.

- Chcesz zostać zawieszony jak twój kolega? - warknął wicedyrektor.

- On bił tego chłopca - wyjaśnił strażnik i wskazał Jimmy'ega.

Pan Miller przeniósł wzrok z Halbacka na Jimmy'ego i z powrotem na

Halbacka.

- Chcę widzieć was obu w moim gabinecie - oświadczył. - Ale na-pierw niech cię obejrzy pielęgniarka.

- Nic mi nie jest - powtórzył Jimmy, chociaż okropnie go bolało.
- Niech pielęgniarka zdecyduje.
- Byłem świadkiem - odezwał się Paul. - Widziałem wszystko,
- Więc lepiej też chodź z nami - powiedział wicedyrektor.
- Już nie żyjesz! - wrzasnął Halback, celując w niego palcem.
- Oboje nie żyjecie!

Strażnik i pan Miller spojrzeli karcąco na Halbacka. Paul pokazał starszemu chłopcu środkowy palec za plecami dorosłych.

- Widziałem to! - ryknął Halback. - Widziałem! Zapłacisz mi za to!

Jimmy spojrział z niedowierzaniem na przyjaciela. Paul uśmiechnął się do niego.

- Skoro już tak daleko zabrnąłem, równie dobrze mogę pójść na całość - stwierdził.

- Słusznie - zgodził się Jimmy.

Otarł krew z nosa, wyszczerzył zęby i również wystawił palec.

JEFF ZADZWONIŁ PIĘĆ MINUT PRZED POCZĄTKIEM

SWOJEJ ZMIANY. Mówił

ochryplym szeptem, wyraźnie udając chorobę. Ann skrzywiła się z niesmakiem, kiedy słuchała rozmowy prowadzonej przez Cathy. Wybuchła, zanim jeszcze Cathy odłożyła słuchawkę.

- A nie mówiłam?

— Masz rację.

- Masz rację.

- Założysz się, że on pójdzie wieczorem na koncert?

- Obie wiemy, że pójdzie. Ale co chcesz zrobić? Poprosić Barry'ego, żeby go zwolnił? Nie mów mi, że nigdy nie brałaś chorobowego, kiedy wyskoczyło ci coś ważnego.

- Nigdy - broniła się Ann. - Zamieniałam się godzinami, ale nigdy nie symulowałam.

- Słuchaj, to nic wielkiego. Ann przeczeswała włosy ręką.

- Po prostu nie lubię tego faceta. Wkurza mnie. - Przechyliła się przez kontuar i westchnęła. - Więc chyba zostanę. Przełożę randkę i...

- O nie, jeszcze czego - sprzeciwiła się Cathy.

- Nic nie szkodzi.

- Szkodzi. Ja zostanę i zamknę. Nie mam żadnych planów na wieczór. - Uśmiechnęła się wstydliwie. - Poza tym może kiedyś będziesz musiała mi się odwzajemnić.

- Nasza Cathy wreszcie wkracza do gry!

- Bardzo śmieszne.

- Umawia się na randki!

- Przestań.

Ann obejrzała się na zegar za kontuarem.

- Na pewno mnie nie potrzebujesz?

- Na pewno.



- Bo jeśli nie zostaną, to powinnam już iść.

- Więc zmykaj.

Ostatnie półtorej godziny upłynęło spokojnie. Przewinęło się paru klientów - kilku samotnych szperaczy, buszujących cicho pomiędzy regałami, para zabieganych japiszonów, którzy pomaszrowali szybko do wybranych książek i kupili je - ale przez większość czasu panował zastój. Cathy wcześniej podliczyła drobne, ułożyła banknoty na kupki i zsumowała paragony. Za pięć dziesiątą przekręciła tabliczkę w oknie wystawowym z

„Otwarte” na „Zamknięte” i zanim sprawdziła wszystkie alejki, zamknęła drzwi na klucz, żeby już nikt nie wszedł.

Zgasła światła w głębi i zostawiła tylko fluorescencyjne lampki awaryjne. W księgarni natychmiast zrobiło się dwa razy ciemniej.

Zgaszenie światel zwykle wystarczało, żeby skłonić maruderów do wyjścia, ale na wszelki wypadek Cathy obeszła cały sklep.

Zaczęła jak zawsze od zachodniej ściany. Alejka Biografie/Literatura faktu była pusta, podobnie jak Re-ligia/Filozofia, ale na końcu regału Okultyzm/New Age stał

samotny mężczyzna, czytając w półmroku.

Przez chwilę wpatrywała się w niego.

Pan Goldstein.

Cathy poczuła zimny dreszcz. Nie widziała, jak ojciec Jimmy'ego wszedł do sklepu, chociaż po wyjściu Ann ani na chwilę nie opuściła stanowiska za kontuarem. To znaczyło, że spędził tu ponad dwie godziny. Nagle zaschło jej w ustach. O ile wiedziała, pan Goldstein nigdy jeszcze nie odwiedził księgarni.

Czego chciał?

I dlaczego nie wychodził?

Cathy głośno odchrząknęła.

- Przepraszam - powiedziała. - Panie Goldstein? Zamykamy.

Ojciec Jimmy'ego podniósł wzrok, ale chyba nie rozpoznał Cathy.

Spojrzał na nią, przez nią, poza nią, po czym wrócił do książki.

Cathy przełknęła z trudem, serce jej waliło. Właściwie nie miała powodu do obaw, nie działo się nic nadzwyczajnego, ale odruchowo zaczęła już sobie układać, co powie policji, kiedy zadzwoni ze

skargą, że klient nie chce wyjść ze sklepu. Zaczęła już planować trasę ucieczki. Na wszelki wypadek.

Czy Jimmy wiedział, gdzie jest teraz jego ojciec?

Zmusiła się, żeby odejść, udawać, że nic się nie stało, zachowywać tak, jakby całkowicie panowała nad sytuacją. Podjęła obchód i sprawdziła następną alejkę, Sztuki Piękne. Pusta. Beletrystyka.

Pusta. Literatura dziecięca. Pusta.

Zaglądając do ostatniej pustej alejki, uświadomiła sobie, że są sami w budynku.

Przystanąła na chwilę i próbowała uspokoić oddech, który rwał

się w piersi nierównym, przyspieszonym rytmem. Czy usłyszała, że Goldstein wyszedł? Wmawiała sobie, że tak, chociaż nie mogła w to uwierzyć. Nie słyszała odgłosu kroków na podłodze ani brzęku dzwoneczków Sole-riego przymocowanych do drzwi.

Wstrzymała oddech i nasłuchiwała, ale w sklepie panowała cisza.

Bała się. Na samą myśl, że ten mężczyzna wciąż tam stoi i czeka, przy końcu alejki w pustym sklepie, przeszedł ją zimny dreszcz.

To głupie, powiedziała sobie. Nie bądź dzieckiem.

Nie jesteś dzieckiem, odparła inna część jej jaźni. Uciekaj. Biegnij.

Powoli ruszyła w stronę środkowego rzędu, zmuszając się, żeby przestawiać stopy. Dotarła do alejki Okultyzm New Age i zajrzała pomiędzy regały; przygotowana na najgorsze. Ale nic nie zobaczyła.

Pan Goldstein zniknął.

Książka, którą czytał, leżała zamknięta na podłodze. Cathy podeszła spieszenie, żeby ją odstawić na półkę. Zerknęła na tytuł: Czary i rytualne zabójstwa.

Cathy szybko schowała do sejfu gotówkę, чеki i paragony, wyłączyła wszystkie lampy awaryjne oprócz nocnego oświetlenia wystawy, wyszła i zamknęła drzwi na klucz.

Parking na szczęście był dobrze oświetlony i wciąż pełny - jedna z zalet pracy w centrum handlowym z dużym sklepem spożywczym. Pary i rodziny popychały wózki z zakupami, ludzie otwierali bagażniki samochodów. Cathy poczuła się lepiej, strach prawie minął.

W drodze do swojego samochodu minęła czerwoną corvette ze zwykłymi tablicami rejestracyjnymi, zaparkowaną na miejscu dla niepełnosprawnych. Sportowy wóz miał na tylnej szybie nalepkę:

„Czysty i trzeźwy od 1989". Pod spodem ktoś przykleił taśmą kartkę papieru, gdzie napisano: „Dupek od urodzenia".

Cathy musiała się uśmiechnąć. Ona też nie znosiła ludzi, którzy wykorzystywali miejsca dla niepełnosprawnych.

Napis jeszcze bardziej dodał jej pewności siebie i zanim dotarła do swojego samochodu, prawie zapomniała o panu Goldsteinie stojącym w półmroku na końcu alejki, z książką o rytualnych morderstwach.

Prawie zapomniała.

Ale nie całkiem.

Sprawdziła, czy ktoś się nie czai na tylnym siedzeniu, zanim wsiadła do samochodu, i szybko zablokowała drzwi, jeszcze przed zapięciem pasa.

W połowie Lincoln zobaczyła jakąś sylwetkę pośrodku jezdni.

Postać obracała się niezręcznie dookoła i poruszała głową, jakby czegoś szukała. Nagle pochwyciona w blask reflektorów samochodu, odskoczyła do krawężnika.

Cathy zwolniła.

Katrina West w ciasno zawiązanym szlafroku i żółtych szydełkowych kapciach, z włosami rozczochranymi i zmierzwionymi od snu, stała na rogu i rozglądała się gorączkowo na lewo i prawo, wydawała się jednocześnie spanikowana i zbita z tropu.

Zaniepokojona Cathy zatrzymała samochód przy krawężniku. Z

tak bliska widziała na twarzy starszej kobiety ślady białego proszku, który wyglądał jak mąka. Proszek podkreślił zmarszczki, pogłębił bruzdy wokół ust, wyłobił grymas desperackiego strachu w twardej rysach Katriny.

- Wszystko w porządku? - zapytała Cathy.

- Nic ma go - powiedziała Katrina. Oczy miała dzikie, przerażone.

- Spałam i zapomniałam zamknąć drzwi na klucz, i teraz go nie ma.

- Kogo? Randy'ego?

- Nie ma go!

- On na pewno...

- To moja wina! To wszystko moja wina! Cathy przełączyła biegi na parkowanie.

- Pomogę pani szukać, jeśli pani chce...

- Nie! - zawołała kobieta i odskoczyła od samochodu jak od niebezpiecznego zwierzęcia,

- Chętnie pomogę - zapewniła Cathy. - Naprawdę. Wsiadła z samochodu, okrążyła maskę i weszła na chodnik.

- Nie! - Katrina chwyciła ją za ramię i ścisnęła, wbijając paznokcie w ciało. - Powiedziałam, nie!

Cathy wyrwała rękę, zaskoczona i przestraszona wariacko gwałtowną reakcją kobiety. Bliźniacze ślady zadrapań na ramieniu natychmiast podbiegły krwią. Przyszło jej do głowy, że Katrina jest naćpana, więc szybko schowała się za samochód.

- Zostaw mnie w spokoju!

- Dobrze - powiedziała Cathy uspokajająco. - Okej.

Wsiadła z powrotem do samochodu, zamknęła okno i zablokowała drzwi.

Katrina podbiegła do okna po stronie kierowcy, zapukała w szybę. Z głębokiej kieszeni jej szlafroka wystawała gładka drewniana rękojeść rzeźnickiego noża.

- Nie mów nikomu, co się stało! - wrzasnęła. - Nie wolno ci nikomu powiedzieć!

Cathy wrzuciła bieg i odjechała. W lusterku wstecznym zobaczyła, jak Katrina znowu wychodzi na środek ulicy, zagubiona, oszołomiona i wystraszona.

Tej nocy nadeszła burza piaskowa, niebotyczna ściana piasku i wichury, wędrująca na wschód z rezerwatu Papago przez Scottsdale do Phoenix. Oglądając telewizję, Cathy widziała znajomy ostrzegawczy pasek migający u dołu ekranu:

„Ostrzeżenie przed silnym wiatrem dla południowej części okręgu Gila i północnej okręgu Maricopa”. Wstała, przeszła do bawialni i wyjrzała przez tylne okno. Na zewnątrz dmuchał wiatr, palmy i oleandry

kołysały się gwałtownie, ale burza piaskowa jeszcze nie nadeszła.

Cathy wybiegła przez tylne drzwi, ściągnęła grill z patio i schowała do szopy. Pozdejmowała poduszki z ogrodowych krzeseł i wniosła do domu.

Zdażyła w ostatniej chwili. Załedwie zamknęła za sobą drzwi, rozległ się znajomy dźwięk drobinek pyłu bębniących o szyby.

Przez chwilę stała bez ruchu. Jako dzieci z Davidem i Billym chętnie oglądali burze, które toczyły się w ich stronę nad płaską pustynią: ciemnobrązowe masy płamiące błękit nieba w dzień albo czerń pożerająca gwiazdy w nocy. Uwielbiali burze. Fajnie było patrzeć, jak zabawki i rowery fruwały dookoła na łasce wichury. Fajnie było słuchać ostrego szmeru piasku tłukącego w okna i dach, siedząc bezpiecznie w środku.

Teraz ten dźwięk nie brzmiał tak przyjemnie.

Cathy przeszła do bawialni i wyjrzała przez okno na dom Westów. W tumanach pyłu nie widziała żadnych świateł.

Zastanawiała się, czy Randy West jeszcze się nie znalazł, czy matka wciąż go szuka. Wizja tych dwojga w środku piaskowej burzy przyprawiła ją o dreszcze. Wyobraziła sobie Randy'ego, niską, przysadzistą sylwetkę brnącą powoli przez wirujący piach, i Katrinę goniącą go z wrzaskiem, z dziko rozwianymi włosami i połami szlafroka łopoczącymi na wietrze.

Cathy opuściła zasłony i skupiła się na telewizji. W domu panowała cisza - ojciec już dawno poszedł spać - więc podkreśliła dźwięk, żeby nie słyszeć wycia burzy na zewnątrz.

## ALLAN SIEDZIAŁ Z DOBRININEM W SAMOCHODZIE PRZED

DOMEM LEE i czuł się parszywie. Parkowali po drugiej stronie ulicy, dwa podjazdy dalej, w anonimowej, białej, wynajętej toyocie celica, spoglądając na jasno oświetlone frontowe okna domu Lee.

Dobrinin obserwował dom przez lornetkę.

Kawa Allana na desce rozdzielczej parowała na przednią szybę i widoczność się pogarszała, więc wziął styropianowy kubek i pociągnął łyk. Obstawiać dom z samochodu. To było takie tandetne i upokarzające, i takie cholernie amatorskie. Coś takiego oglądał w kiepskich filmach i telewizyjnych serialach, ale nigdy sam tego nie robił i już wiedział, że nigdy tego nie polubi.

Zwłaszcza kiedy musiał szpiegować kolegę gliniarza.

To Pynchon zlecił obserwację. Kapitan czasowo przeniósł Lee do drogówki, kazał mu wypisywać przydziały motocykli na podstawie najnowszych miejskich badań bezpieczeństwa ruchu -

wymyślone zajęcie, ale dostatecznie ważne, żeby nie wydawało się poniżające. Allan zdawał sobie sprawę, że Lee był bystrym facetem i prawdopodobnie przejrzał tę farsę, ale najwyraźniej nie przejmował się przeniesieniem, nawet wydawał się zadowolony ze zmiany pracy.

Potem Yvonne zobaczyła, że korzystał z komputera kierującego ruchem, żeby zdobyć adres jakiejś kobiety.

Weszła do pokoju, kiedy przepisywał informację z ekranu na żółty bloczek samoprzylepny. Na widok Yvonne szybko wepchnął karteczkę pod stos wydruków, a ona udała, że nic nie zauważyła. I natychmiast zawiadomiła Pynchona.

Lee tak niezręcznie, nieudolnie usiłował schować zapiski, że Allan wątpił, czy chodziło o coś poważnego. Prawdopodobnie próbował zdobyć adres dawnej dziewczyny, może jakiejś nowej, która mu się spodobała, na podstawie numeru prawa jazdy, ale Pynchon oświadczył, że nie mogą ryzykować, i kazał go śledzić.

Teraz Allan czaił się jak zdrajca. To jego wina. Przez niego wszystko się zaczęło. Gdyby tamtego dnia nie szukał dziury w całym, gdyby po prostu pogadał z Lee, zamiast wyciągać pochopne wnioski i czepiać się Bogu ducha wiernego faceta, Lee nie zostałby przeniesiony i nie mógłby używać ani nadużywać komputera kierującego ruchem.

Z drugiej strony co, jeśli Lee spisywał ten adres do innych celów?

Dobrinin odłożył lornetkę i przetarł oczy.

- Nic się nie dzieje. Chcesz trochę popatrzeć? Allan pokręcił

głową.

- Nie krępuj się.

Obaj siedzieli w milczeniu, patrząc na dom i popijając kawę.

DALION MÓWIŁ, ŻE ON MIESZKA GDZIEŚ NA TEJ ULICY.

Samson przytaknął.

- Pokażę temu małemu gnojce, przez niego mnie zawiesili.

Dwaj chłopcy zatrzymali rowery na środku jezdni i rozejrzeli się dookoła. W okolicy panował spokój, słyszeli tylko odległy szum samocho-dów na innych ulicach, niskie buczenie klimatyzatorów na dachach i cykady bzyczące jak samoloty wśród drzew. Dzień był upalny i jeśli mieszkały tu jakieś dzieci, siedziały w domach i oglądały telewizję. W połowie drogi do następnej przecznicy mężczyzna w średnim wieku, z brzuszkiem i w bermudach, mył

swojego pikapa. Halback wytarł palcem pot z czoła.

- Będziemy jeździć po tej ulicy, aż namierzemy gówniarza. Kiedyś musi wyjść.

Samson nie odpowiedział. Wiedział, że Jimmy wcale nie musi wyjść i pewnie nie wyjdzie, jeśli ich zobaczy krążących na rowerach, ale mieli przed sobą całe popołudnie i wszystko mogło się zdarzyć. Poza tym chciał dorwać tego skurwysynka, chciał mu rozkwasić nos i połamać obie ręce. Sam nie wiedział, dlaczego tak bardzo chciał go załatwić, ale szczeniak po prostu go wkurzał. Na początku to Dalton powtórzył mu, co powiedział Jimmy, kazał

mu interweniować w imię sprawiedliwości, ale kiedy tylko Samson spojrział na tego małego tchórzliwego zasańca, od razu nabrał ochoty, żeby spuścić mu łomot - wcale nie z powodu Daltona. Ponieważ

Jimmy należał do tych urodzonych ofiar losu, do tych osobników, którzy każdym słowem, każdym spojrzeniem, samym swoim istnieniem proszą o porządne lanie. Jak mawiał jego brat, szczeniakowi ktoś powinien

dać szkołę.

A Samson już widział się w roli nauczyciela.

- Jak myślisz, który to jego dom? - zapytał Halback. Samson spiorunował go wzrokiem.

- Skąd mam wiedzieć?

- Więc pojeździmy w kółko.

- Dobra.

Popędzili ulicą z niedozwoloną prędkością, pedałuując wściekle, chociaż każdy udawał, że się wcale nie wysiła. Samson pierwszy dotarł do przecznicy, jeszcze raz zaznaczając swoją dominację.



Skręcił za róg i zawrócił, wystawił prawą nogę i kopniakiem przewrócił plastikowy kosz na śmiecie obok podjazdu, zanim zahamował.

- Chcesz jechać dalej czy zawracamy? To cholernie długa ulica.

- Po prostu pojeździmy tam i z powrotem, dopóki go nie zobaczymy.

- Poszukajmy roweru na podjeździe - zaproponował Samson. -

Wtedy się dowiemy, gdzie on mieszka.

- Dobry pomysł.

Ruszyli dalej ulicą, minęli następną przecnicę i jeszcze jedną.

Przed sobą, na chodniku po lewej, zobaczyli chłopca stojącego na podjeździe. Gruby dzieciak w brzydkich ciuchach od mamy, który gapił się na nich w całkowitym bezruchu. Samson skręcił w stronę chłopca, wjechał pędem na podjazd i na chodnik, niemal trącając kołami stopy chłopca, który nawet nie drgnął.

Samson zahamował i zawrócił. Z bliska zobaczył toporne, rozlane rysy twarzy dzieciaka, cienką strużkę śliny biegnącą od ust do kołnierzyka pomarańczowej koszuli.

- To mongoł! - zawołał.

Halback zaśmiał się i podjechał do chłopca.

- Hej, mongole!

Chłopiec obrócił się ociężale w stronę Halbacka, nitka śliny napięła się i pękła.

Samson wyszczerzył zęby.

- Może on wie, gdzie mieszka nasz kolega. Kurwa, może to jego brat! Obaj wybuchnęli śmiechem.

- Hej, mongole! - wrzasnął Halback. Chłopiec patrzył na niego pustym wzrokiem.

- Mongoł? Brak odpowiedzi.

Samson znowu przejechał przez podjazd. Splunął na chłopca, kiedy go mijał. Ślina trafiła we włosy i wisiała tam przez kilka sekund, zanim spadła na tył koszuli.

- Hej! - zawołał Halback. - Zróbmy zawody w pluciu! On będzie tarczą. Jest taki zaśliniony, że i tak nie zauważy.

Odcharknął flegmą i splunął przez ściągnięte wargi.

Zielonkawobiła plwocina trafiła chłopca w pierś.

Samson zaśmiał się, znowu splunął we włosy chłopca.

- Trafiony! - zapiał Halback. Plunął prosto w twarz chłopca, trafił

go w nos.

Samson chciał już to przebić celnym strzałem w oko, kiedy dzieciak powoli obrócił na niego tępe spojrzenie. Ślina nagle wyschła Samsonowi w ustach. Przełknął, zamiast splunąć i szybko odwrócił wzrok. Coś w twarzy tego dzieciaka sprawiło, że przeszedł go dreszcz i gęsia skórka wyskoczyła mu na ramionach.

Zadrżał. Chociaż nigdy nie przyznałby się Halbackowi, przestraszył się tego niedorozwoja i nagle pożałował, że się przy nim zatrzymali, zamiast pedałować dalej.

Samson zatoczył półkole wokół chłopca i zatrzymał się obok Halbacka. Głowa debila obróciła się powoli. Ślina, jego i ich, spływała mu po twarzy i koszuli, ale chyba tego nie zauważył. Naprawdę ma w sobie coś niesamowitego, pomyślał Samson. Coś w oczach.

Zupełnie jakby ktoś inny wyglądał przez te oczy, jakby w środku krył się potwór, który tylko udawał debila.

Zrobiło mu się zimno. Wbrew sobie, żeby udowodnić własną odwagę i nie stracić twarzy przed Halbackiem, zebrał pełne usta śliny i zmusił się, żeby splunąć debilowi w oko. Chłopiec dalej patrzył na niego tępo przez ślinę, niewzruszony.

- Do dupy z tym - powiedział Samson, siląc się na niedbały ton głosu. - Jedziemy dalej.

- Dobra. - Halback splunął po raz ostatni i trafił chłopca w policzek.

- Chodź, pojeździmy po parku.

- Myślałem, że poszukamy tego gówniarza.

- Nie ma go tu, a jeśli jest, to się schował.

Samson zawrócił na środku jezdni, udając pewność siebie, żeby kumpel się nie zorientował, że on chciał tylko zniknąć z tej ulicy, uciec jak najdalej od tego przerażającego dzieciaka.

- No dobra. — Halback niechętnie ustąpił.

- W poniedziałek będzie musiał iść do szkoły. Zaczekamy na niego po drodze i skopimy mu tyłek.

Twarz Halbacka się rozjaśniła.

- No. Może każemy mu zjeść psie gówno.

- Niezły plan.

Obaj ruszyli ulicą, skręcili w Siesta i popedałowali w stronę parku. Kiedy tylko odjechali, Samson poczuł się lepiej. Nawet z daleka czuł wzrok debila wwiercający się w plecy, śledzący każdy ruch. Odetchnął dopiero wtedy, gdy skręcili za róg ulicy.

Park był prawie pusty. Kilkoro starszych dzieci trenowało odbijanie na boisku do baseballu, a meksykańska rodzina urządzała grilla przy jednym stole. Nikogo więcej. Nawet starzy hippisi, którzy zwykle zajmowali róg parkingu swoją poobijaną furgonetką dziś się nie pokazali.

Samson i Halback przejechali przez niski krawężnik i popędzili ścieżką wydeptaną przez środek trawnika. Wjechali na pagórek obok stawu z kaczkami, ominęli od lewej strony małe ogrodzone podwórko ze sprzętem technicznym i zatrzymali się nad rowem kanalizacyjnym. Rozejrzeli się szybko, czy nikt ich nie zauważył, po czym zsiadli z rowerów, schowali je w krzakach i zsunęli się po stromej, brudnej skarpie na dno rowu.

Przed nimi rów przechodził w coś, co nazywali "tunelem", wysoki na dwa i pół metra kanał burzowy prowadzący pod ulicą.

Chociaż często zwiedzali tunel, nigdy nie dotarli do końca, nigdy nie znaleźli miejsca, w którym znówu otwierał się na świat. Badali go od środka, próbowali określić jego położenie z zewnątrz, nigdy jednak nie natrafili na drugi wylot. Kanał burzowy biegł pod ulicą zakręcał przy domach i wydawał się ciągnąć bez końca.

Teraz stąpali ostrożnie po kamieniach porośniętych glonami, przeskakiwali nieliczne kałuże i zagłębiali się w tunel. W środku cuchnęło ściekami i alkoholem, w nieruchomym powietrzu wisiał zastarzały smród tytoniu i marihuany. Panowała ciemność -

światło z wejścia docierało tylko na kilkanaście centymetrów w głąb i po paru krokach całkowicie zanikało - ale to im nie przeszkadzało. Przychodzili tu tak często, że poruszali się z łatwością nawet bez latarki.

Samson prowadził, trzymając jedną rękę na zimnej cementowej ścianie dla orientacji. Przypomniawsobie, jak pewnego razu natrafili tu na śpiącego włóczęgę; po ciemku prawie się potknęli o starego menela. W pierwszej chwili obaj przestraszyli się, że stary ich zabije albo dźgnie nożem, ale kiedy usłyszeli jego słaby, skomlący głos, jego żałosne błagania, strach pierzchnął i mocno mu przykopali, udając, że to niechcący; usprawiedliwiali się przesadnie podniesionymi głosami, które budziły echo w nieruchomej ciszy tunelu: „Przepraszam”, „Pan wybaczy”,

„Bardzo przepraszam”.

Samson wyszczerzył zęby. Zrobił następny krok i pośliznął się na czymś lepkiem. Pospiesznie wyciągnął stopę.

- Gówno!

- Śmierdzi jak gówno - zgodził się Halback.

Minęli pierwszy zakręt i biały kwadrat światła zniknął za ścianą tunelu. Samson przystanął i po sekundzie Halback wpadł na niego.

- Uważaj, jak chodzisz, do cholery. - Samson odepchnął

przyjaciela pod ścianę. — Masz to?

Zaszeleścił rozwijany celofan. Zapłonęła zapalka, nienaturalnie jasna na tle czerni. Halback przytknął płomynek do końca papierosa.

Samson się uśmiechnął. Pamiętał, jak pierwszy raz przyszli tu zapalić. Prawie przez pół godziny nie mogli się zdecydować, żeby zapalić zapalkę. Spocili się jak myszy. Bali się, że powietrze w tunelu zawiera jakieś łatwopalne gazy i kiedy zapalą zapalkę, wszystko wybuchnie. Nie pamiętał już, dlaczego ostatecznie się zdecydowali: chyba z głupoty, pomyślał, ale głupi zawsze ma szczęście.

Halback machnięciem zgasił zapalkę, wrzucił ją do cienkiego strumyczka wody na dnie tunelu i zaciągnął się papierosem.

Koniuszek rozjarzył, popiół zaświecił. Halback pociągnął jeszcze kilka razy, zanim przekazał papierosa kumpłowi.

Stali tak, paląc w milczeniu. Halback kaszlał co chwila. Papieros prawie się dopalił, kiedy Samson nagle poczuł czyjąś obecność, jakby niewidzialne oczy z ciemności śledziły każdy ich ruch, niewidzialne uszy słyszały każdy dźwięk. Po raz drugi tego dnia przestraszył się i pomyślał o niedorozwiniętym dzieciaku. W

tunelu zrobiło się jakby zimniej, przeszedł go dreszcz.

Od strony wejścia dobiegł cichy plusk płytkiej wody.

- Co to było? - szepnął Samson.

- Co? - Zbyt donośny głos Halbacka zbudził echo w tunelu.

- Zamknij się.

- Dlaczego szepcesz? - zapytał Halback szyderczym tonem. -

Chcesz mnie nastraszyć?

- Zamknij się, kurwa. Halback zamilkł.

Tym razem obaj usłyszeli. Chlupiące kroki zbliżały się do nich.

Samson wyciągnął rękę, wziął zapalki od kumpla i zapalił jedną.

Pomarańczowy blask oświetlił ich twarze, ale niewiele więcej.

Ciemność dookoła wydawała się jeszcze czarniejsza.

- Kto tam? - zawołał Samson.

Nie otrzymał odpowiedzi, ale kroki ucichły.

Rzucił zapalniczkę, która z sykiem zgasła w brudnej wodzie.

- Nie podoba mi się to - oświadczył. - Wychodzimy stąd.

- Okej - zgodził się Halback.

Ruszyli z powrotem w pośpiechu, chociaż udawali, że wcale się nie spieszą. Odgłos ich kroków rozbrzmiewał echem w tunelu.

Żeby tylko dotrzeć do zakrętu, pomyślał Samson. Żeby tylko zobaczyć wejście. W wyobraźni ujrzał członków gangu. W

wyobraźni ujrzał...

...upośledzonego chłopca.

Teraz biegli, rozpaczliwie pędzili do światła, hałaśliwie rozchlapywali tenisówkami wodę ze ścieku. Samson wyciągnął

rękę, dotknął zimnego betonu. Tuż przed nim Halback wrzasnął i zanim Samson świadomie podjął decyzję, zatrzymał się i odskoczył. Usłyszał dźwięk uderzenia, który natychmiast zmienił

się z suchego i czystego na mokry i gąbczasty, potem odgłos padającego ciała. Z cichym pluskiem ciało wylądowało w płytkiej wodzie na dnie tunelu.

Przerażony, spanikowany, wrzeszcząc co sił w płucach, Samson próbował uciekać. Pobiegł do wyjścia, ale natychmiast potknął się o nieruchome ciało przyjaciela i rozciągnął się jak długi w błocie.

Przez jego krzyki

i szaleńcze łomotanie serca przebił się ściszony chichot.

Szatan! - pomyślał Samson.

Próbował się podnieść. W ustach czuł błoto, chemikalia, glony i urynę. Splunął i natychmiast wymiotował. Znowu upadł, kiedy coś lub ktoś walnęło go w bok, mało nie zakrztusił się wymiocinami, które poleciały mu z powrotem do gardła.

Napastnik wylądował ciężko kolanami na piersiach Samsona, niemal pozbawiając go oddechu. Chłopak dławił się, krztusił, łapał powietrze. Kopał i bił pięściami, ale w nic nie trafiał.

Rozpaczliwie szarpał głową na boki. Załzawionymi oczami dostrzegł z prawej strony pomarańczowy blask papierosa, jakimś cudem wciąż palącego się i suchego. Szatan widocznie zauważył

go w tej samej chwili, bo ucisk na piersiach się przesunął i teraz papieros płynął w powietrzu, prosto do twarzy Samsona.

Chłopak zamłócił rękami, próbował się przekręcić, lecz zanim zdołał się poruszyć, płonący koniec papierosa wypełnił cały świat i został wciśnięty w jego prawe oko. Samson usiłował zamknąć oczy, zamrużyć, ale żar pomknął prosto do mózgu. Poczł, że błona gałki ocznej topi się, poczuł zapach własnego smażonego ciała, zagłuszający smród ścieków. Wyrzucił ramiona na boki i jego lewa dłoń dotknęła czegoś ciepłego i lepkiego.

Głowa Halbacka.

Pięść trzasnęła Samsona w twarz, potem coś twardszego. Papieros powędrował do drugiego oka, przepalił galaretowatą błonę i Samson oślepl. Umierał przy akompaniamencie śmiechu.

KOLEJNA PRZYJEMNA NIEDZIELA W DOLINIE, pomyślał

Allan, jadąc spokojną ulicą w stronę domu Cathy. Domy dookoła wyglądały jak z serialu z lat sześćdziesiątych — niemal identyczne podmiejskie domki z wesołymi wypielęgnowanymi trawnikami, poranne gazety idealnie ułożone na frontowych stopniach. Niebo było niebieskie i bezchmurne, drzewa wzdłuż ulicy niedawno przycięte. Przedtem nie zauważył tego porządnickiego wyglądu jak z obrazu Normana Rockwella, ale do Cathy to pasowało. Dokładnie w takiej okolicy powinna mieszkać.

Czekała przed domem, kiedy przyjechał, stała na końcu podjazdu z torebką w ręku i wyglądała wspaniale. Nosila zwykłą białą bluzkę i džinsy. W tym prostym stroju wyglądała jednocześnie zdrowo i seksownie. Uśmiechnęła się i pomachała do niego, a on również nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Zaparkował i chciał wysiąść, żeby otworzyć przed nią drzwi, ale ona wsiadła do bronco, zanim zdążył choćby rozpiąć pas.

- Jedźmy - powiedziała.

- Czy nigdy nie zaprosisz mnie do środka i nie pokażesz mi domu? Pokręciła głową i zaczerwieniła się lekko, palce nerwowo otwierały

i zamykały zamek torebki.

- Może kiedy indziej.

- Okej - Nie chciał naciskać. Wrzucił bieg i odjechał od krawężnika. - Pokazałbym ci moje mieszkanie, ale właśnie robię dezynsekcję.

- Karaluchy?

- Pająki. Wczoraj jeden łąził po suficie. Nie cierpię ich, ale trudno mi je zabijać. Ciągłe myślę o małych żonach pająkowych i małych dzieciach pajączkach czekających na powrót ojca, którego załatwiłem gazetą. Dużo łatwiej nastawić bombę owadobójczą.

Nie mam takich wyrzutów sumienia.

- W tym jest jakaś metafora. Albo morał.

- Typowa absolwentka anglistyki. Cathy się zaśmiała.

- No więc dokąd jedziemy? - zapytała. - Jeszcze mi nie powiedziałeś.

- To dopiero zaufanie. Gotowa jesteś jechać ze mną nie wiadomo dokąd.

- Jesteś gliniarzem. Mam nadzieję, że mogę ci zaufać. Wyszczерzył

zęby.

- Zobaczymy.

Spędzili rano w Muzeum Hearda, oglądając indiańską sztukę i artefakty. Cathy była w tym muzeum tylko raz, na wycieczce w trzeciej klasie. Wtedy traktowała to wyłącznie jako okazję, żeby wyrwać się na chwilę ze szkoły. Teraz skorzystała znacznie więcej. Allan podchodził niemal do wszystkiego z zainteresowaniem i autentycznym entuzjazmem. Jak się okazało, znał się nie tylko na współczesnej sztuce, ale również na starej ceramice i koszach. Kiedy ze swadą rozwijał zwięzłe opisy umieszczone przy eksponatach, zebrał się tłumek słuchaczy.

Allan zamilkł speszony, widząc otaczających go ludzi.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem, wziął Cathy za rękę i odeszli.

- Czuję się jak nadęty nudziarz - wymamrotał.

- Dlaczego? Wiedzy nie trzeba się wstydzić.

- Tak, ale nikt nie chce stać i słuchać przez dziesięć minut, jak jakiś amator gędzi o ceramice Pagago.

- Gdyby nie chcieli, toby nie słuchali. Poza tym wcale nie gędziłeś. Po prostu udzielałeś informacji. Mnie to zaciekało.

- Czyżby? Powiedz to przewodnicze. Kiwnął głową w stronę kobiety o surowej twarzy, w brązowym żakiecie z przypiętą plaketką, stojącej przy drzwiach.

Cathy spojrzała na kobietę i zaczęła chichotać, potem na Allana i on też zaczął chichotać, oboje śmiali się coraz bardziej i nie mogli przestać, więc wyszli z sali pod karcącym wzrokiem kobiety.

Dopiero przy lunchu wypłynął temat morderstwa. Pojechali do Scotts-dale i jedli lunch w Sugar Bowl - lody z bananami - kiedy jakiś nastolatek przy sąsiednim stoliku wspomniał o Szatanie z Phoenix. Cathy zobaczyła, że chmura przepłynęła po twarzy Allana.

- To twój wolny dzień - przypomniała mu.

Kiwnął głową, ale do końca posiłku wydawał się nieobecny.

Po wyjściu, kiedy stali pod pustynnym słońcem w upale, Allan przeprosił i odszedł do automatu telefonicznego, żeby zadzwonić.

Kiedy wyszedł z budki, mniej marszczył czoło i wydawał się spokojniejszy, ale nadal bardziej spięty niż przez cały rano.



- Powiniennem wziąć pager - powiedział.

- Żadna randka nie może się bez tego obyć.

- Przepraszam. - Uśmiechnął się ze skruchą.

- Nie przepraszaj. Tylko żartowałam. Powoli szli Piątą Aleją w stronę samochodu.

- Minęły dwa tygodnie od ostatniego zabójstwa - mówił Allan.

-Wiem, że powiniennem się cieszyć, ale czekanie jest chyba gorsze.

Morderca nie został złapany i wiesz cholernie dobrze, że nie przerzucił się na pomaganie bezdomnym sierotkom. Tak naprawdę możemy tylko czekać, aż wypłynie coś nowego albo Szatan znowu uderzy. -  
Palnął się w czoło otwartą dłonią. -

Szatan. Jezu, sam tak mówię.

Cathy się uśmiechnęła.

- A co z tą dziewczynką?

- Tą zaginioną? Raczej nie ma związku. Nasz morderca zabija. Nie porywa. Poza tym to sprawa rodzinna. Odbyła się zacięta walka o prawo do opieki, a mąż nie wyglądał na takiego, który umie przegrywać. To nie moja sprawa, ale mam przeczucie, że kiedy znajdą męża, znajdą także córkę.

- Och.

Wziął ją za rękę i ścisnął.

- Daj spokój - powiedział. - Nie mówmy o tym więcej. Nie psujmy dnia.

- Wcale nie psujemy - odparła szczerze Cathy.

Prawdę mówiąc, nie wyobrażała sobie, żeby cokolwiek mogło zepsuć ten dzień. Spędziła wspaniały poranek i nie pamiętała, kiedy lepiej się ba-wił. Im dłużej przebywała w towarzystwie Allana, im lepiej go znała, tym bardziej go lubiła.

Nawet bardziej niż lubiła, prawda? Odepchnęła od siebie tę myśl.

Spędzili popołudnie w Scottsdale, odwiedzając małe sklepiki i galerie. Wielu właścicieli galerii znało Allana z imienia. Wzruszył

ramionami, kiedy go o to zapytała.

- Chyba spędzam tu dużo czasu - przyznał.

Zjedli obiad w Trader Vic's. Z boksu Cathy widziała bar. Nie słyszała żadnych rozmów, ale po

twarzach dobrze ubranych mężczyzn i kobiet w obcisłych spódniczkach widziała, jak ciężko harują, żeby sprawiać wrażenie dowcipnych i interesujących.

Allan dostrzegł jej spojrzenie i też się obejrzał. Pokręcił głową.

- Trudno jest poznawać ludzi - stwierdził.

- Co ty powiesz.

- Upadłem nawet tak nisko, że poszedłem na randkę w ciemno.

Cathy się roześmiała.

- Nie, mówię poważnie.

- Jak się udała?

- Nie udała się. Nie żadna komediowa sytuacja... nie zjawiała się oku-larnica z nadwagą, nic takiego. Okazała się całkiem atrakcyjna i całkiem inteligentna. Po prostu nie zaiskrzyło.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Niektóre osoby lubisz, innych nie lubisz...

- Nie wciskaj mi kim. Powiedz, co się stało.

- Powiedziałem. To ona rzuciła mnie w Rawhide. Cathy parsknęła śmiechem.

- Jeszcze gorzej niż moje randki w ciemno.

- Randki? Liczba mnoga?

- Tak. Randki.

- W takim razie mamy szczęście, że na siebie trafiliśmy, prawda?

Spuściła wzrok na serwetkę.

- Chyba tak - bąknęła.

Po obiedzie wrócili spacerem do samochodu obok ciemnych teraz sklepów, po opustoszałej ulicy. Cathy czuła dłoń Allana w swojej dłoni, jego palce splecione z jej palcami. Przyjemne uczucie, ciepłe i kojące. Lekko uściśniła jego dłoń.

- Przepraszam, że nie zaprosiłam cię rano. Ale ojciec był w domu.

- Rozumiem, że nie jesteście w najlepszych stosunkach.

- Nie. - Uśmiechnęła się smutno. - Nie mam zbyt dobrych układów z ojcem.

Allan wzruszył ramionami.

- A kto ma? Ostatnio widziałem ojca w wieczór mojego balu maturalnego. Siedział w fotelu przed telewizorem, a ja z mamą poszliśmy na uroczystość. Cholera, nawet nie wiem, gdzie jest pochowany.

Cathy położyła mu lekko dłoń na ramieniu.

- Na pewno ci trudno - powiedziała. Znowu wzruszył ramionami.

- Nieszczęśliwie. Nigdy nie byliśmy blisko, więc kiedy umarł, nic nie straciłem. Ale mama jeszcze żyje. Mieszka w Kalifornii.

- Często ją widzisz?

- Kiedy mogę. No wiesz, święta, urodziny, takie okazje. Dużo rozmawiamy przez telefon.

- No, z ojcem i ze mną jeszcze nie jest tak źle. Przynajmniej na razie. Ale zmierzamy w tym kierunku.

- A twoja matka?

- Nie żyje. Zginęła w wypadku samochodowym.

- Przykro mi.

Panno Riley?

Podniosła wzrok na policjanta w drzwiach. Twarz miał twardą, wypraną z wszelkich emocji, jakby wyciosaną w granicie. Coś w jego oczach przestraszyło Cathy.

- Panna Riley?

Przytaknęła niemo. Krótkie siwe włosy policjanta sterczały jak szczecina. Jak kolce jeżozwierz, pomyślała.

- Mam złe nowiny. Pani rodzice mieli wypadek samochodowy.

Mam zawieźć panią i pani braci do Szpitala Świętego Mateusza.

Cathy nie odpowiedziała. W milczeniu szli przez parę chwil, trzymając się za ręce. Na czarnym, bezksiężycowym niebie gwiazdy tłoczyły się tak gęsto, że wyglądały jak cieniutkie białe chmurki.

- A twój brat? - zapytał Allan. - Wspominałaś, że masz brata.

- Dwóch. Davida i Billy'ego. Billy przeprowadził się do Nowego Jorku dwa lata temu. Nadal jesteśmy bardzo blisko. David... -

urwała.

- Co z Davidem? Nie odpowiedziała.

- Nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz - dodał szybko.

Zauważył jej wahanie. - Ale jeśli chcesz, powiedz. Jestem przy tobie. Cathy spuściła wzrok na swoje buty.

- David był nienormalny - wyznała wreszcie. - Zawsze zachowywał się dziwnie, ale z wiekiem to się pogarszało. Po śmierci matki... uciekł z domu jakiś rok po wypadku. Pewnie macie gdzieś akta sprawy. Ojciec chyba zgłosił zaginięcie, chociaż nie pamiętam, żeby policja przychodziła do domu. Wątpię, czy ojcu i Billy'emu bardziej zależało na jego powrocie niż mnie.

Allan spojrzał jej w oczy i nie spodobało mu się to, co tam zobaczył.

- Czy brat próbował cię... zgwałcić? Pokręciła głową.

- Nie. Nie na serio. Ale robił różne chore rzeczy. Raz wziął od kumpli po pięć centów, żeby mogli mnie obejrzeć... no wiesz, w łazience. - Cathy poczerwieniała, ale mówiła dalej. - Zamek w drzwiach naszej łazienki nigdy nie działał. David zaczekał z kolegami w pokoju, aż tam weszłam. Potem szeroko otworzył

drzwi i powiedział: „To ona!”, i wszyscy gapili się na mnie i śmiali. Przez następne dwa lata, dopóki nie wyjechał, bałam się pójść do łazienki. Próbowałam wpychać ręcznik w szparę pod drzwiami,

żeby je zablokować. Kiedy tylko mogłam, korzystałam z łazienki rodziców, która miała zamek. Raz nawet wyszłam na dwór, w krzaki. - Pokręciła głową. - Boże, jak ja go nienawidziłam.

- Czy powiedziałaś rodzicom? Pokręciła głową.

- Nigdy im za wiele nie mówiłam. - Obliznęła wargi. - Wiesz, przez jakiś czas nawet myślałam, że to on popełnia te morderstwa.

Allan zeszywniał.

- Czemu tak mówisz? Wzruszyła ramionami.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Myślałam o tym, ale to mało prawdopodobne. Przede wszystkim David nigdy nie był orłem intelektu i wątpię, czy byłby zdolny popełnić całą serię zbrodni doskonałych. Doszłam do wniosku, że to wyłącznie moja paranoja, na pewno -

przerwała. - Tylko że...

- Co?

Opowiedziała mu o króliku. Allan zmarszczył brwi i przystanął.

- Nie podoba mi się to. Szkoda, że mi nie powiedziałaś wcześniej.

- Nie myślałam, że to ważne. Właściwie... sama nie wiem, co myślałam. Chyba się bałam. Nie chciałam myśleć, że to David.

- Obyś miała rację, ale to trzeba sprawdzić. Nie wiesz, czy twój brat zabijał inne zwierzęta?

Pokręciła głową.

- Sprawdzę to jutro.

- Jutro - powtórzyła. - Czy to znaczy, że dziś możemy się skupić na innych rzeczach?

Kiwnął głową.

- Jasne.

Uśmiechnął się, ale nie tak swobodnie jak wcześniej, nie tak otwarcie. Widziała napięcie w mięśniach jego twarzy.

Szli dalej. Za rogiem minęli inną parę spacerowiczów, dwoje nastolatków oglądających wystawy po ciemku. Dotarli do samochodu, ale zamiast otworzyć drzwi, Allan oparł się o bok bronco i przyciągnął Cathy do siebie. Poczul, jak zeszywniała, więc cofnął ręce.

- Przepraszam... - zaczął. Pocałowała go.

To był niezręczny pocałunek, szybkie dziobnięcie, które nie całkiem trafiło w usta, ale równie podniecającego pocałunku nigdy jeszcze nie

przeżył. Natychmiast miał erekcję. Spojrzał w oczy Cathy, zobaczył nerwowe oczekiwanie, otoczył ją ramionami i powoli pochylił się do przodu. Ich wargi się spotkały. Zostawił jej mnóstwo czasu, ale się nie odsunęła. Lekko rozchylił usta i wsunął język pomiędzy jej wargi. Otworzyła się pod jego naciskiem, wpuściła go do środka. Oparła się o niego. I odskoczyła nagle.

Patrzyła na wypukłość w jego spodniach. Zakłopotany, odsunął

się od samochodu i odwrócił. Czuł, że powinien przeprosić, chociaż nie bardzo wiedział, za co.

— Ee, słuchaj...

Cathy szybko pokręciła głową.

- Przepraszam. To moja wina. Ja... - głos jej zamarł.

Patrzyli na siebie i nie wiedzieli, co powiedzieć. Allan ukradkiem próbował spacyfikować swoją

erekcję, ale Cathy dostrzegła ruch i jej spojrzenie pomknęło do jego ręki.

Oboje natychmiast odwrócili wzrok.

- No, lepiej wracajmy - powiedział Allan. Otworzył przed nią drzwi i obszedł samochód od przodu.

- Robi się późno, a jutro idę do pracy...

- Nie chodzi o ciebie. Obejrzał się na nią.

- Co?

Oblizwała wargi. - Ja po prostu... - Nie mogła dokończyć zdania. - O

co chodzi?

Zawrócił i znowu do niej podszedł.

- Po prostu... już dawno...

- Rozumiem - zapewnił Allan. - W porządku.

- Ja naprawdę... cię lubię.

- Ja też cię lubię.

Pocałowali się jeszcze raz. Poczuł, że jej ciało przywiera do niego coraz mocniej, i z zawstydzeniem stwierdził, że znowu jest pobudzony. Z tak bliska musiała zauważyć jego podniecenie. Nie wiedział, jak ona zareaguje. Nie chciał jej odstraszyć.

Ale ona się nie przestraszyła.

Ojciec czekał na nią, kiedy wróciła do domu. Siedział w kuchni, z kulami opartymi na kolanach. Z pokoju rodzinnego dochodził ryk telewizora. Spiorunował ją wzrokiem, kiedy podeszła do zlewu.

- Gdzieś ty była, do cholery?

Spojrzała na niego zimno.

- Wychodziłam.

- Nie mów do mnie takim tonem, młoda damo! - Próbował się dźwignąć na nogi, opierając ręce na stole i krawędzi krzesła, ale kule z łoskotem runęły na podłogę, a on opadł bezwładnie.

Cathy podniosła kule.

- Musiałem sam sobie zrobić obiad - poskarżył się ojciec. -

Przynajmniej mogłaś mnie uprzedzić, dokąd idziesz. Czekałem i czekałem, a kiedy nie wracałaś,

pomyślałem, że coś ci się stało. O

mało nie zadzwoniłem na policję. Mogłaś chociaż zostawić kartkę.

Cathy natychmiast poczuła się winna. Miał rację. Powinna go uprzedzić, że wychodzi. Nawet jeśli się kłócili, postąpiła bezmyślnie. Odwróciła się do niego, skruszona.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie wiedziałam, że to się tak przeciągnie. Zaprosił mnie na obiad, ale...

- On? Ten gliniarz? Przytaknęła.

Ojciec uśmiechnął się złośliwie.

- Czy wy...?

- Ani słowa więcej!

Ojciec wciąż szczyrzył zęby i wyraźnie zamierzał coś odpowiedzieć, ale zanim zdążył wymówić choć słowo, Cathy wybiegła z kuchni. Nagle w domu zrobiło się gorąco i duszno, więc zamiast pójść do sypialni, wyszła na zewnątrz.

Nocne niebo było czyste i piękne. Przez chwilę stała na podjeździe, patrząc w gwiazdy. Krzywizna Ziemi znajdowała odbicie w łukowym sklepieniu niebios. Księżyc jeszcze się nie pojawił, konstelacje jaśniały na tle głębokiej czerni.

- Da.

Niski, stłumiony, niemal mamroczący dźwięk sprawił, że natychmiast się obejrzała. Powietrze nagle się ochłodziło i Cathy roztarta ramiona. Głos dochodził jakby z drugiej strony ulicy, ale chociaż rozglądała się po chodniku i trawnikach, nic nie zobaczyła. Wyteżyła wzrok i próbowała rozróżnić kształty w ciemnościach.

Tam.

Mała figurka przesuwiała się powoli na tle krzaków otaczających podwórze Armstronga.

Cathy zrobiła dwa kroki do przodu i przystanęła, kiedy figurka wyszła na pas trawy oświetlony przez latarnię uliczną.

Randy. Poruszał się powoli, ale zdecydowanie, jakby zmierzał do wyznaczonego celu, jednak nie zależało mu, kiedy ten cel osiągnie. Był mokry, przemoczony na wylot, w ociekającym ubraniu, z krótkimi włosami przylepionymi do czaszki. W nikłym żółtawym świetle latarni jego ciało wydawało się śliskie i błyszczące.

Cathy przyjrzała się dokładniej i zauważyła, że bladą, lśniąca, niemal ośli-złą skórę chłopca w kilku miejscach znaczą plamy równie lśniącej czerni.

Olej? - pomyślała, zdziwiona.

Krew?

Zatrzymał się i obejrzał na nią zupełnie jakby wyczuł jej obecność.

Cathy spojrzała mu w oczy i natychmiast odwróciła wzrok, przestraszona wyrazem jego twarzy, przerażona perwersyjną inteligencją, która zdawała się emanować z oczu w wyraźnej sprzeczności z pozostałymi rysami.

Jeśli oczy naprawdę są oknami duszy, pomyślała, to dusza Randy'ego jest potępiona.

Szybko odwróciła się i weszła do domu. Zamknęła za sobą drzwi na klucz i wyjrzała przez okno, szukając upośledzonego chłopca, ale zniknął bez śladu. Ulica była pusta.

Z drżeniem opuściła zasłony i przeszła przez korytarz do sypialni.



O BOŻE - POWIEDZIAŁ ALLAN. - O JEZU. Człowiek na trawniku wybuchnął.

Allan odetchnął głęboko. Klatka piersiowa i brzuch mężczyzny pękły, skóra rozdarła się na poszarpane strzępki wokół

nieregularnych otworów, skupionych w kilka grup. Czerwonawa ciecz wciąż płynęła, bulgocząc, z otworów równymi strumyczkami, które zasilala woda pompowana w głąb martwego ciała przez bliźniacze ogrodowe węże, wetknięte w usta i odbył mężczyzny. Ochłapy czerwonego i białego mięsa zaścielały trawnik, wisiały na źdźbłach, zaczepiały się na gałązkach, a woda wciąż przesączała się przez trawę i wyciekała na chodnik.

Cuchnęło uryną i ekskrementami, żółcią i krwią.

Żółta taśma policyjna odgradzała dom, ale właściwie niepotrzebnie. Ciało, czy raczej jego resztki, wyglądało tak okropnie i śmierdziało tak straszliwie, że ludzie z własnej woli trzymali się z daleka.

- Mamy nazwisko? - zapytał Allan. - Dane?

- Harvard Brown - odpowiedział Dobrinin. - Programista komputerowy. Podobno rozwiedziony. Właśnie próbujemy odnaleźć byłą żonę.

- Gdzie jest patolog? Chcę znać czas śmierci.

- Już jedzie. Rozpoczęliśmy przeczesywanie okolicy.

- Dobrze. - Spojrzał na zabarwioną krwią wodę sikającą z martwego ciała i się skrzywił. - Niech ktoś zakręci te cholerne węże!

- Fotograf jeszcze nie przyjechał! - zawołał Williams z frontowego ganku.

- Gówno mnie to obchodzi! Nie musi robić zdjęć z bezczeszczenia zwłok! Zakręćcie te cholerne węże!

Patrzył, jak strumienie wody wiotczeją i zamierają. Poszarpane ciało zapadło się w sobie. Kawałek czystego białego jelita wypłynął przez największą dziurę, tuż nad krocem mężczyzny, i zawisnął na cienkim skrawku skóry.

Allan spojrział na wschodzące słońce, potem odwrócił się i ruszył

w stronę domu.

- Możemy wykluczyć Lee - stwierdził Pynchon. - Nie żebym go naprawdę podejrzewał.

Allan wytrzeszczył oczy na kapitana, który wbijał czerwoną szpilkę w miejsce oznaczające dom

Harvarda Browna na ściennej mapie.

- Jak to, nigdy go pan nie podejrzewał? Przecież właśnie pan kazał

go śledzić.

- Tylko na wszelki wypadek.

- Uważam, że powinniśmy go przeprosić. Rujnujemy facetowi życie, a potem odkrywamy, że się pomyliliśmy? To wszystko nasza wina.

Kapitan zbył go machnięciem ręki.

- Nikomu nie zrujnowaliśmy życia. Cholera, Lee pewnie nawet nie wiedział, że jest pod obserwacją

- Ale my wiemy. Po prostu podeptaliśmy jego prawa, bo koniecznie chcieliśmy znaleźć podejrzanego...

- Wystarczy tej sentymentalnej świętoszkowatej gadaniny. To pan wszystko zaczaj. To pan pierwszy rzucił na niego podejrzenie, więc niech pan nie zwała winy na mnie. Sprawa skończona, a my ciągle musimy złapać mordercę, więc pora się wziąć do roboty.

- No, ja się czuję winny.

- Świetnie. Niech go pan przeprosi. Ja nie chcę więcej o tym słyszeć. - Palec Pynchona nakreślił wyobrażoną linię na mapie, łączącą czerwone szpilki. - Co z Goldsteinem? Do czegoś nas to prowadzi?

- Przesłuchałem go dwa razy. Zażądaliśmy billingów jego telefonu. - Pokręcił głową - Facet z pewnością nie jest święty, ale wątpię, czy jest mordercą.

- Czy mamy dostatecznie dużo dowodów poszlakowych, żeby wystąpić o nakaz rewizji?

Allan namyślał się przez chwilę.

- Właściwie nie. Ale mogę przedstawić posiadane przez nas informacje w taki sposób, że pewnie dostaniemy nakaz... Zależy od sędziego.

- Niech pan to zrobi.

- Nie sądzę, że to on. Po pierwsze, ma syna. Miłego dzieciaka.

Znam go. Większość seryjnych morderców nie ma miłych dzieci.

No i czas popełnienia zbrodni. Na ogół po północy. Wątpię, czy Goldstein...

Pynchon westchnął.

- FBI wkracza w sprawę, wie pan.

- Dzięki Bogu.

- „Dzięki Bogu”? Przyjeżdżają, bo daliśmy ciała. Wyszliśmy na kompletnych kretynów.

- Ale oni mają odpowiednie środki i doświadczenie w takich sprawach.

- My też. To nie żadne Pierdziszewo. To jest Phoenix, do jasnej cholery. Główne stanowe siły policyjne. Powinniśmy sami sprzątać swoje podwórko.

Allan milczał.

- Wynoś się pan - warknął Pynchon. - I spróbuj pan załatwić nakaz na Goldsteina. Musimy coś robić.

Allan chciał odpowiedzieć, ale się rozmyślił, kiedy zobaczył minę kapitana.

- Tak jest, sir - bąknął i poszedł do siebie.

Morderstwo stało się sensacją na skalę ogólnokrajową.

Allan odpoczywał na kanapie z zamkniętymi oczami, lecząc ból głowy, przy ściszonej telewizorze, kiedy usłyszał nazwisko:

„Harvard Brown”.

Natychmiast usiadł prosto, zdjął nogi z poręczy kanapy i spojrzał

na ekran. Korespondent sieci telewizyjnej stał przed domem Browna. Przez luki w tłumie za jego plecami przebłysk i wała dramatycznie żółta policyjna taśma. Reporter opisywał

morderstwo ze szczegółami, cytując bez skrępowania zeznanie jednego z sąsiadów.

- Policja uważa, że to kolejne z serii mordów popełnianych przez tak zwanego Szatana z Phoenix, który od miesiąca terroryzuje tę zwykle spokojną pustynną społeczność makabrycznymi zabójstwami...

Pokręcił głową. Pynchon nie będzie zachwycony. Najpierw lokalne wiadomości, teraz krajowe wiadomości, następnie żer dla brukowców. Po czymś takim naciski jeszcze się zwiększą. Tyłki się sfajczą, jak mawiał kapitan.

Allan wiedział, że jeśli mieszkańcy doliny przedtem się bali, teraz będą absolutnie przerażeni. Taki reportaż w ogólnokrajowych wiadomościach niejako uprawomocniał dotychczasowy strach, podkreślał realizm sytuacji, która wydawała się jeszcze bardziej poważna niż w rzeczywistości. Skompresowanie skomplikowanych faktów do kilku zdań komentarza zawsze potęgowało znaczenie tych faktów. Cholera, po obejrzeniu wiadomości sam zaczął się obawiać, że morderca tej nocy zapuka do jego drzwi - a przecież sumiennie szukał tego drania prawie od miesiąca.

Ale przynajmniej raz sytuacja nie przedstawiała się tak ponuro, jak sugerowały media. Wreszcie na coś natrafili. Dziś po południu w zaschniętym błocie opodal ciała znaleziono ślady stóp, wykonano odlewy i poddano analizie. Ślady były małe, jakby należały do dziecka, karła czy niskiej kobiety, i miały odcisnięty wzór podeszwy popularnych tenisówek. Oczywiście nie stanowiły rozstrzygającej poszlaki, nie dały się jednoznacznie zidentyfikować, nawet nie bardzo pomogły w wytropieniu podejrzanego, ale mieli coś na początek. Pynchon postanowił nie udostępniać prasie tej informacji, żeby pracować bez przeszkód, teraz jednak Allan się zastanawiał, czy nie popełnili błędu. Ludzie łatwiej znieśliby strach, gdyby chociaż ogłoszono, że „policja bada nowe tropy w tej sprawie”.

Zastanawiał się przez chwilę, potem podszedł do telefonu i wystukał numer komendy. Odebrała Patty Thrall, dyspozytorka.

- Pat, jest kapitan?

- Właśnie mieliśmy do ciebie dzwonić. Allan zmarszczył brwi.

- Dlaczego? Co się stało? Na linii odezwał się Williams.

- Allan? Znaleźliśmy dwa ciała. Chłopcy. Zamknął oczy.

- Gdzie?

- W kanale burzowym pod Third, obok parku. Znalazł ich jakiś menel.

- O Boże.

- Źle to wygląda. Nie zidentyfikujemy zwłok bez pomocy laboratorium. Możesz tam się z nami spotkać?

- Przyjadę za dziesięć minut. Zadzwoń do Pynchona.

- Zrobi się.

Allan odłożył słuchawkę. Trzy trupy jednego dnia. Złapał kaburę podramienną i magnetofon. Mówił Cathy, że czekanie jest okropne? Morderstwo było gorsze. Znacznie gorsze.

KATRINA PŁAKAŁA, KIEDY PRZYWIĄZWAŁA RANDY'EGO

DO SŁUPA.

W garażu panował mrok, tylko trochę mętnego światła wpadało przez brudną szybę jedyne okna. Katrinie to odpowiadało, cieszyła się, że prawie nic nie widać. Nie lubiła karać syna i nie chciała oglądać jego twarzy, kiedy wymierzała chłostę.

Dlaczego Bóg tak ją doświadczał?

Randy był taki grzeczny w Seattle. Przynajmniej aż do końca.

Upłynęły lata pomiędzy... zdarzeniami. I po Hanku, kiedy postanowili się przeprowadzić, kiedy już go ukarała, wytłumaczyła mu i zdawało się, że zrozumiał.

Teraz znowu muszą się przeprowadzić.

- Ma! - powiedział Randy. Katrina zacisnęła szpagat, zaciągnęła podwójny, potrójny węzeł. Nie

odpowiedziała, nic nie mówiła. Zdawała sobie sprawę, że to częściowo jej wina. Powinna bardziej uważać, lepiej go zamykać.

Miał zręczne ręce, miał smykałkę do takich rzeczy i powinna wiedzieć, że to tylko kwestia czasu, zanim pokona zamek.

Rozerwała mu koszulę na plecach, potem podeszła do ławki i podniosła knebel. Zakneblowała mu usta. Wrywał się, ale ręce i nogi miał mocno przywiązane do słupa i nie mógł się ruszyć więcej niż na centymetr. Katrina odstąpiła i podniosła z ziemi bat.

- Zły! - powiedziała. Rzemień chlasnął Randy'ego po plecach i zostawił długi czerwony ślad. - Zły!

Randy krzyknął, ale knebel stłumił jego głos. Smagnęła go znowu, tym razem po pośladkach, wkładając całą siłę w zamach ręki.

- Zły!

Szarpał się w więzach i wrzeszczał w knebel.

Prawie nic nie widziała spoza łez, lecz dalej chłostała syna. Jeszcze raz.

I jeszcze. I jeszcze.

- Zły! - powtarzała. - Zły! Zły!

TA JEST NAPRAWDĘ DOBRA - MÓWIŁ JEFF Z PRZEJĘCIEM. -

Nazywa się Pusz-

czanie krwi. Właśnie w tej występuje Albert Fish. Był nie tylko mordercą, był kanibalem i zjadł...

- W porządku - ucięła Cathy i odstawiła książkę na półkę.

Powinna mieć więcej rozumu i nie pytać Jeffa o morderców.

Powinna

mieć więcej rozumu i nie pytać Jeffa o nic. Obejrzała się na Ann, która patrzyła na nią, wyraźnie zmartwiona.

Sama też się martwiła. Odkąd obejrzała wczorajsze wieczorne wiadomości i usłyszała o mężczyźnie zabitym za pomocą ogrodowych węży, nie mogła przestać myśleć o Randym Weście.

Ciągle go widziała, jak przemykał w ciemnościach do domu, ochlapany wodą i... czym?

Krwia?

Wczoraj wieczorem i dziś rano kilkakrotnie podnosiła słuchawkę lelefo-nu żeby zadzwonić do Allana, ale nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Najpierw jej zaginiony brat, teraz niedorozwinięty umysłowo dzieciak z naprzeciwka? Wariactwo. Allan nie uwierzy w ani jedno słowo. Poza tym w zimnym świetle rozsądku pomyśl, że dorosły mężczyzna został zamontowany przez upośledzone dziecko, wydawał się nie tylko naciągany, ale wręcz idiotyczny.

Niemniej przez cały dzień była rozkojarzona, nie mogła się skupić na pracy, w roztargnieniu ustawiała książki na niewłaściwych regałach, po kilka razy wykonywała te same czynności. Randy ją przerażał, miał w sobie coś obcego i nienaturalnego, co sprawiało, że chwilami obsadzenie go w roli zabójcy nie wyglądało tak bezsensownie.

Właściwie wyglądało całkiem sensownie.

Randy zabił tego człowieka.

Spojrzała na regał z książkami. Tak, ona w to wierzyła. Nie miała dowodów, nic nadającego się do przedstawienia w sądzie, lecz nie mogła się mylić. Czuła to. Logicznie biorąc, brakowało sensu, ale w głębi duszy czuła, że ma rację.

Chociaż takie rozumowanie prowadziło do jeszcze bardziej zatrważających wniosków.

Na przykład, że on popełnił również tamte morderstwa.

Zaskoczona Cathy okrzyknęła się gwałtownie i napotkała zatroskane spojrzenie Ann. Spuściła wzrok, żeby nie patrzeć przyjaciółce w oczy, irracjonalnie przestraszona, że jej niewypowiedziane myśli dadzą się odczytać z twarzy.

- Ee, nic - odparta. - Nic takiego. Bo co?

- Po prostu jesteś dziś... jakby trochę nieobecna.

- Nic mi nie jest

- Tak, wreszcie gust jej się poprawił - wtrącił Jeff.

- I to mnie martwi - odcięła się Ann. - Jeśli ona zaczyna podzielać twój gust, wyraźnie coś z nią nie w porządku.

Żartowała i uśmiechała się, ale jej oczy pozostały poważne.

- Nic mi nie jest - powtórzyła Cathy. wyminęła Ann i ruszyła do kontuaru.

Randy czekał na podjeździe, kiedy wróciła do domu. Cathy już zamierzała jechać dalej, jeździć w kółko choćby przez całą noc, dopóki upośledzony chłopiec nie wróci do domu. Ale po drugiej stronie ulicy zobaczyła Katrinę, która siedziała na krześle na trawniku przed domem i obserwowała syna, więc zahamowała.

Chłopiec odstąpił na bok, kiedy volkswagen podskoczył na zaokrąglonym krawężniku i wjechał na środek podjazdu. Jak zwykle dzieciak ścisnął w rękach futbolówkę. Wpatrywał się w Cathy, kiedy wysiadała z samochodu, ślina ciekła mu po brodzie.

- Pa?-zapytał.

Patrzył na Cathy pustymi brązowymi oczami, ani na chwilę nie odwracając wzroku. Wyciągnął do niej piłkę, ale odwróciła się z drżeniem.

- Randy! — zawołała Katrina ze swojego trawnika. — Nie przeszkadzaj sąsiadce!

Niewątpliwie oczekiwała od niej zapewnienia, że Randy wcale nie przeszkadza, że może wchodzić na jej teren, ale Cathy nie mogła się zdobyć na takie kłamstwo.

- Idź do domu - powiedziała do chłopca. Wskazała na drugą stronę ulicy. - Do domu.

Randy patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, bez mrugnięcia, zupełnie jakby ją badał i oceniał, aż dostała gęsiej skórki na ramionach. Obejrzą-

ła się na jego matkę, szukając pomocy, ale kobieta odwróciła się i ostentacyjnie oglądała krzak na drugim końcu podwórza.

- Idź do domu! - powtórzyła Cathy, tym razem bardziej stanowczo. Wreszcie chłopiec ruszył powoli,

dziwacznym podrygującym krokiem.

Bez przerwy oglądał się na nią kiedy przechodził przez ulicę.

Cathy odsunęła fotel kierowcy i wyjęła z tylnego siedzenia zakupy spożywcze, które zrobiła po drodze. Okrążyła mały klomb kwiatowy i weszła do domu, nie patrząc więcej na Randy'ego i jego matkę. Wciąż miała gęsią skórę.

- Tato? - zawołała, zamykając za sobą drzwi. Przeszła przez korytarz.

Ojciec siedział w kuchni zamiast w pokoju rodzinnym. Gapił się w sufit z odrzuconą do tyłu głową. Tylko jego wysilony oddech mącił ciszę panującą w domu. Wyglądał staro, zmęczony i pokonany, i po raz pierwszy od dawna zrobiło jej się go naprawdę żal. Pod maską człowieka, jakim się stał, zobaczyła ojca zapamiętanego z dzieciństwa: silnego i kochającego, który chodził

na szkolne przedstawienia i wywiadówki, który zabierał ją w każdą niedzielę do kościoła.

- Tato? - powtórzyła, stawiając torbę z zakupami na blacie. Nie odpowiedział.

- Tato? - Przestraszona, że coś się stało, że miał atak serca czy coś w tym rodzaju, przysunęła krzesło i usiadła obok niego. Wzięła go za rękę i poklepała po dłoni. - Tato?

Spojrzał na nią i przez sekundę jego oczy wyrażały czułość i troskę. Potem powróciły minione lata i wzrok mu stwardniał.

Usiadł prosto.

- Co ty tu robisz?

- Jak to co robię?

- Myślałem, że nie wrócisz do domu po pracy. Myślałem, że znowu sam będę musiał sobie zrobić obiad.

- Oczywiście, że nie. Ja zrobię obiad.

- To coś nowego.

Cathy głęboko zaczerpnęła powietrza, wstrzymała oddech i policzyła do dziesięciu. Nie chciała dziś kłócić się z ojcem.

Ostatnio zbyt często wrzeszczała na niego i wybiegała z pokoju.

Pora, żeby przełknęła dumę i poszła na ustępstwa.

- Spróbujmy dziś spędzić wieczór spokojnie, okej?



Przez sekundę wyglądał tak, jakby zamierzał coś powiedzieć, rzucić złośliwy docinek, wbić szpilę, ale zmilczał. Pomyślała, że może on też nie chce się kłócić, próbuje osiągnąć kompromis.

- Wezmę się do obiadu - powiedziała.

- Co mamy? - Agresja powróciła do jego głosu.

- A co chcesz? Sięgnął po kule i wstał.

- Od ciebie zależy. Mnie to wisi.

Patrzyła, jak kuśtykał przez kuchnię i hol. Po chwili usłyszała, że włączył telewizor w bawialni. Udało jej się zażegnać kłótnię, ale nie udało się go nakłonić do bardziej cywilizowanego zachowania. Jeśli tak dalej pójdzie, w końcu nie będzie miała żadnych skrupułów, żeby przyjąć propozycję Ann i wyprowadzić się z domu.

Wstała i podeszła do blatu. Żałowała, że nie ma przy niej matki.

wyjawszy krótką rozmowę z Allanem. Cathy od dawna już nie myślała o matce. Sama nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle.

Niewątpliwie był to postęp w porównaniu z okresem, kiedy nie myślała o niczym innym, niemniej gryzło ją sumienie, że za mało czasu poświęca pamięci matki.

Co z niej za córka?

Zaczęła rozpakowywać produkty - wstawiła mleko do lodówki, schowała chleb do kredensu. Postanowiła, że zrobi domowy makaron z serem. To zawsze była ulubiona potrawa ojca, który wiele razy deklarował, że

mógłby ją jeść codziennie i wcale by mu się nie przejadła. Przecież me dzie marudził, jeśli dostanie makaron z serem na obiad. Ale w głębi duszy wiedziała, że będzie narzekać.

Cathy pozmywała naczynia i dołączyła do ojca w bawialni. Co dziwne, nie narzekał na posiłek i zachowywał się niemal grzecznie. Nawet zapytał, czy Cathy może go zawieźć jutro do klubu. Zapewniła, że zrobi to z przyjemnością i chociaż niewiele rozmawiali przez resztę obiadu, nastrój się poprawił, znikło napięcie narastające pomiędzy nimi od dłuższego czasu, Ojciec zasnął już w fotelu i chrapał z otwartymi ustami. Nie chciała go budzić. Usiadła na kanapie, żeby obejrzeć telewizję.

Nadawano magazyn informacyjny i przystojny, wymuskany reporter przeprowadzał wywiad z dobrze ubraną kobietą w średnim wieku.

- Kiedy po raz pierwszy się zorientowaliście, że wasza córka jest wyjątkowa? - zapytał.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Odkryliśmy jej talent dopiero, kiedy poszła do szkoły.

Oczywiście posłaliśmy córkę do prywatnej szkoły. W ramach programu nauczania puszczali tam dzieciom muzykę i dawali klocki, marakasy i inne, wie pan, instrumenty perkusyjne, żeby wybijały rytm. No więc kiedy Suzie wieczorem wróciła do domu, usiadła przy fortepianie i zagrała Rubber Duckie. Zagrała idealnie, nuta w nutę.

Kamera pokazała inne ujęcie. Mała dziewczynka, najwyraźniej upośledzona, brawurowo wygrywała na fortepianie skomplikowany kawałek

Rachmaninowa.

- Odkryliśmy, że ona potrafi zagrać wszystko. Wystarczy, że raz coś usłyszy, i powtarza bezbłędnie.

Dziewczynka przestała grać i jej matka nastawiła płytę.

Beethoven.

- Nigdy jeszcze tego nie słyszała.

Dziecko słuchało, przechylając głowę. Matka podniosła igłę i kiedy muzyka się urwała, dziewczynka odwróciła się z powrotem do klawiatury i wiernie odtworzyła cały fragment.

Kamera skupiła się na reporterze, który teraz stał przed frontem szpitala.

- Uważa się, że ludzie cierpiący na syndrom sawanta, sawantyczni idioci, jak ich dawniej nazywano, doznali czegoś w rodzaju krótkiego spięcia w mózgu. Lekarze nadal nie mają pewności co do neurologicznego podłoża tego zjawiska, wydaje się jednak, że władze umysłowe czy procesy myślowe dotkniętego tym syndromem osobnika skupiają się wyłącznie w jednym obszarze wiedzy, z wyłączeniem wszystkich innych.

Często oznacza to, że taka osoba jest geniuszem w jednej wąskiej dziedzinie, ale nie jest zdolna do normalnego funkcjonowania w sensie społecznym, emocjonalnym czy intelektualnym. Typowym objawem syndromu sawanta jest

spektakularna zdolność do natychmiastowego odtworzenia, zaledwie po krótkim kontakcie, dowolnego utworu muzycznego, dzieła sztuki czy innego przedmiotu ze sfery wchodzącej w zakres uzdolnień sawanta. Doktor Margaret Hartę z uniwersytetu w Marylandzie bada dzieci z syndromem sawanta od 1971 roku.

Doktor Hartę, pospolita kobieta z lekką nadwagą, w zaawansowanym średnim wieku, stała przed klasą chłopców i dziewczynek o pustych twarzach.

- Obecnie możliwe jest ustalenie, za pomocą wielu standardowych testów, czy dziecko autystyczne lub o znacznym stopniu upośledzenia umysłowego istotnie ma syndrom sawanta. Wiedza taka jest nie tylko cenna sama w sobie, bo pozwala nam poznać sposób funkcjonowania ludzkiego umysłu, ale również może przerzucić pomost nad przepaścią oddzielającą dziecko od społeczeństwa. Dzieci z ostrym autyzmem często żyją we własnym świecie i nie są świadome otaczającej je rzeczywistości. Jeśli wykryjemy u niepełnosprawnego dziecka jakiś szczególny talent, możemy go wykorzystać, żeby

nawiązać kontakt z tym dzieckiem.

Kamera pokazała tępą twarz czarnego chłopca w grubych okularach, zjechała w dół, na jego krótkie, serdelkowate palce.

Cathy nagle poczuła zimno.

- Martin urodził się z syndromem sawanta - mówił reporter zza kadru. - Rodzice wcześniej odkryli u niego talent artystyczny i zgłosili go do programu doktor Hartę.

Chłopiec stał przed sztalugami, nie odrywając wzroku od reprodukcji Guerniki na ścianie, jego palce i pędzel śmigały po płótnie.

Cathy patrzyła z zapartym tchem, ołowiany ciężar strachu, towarzyszący jej przez cały dzień, coraz mocniej gniótł ją w żołądku. Idealna kopia Picassa wypełniła ekran.

Chłopiec uśmiechnął się głupkowato. Cathy wstała z kanapy i wyłączyła telewizor. Ojciec ciągle spał, niczego nieświadomy.

Usiadła z powrotem. Cała się trzęsła. Teraz wiedziała, jak Randy mógł zabijać, jak mógł dokonywać takich mistrzowskich, skomplikowanych aktów przemocy.

Randy West był idiotą sawantem.

Miał talent do mordowania.

AL GOLDSTEIN WYŁĄCZYŁ SILNIK, zgasił przednie światła i zerknął przez przednią szybę samochodu na ciemną fasadę swojego domu. Zdawał sobie sprawę, że jest trochę bardziej pijany niż zwykle, ale to nie wyjaśniało strachu, który odczuwał, kiedy patrzył na puste czarne okna, odwzajemniające jego spojrzenie.

Zdawał sobie sprawę, że się boi. Od tak dawna nie doświadczał

strachu - dziecinnego, fizycznego strachu - że dopiero po chwili rozpoznał to uczucie.

Wysiadł z samochodu i zamknął drzwi. Opierając się na masce, ruszył w stronę ganku. Przypomniawszy sobie Dusty i na tę myśl zrobiło mu się nieswojo.

Pogrzebał w kieszeniach w poszukiwaniu kluczy, znalazł je w końcu i otworzył frontowe drzwi. Spodziewał się, że na drugim końcu holu zobaczy znajomą niebieskawą poświatę telewizora płynącą z pokoju Jimmy'ego, ale w domu panowała kompletna ciemność. Poczłwał falę strachu, ale odepchnął go wysiłkiem woli i chwiejnie poczłapał przez bawialnię.

- Jimmy? - zawołał.

Nie otrzymał odpowiedzi. Dom był cichy. Nie, nie całkiem cichy.

Z sypialni na tyłach dochodziło stłumione mamrotanie Al oblizał wargi, które nagle wyschły. W głowie mu się dziwnie przejaśniło, ośpienie wywołane wódką znikło bez śladu. Głos rozsądku nalegał, żeby zadzwonić na policję, wykręcić 911, jednak Al wiedział że

wyjdzie na głupka, jeśli alarm okaże się fałszywy. Jimmy pewnie spał w swoim łóżku, a timer wyłączył telewizor. Nic dziwnego, nic niezwykłego, nic nadzwyczajnego.

Wyciągnął rękę, żeby zapalić światło w holu, ale przełącznik tylko szczerknął bez skutku. Światło się nie zapaliło.

Al nagle sobie przypomniał, że Jimmy poszedł na obiad do swojego przyjaciela Paula.

Nie było go w domu.

Mamrotanie rozległo się głośniejsze.

Al zaczął się cofać. W ustach czuł obrzydliwy, mdlący smak nieprzetrawionego alkoholu. Znowu pomyślał o Dusty, wywróconej na lewą stronę.

- Cholera!

Zawadził obcasem buta o kratkę grzeinika, potknął się i mało nie upadł na plecy.

Z ciemności wyskoczyła mała ciemna figurka. Figurka z nożem.

Tym razem Al się przewrócił. Zaczął się gramolić na nogi, wrzeszcząc w skrajnym przerażeniu, ale zanim zdążył wstać, zanim zdążył się odsunąć, został obalony na podłogę.

A potem figurka rzuciła się na niego.

Matka Paula wysadziła Jimmy'ego pod domem.

- Na pewno sobie poradzisz? - zapyłała. Kiwnął głową.

- Tak - wykrztusił przez zaciśnięte zęby. - Dzięki za obiad.

Skrzywił się. Szczeka ciągle go trochę bolała przy mówieniu. Paul uśmiechnął się do niego szeroko z tylnego siedzenia.

- Może następnym razem zjesz coś więcej oprócz zupy!

- Aha.

- No więc do zobaczenia - powiedziała matka Paula. - Na razie, Jimmy.

- Cześć! - zawołał Paul.

Jimmy pomachał do odjeżdżającego kombi, które zawróciło i skręciło za róg. Odprowadził wzrokiem czerwone tylne światła samochodu i chciał już wejść na podjazd, kiedy usłyszał, że ktoś woła:

- Jimmy!

Obejrzał się na dźwięk prawie znajomego głosu, ale nikogo nie zobaczył. Chodnik był pusty, podobnie jak po drugiej stronie ulicy. Przy następnej przecznicy czerwone camaro skręcało w prawo.

- Jimmy!

Kobieta nie wołała głośno, właściwie ledwie ją słyszał. Tajemniczy ton głosu natychmiast wzbudził jego czujność. Spojrzał w lewo, skąd dochodziło wołanie, i zobaczył panią West stojącą pod drzewem, na wąskim pasie trawy, który oddzielał chodnik od jezdni. Kiwnęła na niego.

- Jimmy! Chodź tu!

Oblała go fala zimna. Pokręcił głową i ruszył przez podjazd.

- Jimmy! Podejdź na chwilę. Muszę z tobą pomówić. Proszę.

Przyrzekam, że Randy cię nie skrzywdzi.

Zawahał się, rozejrzał dookoła. Nigdzie nie widział

upośledzonego chłopca.

Pani West stała teraz na chodniku. Miała na sobie brzydką brązową sukienkę i była boso. Mysie włosy przypięła spinkami, ale sterczące kosmyki

tworzyły nieporządną aureolę wokół jej twarzy. Wydawała się zmartwiona i chociaż Jimmy wciąż czuł zimno, odruchowo podszedł do niej.

- Co? - zapytał.

Chwyciła go za ramię i przyciągnęła do drzewa. Wbiła mu w ciało popękane paznokcie. Próbował się wywinąć, ale była silniejsza.

- Chciałam ci tylko podziękować, że bawiłeś się z Randym dziś rano - powiedziała. - Szósta to trochę wcześniej, ale dobrze dla niego, że ma przyjaciela.

Jimmy popatrzył na nią, zbity z tropu.

- Co?

- Ale następnym razem, kiedy zechcesz się z nim pobawić, najpierw mnie zapytaj, dobrze?

- Ja nie... - zaczął Jimmy.

Pani West uśmiechnęła się do niego, ale fałszywie. - Lepiej już idź.

- Puściła jego ramię i lekko popchnęła go w stronę podjazdu. -

Randy dobrze się bawił.

Jimmy odszedł pospiesznie, niemal biegiem. O co jej chodziło?

Nie odwracał się, nie oglądał za siebie, tylko wyjął klucz z kieszeni, otworzył frontowe drzwi i szybko wszedł do środka.

Aż się zakrztusił od smrodu.

Zatkał nos dwoma palcami i rozejrzał się dookoła. Chociaż samochód ojca stał zaparkowany na podjeździe, dom był ciemny i wydawał

się pusty.

Skąd ten smród?

Pstryknął przełącznikiem światła. Bez rezultatu. Coś się stało.

Wiedział, że powinien wyjść z domu, pójść do Cathy i wezwać policję, ale zamiast tego wszedł do bawialni.

- Tato? - zawołał.

Powoli przeszedł po dywanie, zajrzał za róg do ciemnej kuchni.

- Tato?

Chociaż coraz bardziej się bał, przeszedł przez bawialnię do holu.

Wciąż zatykał sobie nos, ale teraz czuł smak tego smrodu, gęsty, dławiący, nieprzyjemny posmak, który jakby przesyczał powietrze.

Namacał na ścianie przełącznik światła w holu, lecz światło było już włączone, chociaż się nie paliło. W holu panowała kompletna ciemność.

- Tato?

Wszedł do łazienki.

Ojciec siedział na klozecie, całkiem nagi, wpatrując się martwymi oczami w wytłaczaną tapetę na ścianie naprzeciwko umywalki.

Sine, po-

ciemniałe ręce zwisały mu bezwładnie po bokach. Jimmy prawie natychmiast zobaczył krwawą czerwoną ranę w miejscu penisa.

Jedynym dźwiękiem w łazience było ciche, miarowe kap, kap, kap krwi ściekającej do miski klozetowej.

Chłopiec wrzasnął ze zgrozy, bólu i rozpacz, wydał pierwotny, nieartykułowany wrzask, ale nie mógł oderwać oczu od tego widoku, nie mógł oderwać nóg od podłogi łazienki, nie mógł

nawet odwrócić twarzy w drugą stronę. Ojciec patrzył prosto przed siebie nieruchomymi, niewidzącymi, przekrwionymi oczami i Jimmy zobaczył, że wepchnięto mu penis do ust.

Kawałek wystający spomiędzy warg wyglądał dziwnie, jak wysmarowany tłuszczem, cienka powłoka skóry prawie nie przysłaniała dzikiej czerwieni wnętrza. Ze szkarłatnego środka zwisała biała rurka w otoczeniu kilku mniejszych dyndających żył.

Jimmy zgiął się wpół, odzyskawszy zdolność ruchu, przechylił

głowę przez krawędź wanny i zwymiotował. Zamknął oczy, słysząc, jak wymiociny rozbryzgują się na porcelanie, co w jego uszach brzmiało jak potwornie nagłośnione kapanie krwi do muszli klozetowej. Znowu rzygnął i jeszcze raz, dopóki nie opróżnił żołądka.

Policja. Musiał zadzwonić na policję i powiedzieć, co się stało.

Podniósł się, ścierając wymiociny z ust drżącymi rękami. Z

drugiego końca holu dobiegł głośny hałas. Ostry łomot, który rozległ się echem wśród ścian i przypominał... ..odgłos uderzenia piłki futbolowej.

Hałas rozległ się ponownie. Z walącym sercem Jimmy szybko wpełzł do wanny. Cuchnęła wymiotami, ale on zatkał sobie nos i jak najciszej zasunął zasłonę od prysznicza.

Znowu rozległ się łomot, tym razem bliżej, tak blisko, że wywołał

wibrację w powietrzu, w ścianach, w podłodze, wyczuwaną przez porcelanę wanny.

- Pa!

Piłka futbolowa uderzyła w zasłonę od prysznicza i wyrwała trzy żabki z poprzecznej szyny. Środkowa część zasłony opadła pod ciężarem piłki i w nowo powstałym otworze Jimmy zobaczył

Randy'ego Westa, stojącego w drzwiach. Uśmiechał się. Ręce i ubranie miał umazane zasychającą krwią nawet na zębach widniały plamki krwi. Klasnął w dłonie na widok Jimmy'ego i zaczął podskakiwać.

- Ba! - zawołał, wchodząc do łazienki. - Ba! Ba! Jimmy wrzasnął i odruchowo zawołał ojca. Ojciec nie odpowiedział.



WE ŚNIE DAVID SIĘ ZBLIŻAŁ, zjedną ręką wyciągniętą, drugą wepchniętą w spodnie z przodu, gwałtownie poruszając palcami.

Miał nieprzyjemny

uśmiech.

- Spodoba ci się - powiedział. - Wiesz, że tak.

A potem dotarł do niej, chwycił ją wolną ręką za ramię i ścisnął

mocno. Czują na szyi gorący, ohydny oddech, kiedy się nachylił, żeby ją pocałować. Ból w uszach. Syreny wyły coraz bliżej, hałas wzmagał się spiralnie. David zaczął rozpinąć spodnie. Spuściła wzrok i zobaczyła coś długiego pomiędzy jego nogami. Teraz syreny wyły tuż obok, czerwone błyski przeświecały przez cienkie zasłony, w migającym świetle pokój wyglądał jak piekielny lunapark.

Zbudziła się i rzeczywiście za oknem wyły syreny; podświadomość włączyła je do snu. Syreny przycichły, zamilkły.

Wciąż na wpół śpiąca,

odsunęła zasłony. Okno wychodziło na tylne podwórze, ale patrząc w bok, widziała pulsującą czerwień policyjnego koguta na pniu palmy rosnącej przy ulicy. Cathy nie podobał się ten widok -

czerwona palma - z jakiegoś powodu ją przestraszył, wywołał

echo wspomnień, więc opuściła zasłony, położyła się z powrotem i zamknęła oczy. Chciała wstać i wyjrzeć przez okno od frontu, żeby zobaczyć, co się dzieje, lecz zanim podjęła decyzję, znowu zasnęła.

Rano na ulicy wciąż stały policyjne samochody. Przed domem Jimmy'ego,

Cathy schyliła się po gazetę, ale upuściła ją z powrotem na stopnie ganku, kiedy zobaczyła żółtą taśmę opasującą drzewa i słupek ogrodzenia na frontowym podwórzu Jimmy'ego, radiowozy parkujące w półkolu na ulicy. Szlafrok jej się rozchylił, lecz nawet nie próbowała go ściągnąć paskiem.

- Nie - szepnęła i zakryła ręką usta. - Nie.

Pobiegła z powrotem do domu, szybko naciągnęła dzinsy, podkoszu-łek i na bosaka popędziła do domu Jimmy'ego, gdzie zatrzymał ją przy barierze umundurowany policjant.

- Chcę się widzieć z porucznikiem Grantem! - zażądała. - Dajcie mi mówić z porucznikiem Grantem!

Przez frontowe okno Goldsteinów widziała Allana, który rozmawiał z innym funkcjonariuszem w mundurze. Pomachała do niego gorączkowo i w końcu przyciągnęła jego uwagę.

Podniósł wzrok, dostrzegł kątem oka jej wymachujące ramiona, powiedział coś do policjanta i wyszedł pospiesznie z pokoju. Po chwili pojawił się we frontowych drzwiach.

- Przepuść ją - rozkazał policjantowi przy barierce.

Policjant odsunął się, Cathy prześliznęła się pod taśmą i pobiegła przez trawnik. Płakała, łzy zaćmiły jej wzrok. Poczowała wdzięczność, kiedy objęły ją silne ramiona Allana.

- Co się stało? - zapytała.

- Al Goldstein został zamordowany.

- O mój Boże.

- Jimmy zaginął. Podejrzewamy, że został uprowadzony.

- O Boże.

Allan zajrzał jej w oczy.

- Nikomu ani słowa, okej? Nie powinienem nawet tobie mówić.

- Jak on...? Gdzie...?

Pokręciła głową. Nie mogła złapać tchu.

- Znaleźliśmy pana Goldsteina w łazience. Wygląda na to, że Jimmy chował się w wannie i że odbyła się walka. Obecnie przeczesujemy teren.

- To był Randy! - powiedziała nagle.

- Co?

Cathy obejrzała się na frontowe drzwi. Dwaj mężczyźni w białych uniformach wynosili właśnie z domu pana Goldsteina. Spojrzała na zakryte ciało, spoczywające na noszach. Niewiele widziała przez półprzezroczysty plastik, nie rozróżniała żadnych szczegółów, ale ciemne plamy na wewnętrznej stronie worka świadczyły, że ojciec Jimmy'ego zginął krwawą śmiercią.

Zakręciło jej się w głowie i zrobiło niedobrze, ale wysiłkiem woli narzuciła sobie spokój.

- Wiem, kto to jest - oświadczyła. - Wiem, kto to zrobił.

Wyraz troski na twarzy Allana zmienił się w coś innego, czego nie rozpoznała.

- Kto?

- Randy.

- Randy? - powtórzył ze zdziwieniem.

- Randy West.

- Ten upośledzony chłopiec

- On nie jest upośledzony. To idiota sawant. Ma talent do mordowania. Potrafi...

- Zaraz - przerwał jej Allan. - Zaczekaj chwilę.

- Allan! - zawołał jakiś mężczyzna od drzwi. - Chodź tu! Chyba coś mamy!

Cathy przytrzymała go za ramię.

- Musisz mnie wysłuchać. Którejś nocy widziałam, jak wracał

ukradkiem do domu. Matka nigdy go nie wypuszcza, ale wtedy wyszedł i cały ociekał wodą. I czymś ciemnym, co wyglądało jak krew. - Mocniej zacisnęła chwyt. - To było tej samej nocy, kiedy popełniono ostatnie morderstwo. On zabił ojca Jimmy'ego i porwał Jimmy'ego.

- Allan!

Machnął do mężczyzny w drzwiach i odwrócił się do Cathy.

- Porozmawiamy później. W tej chwili mam mnóstwo pracy.

Wiem, że jesteś zdenerwowana...

- Nie o to chodzi!

- Okej, okej. Nie o to chodzi.

- Allan! - Znow go wołano.

- Idę! - Ujął dłonie Cathy. - Nie teraz. Wracaj do domu, usiądź, uspokój się. Skontaktuję się z tobą, kiedy tylko skończymy, i wtedy porozmawiamy.

- Nie chcę rozmawiać! Chcę, żebyście weszli do domu Westów i znaleźli Jimmy'ego.

- Znajdziemy - zapewnił i uściśnął jej rękę. - Sprawdzimy to. I znajdziemy Jimmy'ego.

- Żywego! Znajdźcie go żywego!

Wyrwała rękę, nie mogąc już powstrzymać łez. Nie oglądała się za siebie, kiedy przelaźła pod taśmą i wracała do domu. Słyszała, jak mężczyzna we frontowych drzwiach znowu woła Allana, słyszała odpowiedź Allana. Wbijiała wzrok w chodnik przed sobą.

Nie chciała patrzeć na drugą stronę ulicy, nie chciała widzieć domu Westów. Zmuszała się, żeby stawiać małe, odmierzone kroki, chociaż wszystko w niej rwało się do biegu.

Dotarła do domu, podniosła gazetę ze stopnia, otworzyła frontowe drzwi i powoli zamknęła je za sobą. Położyła gazetę na stoliku przy drzwiach i weszła do kuchni.

- Co się dzieje? - zapytał ojciec.

Cathy ciężko usiadła na krześle. Nie mogła skupić myśli. Miała wrażenie, że porusza się w wodzie, że woda przesiąka jej do mózgu. Wszystko odbywało się powoli. Nawet jej myśli pełzały niemrawo.

- Co się dzieje? - powtórzył ojciec. Wydawał się szczerze zatroskany, na jego twarzy malowało się niemal współczucie.

- Pan Goldstein nie żyje - odpowiedziała tępo Cathy. - Został

zamordowany. Jimmy zniknął.

Przygotowała się na drwiący, złośliwy komentarz: „Dobrze mu tak” albo „Mała strata”. Nie zdziwiłaby się, gdyby powiedział coś takiego. On jednak tylko patrzył na nią w milczeniu zszokowany.

Gdyby dostrzegła w jego twarzy coś jeszcze oprócz szoku, choćby ślad współczucia, zarzuciłaby mu ręce na szyję, objęła go i przytuliła, i płakała, płakała z całego serca, wciąż jednak patrzyli na siebie i Cathy zdawało się, że woda wokół niej gęstnieje, ciśnienie narasta, przytłaczają, paraliżuje ruchy.

- Kto znalazł ciało? - zapytał w końcu ojciec. Uświadomiła sobie, że nie wie.

I zaczęła płakać.

OSTATNI RADIOWÓZ ODJECHAŁ TUŻ PRZED JEDENASTĄ.

Allan wpadł po drodze i poprosił, żeby Cathy spotkała się z nim na komendzie o dwunastej, ona jednak przyszła już o wpół do dwunastej.

Sierżant dyżurny natychmiast zaprowadził ją do biura porucznika.

Allan wstał, kiedy weszła do pokoju. Wyglądał na zmęczonego.

Zmęczonego i zestresowanego. Z natury szczupły, teraz wydawał

się wymi-zerowany, z zapadniętymi policzkami, z podkrążonymi oczami, jakby w ciągu ostatniej godziny postarzał się o dziesięć lat. Chciała go objąć, przytulić, znaleźć się w jego ramionach, ale wiedziała, że to nie wypada. Więc stała jak idiotka i patrzyła na niego ponad blatem biurka. Otworzyła usta, lecz tylko oblizwała wargi. Nagle nie mogła mówić, nie potrafiła zadać pytań, które musiała zadać. Dłonie jej się pociły, więc wytarła je o dzinsy.

Odchrząknęła.

- Czy... znaleźliście Jimmy'ego?

Pokręcił głową i Cathy poczuła, że zabrakło jej tchu, chociaż takiej od-powiedzi się spodziewała.

- Nie. Moi ludzie przeczesują okolicę i koordynujemy poszukiwania w całej dolinie. Ale... - głos u wiązł mu w gardle.

- Czy zatrzymaliście Randy'ego i jego matkę?

- Nie było ich w domu.

- Przeszukaliście dom?

- Nie mieliśmy nakazu. Wytrzeszczyła na niego oczy.

- Co z tego? Przecież to on.

- Cathy...

- Wiem, że to on. Teraz schował gdzieś Jimmy'ego i może już go zabił, bo nie dość szybko działaliście. Wiesz, co to jest idiota sawant?

Allan westchnął ze znużeniem.

- Cathy - powiedział - muszę ci zadać kilka pytań, okej?

Zmarszczyła brwi.

- Jakich pytań?

- Kilka pytań - powtórzył z zakłopotaniem.

Coś w tonie głosu zbudziło jej czujność, ostrzegło, że nie wszystko jest jak należy, ale kiwnęła głową i udawała, że nic nie zauważyła.

- Jasne - rzuciła.

Ręce jej się trzęsły, kiedy usiadła naprzeciwko Allana. Próbowwała to ukryć, ściskając dłonie między kolanami. Wiedziała, że nie zrobiła nic złego, nagle jednak poczuła się jak przyłapana na gorącym uczynku.

Allan również wyglądał nieswojo i unikał jej spojrzenia.

- Nie musisz odpowiadać na żadne z tych pytań, jeśli nie chcesz, ale ja muszę je zadać.

- Okej. Strzelaj.

- Jeśli życzysz sobie obecności adwokata...

- Co to ma być? Serial kryminalny? - Uśmiechnęła się, lecz z lekkim przymusem. Serce jej waliło. - Odczytujesz mi moje prawa? Czy jestem podejrzana?

- Nie, skąd. Muszę tylko cię zapytać o parę rzeczy.

- Więc pytaj.

Głęboko zaczerpnął powietrza.

- Gdzie byłaś wczoraj wieczorem około ósmej?

- Oglądałam telewizję.

- Czy twój ojciec może potwierdzić twoją obecność? Zagapiła się na niego.

- Myślałam, że nie jestem podejrzana.

- Odpowiedz na pytanie.

Cathy zamknęła usta dopiero wtedy, kiedy się zorientowała, że opadła jej szczeka. Czowała się głęboko obrażona i oburzona. Co się dzieje, do cholery?

- To rutyna - wyjaśnił Allan, jakby czytał jej w myślach. Mówił

niemal protekcyjnym tonem. - Kiedy zostaje popełnione morderstwo, rutynowo przesłuchujemy

wszystkich członków rodziny i wszystkich znajomych ofiary. Standardowa procedura.

Większość morderstw popełnia ktoś, kto zna ofiarę, dlatego automatycznie zadajemy tym osobom kilka pytań. Zwykle to nic nie daje, ale czasami otrzymujemy...

- Nie zadawałeś mi tych pytań, kiedy znalazłam Dusty. Pokręcił głową.

- Słuchaj, przepraszam, że...

- Twój szef myśli, że jestem winna, tak?

- Nie, nie o to...

- Więc czemu przesłuchujesz mnie, a nie Katrinę West?

- Zamierzamy porozmawiać z panią West i jej synem, ale na razie nie ma ich w domu i nie wiemy, gdzie są. Mój człowiek nad tym pracuje.

- Zdobądź nakaz rewizji!

- Zdobędziemy.

- Natychmiast!

- Posłuchaj mnie - zaczął Allan. - Nie mamy żadnego dowodu, że ten chłopiec coś zrobił. Nic nie wskazuje, że mógł popełnić nawet drobne wykroczenie, nie mówiąc o morderstwie. Jest tylko twoje słowo. Zamierzam to sprawdzić, ale jesteśmy z policji. Musimy przestrzegać praw i przepisów. Nie możemy aresztować ludzi dlatego, że sąsiedzi ich nie lubią. Wtedy przez cały czas ciągalibyśmy niewinnych ludzi...

- Cholera jasna! - wrzasnęła Cathy. - Jimmy może w tej chwili umiera! Marnujesz czas na takie bzdety, które mogą go kosztować życie!

- Te „bzdety” - odparł spokojnie Allan - to konstytucja.

- Gównno! - Cathy wstała. - Następnym razem, kiedy będę z tobą rozmawiać, żądam obecności adwokata.

- Doskonale. Twoje prawo.

Przeszyła go wściekłym wzrokiem. Ręce jej drżały, aż grzechotała torebka, lecz nie próbowała tego ukryć.

- Mogę wyjść?

- Tak.

- Doskonale. - Odwróciła się do drzwi.

- Chciałbym, żebyś trzymała się z dala od pani West i jej syna.

Pewnie nic w tym nie ma, co mówisz...

- Myślisz, że co im zrobię? Pozabijam ich? - Nie, nie o to chodzi.

Po prostu nie chcę, żeby coś ci się stało. Porozmawiam z...

Cathy wymaszerowała z pokoju i trzasnęła drzwiami. W

korytarzu oparła się o ścianę i próbowała opanować drżenie.

Oblewała się potem, wiedziała, że straciła u Allana wszelkie szanse. Powinna zachować spokój, nie tracić panowania nad sobą.

Ale, do ciężkiej cholery, przyszła tu rozmawiać o Randym i Jimmym, zmusić Allana do działania - natychmiast, zanim będzie za późno - a on urządził jej przesłuchanie trzeciego stopnia.

Czuła się zraniona i obnażona, zdradzona i wystawiona na pośmiewisko, bezradna, bezbronna, pusta w środku, jakby coś straciła. Wściekała się na Allana za to, że tak postąpił, za to, że tak myślał, za to, że nadużył jej zaufania. Lecz jakaś irracjonalna, nieposłuszna częśćka jej osobowości miała również poczucie winy.

Policjant w mundurze przeszedł obok i spojrzał na nią, wyraźnie gotów zaofiarować pomoc. Cathy odepchnęła się od ściany i szybko ruszyła korytarzem w stronę wyjścia. Była wstrząśnięta, zdezorientowana i przede wszystkim przerażona - na samą myśl o Randym dostawała gęsiej skórki. Ale nie miała wątpliwości, że cokolwiek powie Allanowi, policja dalej będzie radośnie odbębniać swoje ograniczone rutynowe procedury, więc jeśli chciała powstrzymać Randy'ego, jeśli chciała uratować Jimmy'ego, musiała działać sama.

Wybiegła przez podwójne rozsuwane drzwi na gorące popołudniowe słońce. Chociaż się pocila, było jej zimno. Bardzo zimno.

Allan wstał, kiedy Cathy wypadła z pokoju. Chciał pobiec za nią lecz natychmiast zrezygnował z tego pomysłu, wyczuwając, że potrzebowała chwili oddechu.

Tym razem zawałił sprawę na dobre.

Pluł sobie w brodę. Po cholere to zrobił? Jak mógł postąpić tak gruboskórnie? Myślał, że Cathy będzie łatwiej, jeśli sam ją przesłucha, ale teraz zrozumiał, że należało raczej zlecić przesłuchanie Dobrininowi czy komuś innemu, niezaangażowanemu osobiście. Nie tylko dopuścił się wyraźnego naruszenia etyki, ale pogorszył sytuację znacznie bardziej, niż gdyby po prostu trzymał się procedury. Co on wyprawia, do cholery?



Popatrzył na zamknięte drzwi. Chciał natychmiast dogonić Cathy, przeprosić ją, zabrać do domu Westów, wyłamać drzwi, uratować Jimmy'ego i zostać bohaterem, jak postać z komiksu. Lecz racjonalna część umysłu uspokajała, że zdąży później pogodzić się z Cathy. Na razie musiał koordynować poszukiwania Jimmy'ego. Prawdziwe poszukiwania.

Przyszło mu do głowy, że może celowo zachował się jak cham, że podświadomie chciał się pozbyć Cathy, chciał odzyskać swobodę mchów, żeby bez przeszkód zajmować się morderstwami, więc zastosował ten chwyt, żeby się od niej uwolnić. W gruncie rzeczy wcale nie musiał jej przesłuchiwać, prawda? Nie miał żadnego powodu. Nie podejrzewał dziewczyny i nie przypuszczał, żeby cokolwiek ukrywała.

Ale może chciał sam się przekonać.

Na tę myśl poczuł się nieswojo.

Ciekawe, czy komputer znalazł już coś na temat Davida.

Allan zamknął oczy, żeby odegnąć ból głowy, który już narastał w głębi czaszki. Policjantów nie szkolono, żeby radzili sobie w sytuacjach pozbawionych konkretów, bez wyraźnych podziałów na czarne i białe. Akceptował wieloznaczność w sztuce, lecz w prawdziwym życiu?

Zastanawiał się nad tym, co mu powiedziała Cathy, ale jej teoria -

że upośledzony dzieciak zabił Ala Goldsteina, porwał Jimmy'ego i popełnił wszystkie morderstwa - była wręcz niedorzeczna.

Źle to rozegrał. Powinien wykazać więcej wrażliwości, bardziej szanować jej uczucia. A on tylko udowodnił własną głupotę, kiedy zaczął się kłócić i rozgniewał Cathy.

Dokąd ona teraz poszła? Do domu? Nie przypuszczał. Była okropnie zła, okropnie zdenerwowana i okropnie zdeterminowana. Jeśli naprawdę wierzyła, że Jimmy jest w niebezpieczeństwie, że wciąż żyje i grozi mu śmierć, raczej nie wróciłaby do domu, żeby przez całe popołudnie spokojnie oglądać Oprah.

Pokręcił głową. Chyba nie zamierzała działać na własną rękę. Nie była taka głupia, żeby odgrywać Nancy Drew i bawić się w detektywa amatora, zbierając informacje o Randym Weście na poparcie swojej teorii.

Nie była?

Nagle się przestraszył, że Cathy zrobi jakieś głupstwo, i wtedy uświadomił sobie, że w całym tym zamieszaniu najbardziej troszczył się o nią. Prawie się w niej zakochał. Jeśli nie całkiem.

Niemożliwe. Nie mógł się w niej zakochać tak szybko. Znał ją dopiero od kilku tygodni. Spotkali się tylko parę razy.

A jednak możliwe. Miłość i przyjaźń nie przestrzegają terminarza.

Nie ma ustalonego okresu dojrzewiania emocji, nie można zmierzyć przyrostu uczuć.

Ale nie tylko dlatego tak się o nią martwił, prawda? Wcale nie dlatego przejmował się jej zachowaniem, obawiał się o jej bezpieczeństwo. Nie, chodziło o teorię Cathy, której nie mógł po prostu odrzucić. Coś w tej teorii nie dawało mu spokoju. Na poziomie intuicji, której ufają wszyscy gliniarze, na poziomie instynktownej emocjonalnej podświadomości, która doprowadziła do rozwiązania większej liczby spraw niż wszystkie komputery i laboratoria razem wzięte, coś w jej słowach, w jej absurdalnych, nedorzecznych koncepcjach brzmiało prawdziwie.

Małe ślady stóp na zalanym wodą podwórzu Harvarda Browna mogło zostawić dziecko.

Odciski palców na wyszczerbionym kamieniu, który znaleźli w kanale burzowym obok chłopców, mogły należeć do Randy'ego Westa.

Potań skronie. Sam już zaczynał świrować. Nie miał się na czym oprzeć. Nie miał dostatecznych dowodów, żeby podjąć jakieś działanie przeciwko Westom.

Ale jeśli chłopiec naprawdę mordował, nie wolno również zwlekać z podjęciem działania.

Znowu popatrzył na zamknięte drzwi. Pomimo wszystkich proceduralnych bzdur, które wcisnął Cathy, nadal uważał się za glinę z powołaniem.

Namyślał się tylko przez chwilę, zanim podniósł słuchawkę telefonu, przekartkował notes z telefonami, wybrał numer.

Pięć minut później, za ledwie Allan odłożył słuchawkę, Thomasson wszedł do pokoju bez pukania i zwałił się na jeden z dyrektorskich foteli. Oparł nogi na biurku.

- Niewiele jest gorszych rzeczy - oznajmił - niż wejść do śmierdzącej ubikacji i słuchać, jak jakiś krawężnik wali gigantyczną kupę.

Allan podniósł wzrok znad biurka i zmarszczył brwi.

- Właśnie tam byłem. Zauważyłeś, że łazienki na tym piętrze zawsze śmierdzą gorzej niż na innych piętrach? Pewnie przez tego faceta.

- Co tu robisz? - zapytał Allan.

- Ja tu pracuję. Już zapomniałeś?

- Ale co robisz w moim pokoju? Nie widzisz, że jestem zajęty?

- Pynchon chce cię widzieć u siebie. Natychmiast.

- Czemu nie zadzwonił?

- Skąd mam wiedzieć? Może chciał, żebym się do ciebie zgłosił.

Kazał mi pracować z tobą nad tym morderstwem.

Allan wytrzeszczył na niego oczy.

- Zostałeś przeniesiony do zabójstw?

- Wypożyczony.

- Jezu - jęknął Allan i przeczesał włosy palcami.

- Hej - obruszył się Thomasson - nie zaciskaj tak mocno zwieraczy.

Nie zamierzam się wpychać na twój teren. Wiesz, że nie lubię takiego poważnego gówna. Pynchon po prostu myślał, że przyda ci się dziś dodatkowa para rak. Poza tym chyba się obawia, że trochę za bardzo się zaangażowałeś. - Odchylił się do tyłu i balansował krzesłem na dwóch nogach, opierając stopy o krawędź biurka. - Jeśli dobrze pamiętam, mówiłem ci to samo tydzień czy dwa temu.

Allan wstał.

- Słuchaj, Hank, trafiłem na coś. Nie mam teraz czasu ci wyjaśniać i nie mam czasu na pogawędki z kapitanem. Więc mu powiedz, że mnie nie zastałeś, wyszedłem.

- Dopiero mnie przenieśli i już chcesz, żebym cię krył?

- Hank, to duża rzecz - odparł Allan tonem serio.

Thomasson oparł krzesło z powrotem na wszystkich czterech nogach. Przytaknął ze zrozumieniem.

- Okej.

- Po rozmowie z Pynchonem zostań tu. Dobrinin kieruje operacją w terenie i powinien się zameldować lada chwila. Jeśli wyszło coś nowego,

zawiadom kapitana i daj mi znać na pager. Jeśli nic nie wyszło, każ mu dalej sprawdzać aż do skutku. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem. - Thomasson pokręcił głową. - Ale jak to się skoń-

czy, wezmę te zaległe osiem dni urlopu, które zaoszczędziłem, i pojadę do Kalifornii. Poderwę sobie laseczkę na plaży, wypożyczę wielką łódź i zajmę się wierceniami przybrzeżnymi, kapujesz?

- Pojadę z tobą - obiecał Allan.

Chwycił marynarkę z wieszaka i naciągnął ją pospiesznie w drodze do drzwi.

CATHY WESZŁA NA PODJAZD DOMU LAUTERÓW - to był

znowu dom Lauterów, pomimo nowych lokatorów, pomimo nowych zasłon. Znowu stał się nawiedzonym domem z jej dzieciństwa, pełnym grozy, bólu i śmierci.

Zbliżała się do frontowych drzwi. Chodnik zdawał się rozciągać pod jej stopami, nienaturalnie wydłużony, jak tani efekt specjalny w kiepskim horrorze. Samochód Katriny West nie stał pod domem, wewnątrz kryło się za zaciągniętymi zasłonami. Cathy nie miała pojęcia, czy Randy jest w środku. Nie wiedziała, co robi, jeśli go tam zastanie. Nie wiedziała, co zrobić, jeśli go nie zastanie.

Ale musiała znaleźć Jimmy'ego.

I wiedziała, że żywy czy martwy, on jest w tym domu.

Dotarła do frontowych drzwi i zawahała się tylko sekundę, zanim nacisnęła dzwonek. Zastukała głośno. Wstrzymała oddech, jednak ze środka nie dochodził żaden dźwięk.

A jeśli Randy zabrał Jimmy'ego gdzie indziej?

Odepchnęła od siebie tę myśl i sięgnęła do klamki. Nacisnęła, lecz drzwi nie ustąpiły. Zamknięte na klucz.

Niezrażona, przeszła na tył domu. Tylne drzwi również były zamknięte na klucz, jak przewidywała; to tymi drzwiami David zakradał się do domu i jeśli Katrina nie pofatygowała się zmienić zamków, powinny się otworzyć od mocnego, szybkiego pchnięcia klamki.

Rozejrzała się ukradkiem, wyteżyła słuch, łowiąc dźwięki z wnętrza domu, po czym mocno nacisnęła klamkę.

Drzwi zagrzechotały, ale się nie otworzyły.

Spróbowała jeszcze raz. Nic.

Widocznie Katrina zmieniła zamek. Cathy oblizwała wargi, wytarła spocone dłonie o dzinsy i znowu pchnęła, tym razem całym ciężarem ciała.

Drzwi otwarły się z głośnym szczęknięciem.

Natychmiast zwiększyła czujność. Odstąpiła i czekała na jakąś reakcję, lecz w domu nic się nie poruszyło. Panowała cisza. Cathy na wpół świadomie zdawała sobie sprawę, że właśnie przekroczyła granicę pomiędzy wykroczeniem a przestępstwem, że wejście do domu oznaczało włamanie z wtargnięciem, ale było jej wszystko jedno.

Wolno, po cichu, ostrożnie pchnęła drzwi i weszła do głównego pokoju. W domu było ciemno,

zaciągnięte zasłony skutecznie tłumiły blask popołudnia. Cathy skłęła się w duchu. Powinna zabrać latarkę. Mogła jeszcze wrócić po nią do domu, ale wiedziała, że gdyby tak zrobiła, nie wystarczyłoby jej odwagi, żeby ponownie tu przyjść.

Oczy przyzwyczały się do półmroku. Dookoła wciąż stały pudła, spiętrzone wysoko jedno na drugim, na podłodze wałały się różne drobiazgi. Lekko cuchnęło zepsutym jedzeniem.

Nadal nie potrafiła wymyślić żadnego planu.

Wiedziała, że nie myli się co do Randy'ego, lecz nie miała dowodu. Co mogła zrobić? Zgromadzić poszlaki? Jakie poszlaki?

Czy upośledzony dzieciak trzymał w domu pamiątki po swoich zbrodniach?

A jeśli Randy tu był? Jeśli go spotka? Co wtedy? Czy powinna go zabić? Mogła go zabić, nie czekając na dowód. Mogła zaufać instynktowi i zwyczajnie zadźgać go nożem we śnie albo wywabić z domu i przejechać samochodem. Ale wiedziała, że nigdy się na coś takiego nie zdobędzie. Choć nienawidziła i bała się tego chłopca, nie potrafiła odebrać życia drugiemu człowiekowi.

Zastanawiała się, czy jego matka wiedziała, co on robił.

Na pewno wiedziała.

Przede wszystkim trzeba znaleźć Jimmy'ego. Tylko to się liczy.

Kiedy już go stąd zabierze, policja może przejąć sprawę. Niech wyjaśnia wszystko do końca, mech załatwią resztę.

Powoli ruszyła do przodu, starając się nie hałasować, przestępując przez pudła i torby. Dom mógł przyprawiać o klaustrofobię, duszny i zatęchły. Słodkawy smród gnijącej żywności przybrał na sile. Cathy próbowała wstrzymać oddech, oddychała nieregularnie, tylko przez usta.

Przerażała ją myśl, że dzieciak gdzieś tu jest, czeka w swoim pokoju, trzymając piłkę futbolową i patrzy na samotny obrazek psa w zamieci.

Oblewała się potem. Strach ogarniał ją na samą myśl o Randym Weście. Fakt, że takie wyrafinowane zło ukryło się w takim topornym ciełe, napełniał ją grozą większą niż najgorsze koszmary.

Weszła na korytarz i natychmiast zobaczyła, że wszystkie drzwi są zamknięte: drzwi sypialni, drzwi łazienki. W korytarzu było jeszcze ciemniej niż w głównym pokoju. Mięśnie Cathy zeszywniały z napięcia. Powinna zabrać latarkę. I broń.

Zza zamkniętych drzwi po lewej stronie dobiegło stłumione łupnięcie. Podskoczyła, jakby usłyszała strzał. Znieruchomiała.

Odgłos się powtórzył. Zupełnie jakby ktoś w pokoju rzucał czymś o ścianę. Piłką?

Czy tam był Randy?

Łup.

Cathy oblizwała wargi. Żałowała, że nie ma przy niej Allana.

Gdyby teraz wpadł do tego domu, pewnie aresztowałby ją natychmiast i wtrącił do więzienia, ale sprawdziliby również, co się kryje za drzwiami i co powoduje te odgłosy. Jak staroświecka, zacofana kobiecina chciała mieć przy sobie mężczyznę. Chciała znaleźć w nim oparcie, pozwolić mu podejmować decyzje, żeby nie musiała się tak cholernie bać.

Mogła wytrzymać aresztowanie, mogła wytrzymać więzienie.

Więzienie jej nie przerażało. Weszła do cudzego domu, świadomie popełni-

ła przestępstwo, ponieważ wiedziała, że Randy popełnił

znacznie gorsze zbrodnie. Nie bała się, że złamała prawo, że oskarżają o włamanie. Bała się czegoś gorszego. Znacznie gorszego.

Śmierci.

Morderstwa.

Łup.

- Randy? - zawołała cicho. Brak odpowiedzi. Zastukała do drzwi.

- Jimmy?

Z walącym sercem sięgnęła do klamki. Nie podjęła świadomej decyzji, żeby otworzyć drzwi, tylko działała instynktownie.

Złotożółta metalowa gałka była zimna w dotyku. Przekręciła ją powoli, niemal z nadzieją, że drzwi okażą się zamknięte na klucz, ale klamka obróciła się gładko w rękę.

Łup.

Odrobinę uchyliła drzwi, przez szparę widziała tylko gołą ścianę i wezłowie mosiężnego łóżka. Zebrała całą odwagę. Zabrnęła tak daleko, że teraz nie mogła się cofnąć. Wciągając powietrze przez zęby, pchnęła drzwi.

Zamrugnęła i wytrzeszczyła oczy.

Na wielkim łóżku pośrodku pokoju leżał rozkrzyżowany nagi mężczyzna, przywiązany i zakneblowany. Nagi mężczyzna z ogromną erekcją.

Cathy mimowolnie zrobiła krok do tyłu. Wyłącznie siłą woli powstrzymała się od krzyku. Nie tego się spodziewała. Myślała, że znajdzie Jimmy'ego. Przygotowała się nawet na krew. Ale ujrzała widok tak zaskakujący, tak całkowicie nieoczekiwany, że wprawił

ją w konsternację. W pierwszej chwili pomyślała, że Randy albo oboje z matką uwięzili tego mężczyznę, że trzymają go w niewoli z jakiegoś nieznanego powodu. Więzień był brudny, biała skóra prześwitywała spod brązowej warstwy tylko w miejscach, gdzie zaschły strużki potu. Miał długie włosy blond, potargane i zmierzwiłone. Szarpał się w więzach i Cathy widziała zaczerwienioną poobcieraną skórę na kostkach i nadgarstkach, podrażnioną od grubego sznura.

Ale dlaczego trzymali więźnia? I dlaczego on miał erekcję?

W pokoju nie było żadnych mebli oprócz łóżka. Nikły blask, przesączający się przez gęsto tkane zasłony, stanowił jedyne oświetlenie. Naprzeciwko łóżka stała oparta o ścianę cienka szpicruta. Obok szpicruty, na gołej podłodze, leżały białe, poplamione, damskie majtki.

Co tu się dzieje, do licha?

Powoli weszła do pokoju. Próbowwała skupić wzrok na twarzy skrepowanego mężczyzny, ale jej oczy ciągle wędrowały do powiększonego organu pomiędzy jego nogami. Przerazał ją ten ogromny członek. Oblizwała wargi.

- Halo - powiedziała. Nie bardzo wiedziała, jak się zachować.

Mężczyzna straszliwie wytrzeszczył oczy i zaczął się rzucać jeszcze bardziej gorączkowo, usiłując się uwolnić. Podeszła bliżej, wbijając wzrok w jego twarz. Zauważyła, że knebel w ustach całkiem przesiąknął śliną. Na klatce piersiowej widniały zaskorupiałe ślady wyschniętego nasienia. Cathy zatrzymała się jakieś pół metra od łóżka. Wiedziała, że powinna rozwiązać mężczyznę i zwrócić mu wolność, ale coś ją powstrzymywało od działania. Bała się jeszcze bardziej teraz, kiedy weszła do pokoju.

Coś było nie tak z tym człowiekiem. Miał padaczkę, wściekliwość, atak szału albo... nie wiadomo. Szarpał się zbyt gwałtownie, próbował rozerwać sznur z siłą, która wydawała się nienaturalna.

Cała sytuacja wydawała się nienaturalna. Instynkt nakazywał

Cathy wynosić się stąd do diabła i zawiadomić Allana.

Zamiast tego zapytała nieśmiało, idiotycznie: - Czy jest tu Jimmy?

W odpowiedzi mężczyzna zdwoił wysiłki. Zaryczał przez knebel.

Przy każdym ruchu jego członek podskakiwał w górę i w dół.

Cathy odstaąpiła od łóżka i odwróciła wzrok. Przez szparę w zasłonach dostrzegła czerwony błysk na podjeździe przed domem.

Czerwony.

Kolor samochodu Katriny West.

Wezbrała w niej panika. Wybiegła z pokoju i zamknęła drzwi.

Mężczyzna na łóżku wciąż się wrywał. Spod knebla dobiegały stłumione wrzaski gniewu i frustracji.

Gdyby tylko zdążyła dobiec do tylnych drzwi, zanim Katrina otworzy frontowe...

Usłyszała szczęknięcie klucza w zamku.

Za późno.

Spróbowała otworzyć drzwi po drugiej stronie korytarza, ale były zamknięte na klucz. Klamka nie chciała się przekręcić. Cathy zawróciła i wpadła z powrotem do sypialni. Nagi mężczyzna wciąż rzucał się w więzach, jego członek sterczał równie sztywno jak przedtem. Zanim jeszcze świadomie podjęła decyzję, rozsunęła harmonijkowe listewkowe drzwi

szafy. W środku leżał tylko zwój sznura i mop. Szybko wśliznęła się do szafy i zamknęła za sobą podwójne drzwi. Przykucnęła na dnie. Przez ukośne listewki widziała pokój i próbowała sobie przypomnieć, czy z pokoju również mogła zajrzeć do wnętrza szafy. Nie pamiętała. Wyciągnęła rękę i próbowała przekręcić listewki na płasko, ale nie chciały ustąpić. Narobiła przy tym tyle hałasu, że zrezygnowała. Skuliła się, znieruchomiła i starała się oddychać jak najciszej.

Z frontowej części domu dobiegł stłumiony głos Katriny, a potem donośny wrzask Randy'ego: „Ka! Ka! Kakakakaka!” Cathy jeszcze bardziej napięła mięśnie. Głośno strzelił jej staw w kostce. Na sekundę zamknęła oczy i próbowała się uspokoić. Modliła się, żeby jej nie wykryto.

Po kilku minutach, zgodnie z jej obawami, zgodnie z jej przewidywaniami, Katrina weszła do sypialni. Cathy lekko przechyliła głowę i wyjrzała przez listewki na częściowo widoczny pokój. Katrina zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Przyszła sama i Cathy w pierwszej chwili pomyślała: Odzie jest Randy? Słyszała, jak tych dwoje wchodzi razem do domu, teraz jednak chłopiec milczał, nie wydawał żadnych dźwięków. Czy był w swojej sypialni? I gdzie jest Jimmy?

Kroki Katriny zastukały donośnie na gołej podłodze, łomotanie łóżka przybrało na sile, kiedy mężczyzna miotał się w więzach.

Cathy skorzystała z okazji, żeby szybko i cicho zmienić pozycję w szafie. Uklękła i oparła ciężar ciała na kolanach. Teraz mogła wyglądać przez szpary między listewkami.

Katrina stała obok łóżka z rękami na biodrach, uśmiechając się do nagiego mężczyzny. W jej uśmiechu kryło się coś lubieżnego, jej postawa wyrażała wyczekiwanie. W nagłym przeblysku Cathy zrozumiała, na czym polega związek łączący tych dwoje. Zaszło jej w ustach.



Katrina kopniakami zrzuciła z nóg buty.

- Miałam ciężki dzień, skarbie.

Mężczyzna dalej się szarpał, rzucał całym ciałem, aż sprężyny łóżka głośno skrzypiały w ramie. Tylko jego erekcja pozostała nieruchoma, zbyt sztywna, żeby się kołysać. Cathy rozumiała teraz, że nie usiłował wyrwać się na wolność, tylko pragnął

zaspokoić swoją przemożną żądzę. Głowa chwiała mu się w przód i w tył, podrygiwała w dziwnym urywanym rytmie.

- Idę - powiedziała Katrina. Zaśmiała się szorstko, bez wesołości. -

Idę.

Rozpięta sukienkę, złożyła ją starannie i położyła na podłodze. Jej niespieszne ruchy tylko wzmogły szarpaninę mężczyzny.

Uśmiechnęła się do siebie, jakby w pełni świadoma skutków swojego zachowania i dumna z efektu, jaki wywierała. Dalej rozbierała się powoli. Nosila zwykłą, obszerną bieliznę, w pielęgniarzkim stylu, antyseptyczna przemysłowa biel. raczej praktyczna niż romantyczna. Zdjęła majtki i stanik. Cathy odwró-

ciła wzrok, skupiając się na ciemniejszych segmentach listewek zamiast na tym, co widziała w szparach pomiędzy nimi. Widok dużych, ciężkich piersi Katriny i agresywnie bujnego gąszczu włosów łonowych sprawił ją w zakłopotanie, nawet trochę onieśmielił. Katrina West pod żadnym względem nie była atrakcyjną kobietą, ale miała w sobie naturalną seksualność, zmysłowość widoczną w każdym ruchu, wobec której Cathy czuła się krępująco niewinna i niedojrzała.

Zmusiła się, żeby znowu wyjrzeć przez szpary. Katrina weszła teraz na łóżko i okrakiem zawisała nad mężczyzną. Uklękła nad jego sztywnym organem i sięgnęła do sznurów krępujących nadgarstki. Uwolniła najpierw jedną rękę, potem drugą.

Mężczyzna wciąż wpatrywał się w jakiś punkt na suficie, kołysząc głową w tym dziwnym rytmie, ale jego ręce, zwinne i do-

świadczone, przesuwaly się wprawnie po jej ciele, dotykały, masowały, ugniatały; pieściły piersi, aż stwardniały sutki, zanim powędrowały niżej;

obrysowały kontury brzucha i dotarły do fałd między nogami.

Ręce zdawały się należeć do kogoś innego. Ich dotyk był zręczny i lekki, wyrafinowany, ruchy poetycznie zmysłowe. Katrina odrzuciła głowę do tyłu i wydała ostry jęk rozkoszy. Pod nią ciało mężczyzny zaczęło się poruszać i prężyć, niezdarne szarpnięcia gładko przeszły w płynne falowanie. Sposób, w jaki posiadał jej ciało, wydawał się całkowicie naturalny i właściwy. Do tego został stworzony. O jego mistrzostwie świadczyło każde drgnięcie, każde najdrobniejsze poruszenie, obliczone na to, żeby sprawić Katrinie maksimum przyjemności. Kiedy chwycił ją w talii i wszedł w

nią z gracją, wydawał się całkiem innym człowiekiem niż ten, którego Cathy niedawno widziała na łóżku.

Katrina krzyknęła, wydała głośny, niekontrolowany, zwierzęcy okrzyk rozkoszy, wyciągnęła rękę i wyrwała knebel z ust mężczyzny. Nawet przez listewki Cathy zobaczyła opadającą szczękę mężczyzny, gruby, wystający język.

Był umyślowo upośledzony.

Katrina znowu wrzasnęła i mężczyzna wrzasnął razem z nią, wydał niski, gardłowy okrzyk prymitywnej, nieartykułowanej ekstazy. Cathy poczuła, że przechodzą ją ciarki. Patrzyła w milczeniu i ogarniała ją coraz większa zgroza, coraz większe przerażenie, kiedy docierała do niej prawda.

Mężczyzna to ojciec Randy'ego. Też z syndromem sawanta. Jego talentem był seks.

Próbowała po cichu odsunąć się od drzwi, cofnąć w głąb szafy.

Zrobiło jej się niedobrze. Zamknęła oczy i zatkała uszy, ale wciąż docierał do niej zapach. Ciężka, niemal dławiąca woń przesyciała wilgotne powietrze zamkniętego pokoju. Piżmowy, rybi zapach podniecenia Katriny zmieszany z ostrzejszym, wyraźniejszym, jednocześnie bardziej czystym i bardziej zwierzęcym zapachem, wydzielanym przez jej męża.

Cathy wstrzymywała oddech, starała się nie oddychać przez nos, lecz zapach był wszechobecny, czuła jego smak w ustach. Mdliło ją, ale siłowała pohamować torsje, nie reagować, nie zdradzić swojej obecności.

Jimmy, pomyślała. Gdzie jest Jimmy?

Nie wiedziała, a nawet gdyby wiedziała, nie mogłaby mu pomóc.

Przerażona, chora i rozpaczliwie bezradna, wcisnęła się głębiej w kąt szafy i czekała.

DOKTOR FRANK MEREDITH MIAŁ W KOMPLEKSIE

MEDYCZNYM SWOJE BIURO ko-

loru cegły suszonej na słońcu, na modnym północnym krańcu Scottsdale.

Gabinet znajdował się na samym końcu parkingu, po drugiej stronie piaszczystego pseudopustynnego dziedzińca, lecz Allan znalazł go bez trudu. Wszedł do chłodnej, klimatyzowanej poczekalni, wdzięczny za odrobinę

wytnienia od popołudniowego upału. Zamknął za sobą drzwi.

Pomieszczenie urządzone w jasnych pastelowych kolorach połączonych z południowo-zachodnimi barwami ziemi, naprzeciwko okna recepcji stały w kątach wysokie kaktusy.

Allan podszedł do ścianki działowej z mlecznego szkła, nacisnął

dzwonek i podał swoje nazwisko pulchnej siwowłosej kobiecie za biurkiem. - Doktor Meredith oczekuje pana - oznajmiła. - Proszę wejść, poruczniku Grant.

Recepcjontka otworzyła drzwi obok kontuaru i wprowadziła Allana do antyseptycznego białego korytarza, który rozgałęział

się w trzech kierunkach i prowadził do istnego labiryntu równie białych pomieszczeń laboratoryjnych. Przez otwarte drzwi widział pokryte bursztynowymi znakami ekrany kilku-Terminali komputerowych, a także fantastycznonaukowe kształty większej, bardziej skomplikowanej, najnowocześniejszej neurologicznej aparatury.

- On jest tu - powiedziała recepcjonistka. - W swoim gabinecie.

Zapukała do pierwszych zamkniętych drzwi w najbliższej odnodze korytarza. Drzwi natychmiast otworzył wysoki, krzepki mężczyzna po pięćdziesiątce.

- Witam - powiedział. - Miło mi pana poznać.

Wyciągnął do Allana wielką, mięsistą dłoń. Uścisk miał mocny i pewny.

- Dziękuję, Gladys. - Uśmiechnął się do recepcjonistki.

Gdyby nie biały laboratoryjny kitel, Allan wziąłby doktora za farmera, robotnika budowlanego czy kogoś w tym rodzaju.

Meredith nie zdradzał żadnych oznak miękkości typowych dla ludzi, którzy prowadzą siedzący tryb życia. Cerę miał ogorzałą, twarz pobrużdżoną od słońca, postawę sportowca lub amatora wycieczek.

Górował nad Allanem prawie o głowę i mówił z wyraźnym akcentem ze wschodniego Teksasu.

- Proszę wejść - zachęcił. - Napije się pan czegoś? Mrożona herbata? Piwo korzenne? Woda?

Allan pokręcił głową.

- Zajmę panu tylko chwilę.

- Zastanawiałem się nad pańskim pytaniem. - Meredith obszedł

biurko, klapnął na wyściełany obrotowy fotel i wskazał Allanowi kanapę pod ścianą. - Sytuacja wyglądała znajomo, więc wykonałem kilka szybkich telefonów, zebrałem trochę informacji.

Włożył okulary w drucianych oprawkach i szybko przekartkował

oprawną w skórę księgę leżącą na biurku. Odnalazł stronę, której szukał, i głośno stuknął palcem w początek akapitu na środku kartki.

- Jorge Onofre. Będzie pan chciał to skserować.

- Dlaczego? Kto to jest Jorge Onofre?

- Najpierw zechce mi pan wyjaśnić, o co tu chodzi. To nie jest czysto hipotetyczna kwestia?

Allan poruszył się na kanapie. Zaczynał już żałować, że tu przyszedł. Pierwotny impuls, żeby zasięgnąć porady Meredith, został w jego umyśle przetransformowany z uzasadnionej próby zweryfikowania teorii w przysługę wyrządzoną Cathy. Siedząc teraz w gabinecie, otoczony sprzętem laboratoryjnym wartym setki tysięcy dolarów, czuł zażenowanie, jakby jego pytania okazały się niepoważne i idiotyczne. Próbował wymyślić taką odpowiedź, żeby nie wyjść na kompletnego durnia.

- To należy do śledztwa - odparł wymijająco.

- Szatan z Phoenix?

- Nie jestem upoważniony do odpowiedzi.

- O to chodzi, prawda? - Lekarz zdjął okulary. - Pytam dlatego, że pewien przypadek w Brazylii z 1963 roku, całkiem dobrze udokumentowany, wykazuje bliską zbieżność z pańską hipotetyczną sytuacją. Zapytał mnie pan, czy to możliwe, żeby osobnik cierpiący na syndrom sawanta miał talent do mordowania. Technicznie biorąc, nie wiadomo. Sawant, czyli według dawnej nazwy idiota sawant, to osoba poważnie upośledzona umysłowo, która w jednej dziedzinie wykazuje wyjątkową inteligencję, nierzadko na poziomie geniuszu. Ten obszar inteligencji jest jednak ograniczony do dość wąskiego zakresu umiejętności, zwykle związanych z matematyką, sztuką, muzyką lub zręcznością mechaniczną. W tym wypadku w grę wchodzi najprędzej zręczność mechaniczna.

Chociaż nie wiemy na pewno, dlaczego sawanci są właśnie tacy, najpopularniejsza teoria tłumaczy to

dysfunkcją kory mózgowej.

Widzi pan, sawanci często rodzą się jako wcześniaki, z mózgami nie w pełni ukształtowanymi. W normalnym mózgu dominującą rolę odgrywa zwykle lewa półkula. Odpowiada za zdolności werbalne i inne abstrakcyjne umiejętności. Talent sawanta zwykle bywa związany z bardziej pamięciowymi funkcjami prawej półkuli. Treffert, który jest obecnie prawdziwym pionierem w tej dziedzinie, twierdzi, że w przypadku prenatalnego uszkodzenia lewej półkuli mózgu jej funkcje przejmują częściowo komórki nerwowe prawej półkuli. To znaczy, że szczególny geniusz danego osobnika, normalnie uśpiony w prawej połowie mózgu, zostaje w jakiś sposób pobudzony. Treffert zakłada także, że sawanci używają innego obwodu pamięci niż reszta z nas, obwodu kierowanego przez jądra podstawne, dzięki czemu mogą uzyskiwać dostęp do pamięci rasowej. Meredith zachichotał.

- Po premierze Rain Mana ludzie zaczęli myśleć, że wszyscy sawanci są autystyczni. W rzeczywistości tylko pięćdziesiąt procent sawantów cierpi na autyzm...

- To świetnie, doktorze. Ale czy pana zdaniem jest możliwe, żeby sawant miał talent do morderstwa?

- Możliwe, ale nieprawdopodobne. Zabijanie wymagałoby zbyt wielu analitycznych umiejętności, zwłaszcza w wypadku wyrafinowanych morderstw. Jedyną cechą wspólną wszystkich sawantów jest, jak wiele wskazuje, to, że ich procesy myślowe nie poddają się intelektualnej interpretacji i nie zawierają ciągów skojarzeniowych, - Meredith odchylił się do tyłu w fotelu. — A z drugiej strony mamy Jorgego.

- Co z Jorgem?

- Jorge był inny. Technicznie biorąc, nie cierpiał na syndrom sawanta. W gruncie rzeczy wykazywał wiele symptomów zazwyczaj związanych z zespołem Downa, czyli wydawał się poważnie upośledzony umysłowo, co oznaczało, że miał IQ

znacznie niższe niż większość sawantów. - Meredith wychylił się do przodu. - Ale miał talent do mordowania. Zabił wszystkich mieszkańców wioski, w której mieszkał.

Allan szeroko otworzył oczy.

- Wszystkich?

- Wszystkich. Znalaziono go, gdy bawił się głowami swoich rodziców na placu pośrodku wioski, a wokół niego leżały ciała wieśniaków, około sześćdziesięciu. Widocznie ich tam przyciągnął. To nie żaden Bruce Lee, nie załatwił wszystkich naraz... ale zabił każdego z tych ludzi i co zdumiewające, każdego zabił w inny sposób. Jednego starca wyfiletował, wyjął mu wszystkie kości z ciała, jedną dziewczynę zmiażdżył, jakby przejechał po niej walcem parowym. Każde morderstwo było unikalne i szokująco oryginalne. I proszę pamiętać, że to się wydarzyło w ubogiej, odległej wiosce. Dzieciak dysponował jedynie nielicznymi, bardzo prymitywnymi narzędziami.

- Jak to odkryto.

- Grupa ochotników z Korpusu Pokoju przyjechała do wioski żeby nauczyć wieśniaków nowoczesnych metod uprawy... Ziemia była fatalnie

wyjałowiona i nienawożona...i kiedy wjechali dziupem na plac, zobaczyli Jorego i jego trofea. Do tej pory połowa ciała już zaczęła się rozkładać.

- Trudno było go schwytać? Meredith pokręcił głową.

- Najwyraźniej nie. Zachowywał się potulnie, jakby nie zdawał

sobie sprawy, co się dzieje. Jak powiedziałem, ciężki przypadek upośledzenia umysłowego.

Allan siedział przez chwilę i próbował uporządkować informacje, przyswoić sobie to wszystko. Nagłe jego pytania nie wydawały się takie idiotyczne. Nagle teoria Cathy nie wydawała się taka naciągana. Nagle Randy West wydawał się znacznie bardziej niebezpieczny.

- Jeśli ten chłopiec nie był sawantem, to kim był? - zapytał. -

Cierpiał na jakąś chorobę czy co?

- Nigdy się nie dowiemy - odparł Meredith. - Zabił się rok później.

Przebywał w zakładzie zamkniętym, w odosobnieniu, w kaftanie bezpieczeństwa i pod wpływem środków uspokajających, ale jakoś udało mu się wywichnąć ramię i wykręcić mięśnie szyi w taki sposób, że kiedy rzucił się na wyściełaną podłogę celi, natychmiast złamał sobie kark. Nie popełnił samobójstwa, przynajmniej w przyjętym znaczeniu tego słowa. Nie chciał

umierać, raczej chciał zabijać. Nie działał pod wpływem impulsów samobójczych, tylko instynktu zabijania, i z braku innej ofiary sam się zabił.

Widzi pan, myśli Jorgego podążały bardzo wąską, bardzo ograniczoną ścieżką. Całą racjonalną energię swojego umysłu kierował na zabijanie, wyłączając wszystko inne. To było znacznie silniejsze niż przymus wewnętrzny, znacznie bardziej instynktowne niż obsesja. Raczej popęd, niezwykle silny, nadrzędny naturalny impuls. Testy, którym go poddano, cała bateria testów psychologicznych, bardzo skomplikowanych i bardzo wszechstronnych jak na tamte czasy, zdawały się to potwierdzać. Testy okazały się kompletną porażką w tradycyjnym sensie, ale ujawniły pewien fascynujący i przerażający aspekt mentalnych zdolności chłopca. Potrafi!

przerobić prawie wszystko na narzędzie mordu.

Allan czuł coraz silniejszy niepokój.

- Jak to?

- Na przykład Jorge nie umiał jeść widelcem. Nie umiał sam się ubrać. Nie umiał korzystać z toalety.

Ale mógł wziąć na przykład plastikowy klocek i wykorzystać go, żeby skutecznie wepchnąć język do gardła pielęgniarce... Sztuczka, którą wykonał pierwszego dnia pobytu w zakładzie, zanim wsadzono go w kaftan bezpieczeństwa. Jorge był z całą pewnością niedorozwinięty, lecz koordynację mięśni małych przy zabijaniu miał absolutnie fenomenalną. Dzieciak zdawał się intuicyjnie pojmować zabójcze możliwości każdego przedmiotu, z którym się zetknął. Zupełnie jakby wyczuwał, jakby w naturalny sposób rozumiał, że wszystko, dosłownie wszystko może służyć do zabijania. Dodam, że po śmierci chłopca przeprowadzono autopsję i w trzeciej bocznej komorze lewej półkuli mózgowej wykryto twór przypominający cystę. Podobne, tylko mniej skomplikowane narośle znajdowano w mózgach osobników cierpiących na syndrom sawanta, ale ten twór był największy i najbardziej rozbudowany ze wszystkich dotąd opisanych. Przypuszczamy, że to on wywoływał niezwykle zdolności Jorgego.

- Mój Boże - mruknął Allan.

- Poruczniku Grant, czy sprawa dotyczy Szatana z Phoenix? Allan namyślał się przez chwilę, w końcu kiwnął głową.

- Tak.

Twarz lekarza spochmurniała.

- Czy pracuje pan nad teorią, czy może ma pan... podejrzanego?

- Nie mogę na razie powiedzieć.

- Skontaktowałem się z panem wcześniej - powiedział Meredith

-ale nie wiedziałem, co się dzieje. Gdybym wiedział, pewnie zauważyłbym podobieństwa i zgłosiłbym się do pana z propozycją pomocy, na wszelki wypadek. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia o tych morderstwach. - Uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem. - Mam pilny termin i przygotowuję się do konferencji, a kiedy się naprawdę zaangażuję w jakiś projekt, zwykle wyłączam wszystko inne. Tylko jem, śpię i pracuję. Tracę poczucie czasu. Nawet nie wiem, jaki jest dzień.

Allan wstał i wyciągnął rękę.

- No więc teraz dziękuję za pomoc.

- Jeśli potrzebuje pan dodatkowej rady...

- Za kilka tygodni mogę potrzebować biegłego sądowego.

- Nie jestem biegłym, ale znajdę panu kogoś.

- Umowa stoi. - Allan ruszył do drzwi. - Dzięki. Meredith odprowadził go do holu.

- Ma pan podejrzanego, prawda? Kogoś konkretnego.

- Do widzenia - powiedział Allan. - Jeszcze raz dziękuję.

Pospieszył w upale przez sztuczny pustynny dziedziniec do samochodu.



KATRINA NACIĄGNEŁA MAJTKI, czując między nogami rozkoszną obolałość. Jak to jest, że nigdy nie znudził jej się seks, nawet po tylu latach? Że zobojętnienie, które wkradło się w życie tylu ludzi w jej wieku, nigdy jej nie dotknęło? Robert.

To zasługa Roberta.

Spojrzała na męża leżącego na łóżku, znowu przywiązanego. Od tamtych pierwszych dni jej seksualny apetyt tylko się zwiększył.

Teraz pragnęła tego częściej i żądała większego urozmaicenia. A Robert zaspokajał jej pragnienia.

Pamiętała, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy, w łazience zakładu Meadowview. Nawet pod wpływem silnych środków uspokajających miał potężną erekcję i zabawiał się ze sobą, kiedy Otis go mył. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

Niejasno zdawała sobie sprawę, że uprawianie seksu z pacjentami jest zabronione. Podejrzewała, że nawet nielegalne - słyszała plotki o lekarzu z innego zakładu, który podobno zrobił to z katatoniczką i wyładował w więzieniu - ale nikt jej nie zapoznał

oficjalnie z tym przepisem. Co więcej, miała to gdzieś. Chciała Roberta.

Stała w drzwiach łazienki i patrzyła, jak pieścił swój penis, kompletnie ignorując zabiegi sanitariusza. Wzrok miał tępy, szczeka mu opadała, ślinił się, ale jego ręce żyły własnym życiem i niestrudzenie masowały członek w sposób, który był dla niej objawieniem. Patrzyła zafascynowana, jak jego ruchy przyspieszyły i osiągnął szczyt. Widziała, jak wytrysnął i jak Otis zmył nasienie, zanim wreszcie się odwróciła.

Dowiedziała się nazwiska pacjenta od Otisa i w następnym tygodniu kilka razy do niego zajrzała. Sprawdziła, na którym oddziale go trzymają kiedy jadł, kiedy go gimnastykowano, kiedy go kąpano. Żaden z pozostałych sanitariuszy nie wiedział, jak długo ten pacjent jest w Meadowview - przebywał już tu, kiedy Jim Caldwell, najstarszy sanitariusz, zaczynał pracę - ale najwyraźniej był pacjentem dożywotnim. Ciężko upośledzony umysłowo nie umiał mówić; nie rozpoznawał swojego lekarza ani pielęgniarzy, chociaż widywał ich codziennie; nie umiał nawet korzystać z toalety.

Mogła zwrócić się do któregoś z administratorów albo członków personelu medycznego, zadać bardziej szczegółowe pytania o stan pacjenta, ale się bała. Niechciała zwracać na siebie uwagi, Interesował ją wcale nie

pod względem klinicznym czy humanitarnym. Interesował ją pod względem seksualnym.

Tylko o tym mówili inni sanitariusze. O ogromnym popędzie seksualnym Roberta. Dlatego związywano go albo odurzano środkami uspokajającymi Podobno kiedyś zaatakował inną pacjentkę, agresywną kobietę, którą z trudem poskramiali nawet najwięksi sanitariusze. Kiedy z nią skończył, była cicha, zamknięta w sobie, niemal nieprzytomna i przez kilka dni musieli karmić ją dożylnie.

Zgwałcił ją prawie na śmierć.

Po tym wypadku stale podawano mu leki, chociaż nawet trankwilizatory nie zdołały całkowicie ugasić jego żądz ani stłumić popędów. Emma Hart zgłosiła, że kiedy musiała go nakarmić i nie był związany, chciał ją zaatakować. Zapewniono ją, że dostał dość środków uspokajających, żeby ostudzić wszelkie zapędy, ale wciąż miał erekcję równie potężną jak zawsze i próbował rozerwać jej członkiem uniform. Tylko Billy Celter, który z nią przyszedł, żeby zamknąć drzwi, uratował ją przed gwałtem

- Ostami raz zajmowałam się tym facetem - powiedziała Emma Katrina. - Zmieniłam sobie przydział. Napędził mi cholernego stracha.

- On teraz jest w pół izolatce - mówił Otis. - Ciągłe dostaje w jedzeniu dość trankwilizatorów, żeby powalić słonia, ale na niego to wcale nie działa. Cholera, on nawet tego nie zauważa. Skoro nie może nikogo przelecieć, po prostu trzepie gruchę przez cały dzień.

Rzeczywiście za każdym razem, kiedy do niego zaglądała, onanizował się z zapalem.

Obserwowała go przez jednostronną szybę.

Myślała o nim w nocy, w samotności.

Spoglądając wstecz, Katrina nie mogła sobie przypomnieć, kiedy w jej umyśle powstał plan i kiedy zdecydowała się wprowadzić go w życie. Wydawał jej się taki naturalny, taki oczywisty, że nawet nie musiała poświęcać czasu na przygotowanie kolejnych kroków i opracowanie strategii. I udało się doskonale. Po prostu tak zmieniła swój rozkład zajęć, żeby kierownikowi najwygodniej było wyznaczyć ją do opieki nad Robertem. Brała chorobowe, zwalniała się wcześniej, przychodziła na pół etatu, manipulowała godzinami pracy w ten sposób, że zawsze pozostawała do dyspozycji w porach karmienia, kąpania i wyprowadzania Roberta. Dała do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko temu przydziałowi - więc go dostała.

Pamiętała, kiedy pierwszy raz go myła. Zmoczył się, więc ostrożnie zdjęła mu spodnie i wilgotnym ręcznikiem wytarła penis. Jak zawsze stał i poczuła dreszcz podniecenia, kiedy go dotykała. W dotyku okazał się jeszcze

lepszy, niż sobie wyobrażała, bardziej gąbczasty, cieplejszy, pełen życia.

Zawsze była religijna i odkryła, że czuje do Roberta coś podobnego jak do Boga: podziw, szacunek, miłość, tęsknotę.

Wychowano ją w wierze, od dziecka Kościół opiekował się nią w przerwach pomiędzy rodzinami zastępczymi. Kościół pomógł jej nawet znaleźć posadę w Meadowview, kiedy potrzebowała pracy.

Może to wariactwo, ale zawsze zdawało jej się, że czuje do Boga coś więcej niż inni ludzie, inni członkowie Kościoła. Wszyscy kochali Boga - księża, parafianie, wolontariusze - ale dla niej to nie było to samo. Nie żywiła wobec Boga odległej, intelektualnej miłości, jak oni. Doświadczała tego uczucia niemal fizycznie, głęboko w duszy.

To samo czuła wobec Roberta. Kiedy widziała, jak się masturbował, jak jego palce wprawnie manipulowały członkiem, utrzymując zadziwiająco stałą erekcję, serce jej wypełniało się podziwem, nabożnym szacunkiem i trwożnym zachwytem.

Nigdy jeszcze nie spotkała takiego niezwykłego człowieka i chociaż wydawał się upośledzony, wiedziała, że to ktoś wyjątkowy, błogosławiony przez Boga i że może ją dużo nauczyć.

Spędzała coraz więcej czasu z Robertem, nie mogąc się powstrzymać chociaż wiedziała, że ryzykuje swoje miejsce pracy w zakładzie. Inne pielęgniarki i sanitariusze zaczęli gadać.

Dostała jedno ostrzeżenie z administracji. Potem następne.

Wiedziała, że jej dni w Meadowview są policzone, ale wiedziała też, że nie może opuścić Roberta.

W końcu rozwiązanie okazało się proste. Nie złożyła dwutygodniowego wypowiedzenia, nie wtajemniczyła nikogo w swój plan. Po prostu pewnego dnia przyniosła do pracy dodatkowy fartuch i kiedy jej zmiana skończyła się po północy, podała Robertowi końską dawkę nembuta-łu, rozwiązała mu nogi, narzuciła fartuch na jego kaftan bezpieczeństwa i wyprowadziła go do samochodu. Curtis Lowell nie pytał Kariny o nic, machnięciem ręki przepuścił przez drzwi, Sonny Packard przy bramie nie zatrzymał jej samochodu, tylko z uśmiechem kiwnął głową.

Wymyśliła głupi plan, prosty i pozbawiony subtelności, i pewnie dlatego się udał. Zostawiła Roberta w samochodzie, weszła do mieszkania i spakowała walizkę, a potem odjechali na zachód.

Skonsumowali swój związek w Motelu 6 w Chicago.

Dwa dni później Holiday Inn w Denver nie przyjął jej kart kredytowych, więc wiedziała, że ją ścigają. Uspiała Roberta dodatkowymi procha-mi, przehandlowała swój stary samochód za nowy, ale używany, zmieniła nazwisko oraz kolor włosów i wyjechała do Cheyenne.

I na tym się skończyło. Nigdy jej nie złapano, policja nigdy jej nie nachodziła.

Oczywiście musiała zrezygnować z pracy pielęgniarki i podejmować się marnych zajęć za marne pieniądze, ale nie żałowała. Nigdy nie zawarła legalnego związku z Robertem - w żadnym razie nie mogła go wypuścić między ludzi bez kaftana bezpieczeństwa i środków uspokajających - lecz w oczach Boga byli małżeństwem i tylko to się liczyło, i cieszyli się wszelkimi przywilejami tradycyjnego małżeństwa.

I seksem, o niebo lepszym niż w tradycyjnym małżeństwie.

Uśmiechnęła się czule do Roberta, zapinając podomkę. Przeszła przez pokój i pocałowała go w czoło. Nagle przestał się gorączkowo szarpać i spojrzał na nią wielkimi oczami w kształcie migdałów, które wyrażały

o tyle więcej niż słowa. Usłyszała jego chrapliwy oddech pod kneblem i...

Oddech kogoś jeszcze.

Katrina zeszywniała, wyteżyła słuch. Podbiegła i chwyciła szpicrutę opartą o ścianę. Ręce jej drżały, podobnie jak głos, kiedy zapytała: - Kto tam?

Nie otrzymała odpowiedzi. Robert znowu zaczął się szamotać na łóżku

i hałas skutecznie zagłuszył inne dźwięki.

Szafa. Cokolwiek to było, ktokolwiek to był, na pewno ukrywało się w szafie.

Katrina przebiegła przez pokój z podniesioną szpicrutą, przechodząc do ofensywy. Szarpnięciem otworzyła drzwi szafy.

- Wyłaż stamtąd!

A tam siedziała ta dziwka z sąsiedztwa, skulona za ażurowymi drzwiami.

Katrina stanęła jak wryta. Wytrzeszczyła oczy na Cathy, kompletnie zaskoczona, ale nie opuściła szpicruty.

- Co tu robisz?! - wrzasnęła. - Cholera jasna, co ty tu robisz?!

Cathy podniosła się skulona, gotowa odpierać ciosy.

- Nic - wykrztusiła. - Ja nie...

- Szpiegowałaś mnie!

- Nie. - Pokręciła głową. Krople potu skapywały z jej wilgotnych włosów.

- Wyłaż stamtąd! No już!

Wygramoliła się z szafy. Jej spojrzenie pobiegło do Roberta na łóżku i jakby się wyprostowała, nabrała sił. Odwróciła się do Katriny.

- Gdzie jest Jimmy? - zapytała.

Na twarzy starszej kobiety zaświtało zrozumienie. Oczy jej się rozszerzyły, cofnęła się o krok.

- Randy - szepnęła. - Szukasz Randy'ego.

- Szukam Jimmy'ego. Wiem, że Randy coś mu zrobił. Katrina opuściła szpicrutę. Nagle wydawała się przestraszona.

- To nie tak, jak myślisz - powiedziała, wciąż się cofając. Namacała klamkę za plecami, otworzyła drzwi i tyłem wyszła na korytarz.

Cathy ruszyła za nią.

- Gdzie jest Jimmy?

- Randy to wyjątkowy chłopiec...

- To morderca.

- Nie! — Katrina gwałtownie pokręciła głową, bliska łez. - Wcale nie!

- Tak i ty to wiesz. Chronisz go.

- On nie wie, co robi.

- Ale ty wiesz — odparła Cathy. - Gdzie jest Jimmy?

- On jest wyjątkowy. On jest...

Za plecami Katriny na korytarz wyszedł Randy. Uśmiechał się szeroko, ślina spływała mu na brodę. Miał krew na twarzy, na koszuli, we włosach. Jego ręce ociekały szkarłatem.

Cathy zatrzymała się, słowa uwięzły jej w gardle. Chciała wrzasnąć, ale nie mogła. Jimmy nie żył. Przedtem tylko podejrzewała, teraz miała pewność. Randy zabił go w jakiś niewyobrażalny sposób, a potem bawił

się we krwi. Popatrzyła na niego, na jego szczęśliwy, głupkowaty uśmiech, i zrozumiała, że sama ma nikłe szanse wyjść stąd żywa.

Katrina zobaczyła wyraz twarzy Cathy i obejrzała się na syna.

Zachłysnęła się, widząc krew na rękach Randy ego, upuściła szpicrutę.

- Jak ty wyszedłeś? Coś ty? - Odwróciła się gwałtownie do Cathy.

— Zostawiłam go w pokoju! Zamknęłam go na klucz...

- Ma! - zawołał Randy, triumfalnie podnosząc młotek. - Ma! Ma!

Mamamama!

- Oddaj mi to! - rozkazała ostro Katrina.

Chłopiec szybko podał jej młotek. Wzięła go i odruchowo wytarła trzonek do czysta skrajem podomki, żeby usunąć odciski palców.

Zamrugnęła, jakby nagle nie wiedziała, gdzie jest i co robi.

Pokręciła głową, potem chwyciła Randy'ego za rękę i znowu odwróciła się do Cathy.

- Nie powiesz nikomu, prawda? On nie... on nie wie, co robi.

- Wypuść mnie stąd - poprosiła cicho Cathy. - Pozwól mi wyjść.

Głos Katriny zabarwił się paniką.

- Obiecuj mi, że nikomu nie powiesz. Randy nie jest złym chłopcem. Po prostu jest... wyjątkowy. On nie może się opanować.

Obiecuj mi...

- Wypuść mnie. - Cathy zwracała się do Katriny, ale wciąż wpatrywała się w Randy'ego.

- Nie! - oświadczyła nagle Katrina. W jej głosie zadźwięczały siła i zdecydowanie. Cathy zrozumiała, że powinna była uciekać, wyrwać się stąd, że zmarnowała szansę. - Ciebie nie obchodzi Randy. Nie zależy ci na moim dziecku, moim synku. Ty tylko zawiadomisz policję.

- Tak! - potwierdziła Cathy i zdumiała ją własna pewność siebie.

- On jest niebezpieczny i zawiadomię policję, i dopilnuję, żeby coś z nim zrobiono. On jest zabójcą. Od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłam, wiedziałam, że coś z nim jest nie w porządku, a teraz już wiem. To idiota sa-want. Wiesz, co to znaczy? On...

- Nie! - wrzasnęła Katrina, patrząc na Cathy z nienawiścią. - On po prostu urodził się inny, jak jego ojciec. Wszyscy myślą że on jest upośledzony, choć to nieprawda. Akuszerka mi powiedziała, że on jest upośledzony, ale wiedziałam, że się myliła. Wiedziałam już wtedy, że jest wyjątkowy. Miał własny talent, jak jego tatuś. A kiedy zabił swojego brata, mając tylko roczek, zrozumiałam, co to za talent.

Cathy zrobiła krok do tyłu.

- Och, serce mi pękło, a jakże. Kochałam małego Jasona. Był moim pierworodnym i kochałam go z całej duszy. Ale jakoś wiedziałam nawet wtedy, że bardziej kocham Randy'ego. Gniewałam się na Randy'ego, aie jednocześnie byłam z niego dumna, wiesz? Złamał

kark Jasonowi o brzeg kołyski i to wyglądało tak smutno, kiedy Jason leżał z główką całkiem przekrzywioną na bok, z wytrzeszczonymi oczkami, lecz pomyślałam, że gdyby Bóg nie chciał do tego dopuścić, nie stworzyłby Randy'ego takiego, jaki jest. Teraz może tego nie rozumiemy, ale wszystko jest częścią boskiego planu. Wierzysz w Boga?

Cathy nie odpowiedziała.

- Wierzysz w Boga? - powtórzyła natarczywie Katrina.

- Tak - odpowiedziała Cathy. - Tak

Próbowała wymyślić jakiś sposób, żeby wyrwać jej młotek z ręki albo podnieść szpicrutę z podłogi, jednak gdyby spróbowała, Katrina i Randy zdążyliby ją zaatakować.

- Bóg działa w tajemniczy sposób. Pewnie puściłabym cię do domu, gdyby On nie przysłał tu Randy'ego w odpowiedniej chwili. Ale On wiedział, co knujesz, i nie chciał pozwolić, żebyś skrzywdziła Randy'ego.

- Ka! - zawołał Randy. - Ka!

- Tak - powiedziała do niego Katrina.

- Jeśli nie wypuścisz mnie w tej chwili, oboje narobicie sobie jeszcze gorszych kłopotów - ostrzegła Cathy.

- Bóg ma specjalne plany wobec Randy'ego. I wobec Roberta. I wobec mnie.

Z daleka Cathy usłyszała stłumiony jęk syren. Katrina przechyliła głowę i również nasłuchiwała.

- Wezwałam policję - skłamała Cathy. - Zadzwoiłam do nich, kiedy zobaczyłam, że wjeżdżasz na podjazd. - Próbowała udawać odwagę, nawet agresję. - Teraz już nie uciekniecie.

Katrina uśmiechnęła się nerwowo, ale szczerze.

- Ty też nie - odparła. Do jej głosu powrócił rozsądek. Puściła rękę Randy'ego.

Cathy cofnęła się jeszcze bardziej. Randy ciągle się uśmiechał.

Podrapał się po czole zakrwawionym palcem, zostawiając różową smugę potu. Zarechotał głośno, wyraźnie szczęśliwy, wyraźnie podniecony. Ten śmiech nie brzmiał jak śmiech niedorozwiniętego dziecka. Wydawał się głębszy, bardziej dorosły i świadomie, zdecydowanie zły. Randy zrobił krok do przodu.

- Nie - wychrypiała Cathy.

Katrina czule oparła rękę na ramieniu syna, popchnęła go.

- Randy - powiedziała cicho. - Zabij ją. Zrób, żeby umarła.

ALLAN POJECHAŁ POD DOM CATHY i zaparkował radiowóz.

Popołudnie zbliżało się ku końcowi, chociaż nie dało się tego stwierdzić po słońcu, które chyba myślało, że wciąż jest pora lunchu, i tkwiło niemal pośrodku nieba, przesunięte tylko lekko na zachód. Allan wysiadł z samochodu na gąbczasty asfalt, rozmiękły od upału. Zamknął drzwi i spojrzał ponad białym dachem pojazdu na dom Cathy. Jej volkswagen stał na podjeździe. A więc jest w domu. Nie bardzo wiedział, co jej powie, ale postanowił zacząć od przeprosin, przekazać informacje Meredith i zaproponować, żeby razem wybrali się naprzeciwko, do domu Westów.

Obszedł maskę samochodu i po raz pierwszy zobaczył frontowe drzwi, częściowo zasłonięte przez volkswagena. Serce skoczyło mu w piersi.

Frontowe drzwi były otwarte. Podobnie jak siatkowe drzwi.

Słyszał lekko klekoczący szum klimatyzatora na dachu

- Cathy! - wrzasnął w stronę domu. Odczekał trzy sekundy.

Cathy! Brak odpowiedzi.

To mu się nie podobało. Wcale mu się nie podobało. Szybko wrócił do radiowozu i usiadł za kierownicą. Włączył radio, podniósł mikrofon.

- Dwa-piętnaście prosi o wsparcie - powiedział.

Usłyszał trzaski zakłóceń, potem głos Yvonne: „Przyjęłam”. Nie wiedział, co się dzieje, nie chciał niepotrzebnie fatygować ludzi, jeśli się mylił, ale nie chciał też zostać bez wsparcia, gdyby naprawdę coś się stało, więc zgłosił „możliwe porwanie” i zażądał

dwóch radiowozów, czterech mundurowych.

Odmeldował się, wysiadł z samochodu, wyjął broń z kabury i pobiegł podjazdem.

Poczuł ten zapach, jak tylko wszedł w drzwi. Przemoc. Krew.

Zakrzuszył się, mało nie zwymiotował, ale zamiast wybiec na zewnątrz, wysiłkiem woli przełknął żółć i szybko ruszył w głąb domu. Serce mu dziko waliło, ledwie mógł oddychać. W

wyobraźni widział Cathy leżącą na stole w jadalni, obok stosu skóry, albo siedzącą na sedesie, z piersiami odciętymi i ułożonymi na kafelkowej podłodze. Przeklinał się w duchu, żałował, że jej nie posłuchał, że z nią nie pojechał, że tak sztywno trzymał się cholernych przepisów i procedury. Został ukarany za swoją głupotę i teraz Cathy nie żyła, i nawet nie zdążył jej powiedzieć...

Co do niej czuł. Ile dla niego znaczyła.



Wpadł w drzwi kuchni, automatycznie przybierając klasyczną pozycję strzelecką, z pistoletem w wyciągniętych rękach, gotowym do strzału.

I zobaczył ojca Cathy.

Mimowolnie cofnął się o krok. Cała scena natychmiast wypaliła mu się w mózgu. Niebieską podłogę z laminatu pokrywały prymitywne dziecinne rysunki kredą: krzywe kwadraty do gry w klasy, patykowate postacie z nieproporcjonalnie dużymi głowami, kratki do gry w kółko i krzyżyk. Pośrodku tych bazgrołów leżał

stary człowiek. Został ukrzyżowany i jego ciało balansowało kilka centymetrów nad podłogą, rozpięte na kulach ułożonych na krzyż.

Allan od razu odgadł, że to ojciec Cathy. Dostrzegł podobieństwo pomimo łysiny, pomimo pomarszczonej skóry. Podobieństwo, które nim

wstrząsnęło. W wyobraźni ujrzał Cathy ukrzyżowaną, martwą.

Popatrzył na nieruchome ciało. Ojciec Cathy został zakneblowany ścierką. W szerokie, pomarszczone czoło wbito pojedynczy gwóźdź, z otworu krew kapiała wątlą, zasychającą struzką.

Następny gwóźdź przebijał ramię, kolejny rzepkę kolanową. Pod ciałem zebrały się kałuże krwi, już zakrzepłej. Wyglądało to na robotę satanistów, chociaż Allan wiedział, że to dzieło Randy'ego Westa. Przez głowę przemknęła mu myśl że chłopiec jest antychrystem, I dziecię będzie ich prowadzić.

Nakazał sobie wziąć się w garść, odrzucić melodramatyczne bzdury rodem z kiepskiego horroru. Teraz musiał myśleć logicznie, działać inteli-gentnie. Słyszał już nadciągające zawodzenie syren, wciąż jednak nie wie-dział, gdzie jest Cathy.

Wołając jej imię z bronią w pogotowiu, szybko przeszukał resztę domu. Puste pokoje wydawały się nietknięte. Na chwilę przystanął w drzwiach pokoju Cathy. Czuł się jak podglądacz, ale chciał zobaczyć, gdzie spała, gdzie mieszkała. Pokój był różowy, landrynkowo przesłodzony, pokoik małej dziewczynki. Zupełnie czego innego się spodziewał - tylko niewielki telewizor i regał

pełen książek na ścianie naprzeciwko pasowały do jego wcześniejszych wyobrażeń - ale dziwił się tylko przez sekundę.

Potem przypomniał sobie, co mu opowiadała o swoim domowym życiu i co wie-dział o jej przeszłości, a potem zawrócił i przeszedł

przez pralnię do garażu. Tam też panował całkowity porządek.

Wrócił do kuchni, ale jeszcze nie chował broni. Przesząpił nad kredowym rysunkiem patykowatego człowieka, uważając, żeby nie zniszczyć dowodów, i znowu spojrział na ciało ojca Cathy. Z

bliska widział, że stary umarł w krańcowym przerażeniu. Oczy miał wybałuszone, mięśnie twarzy tak

napięte, że widocznie wrzeszczał pod kneblem. Zmoczył się i puściły mu zwieracze, smród jego odchodów mieszał się mdląco z zapachem krwi.

Zginął powolną i męczeńską śmiercią, sterroryzowany i godny litości. Allan miał w Bogu nadzieję, że Cathy tego nie widziała.

Ale gdzie była Cathy? Nie w domu ani w garażu, ani... Nagle go olśniło. W domu Westów.

Jak mógł być taki głupi? Kurwa, jak mógł być taki cholernie głupi? Wybiegł na dwór, wrzeszcząc do dwóch funkcjonariuszy, którzy właśnie wysiadali z samochodu:

- Montoya, idziesz ze mną! Davis, dzwoń do zabójstw! Ściągnij Do-brinina, Thomassona, Williamsa i kogo tam macie! Nie dotykajcie niczego, dopóki nie przyjadą technicy!

Nie przystanął, aby się upewnić, że go zrozumieli, nie obejrzał się, żeby sprawdzić, czy wykonują jego rozkazy, tylko przebiegł przez jezdnię z pistoletem w reku. Dyszał ciężko, nie z wysiłku, tylko ze strachu. Dręczyło go okropne przeczucie, że Cathy zginęła przez jego opieszałość, że żyła jeszcze pięć minut temu, ale teraz jest martwa, że wciąż by żyła, gdyby potrafił myśleć bardziej jasno.

Dopał do frontowych drzwi, zamkniętych na klucz. Bez namysłu wyłamał zamek, adrenalina pulsująca w żyłach obdarzyła go siłą policjanta z telewizyjnych seriali. - Cathy! - zawołał. Krzyczała, chociaż wcześniej na ulicy nic nie słyszał. Zachłystywała się i wydawała donośne, urywane, niekontrolowane wrzaski, jakby broniła się przed atakiem.

Przeskoczył przez nierozpakowane pudła na podłodze, instynktownie kierując się w stronę zaciemnionego korytarza, lecz kątem oka dostrzegł ruch i skręcił do jadalni, z pistoletem w dłoni Cathy leżała na podłodze. Bluzkę miała rozdarta, jedną obnażoną pierś, kremowobiałą z krwawoczerwonymi zadrapaniami, przyciśniętą brutalnie do dywanu. Obok głowy spoczywał wielki kłęb wyrwanych włosów. Randy siedział na niej i chociaż okładał dziewczynę pięściami, z łatwością udaremniając jej wysiłki, żeby go zepchnąć, chociaż zasypywał gradem ciosów jej głowę, pierś i brzuch, zachował

całkowitą obojętność. Oczy wpatrywały się w pustkę, z otwartych ust ciekła ślina, na twarzy malował się wyraz spokojnego zadowolenia, jakby chłopiec wcale nie zdawał sobie sprawy, że jego ciało dokonuje gwałtownych aktów przemocy.

Katrina West stała z boku przy stole, zagrzewając syna do walki.

Pochyliła się do przodu w postawie wyczekiwania, rozczochrane mysie włosy opadły jej na twarz.

- Zabij ją! - powtarzała fanatycznym głosem, jakby z okrutną radością. — Zabij ją!

- Stać! - krzyknął Allan.

Wymierzył z pistoletu do chłopca, ręka mu nie zadrżała i strzeliłby, dziecko czy nie dziecko, gdyby miał pewność, że nie trafi Cathy.

Randy podniósł wzrok, zaskoczony dźwiękiem głosu Allana, i natychmiast szarpnął ramię Cathy w górę i do tyłu. Rozległ się mdlący trzask miażdżonej kości i Cathy wrzasnęła z bólu przeraźliwie, głosem tak pierwotnie dzikim, że wydawał się dubbingowany, niesynchronizowany z mchami ust. Chłopiec spojrzał na Allana i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Tego uśmiechu Allan nigdy nie zapomni, przebiegłego uśmiechu satysfakcji,

inteligentnego zła nagle wyzierającego spod pustki, które zmroziło go lodowatym strachem. Potem zniknęło i jednym gładkim, zadziwiająco płynnym ruchem dzieciak zeskoczył z Cathy i wypadł przez drzwi do kuchni.

Cała scena rozegrała się w ciągu niecałych dziesięciu sekund.

Randy zniknął, zanim chwilę później pojawił się Montoya.

Allan uklęknął obok Cathy. Przetaczała się po podłodze i wciąż krzyczała na cały głos. Krew kapłała jej z twarzy i obwisłej piersi, złamane ramię opadło bezwładnie pod nienaturalnym geometrycznym kątem. Chłopiec bawił się nią, jak kot bawi się złowioną myszą, zanim ją zabije. Allan dziękował Bogu, że zjawił

się na czas. Minuta później i...

- On jest w garażu! - wrzasnęła Cathy. - Widziałam, jak pobiegł do garażu!

Próbowała wskazać zdrową ręką drzwi do kuchni. Allan spojrzał

przez kuchnię na czarny prostokąt otwartych drzwi garażu po drugiej stronie małego, pustego patio.

- Z tobą w porządku?

- Łap go! - krzyknęła. Allan wstał.

- Pilnuj jej! - polecił Montoi. Wskazał Katrinę, teraz skuloną przy ścianie i pochlipującą. - Jej też pilnuj! Nie pozwól jej uciec!

ścianie i pochlipującą. - Jej też pilnuj! Nie pozwól jej uciec!

Przebiegł przez kuchnię i pognał do garażu. Z daleka słyszał

następne syreny i żałował, że przez swoją krótkowzroczność przyjechał tu sam. Owszem, spieszył się, ale przecież wiedział, na co się zanosí, więc powinien się przygotować. Gdyby miał ze sobą chociaż trzech ludzi, pewnie już zakuliby w kajdanki tego małego skurwiela.

Wpadł w drzwi garażu.

I mało się nie zderzył z Jimmym Goldsteinem.

Chłopiec, bez butów i koszuli, wisiał za nogi na linie przywiązanej do belki stropowej. Nie ruszał

się i Allan w pierwszej chwili pomyślał, że dziecko nie żyje. Twarz i klatkę piersiową miał opuchniętą, nabrzmiąłą, pokrytą pęcherzami, skórę zaczerwienioną, sinoczną. Wokół niego na podłodze garażu walało się z tuzin piłek futbolowych, niektóre pobrudzone krwią.

Allan szybko rozejrzał się po ciemnym garażu, ale nie zobaczył

ani śladu Randy'ego. Obok wielkich drzwi stały jakieś pudła i trzy metalowe kubły na śmieci, za którymi dzieciak mógł się schować, poza tym jednak garaż był pusty. Wciąż ściskając pistolet, przygotowany na atak, kierując się policyjnym treningiem, Allan wyciągnął rękę, złapał Jimmy'ego

za nadgarstek i poszukał pulsu. Puls bił zadziwiająco mocno.

Tętno szyjną też pulsowała. Randy wykorzystywał

nieszczęsnego chłopca jako żywą tarczę, ale nie wyrządził mu poważnej krzywdy. Widocznie nie chciał. Traktował Jimmy'ego jak zabawkę, rozrywkę.

Z tyłu rozległ się odgłos biegnących stóp i Allan obrócił się błyskawicznie, ale to był tylko Montoya. Towarzyszył mu Dobrinin.

- Sanitariusze już jadą... - Montoya urwał, kiedy zobaczył

Jimmy'ego. - Jezu.

- On żyje - powiedział Allan. - Puls ma równy, żadnych złamanych kości, chyba nic mu się nie stało. Pomóżcie mi go odciąć. - Kiwnął na Dobrinina. - Przeszukajcie cały garaż. Jeśli go nie znajdziecie, rozdzielcie się i szukajcie na zewnątrz. Musicie go złapać.

- Kogo?

- Tego chłopca.

Dobrinin z wyciągniętą bronią przysuwał się już do kubłów na śmieci.

- Chłopca?

- Randy'ego Westa. Naszego Szatana.

- To dzieciak?

Allan chwycił Jimmy'ego w pasie, a Montoya poluzował węzeł

wokół kostek chłopca.

- Nie mam czasu wyjaśniać, a ty i tak byś nie uwierzył. Pamiętaj tyl-ko, że ten dzieciak jest niebezpieczny... zdolny i gotowy użyć zabójczej siły. Właśnie zabił człowieka po drugiej stronie ulicy i zranił tych dwoje; musimy go szybko znaleźć.

Wciąż zbity z tropu, Dobrinin okrążył kubły na śmieci z bronią w pogotowiu.

- Nic! - zawołał. Szybko zajrzał za stos pudeł. - Wszędzie czysto!

- Cholera! Więc zwiął. Zbierz ekipę.

- Co to jest? - zapytał Dobrinin po drugiej stronie garażu.

- Co?

- Jakiś metalowy gadżet.

- Później to obejrzysz! Teraz wyślij ludzi na zewnątrz!

Allan stęknął, kiedy Jimmy osunął się na niego całym ciężarem.

Ostrożnie położył chłopca na podłodze. Jimmy leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami.

Dobrinin wybiegł z garażu.

- Sprowadzę sanitariuszy! - zawołał Montoya i pospieszył za nim.

Allan uklęknął obok Jimmy'ego i próbował go ocucić. Z domu dobiegały wrzaski Cathy i niezrozumiała, ale znajoma litania rozkazów

i odpowiedzi, oznaczająca automatyczne uruchomienie maszyny śledczej. Na zewnątrz zawodziły kolejne syreny, w tle narastał

gwar zbierającego się tłumu.

Po kilku chwilach otworzyły się wielkie wrota garażu i weszło dwóch sanitariuszy w białych uniformach, niosąc nosze oraz niezbędny sprzęt medyczny. Bliźniacze ambulanse wjechały tyłem na podjazd. Wokół domu Westów oraz domu Cathy po drugiej stronie ulicy rozciągano już taśmę policyjną. Sześć radiowozów parkowało skośnie na jezdni, umundurowani funkcjonariusze próbowali powstrzymać szybko rosnący tłum.

- Teraz my się nim zajmiemy - oświadczył jeden z sanitariuszy.

Kucnął i wziął Jimmy'ego za przegub. Drugi sanitariusz rozłożył

nosze i ustawił po drugiej stronie chłopca.

- Dzięki. - Allan wstał i kiwnął głową. - Próbowałem go cucić, ale się nie ocknął...

Pierwszy sanitariusz uważnie obmacał spuchniętą, czerwonopurpurową klatkę piersiową Jimmy'ego.

- Chyba nic mu nie będzie. Pewnie doznał lekkiego wstrząśnienia mózgu, ale nie zapadł w śpiączkę ani nic takiego. Wylize się.

- Dzięki Bogu.

Allan zostawił sanitariuszy i pospiesznie wrócił do domu. Cathy leżała już na noszach i przypinano ją pasami. Wydawała się znacznie spokojniejsza. Złamane ramię ułożono jej na piersi, wciąż wykręcone pod kątem, na który samo patrzenie sprawiało ból. Allan zrozumiał, że podano jej środek znieczulający.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Złapaliście go? - Mówiła powoli, trochę bełkotliwie.

- Jeszcze nie.

- Złapcie go! - Próbowwała usiąść, ale opadła ciężko z powrotem.

Zamknęła oczy, otworzyła z wysiłkiem. - W sypialni - dodała.

- Co?

- Jezu! - rozległ się gdzieś w korytarzu głos Thomassona. - Allan!

Chodź tu!

Allan ujął zdrową rękę Cathy, uściskał.

- Nic ci nie będzie?

Przytaknęła ze znużeniem i znowu zamknęła oczy. Szybko pocałował ją w czoło.

- Zabierają cię do szpitala. Przyjadę tam, kiedy tylko tu skończę.

- Mój ojciec - wymamrotała. - Zawiadam mojego ojca.

- Tak.

Dwaj sanitariusze podnieśli nosze. Allan pogładził Cathy po głowie i ruszył w głąb korytarza, skąd wynurzał się wyraźnie zdenerwowany Thomasson; potem zmienił zdanie, odwrócił się i pocałował ją lekko w usta.

- Kocham cię - szepnął.

Ale ona już odpłynęła i nie zareagowała. Sanitariusze wynieśli ją z domu.

- Allan - powiedział Thomasson niskim, nienaturalnie głuchym głosem. - Nie wiem, co to jest, do cholery, ale musisz to zobaczyć.

- Zaczekaj chwilę. - Podniósł rękę. - Montoya! - zawołał. Policjant w mundurze wystawił głowę zza rogu kuchni.

- Gdzie jest pani West, ta kobieta, której ci kazałem pilnować?

- Siedzi tu. Nie odzywa się.

- Odczytaj jej prawa i zapudłuj ją.

- Za co?

- Utrudnianie pracy policji, ukrywanie przestępcy, resztę dopracujemy później.

- Grant! - wrzasnął Thomasson. Allan się obejrzał.

- Co?

- Chodź tu!

Allan poszedł za drugim porucznikiem przez korytarz do sypialni. W pokoju pozbawionym mebli leżał nagi mężczyzna, zakneblowany i przywiązany do słupków mosiężnego łóżka.

Spomiędzy nóg sterczał mu penis w erekcji. Allan zatrzymał się w progu.

- Co to jest, do cholery?

- Ty mi powiedz.

- Przeprowadź tę kobietę. Chcę jej zadać parę pytań, i to zaraz.

Patrzył na nagiego mężczyznę, kiedy Thomasson poszedł po Katrine West. Więzień rzucał się i szarpał na łóżku, aż poobijane wezgi uderzały rytmicznie o ścianę. Twarz mężczyzny wyglądała jak z obrazu Muncha: blada i wynędzniała, jakby nawiedzona, zapadnięte policzki i wybałuszone oczy. Coś w jego rysach czy w wyrazie twarzy wydawało się nienaturalne. Allan podszedł i wyciągnął mu knebel z ust.

Mężczyzna zaryczał głośno, nie z bólu, gniewu, radości czy rozpacz, ale usiłując się porozumieć. Był upośledzony umysłowo.

Allan cofnął się, zamiast rozwiązać mężczyznę, jak przedtem zamierzał. Teraz zrozumiał. Widział, co się tu dzieje, i ogarnęła go zgroza.

- Zostawcie Roberta w spokoju! - wrzasnęła Katrina West za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył kobietę w kajdankach, przytrzymywaną przez Thomassona.

- Kim jest ten człowiek? - zapytał. - I dlaczego jest związany?

- Zostawcie go!

- Powie mi pani, kto to jest?

- Chcę adwokata!

- Zamierzam go rozwiązać.

- Zostawcie Roberta w spokoju!

- Dlaczego?

- To mój mąż! - Spojrzała wściekle na Allana. - Nie powiem nic więcej bez adwokata.

- Gdzie jest Randy?

- Nie wiem.

- Czy to jest ojciec Randy'ego?

- Chcę adwokata!

Thomasson pokręcił głową i mocniej ścisnął Katrinę za ramię.

- Nic nie wyciągniesz z tej baby. Całkiem jej odbiło.

- Znam swoje prawa!

- Allan! - zawołał Montoya z frontowej części domu.

- Zabierz ją stąd - powiedział Allan z niesmakiem. - Zadzwoń na komendę. I do prokuratora. - Wskazał na łóżko. - Niech ktoś zabierze tego faceta. - Szybko przeczesał włosy ręką -

Potrzebujemy więcej wsparcia. Musimy stąd zacząć poszukiwania, zanim będzie za późno. Czy ktoś za-wiadomił

Pynchona?

- Już tu jedzie - wyjaśnił Thomasson.

- Nie wyjdziemy z tego domu, dopóki nie przeszukamy każdego centymetra.

- Allan! - zawołał Montoya.

- Idę!

Przepchnął się obok Thomassona i Katriny West, wrócił do salonu. Montoya wyprowadził go przez kuchnię do garażu.

- Zanim zrobi się zupełny pierdolnik, musisz to zobaczyć.

Pamiętasz ten gadżet, który Dobrinin znalazł w garażu?



- Aha.

Wszedł za policjantem do środka. Wielkie wrota garażu wciąż były otwarte. Oba ambulanse już odjechały, chociaż Allan nie słyszał syren. Fotograf robił zdjęcia sznura, na którym wisiał

Jimmy, i zakrwawionych piłek futbolowych. Na zewnątrz zebrał

się okazały tłum.

- Zamknij drzwi - rozkazał Allan.

Nieznany funkcjonariusz pospiesznie wykonał polecenie.

- Patrz. - Montoya pokazał palcem.

Na pękniętym stole warsztatowym pod ścianą leżały kawałki metalu: części maszyn, narzędzia i żelastwo, najwyraźniej wygrzebane w domu lub w okolicy. Na chropawym, niewykończonym drewnie walały się rozrzucone Śruby i nakrętki, sprężyny i podkładki, śrubokręty, ostrza pił i szczypce do cięcia drutu.

- Jezu - powiedział Allan. - Spójrz na to.

Wskazał niewielkie urządzenie ustawione na końcu stołu.

Wyglądało jak sklecone głównie z kawałków starych zabawek, lecz natychmiast poznał, że to nie zabawka. Groźne ostrza, najwyraźniej ręcznie wycięte z resztek stalowej blachy, sterczały we wszystkich kierunkach.

- On to zrobił?

- Nie wiem. Co to jest?

Allan powoli zbliżył się do warsztatu i dokładnie, bez dotykania obejrzał urządzenie. Zdumiony, pokręcił głową

- Nie mogę uwierzyć.

- Jak myślisz, co to jest?

- Cofnij się.

Rozejrzał się po garażu i jego wzrok padł na miotłę. Podniósł ją i trzymając na odwrót, za włosie, szturchnął zaokrąglonym końcem Kija w urzą-dzenie.

Mechanizm podskoczył i kłapnął jak uruchomiona pułapka na myszy, ostrza z blachy stalowej zawirowały. Para solidniejszych ostrzy sekatora wyskoczyła do przodu na prymitywnym wysięgniku i dźgnęła powietrze.

- Kurwa! - krzyknął Montoya i odskoczył.

Allan zagapił się na nieruchome teraz urządzenie, zbyt oszołomiony, żeby odpowiedzieć. Meredith mówił, że Jorge, chłopiec z Brazylii, potrafił natychmiast określić zabójcze zastosowania dowolnego przedmiotu, ale doktor nic nie wspominał o zdolności konstruowania wyspecjalizowanych narzędzi śmierci, budowania skomplikowanych mechanicznych urządzeń zaprojektowanych specjalnie do zabijania. Zimny dreszcz przeszedł Allanowi po plecach.

Widocznie doktor nic nie wiedział o takich zdolnościach. To było coś nowego.

O czym jeszcze lekarz nie wiedział? Zadając sobie takie pytanie, czuł się nawet bardziej bezsilny, bezradny i nieudolny niż wcześniej, zanim odkryli tożsamość mordercy.

Wciąż wpatrywał się w najeżony licznymi ostrzami mechanizm na końcu stołu. Metal lśnił. A jeśli Randy zbudował więcej takich przedmiotów? Jeśli zostawił je w najbliższej okolicy i teraz czekały jak bomby zegarowe, aż ktoś je uruchomi?

Odepchnął od siebie tę myśl, próbował ją zignorować. Za dużo się działo, w zbyt szybkim tempie. Miał za wiele innych zmartwień na głowie, żeby się bawić w „co by było gdyby”.

Ale myśl nie chciała odejść.

Łupało go w głowie.

- Kurwa - powtórzył Montoya. Z obawą podszedł do mechanizmu, ostrożnie dotknął jednego ostrza lufą pistoletu. Nic się nie stało. Policjant podniósł wzrok na Allana. - Ten dzieciak to zbudował?

- Tak myślę.

- Kim on jest? - zapytał Montoya. Allan pokręcił głową.

- Nie wiem.

Na chodniku przed komendą tłoczyli się reporterzy - lokalni, krajowi, z radia, telewizji i prasy. Dobrze ubrani mężczyźni i dobrze uczesane kobiety rywalizowali o najlepsze pozycje na dolnych stopniach, pozując przed kamerzystami. Oznakowane logogramami furgonetki z otwartymi drzwiami i podłączonymi zwojami kabli parkowały rzędem na jezdni. Przed pierwszą w szeregu dwaj mundurowi kłócili się z grupką mężczyzn i kobiet, najwyraźniej usiłując im wytłumaczyć, że legitymacja prasowa nie unieważnia znaku „Zakaz parkowania”. Allan objechał całe zamieszanie i próbował się wśliznąć przez tylną bramę na policyjny parking, ale nawet tam czekało już trzech przedsiębiorczych reporterów. Pobiegli za jego samochodem, wprawnie naciskając guziki magnetofonów.

Wysiadł z samochodu i w tej samej chwili reporterzy go dopadli.

Jakim cudem tak szybko zdobyli informacje?

— Poruczniku Grant!

— Poruczniku Grant!

— Poruczniku Grant!

Podniósł ręce, żeby ich uciszyć, i zamierzał już wygłosić standardowe oświadczenie: "Zawiadomimy państwa, gdy tylko ustalimy szczegóły", kiedy zobaczył Pynchona, który wypadł jak burza przez otwarte drzwi komisariatu.

— Grant! - ryknął.

— Przepraszam - powiedział Grant do reporterów.

Przepchnął się obok nich i podszedł do Pynchona, który stał na chodniku; minę miał wściekłą.

- Zamknij się pan i nic im nie mów - warknął, popychając Allana do drzwi komendy.

- Nie zamierzałem nic mówić.

- No więc gęba na kłódkę - ostrzegł kapitan. - Od tej chwili musimy bardzo uważać na każde słowo. Nieważne, jak to rozegramy, i tak skończy się kompromitacją całego departamentu.

Nasz masowy morderca, nasz zabójca policjantów, nasz Szatan z Phoenix okazał się niedorozwiniętym dzieciakiem Chryste, czy pan wie, jakie prasa będzie miała używanie? Wyjdziemy na bandę skończonych półgłówków.

Poprowadził Allana przez hol w stronę swojego gabinetu.

- Kazałem już Holmanowi opracować oświadczenie dla prasy. Nic więcej nie powiemy, dopóki nie wymyślimy czegoś odpowiedniego. Musimy zaplanować całą strategię PR, zanim zmierzymy się z mediami.

- Niech pan porozmawia z doktorem Frankiem Meredithem z Kliniki Badań Neurologicznych w Maricopa. Powie panu takie rzeczy, że włos się jeży na głowie. Ludzie o tym przeczytają i od razu będziemy wyglądać lepiej. Myślę, że Meredith potrafi wyjaśnić, z czym mamy do czynienia.

- Ile ten Meredith wie o sytuacji? Czy powinniśmy go tutaj ściągnąć? Wykorzystać go jako informatora?

- Pewnie tak - potwierdził Allan.

- No więc niech pan to załatwi, do cholery! Nie chcę jeszcze bardziej spaprać tej sprawy.

- Dopiero co przyjechałem. Niech pan się na mnie nie wyzywa, na litość boską. Widział pan, jak było w tamtym domu. Czego się pan spodziewał, do cholery?

Pynchon niezręcznie położył rękę na ramieniu Allana.

- Ma pan rację - powiedział. - Przepraszam. Allan ruchem ramienia strząsnął dłoń kapitana.

- Jakież nowe wiadomości?

- Nic.

- Co z Cathy?

- Z nią w porządku, chłopak wyzdrowieje, matka jest w areszcie, ojciec... czy ktokolwiek to jest... w okręgowym psychiatryku.

Weszli do gabinetu Pynchona. Kapitan zapalił światło. Allan z ulgą opadł na krzesło. Westchnął i pokręcił głową.

- Czuję się, jakbym grał w cholernym filmie.

- Nie pan jeden - prychnął Pynchon. - To nie jest rzeczywistość. To jakiś popieprzony horror. Nawet nie wiem, co powinniśmy robić.

Urządzamy obławę na dzieciaka? Mam wydać rozkaz strzelania, żeby zabić? W jakie procesy się wpakujemy, jeśli tak zrobię? Co się stame, jeśli tak nie zrobię?

- Postawił pan ludzi na straży w szpitalu? Pynchon zbył go machnięciem ręki.

- Strażnicy pod drzwiami kobiety i chłopca. Wysłaliśmy ich do Memoriał Ten szpital ma lepszy system ochrony niż Biały Dom.

Allan odetchnął.

- Więc jaki mamy plan?

- Zwołałem zebranie za czterdzieści pięć minut. Wszyscy oprócz ekipy poszukiwawczej i szkieletowej stałej zmiany. Niech pan im powie, na czym stoimy, z czym mamy do czynienia. To jest takie nie z tej ziemi, że ludziom trudno zrozumieć. Cholera, zanim wszedłem do tego nawiedzonego domu, sam nie zdawałem sobie sprawy, z czym walczymy. Ciągle zadawałem sobie pytanie, czemu Whitehead dał się wykończyć dzieciakowi. "Dał się wykończyć". Jakby zginął z własnej winy, bo zamordowało go dziecko. Ale kiedy tam wszedłem, kiedy zobaczyłem jego mamę i tatę, zrozumiałem, że to nie jest dziecko. Mamy do czynienia z potworem. Pieprzonym rzeczywistym Freddym czy coś w tym guście. I to musi im pan wytłumaczyć. Niech zrozumieją, z czym walczymy. Trzeba się przygotować, jeśli mamy go złapać, zanim znowu uderzy.

- Lepiej złapmy go szybko - powiedział Allan. Pynchon kiwnął

głową.

- Wiem.

- Martwią mnie te małe pułapki czy cokolwiek to jest A jeśli ich jest więcej? Jeśli on zamierza ich użyć?

Kapitan westchnął.

- A mnie martwi, że on może rozumować w kategoriach szerszych niż pojedyncze morderstwo. Może być zdolny do zaplanowania wielokrotnych mordów. Do opracowania spójnej długoterminowej strategii.

- A to znaczy...

- Że jesteśmy załatwieni - stwierdził Pynchon. Zakaszłał. -

Przypadkiem pytał pan o to Mereditha?

- Jeszcze nie.

- Niech pan zapyta. Allan kiwnął głową.

Pynchon wyjął kółko z kluczami z szuflady biurka i wstał.

- Idę do technicznego. Chce pan iść?

- Nie. - Allan również wstał. - Potrzebuję chwili samotności. I chcę zadzwonić do szpitala.

- Cathy?

Allan przytaknął z lekkim zakłopotaniem.

- To pana dziewczyna czy jak?

Allan niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- Sam nie wiem - bąknął. - W pewnym sensie. Tak, chyba tak.

- Poradzi pan sobie?

- Jasne, nie ma sprawy. Zna mnie pan.

- Ładna jest - przyznał Pynchon. Spojrzał na ścienny zegar. - Czas ucieka. Muszę iść. Do zobaczenia w sali odpraw. Za pół godziny.

Allan kiwnął głową.

- Przyjdę.

Wyszedł za kapitanem z gabinetu i ruszył przez hol w głąb budynku, do swojego pokoju. W holu nie napotkał żywej duszy, tylko dwóch młodych rekrutów w pokoju rekreacyjnym rozmawiało półgłosem, niemal konspiracyjnie. Komenda przypominała oblężoną fortecę. Allan miał wrażenie, że dekuje się na tyłach, podczas gdy wszyscy pozostali wyruszyli na barykady.

Wszedł do swojego pokoju i zapalił światło. W głowie łupało go boleśnie z wyczerpania. Nie pamiętał, żeby kiedyś był taki wykończony. Choć nic nie jadł od śniadania i w brzuchu mu burczało z głodu, nie miał

ochoty na jedzenie. Chciał tylko spać, wpełznąć do własnego łóżka, nakryć

się własnym kocem, złożyć głowę na własnej miękkiej poduszce, zamknąć oczy i nie budzić się przez długi, długi czas.

Opadł na fotel. Dopił ciepłą dietetyczną colę bez gazu, która stała na biurku od rana, ale był taki zmęczony, że nawet kofeina go nie ożywiła. Wyrzucił pustą puszkę do kosza. Głowa pękała mu z bólu, którego nie zła-godziło sześć tabletek tylenolu.

Wyjrzał przez okno na pomarańczowy zachód słońca. Machina została puszczone w ruch, Pynchon kierował całością; zdąży się zdrzemnąć przez dziesięć minut przed spotkaniem.

Ale nie. Musiał się przygotować. Musiał obmyślić, co im powie.

Ekipa już działała w terenie i chociaż pracowali dwójkami, nadal groziło nie-bezpieczeństwo, że jeśli znajdą chłopca, jeden z nich zostanie ranny. Albo zabiły. Ze względu na nich nie mógł się poddawać słabości. Ze względu na nich musiał dać z siebie wszystko.

Ale czy to wystarczy? Nie. wiedział. I w tej chwili był zbyt zmęczony, żeby się tym martwić.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer szpitala Memorial.

Pokój odpraw pękał w szwach, brakowało miejsc, ludzie steli pod ścianami i wylewali się na korytarz. Po raz pierwszy, odkąd Allan wstąpił do policji, widział wszystkich funkcjonariuszy ze wszystkich zmian zebranych razem w godzinach służby i ten widok podziałał na niego otęzewiająco.

Jeden dzieciak zdołał przechytryć i wyprowadzić w pole ich wszystkich?

Bardzo niepokojąca myśl.

Popatrzył na tłum, instynktownie zatrzymując wzrok na małych wysepkach cywilów w morzu granatowych mundurów. Z

jakiegoś powodu twarze glin po cywilnemu wydawały się wyraźniejsze, wyróżniały się z otoczenia. Napotkał spojrzenie Pynchona, zobaczył, że kapitan kiwnął głową, więc podniósł ręce, prosząc o ciszę. Szmer głosów przycichł i zamarł.

- Wszyscy wiecie, dlaczego tu jesteśmy - zaczął Allan. - I na pewno wszyscy słyszeliście

przynajmniej jedną wersję tego, co się stało. Ale ja chcę wam powiedzieć, co naprawdę zaszło. Żebyście wiedzieli, z czym mamy do czynienia.

Wyjaśnił wszystko od początku, powoli i wyraźnie, nic nie pomijając. Nie wspominał o swoim związku z Cathy, ale opowiedział, jak przyszła do niego z teorią sawanta i jak postanowił to sprawdzić.

- Najważniejsze, o czym trzeba pamiętać - mówił - to, że nie mamy do czynienia ze zwykłym dzieckiem. Nie mamy do czynienia nawet ze zwykłą istotą ludzką. W ciele tego chłopca kryje się umysł tak błyskotliwy, tak chory, tak amoralny, tak... zły, że potrafił obmyślić i popełnić co najmniej osiem morderstw...

unikalnych, oryginalnych, okrutnych morderstw... pod samym naszym nosem, włączając jednego z naszych kolegów. I pomimo wszystkich środków technicznych, pomimo całej psychologicznej wiedzy, całego doświadczenia, wykszolenia i liczebności nie zdołaliśmy go schwytać. Randy West jest niebezpieczny.

Podkreślam to z całą stanowczością Potrafi zmienić wszystko w broń. Dosłownie wszystko. Nie umiemy przewidzieć jego zachowania, nie wiemy, jak on myśli. Nie stosuje żadnego stałego wzorca, żadnego modus operandi. Nie wiemy, jak się zachowa przyparty do muru, co spróbuje zrobić, co może zrobić.

Pynchon wstał.

- Porucznik Grant chce was ostrzec, żebyście nie próbowali przechytrzyć tego dzieciaka. Nie dacie rady. I nie traktujcie tego jak wyzwania, bo skończycie w kostnicy. Jedyne przewagę, jaką mamy, to liczebność i siła ognia. Wykorzystajcie je. Macie przeczesać to miasto, znaleźć dzieciaka i go zgarnąć. Albo zgarnąć, albo załatwić.

Allan przytaknął.

- On jest mały, porusza się na piechotę i był w domu około czwartej po południu. Więc stamtąd rozciągniemy pierścień obławy. On jest taki mały, że może się wszędzie ukryć, lecz mamy nadzieję, że zdaje sobie sprawę, że go ścigamy, i panikuje, ucieka na oślep. Zobaczymy. Ale lepiej bierzmy się do roboty, zanim on zdąży coś wymyślić.

- Przydziały do zespołów wywieszono na tablicy - oznajmił

Pynchon. - Personel biurowy i nieoperacyjny wróci do wykonywania zwykłych obowiązków według normalnego harmonogramu. Wszyscy inni podejmują ryzyko i dostaną premie za nadgodziny. - Spojrzał na porucznika, który kiwnął głową. -

Do roboty.

- I hej, uważajcie na siebie - dodał Allan.

Wielu starszych funkcjonariuszy zarechotało, ale młody policjant stojący z przodu zrobił zdziwioną

minę. Allan uśmiechnął się do nowicjusza.

- Stary dowcip - wyjaśnił.

Zebranie się skończyło, uczestnicy w milczeniu wychodzili do holu. Allan pospieszył do dyspozytorni, żeby połączyć się przez radio z William-sem, Dobrininem i Thomassonem, lecz żaden z trzech dowódców drużyn nic nie widział ani nie słyszał.

Minęła ósma.



PIERWSZY MECHANIZM uruchomił się o dziewiątej trzydzieści.

Drugi o dziesiątej.

JOHN BOYD NIGDY NIE ROBIŁ TAKIEGO REPORTAŻU i nie bardzo wiedział, jak się zachować. Zazwyczaj przed kamerą uśmiechał się ciepło i wygłaszał relację spokojnym, przyjaznym, lekko protekcyjnym tonem, idąc za radą jednego ze swoich dawnych profesorów na uczelni, i przemawiał do kamery jak do dziecka opóźnionego w rozwoju. Ale w tym wypadku zwykle podejście wydawało się niestosowne; rezultat mógł się okazać wręcz upiorny. Do takiego delikatnego tematu należało się zabierać w rękawiczkach z kozłej skórki. Nie chciał

nikogo obrazić ani zdenerwować.

Ale to była duża rzecz, dostatecznie spektakularna, żeby wzbudzić ogólnokrajowe zainteresowanie. Gdyby dziś wieczorem się wykazał, sieć mogła go wykorzystać jako niezależnego dziennikarza, zamiast przydzielić go do któregoś ze swoich stałych korespondentów. Przy obecnych ograniczeniach budżetowych w dziale wiadomości powstała tendencja, żeby wykorzystywać materiały reporterów z regionalnych filii, co działało zdecydowanie na korzyść Johna. Jeśli tego nie schrzani, ma spore szanse, że przydzielą mu Szatana z Phoenix.

A taki temat wróżył karierę.

Miarą potęgi telewizji i jej dominacji nad drukiem była możliwość, że po dzisiejszym wieczorze, jeśli wszystko dobrze pójdzie, automatycznie zaczną identyfikować Johna z Szatanem z Phoenix, podczas gdy reporter z „Republic”, który ukuł ten zwrot, popadnie w zapomnienie i pozostanie mu tylko patrzeć zza kulis, jak jego przydomek zdobywa ogólnokrajowe uznanie.

Ale co, do diabła. Na tym polega dziennikarski biznes.

John poprawił krawat i przesunął się zgodnie ze wskazówkami Rudy'ego, który próbował wykadrować ujęcie. Starał się nie myśleć o jat-ce za swoimi plecami. Od dwudziestu minut Rudy nagrywał nakryte ciała oraz metalowe urządzenie, które przecięło ofiary w pasie, kiedy wychodziły z kina, i usiłował pokazać makabryczną scenę w sposób do przyjęcia dla rodzinnej telewizji, ale John spojrział na ciała tylko raz i natychmiast się odwrócił.

Nigdy jeszcze nie widział takich okropności i żołądek podjechał

mu do gardła. Przez tę krótką chwilę zobaczył krwawe dziury wywiercone w wygodnych ubraniach, pastelowe wnętrza tworzące ścianki tuneli. Wiedział, że nigdy tego nie zapomni. Na samą myśl, że za nim nic się nie zmieniło, że gdyby się odwrócił, zobaczyłby te same dwa ciała w tych samych pozycjach i ohydny metalowy przedmiot pomiędzy nimi, dostawał gęsiej skórki. Z

trudem powstrzymywał chęć ucieczki. Próbował myśleć o czymś innym.

Na sekundę zamknął oczy, a potem dźwiękowiec Sam wpychał

mu słuchawki do ręki.

- Chcą puścić reportaż - oznajmił. - Przerwiemy konkurs piękności.

John poczuł, że strach odpływa, zastąpiony przez znajome, kojące bodźce ambicji. Przerwany konkurs piękności? Duża rzecz.

To jest to.

Gina podała mu lusterko, nastroszyła włosy, psiknęła lakierem na fryzurę.

- Wchodzimy za pięć sekund - uprzedził Sam, podał mu mikrofon i szybko wycofał się do furgonetki.

Rudy ustawił kadr, dał znak, włączył światła. Uśmiechać się czy nie?

- Trzy - mówił Sam. - Dwa. Jeden.

John odetchnął głęboko, kiwnął głową, spojrzał w kamerę. Nie uśmiechał się, ale nie marszczył brwi. Zachował obiektywny, bezstronny wyraz twarzy. Profesjonalny.

- Mówi John Boyd w wiadomościach Kanału Cztery - zaczął. - Kobieta i mężczyzna zginęli dziś wieczorem na First Street, kiedy wychodzili...

TO WYGLĄDAŁO JAK SCENA Z FILMU.

Dwie alejki zostały już zablokowane; oznakowano objazd; policjanci, reporterzy oraz fotografowie pracujący dla jednych i drugich roili się na zamkniętym odcinku ulicy. Pośrodku otoczonej kordonem przestrzeni na chodniku leżały trzy ciała, nieruchome kształty, wyznaczające wierzchołki nieregularnego trójkąta. Ciała - dwie kobiety i chłopiec w wieku jedenastu, dwunastu lat - z przesadnie rozrzuconymi kończynami wyglądały jak manekiny albo miejscowi statyści, na których nikt nie zwraca uwagi. Cała scena kojarzyła się Allanowi z planem filmowym: małe grupki cicho krzątających się ludzi, kamery, jaskrawe przenośne światła.

Tylko że krew była prawdziwa.

I mały, dziwacznie ukształtowany metalowy przedmiot pośrodku jezdni nie był rekwizytem.

Pomimo nierealnej atmosfery ten widok budził jeszcze większą grozę, o ile to możliwe, niż wypadek na First Street. Tamte dwa ciała zostały wypatroszone, ale takie rzeczy już widywano.

Tu morderca wymyślił coś innego.

Allan zatrzymał spojrzenie na chłopcu. Pomimo dojmującej odrazy nie mógł oderwać oczu. Cała przednia część ciała została odkrojona, twarz,

klatka piersiowa, genitalia i nogi gładko przecięte w taki sposób, że amputacja nie naruszyła głównych żył ani arterii, nie wywołała fontanny krwi. Na idealnie płaskiej powierzchni widniała tylko nabrzmiała warstewka czerwieni, powleczone gęstym, przezroczystym, żółtawym płynem.

Dwie kobiety zginęły w taki sam sposób. Twarze i przody wszystkich trzech ofiar leżały w pofałdowanych kupkach na asfalcie.

Wypadek na First widzieli świadkowie, ale tu nie było świadków.

Pomocnik kelnera i jego koledzy znaleźli ciała natychmiast po śmierci, niemal potknęli się o trupy, jeszcze drgające spazmatycznie na ziemi, ale nie widzieli pułapki w działaniu. W

pierwszej chwili nawet jej nie zauważyli, wydawała się taka mała i niepozorna.

Potem zobaczyli gwoździe.

I ostrza.

Allan podszedł do przedmiotu. Wyglądał jak skrzyżowanie ręcznego miksera z zabawką sprężyną Slinky. Chociaż szczyt technicznej wiedzy Allana stanowiły wymiana filtra powietrza w samochodzie i zaprogramowanie magnetowidu, nawet on dostrzegał geniusz tego projektu i podziwiał umysł, który potrafił

stworzyć taką unikalną i skuteczną maszynę do zabijania.

Przeszedł go dreszcz. Im więcej widział wytworów Randy'ego, tym bardziej się obawiał tego chłopca.

- Po zakończeniu zwykłych badań - powiedział - niech chłopcy w laboratorium obejrzą to coś i sprawdzą, jak to działa, dlaczego działa, czy jest zegarowe, czy nadaje się do wielokrotnego użytku i do czego jest podobne.

Montoya kiwnął głową i zapisał parę słów w notesie.

- Czy można jakoś ustalić, jak dawno to tutaj zostawiono? Jak długo tu leżało, zanim się włączyło? Randy uciekł, kiedy tylko mnie zobaczył w domu. Trudno uwierzyć, że zdążył zabrać dwa urządzenia, taszczył je ze sobą, a potem ustawił jedno na First Street, a drugie tu. Nie przypuszczam też, że jest na tyle głupi, żeby zostawić taki wyraźny ślad. To mogą być przynęty. Chcę wiedzieć, czy mechanizmy czekały tu od jakiegoś czasu, czy też naprawdę wskazują kierunek jego ucieczki. Posadźcie kogoś nad tym.

- Załatwione - powiedział Montoya.

Pynchon przyjechał kilka minut później. Allan wyszedł mu na spotkanie. Porozmawiał przez chwilę z kapitanem, wyjaśnił, co się stało, co wiedzieli. Pynchon oświadczył, że przejmuje dowodzenie na miejscu. Allan przyjął to do wiadomości i starał

się nie wchodzić w drogę kapitanowi,

kiedy sam przeprowadzał oględziny. Ich style prowadzenia śledztwa skrajnie się różniły i wiedział z doświadczenia, że najlepiej ustąpić Pynchonowi, a kiedy odjedzie, przejąć sprawę.

Nie warto tracić czasu na bezcelowe

spory proceduralne.

Allan minął ciała na chodniku. Zauważył, że w blasku fotograficznych fleszy zasychająca krew wydawała się czarna.

Ogarniało go coraz większe napięcie, zdenerwowanie, nie tylko z powodu morderstw, nie tylko dlatego, że Randy wciąż przebywał

na wolności. Ten niepokój miał bardziej osobiste źródła, Allan jednak nie potrafił go nazwać, wydobyć z podświadomości i to jeszcze bardziej mu doskwierało. Obszedł dookoła żółtą taśmę, nie zwracając uwagi na gapiów, którzy zadawali mu pytania.

Potem zbliżył się do maski radiowozu, która służyła za bazę operacyjną, i wśród kubków kawy oraz aparatów fotograficznych zobaczył plan Phoenix, na którym miejsca obu wieczornych morderstw zaznaczono czerwonymi iksami.

Nagie zrozumiał, co mu nie dawało spokoju. To miejsce znajdowało się bliżej szpitala, gdzie zawieszono Cathy, niż poprzednie.

Pokręcił głową i odwrócił wzrok. Całkowity brak logiki. Randy w żaden sposób nie mógł wiedzieć, gdzie jest Cathy. Uciekł na długo przed przyjazdem ambulansu. Nawet gdyby gdzieś się ukrywał i widział ambulans, nie dysponował dostatecznie rozwiniętymi zdolnościami analitycznymi, żeby wydedukować, że zabierają ją do szpitala. Zresztą nawet gdyby zrozumiał, że Cathy jest w szpitalu, nie mógł wiedzieć, o który szpital chodzi. A gdyby jakimś cudem dowiedział się nazwy szpitala i zdołał tam dotrzeć, przecież nie przedrze się przez ochronę i urządzenia monitorujące do jej pokoju na trzecim piętrze. Ajednak...

A jednak Allan się martwił, denerwował. Randy dokonał już niemożliwego. Kilka razy. Wiele razy. Wiedział rzeczy, których nie miał prawa wiedzieć, robił rzeczy, które powinny przekraczać jego zdolności, zdołał zabić Bóg wie ilu niewinnych ludzi, stosując niezmiennie unikalne i ma-kabryczne sposoby.

Allan nie życzył sobie tego potwora w pobliżu Cathy.

Oderwał wzrok od Pynchona i innych policjantów, spojrział w perspektywę pustej ulicy, pełną cieni i katów jak u de Chirico.

Pewnie tylko rzutował na zewnątrz własną paranoję, ale tego wieczoru wyczuwał wszędzie atmosferę zagrożenia, nawet gwiaździste niebo wyglądało złowrogo. Chciał — nie musiał —

odwiedzić Cathy, sprawdzić, czy z nią w porządku.

Obejrzał się na ekipę dochodzeniową. Sytuacja była opanowana, wstępne dochodzenie prawie zakończone. Nie miał tu nic do roboty poza nadzorowaniem ludzi, którzy sami znali się na swojej robocie. A tym się zajmował Pynchon.

Pospieszył z powrotem do kapitana, który właśnie rozkazywał

nowicjuszowi jeszcze raz opylić proszkiem na odciski palców framugę sklepowych drzwi na dole, w miejscu zetknięcia z chodnikiem.

Wyskoczę na pięć minut do szpitala, dobrze? - powiedział Allan. -

Spotkamy się na komendzie.

- Zajrzeć do swojej dziewczyny?

- Tak - przyznał.

- Zgoda. Ale niech pan wraca jak najszybciej. Potrzebujemy pana.

Zapowiada się cholernie długa noc dla nas wszystkich.

Dobra.

Pomachał na pożegnanie i przebiegł przez ulicę. Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik, wycofał wóz.

Powinien teraz odetchnąć z ulgą, skoro już jechał do szpitala.

Powinno mu ulżyć,

Ale nie ulżyło, ani trochę. Ucisk w piersiach narastał. Allan włączył światła i syrenę, nacisnął pedał gazu i pomknął w kierunku szpitala.

CATHY USIADŁA NA ŁÓŻKU. Nie była w szpitalu od czasów dzieciństwa, kiedy wycięto jej migdałki. Czuła się dziwnie zdezorientowana. Zapamiętała szpital jako ogromny labirynt, całe kilometry krętych korytarzy i pokoje wypełnione monstrualną maszyną, ale teraz wydawał się znacznie mniejszy, wcale nie taki przerażający, bardziej podobny do przyjaznych centrów medycznych pokazywanych w telewizji niż do sterylnego piekła z jej wspomnień. Większość pielęgniarek była mniej więcej w jej wieku.

Poprawiła się w łóżku, a przynajmniej próbowała, bo jej ciało nie reagowało tak, jak powinno - nie mogła ruszać prawym ramieniem i straciła czucie w całym boku, więc pomimo wysiłków odniosła tylko połowiczny sukces.

Stęknęła i oparła głowę z powrotem na podniesionej wysoko poduszce. Fizyczny ból, którego wcześniej doświadczyła, minął

całkowicie dzie-

ki środkiem znieczulającym, ale wciąż płonął jasno we wspomnieniach, podsycany przez częściową niesprawność. I nigdy nie miał zgasnąć. Na zawsze zapamiętała cierpienie, którego doznała, kiedy Randy szarpnął jej ramię do tyłu i wykręcił. Tak bardzo była przekonana, że zginie, adrenalina krążyła w niej tak intensywnie, że jej zmysły wyostrzyły się i zarejestrowały z fotograficzną dokładnością każdą sekundę tego straszliwego spotkania, wyrytą na stałe w jej umyśle. Miała zapisane w pamięci, jak pomyślała, że całkiem wyrwał jej ramię ze stawu, jak przeszył ją ból tak potworny, że prawie zemdląca.

Wciąż czuła na sobie jego ciężar, widziała jego małe piąstki, wprawnie unikające jej niezdarnych prób obrony i uderzające w najbardziej wrażliwe punkty ciała. Czuła zapach i lepki dotyk krwi zasychającej na jego ubraniu, kropelki i nitki śliny skąpy wały na jej twarz, wywołując odruch wymiotny. On był jak demon z piekła rodem, nienaturalnie silny, obdarzony nadnaturalną intuicją, i rozpacz, zgroza, bezradność, które czuła w tych niekończących się okropnych chwilach, wypaliły w niej trwałe emocjonalne piętno, nie do usunięcia.

Randy West jest zły, myślała. Nie chory, nie upośledzony, nie pozbawiony rozeznania, nie niepoczytalny, tylko zły.

Wspomniała jego oczy idioty patrzące w pustkę, jego wargi wykrzywione w zwierzęcym triumfie, kiedy wprawnie wyrwał

jej ramię ze stawu, i zadrżała.

Bała się nawet myśleć o tym chłopcu. Pragnęła, żeby ktoś przy niej był. Allan. Ojciec.

Ojciec.

Czy ktoś go zawiadomił, co się stało? Usiadła prosto. Wcześniej, jak sobie przypominała, kiedy



jeszcze była pod wpływem środków uspokajających i przeciwbólowych, przyszedł lekarz i powiedział, że reporterzy przez cały wieczór domagali się wywiadu, ale poinformował ich, że ona dopiero za kilka dni odzyska siły na tyle, żeby się z nimi spotkać. Oni jednak dalej ża-

dali widzenia, więc zapytał, czy może odpowiedzieć na pytania dotyczące jej stanu fizycznego. Zapewniał, że w ogóle nie wspomni o napaści, tylko ograniczy się do kwestii dotyczących obrażeń. Półprzytomnie wyraziła zgodę.

Później poprosiła pielęgniarkę, żeby zadzwoniła do księgniarki i uprzedziła, że Cathy jutro nie przyjdzie do pracy. Ani pojutrze.

Możliwe, że do końca tygodnia. Jakie to dziwne, niemal surrealistyczne - poza granicami jej świata normalne życie toczy się jak zwykle. Jeff przyjdzie rano do pracy dziwnie ubrany; Ann będzie się uczyła do egzaminów w przerwach między klientami.

Pielęgniarka zadzwoniła i porozmawiała z Ann, która zażądała rozmowy z Cathy. Wciąż czuła się trochę otępią, ale pogadała z Ann, uspokoiła

ją, pokrótce streściła przebieg wydarzeń, przysięgła, że nic jej nie jest. Ann chciała natychmiast przyjechać, ale Cathy kazała jej poczekać do rana, bo dopiero wtedy są godziny odwiedzin.

Właściwie nie wiedziała, kiedy są godziny odwiedzin, lecz była wykończona i nie miała ochoty nikogo widzieć.

Ale nikt nie wspomniał o jej ojcu. I gdzie jest Allan?

W korytarzu za drzwiami pokoju rozległ się hałas i Cathy podskoczyła.

To tylko sanitariusz niósł stalową tacę z czystymi szklankami. Cathy próbowała się uspokoić. Allan pewnie zajmował się policyjną robotą, aresztował Randy'ego i jego matkę, wyjaśniał wszystkie okoliczności sprawy. Ojciec na pewno siedział w poczekalni, widocznie zajrzał do niej, kiedy była nieprzytomna, dlatego nic nie pamiętała.

Spojrzała w zaciemniony kąt pokoju, gdzie stało drugie, puste łóż-

ko. Przez okno widziała zarysy dachów Phoenix, potężny masyw South Mountain i mrugające czerwone światła anten telewizyjnych. Bliźniacze wioski prostokątnych szklanych wieżowców, symbole nowego południowego zachodu, wznosiły się wokół Central Avenue i stanowego kapitolu niczym wielobarwny tłum obcych najeźdźców, górujących nad płaskim miejskim pejzażem. Nocne niebo, czarne i czyste, usiane gwiazdami, wypełniało trzy czwarte okna i sam ten widok działał

kojąco.

Co z Jimmym? - pomyślała. Czy policja go znalazła? Zdawało jej się, że tak. Nie dręczyło jej to pytanie, nie martwiła się o chłopca, więc mogła przypuszczać, że otrzymała informację o jego odnalezieniu, kiedy była pod wpływem środków znieczulających.

Na sekundę zamknęła oczy. Wszystko wydawało się takie chaotyczne, takie poplątane, takie niedopasowane.

Czy tak się czuje człowiek po narkotykach?

W korytarzu rozległy się kroki, ściszone męskie głosy, a potem do pokoju wszedł Allan. Wydawał się zmęczony i zdenerwowany, i chociaż tego należało się spodziewać, coś jeszcze w jego zachowaniu, w wyrazie twarzy, czego nie potrafiła określić, zbudziło jej czujność.

Uśmiechnął się do niej, szczerze, chociaż na jego czole wciąż rysowały się zmarszczki.

- Jak się czujesz? - zapytał.

Odpowiedziała wątlym uśmiechem i próbowała podnieść gips.

- Bywało lepiej. - Odchrząknęła. - Co z Jimmym?

- Dochodzi do siebie. Jest w szoku, ale odniósł głównie powierzchowne obrażenia. Żadnych złamanych kości ani nic takiego. Przypuszczam, że jutro go zobaczysz.

- Gdzie go znaleźliście?

- Co? Och, zapomniałem. Wtedy już straciłaś przytomność.

Znaleźliśmy go w garażu. Randy związał go, powiesił za nogi i zrobił z niego jakby... tarczę strzelecką. Rzucił w niego piłką.

Cathy gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Nic mu nie jest, naprawdę. Wyzdrowieje raz-dwa.

- Czy go...? - Urwała.

- Złapaliśmy? - dokończył łagodnie Allan. - Nie. Ale to tylko kwestia czasu. — Usiadł na krześle obok łóżka i nakrył dłonią jej rękę. - Przedtem nie miałem czasu, ale chciałem cię przeprosić.

Popełniłem błąd. Powinienem cię posłuchać...

- Sza. — Lewą ręką zamknęła mu usta. - To już skończone. Kiwnął

głową, lecz coś w wyrazie jego twarzy wciąż ją niepokoiło

- ostrożne, niemal ukradkowe spojrzenie, zupełnie jakby... jakby coś przed nią ukrywał.

Serce jej przyspieszyło rytm i nagie zaschło jej w ustach.

Odetchnęła głęboko.

- Gdzie jest mój ojciec?- zapytała. - Dlaczego nie przyszedł mnie odwiedzić? - Zobaczyła minę Allana i coś ścisnęło ją w żołądku. -

On nie

żyje. O mój Boże. On nie żyje.

Odwrócił wzrok, popatrzył na swoje buty, nie odpowiedział.

- On nie żyje, prawda?

- Cathy, chyba nie powinnaś... Wyrwała rękę z jego dłoni.

- Przynajmniej okaż mi tyle szacunku, żeby powiedzieć mi prawdę Allan myślał przez chwilę, odetchnął głęboko i spojrzał

Cathy w oczy.

Na jego twarzy malowały się ból i współczucie.

- Tak. Twój ojciec nie żyje.

- O Jezu - jęknęła Cathy. - O Jezu.

Była przygotowana, wiedziała, czego się spodziewać, ale potwierdzenie swoich obaw odebrała jak cios, który w jednej chwili wycisnął jej całe powietrze z płuc, całą siłę z organizmu, wszystkie emocje z serca, wszystkie myśli z głowy. Opadła bezwładnie na poduszkę, pusta, wyczerpana, odrętwiała. Allan sięgnął po jej rękę, próbował coś powiedzieć, ale półprzytomnie pokręciła głową i go odsunęła.

Od dawna nie lubiła ojca, czasami go nienawidziła, ale nigdy nie tyczyła mu śmierci. Nigdy. Teraz już nie wiedziała, co do niego czuje. W ogóle nie wiedziała, co czuje. Myśli plątały jej się w głowie, warstwa otępienia tłumiała wszelkie emocje. Cathy żałowała, że nie zdążyła przynajmniej uporządkować własnych uczuć, zanim to się stało. Żałowała, że nie miała okazji jakoś się przygotować, porozmawiać z ojcem, wyjaśnić pewnych spraw.

Teraz było za późno. On odszedł.

- Cathy, ja...

- Odejdź - powiedziała. - Wyjdź.

- Przykro mi...

- Proszę. Chcę być teraz sama.

Zamknęła oczy i podciągnęła koc pod brodę, jakby samo wypowiedzenie zdania tej długości

kosztowało ją mnóstwo wysiłku.

- Muszę uprzedzić lekarza, że ci powiedziałem. Prosił mnie, żebym nie mówił, że to ci zaszkodzi, ale... - głos mu się załamał.

Cathy nie odpowiedziała. Przekręciła się twarzą do okna i pustego łóżka, naciągnęła koc jeszcze wyżej.

Allan lekko dotknął czubka jej głowy.

- Cathy?

- Odejdź - powtórzyła. - Wrócę później - obiecał.

W drzwiach obejrzał się jeszcze raz, chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i szybko wyszedł na korytarz.

JIMMY BYŁ W SZPITALU I WIEDZIAŁ, ŻE JEST W SZPITALU, choć jakoś nie mógł

w to uwierzyć. Otoczenie wydawało się odległe, niezwiązane z nim, jakby oglądał te sceny w telewizji albo w wyobraźni.

Nie miał poczucia dezorientacji. Doskonale wiedział, gdzie jest.

Kilka razy ocknął się po drodze - w karetce pogotowia, w sali zabiegowej -i chociaż doznał tylko krótkich przeblysków świadomości, zachował w pamięci wyraźne, spójne obrazy.

Dokładnie wiedział, co go spotkało.

Wciąż z trudem w to wierzył.

Próbował przełknąć ślinę, ale w ustach mu zaschło i tylko zakaszłał. Kaszel podrażnił gardło, zebrało mu się na wymioty.

Sięgnął do tacy obok

łóżka, gdzie widział plastikowy kubek z czystą wodą. Chwycił

naczynie i podniósł do ust, przełknął z wdzięcznością chłodny, kojący płyn, który pomógł na mdłości.

Odstawił kubek i odetchnął głęboko. Najbardziej go dziwiło, że wciąż żył. Po tym wszystkim myślał już, że umrze.

Umrze.

Jak tata.

Nagle przypomniał sobie ojca siedzącego na sedesie, z otwartymi oczami...

Gładko obciął mu fiuta.

...krew kap kap kapiącą do wody w muszli.

Znowu zebrało mu się na wymioty. Szybko rozejrzał się po pokoju. Oczy mu rozbłysły na widok mamy, śpiącej na krześle po drugiej stronie łóżka. Nie zauważył wcześniej, że mama tu jest.

Sama jej obecność sprawiła, że od razu poczuł się lepiej. Mama czasami spała na krześle przy jego łóżku, kiedy był mały, gdy chorował i gorączkował. Czuwała nad jego snem, ocierała mu pot z czoła, budziła go co jakiś czas, żeby zmierzyć mu temperaturę albo obmyć go zimną wodą, i zawsze czuł się bezpieczny, wiedząc, że mama jest przy nim, że się nim opiekuje. Teraz również poczuł się bezpieczny, po raz pierwszy od długiego czasu. W

pierwszej chwili chciał

obudzić mamę, uściskać ją i opowiedzieć o swoich przeżyciach, żeby go pocieszyła, ale inna, nowsza cząstka jego istoty pragnęła samotności, więc pozwolił jej dalej spać.

Zamknął oczy. Nie czuł takiego smutku, jak powinien. Nie płakał

i nie miał ochoty płakać.

Ale kochał ojca. Pomimo wszystko nadal kochał ojca.

Czy nie?

Leżał bez ruchu na łóżku, z zamkniętymi oczami. Chciał myśleć o ojcu, chciał wspominać wszystko, co robili razem, przywołać z pamięci wspólnie spędzone dobre chwile, ale nie mógł się pozbyć sprzed oczu obrazu ojca na sedesie, z sinymi rękami zwisającymi bezwładnie po bokach, z wytrzeszczonymi, nabiegłymi krwią oczami, z zakrwawionym penisem w ustach, z kapiącą raną między nogami. Kiedy próbował sobie wyobrazić ojca w domu, robiącego śniadanie, koszącego trawnik, ubierającego się do pracy, obrazy się nie pojawiały. Jak w zepsutym telewizorze, nie mógł zmienić kanału w mózgu; im bardziej się starał wywołać wizję ojca za życia, tym wyraźniej widział scenę jego śmierci.

- Nie! - krzyknął, wściekły, sfrustrowany, próbując wyrzucić z głowy ten obraz.

Mama obudziła się natychmiast i zerwała z krzesła, żeby usiąść obok niego na łóżku. Wzięła go za rękę.

- Nie! - powtórzył Jimmy.

- Już dobrze - uspokajała go. - Wszystko dobrze.

Objęła go i przytuliła, ale chociaż otworzył oczy i przywarł do niej z całej siły, wciąż widział w wyobraźni zamordowanego ojca.

Uścisnął ją mocno. Chciał opowiedzieć, co się stało, opowiedzieć, co widział, wytłumaczyć, przez co przeszedł, lecz zanim zdążył

wymówić chociaż słowo, rozplakał się.

ELLEN BRIGHAM PEŁNIŁA DYŻUR OD DZIEWIĄTEJ RANO i padała z nóg. Wanda jak zwykle spóźniła się na swoją zmianę i Ellen musiała ją kryć. Potem Barbara zadzwoniła, że jest chora, a Sam posadził ją w izbie przyjęć, dopóki nie znajdą zastępstwa na noc. To było dwie godziny temu.

Praca na izbie przyjęć nie jest taka zła - przynajmniej w porównaniu z ostrym dyżurem - ale Ellen tkwiła w szpitalu przez cały dzień i sama już się czuła jak cholerna pacjentka. a po budynku kręciło się tyle glin, że szpital zaczął przypominać posterunek policji.

Na domiar wszystkiego miała dziś iść na tańce z Hankiem i ciągle do niego dzwoniła, przesuwając godzinę spotkania. a teraz wyglądało na to, że będzie musiała zadzwonić jeszcze raz i odwołać randkę.

Pewnie dlatego nie zauważyła upośledzonego chłopca, który wszedł przez podwójne drzwi do holu, minął kolejkę czekających pacjentów i znikł w korytarzu z napisem: „Wstęp wzbroniony”.

Elvin Brown nucił pod nosem, zmywając mopem białe linoleum w magazynie na parterze. Zawsze podśpiewywał przy pracy.

Cholera, czasami nawet nucił piosenki, które mu się nie podobały.

Wczoraj przyłapał się na tym, że myje podłogę w rytmie tego starego białego gniotą Captain i Tennille Love will Keep Us Together, największego bądziwunia wszech czasów.

Ale lubił słuchać muzyki przy pracy i jeśli nie miał radia, automatycznie sam dostarczał akompaniament. Nie mógł nic na to poradzić - jego mózg przypominał prawdziwą stację radiową: niektóre piosenki były klasyczne, inne całkiem do dupy.

Dzisiaj odstawiał paradę hitów Steviego Wondera.

Niezła rzecz.

Dotarł do końca ambulatorium i przysiadł na chwilę dla odpoczynku na małej, dwustopniowej drabince, przeznaczonej dla niższych pielęgniarek i lekarzy. Budynek miał klimatyzację, ale kiedy Elvin zamiatał albo zmywał podłogę w ciasnych, zamkniętych pomieszczeniach, zawsze pocił się jak świnia.

Pewnie to reakcja nerwowa, lecz zawsze miał wrażenie, że ochłodzone powietrze nie dociera do tych niepublicznych pomieszczeń.

Podniósł bidon, który wcześniej postawił na podłodze, odkręcił

małą rurkę i pociągnął wielki łyk wody, wytarł pot z czoła i obrócił wodę w ustach, zanim przełknął. Kupił bidon zaledwie dwa dni temu i woda wciąż miała posmak nowości. Zamknął

oczy, delektując się tym smakiem. Wiedział, że jego żona nie tolerowałaby takich rzeczy, że myłaby i szorowała plastik, żeby w pojemniku nie zostało ani śladu obcych woni, ale on odnajdywał

w tym wspomnienia. Dobre wspomnienia. Przypominał sobie wodę z ogrodowego węża w lecie, chłodny neutralny płyn z lekkim, ledwie wyczuwalnym posmakiem gumy. A to mu przypominało dzieciństwo. A to mu sprawiało przyjemność.

Otworzył oczy.

Przed nim w drzwiach stał jakiś dzieciak.

Elvin dosłownie podskoczył. Odstawił bidon i wstał. Nie należał

bynajmniej do nadwrażliwych, lecz coś go przestraszyło w tym dzieciaku który pojawił się tak nagle. Zaśmiał się i spróbował

obrócić wszystko w żart.

- Przestraszyłeś mnie, kolego. Nie widziałem cię. Dzieciak nie odpowiedział.

Elvin przyjrzał się chłopcu uważniej. Pomyślał, że mały wygląda jak niedorozwinięty: pewnie wymknął się z trzeciego pietra, gdzie trzymano "specjalne" dzieci. Ale było w nim jeszcze coś niewłaściwego, jakaś cecha, której Elvin nie potrafił określić, która zdecydowanie mu się nie podobała.

Uśmiechnął się do chłopca, chociaż uśmiech nie wyszedł

naturalnie jak zwykle i wywoływał dziwne wrażenie na twarzy.

- Wiesz, że pacjentom nie wolno tu wchodzić - powiedział. -

Lepiej stąd zmykaj, bo narobisz sobie kłopotów.

Wtedy dzieciak wyszczerzył do niego zęby i Jezusie, w tym uśmiechu było coś takiego, że Elvin mało się nie złał w gacie.

Lodowate ciarki przebiegły mu po plecach. To idiotyczne, ale przy tym dzieciaku poczuł się tak samo jak wtedy w grudniu, kiedy grupa skinheadów otoczyła go na parkingu przed pasażem handlowym, zanim spłoszył ich przypadkowo przejeżdżający radiowóz.

Oczy chłopca biegały po pokoju, rejestrowały półki z buteleczkami i fiolkami, rzędy pudeł z zapasami i nowym sprzętem, i przez krótką chwilę wcale nie wydawał się taki upośledzony. Wydawał się... wprawdzie nie całkiem inteligentny, ale... chytry. Jak półdziki pies, który wie, kiedy może bezkarnie coś zbroić. Tylko u chłopca ta przebiegłość sięgała znacznie głę-

biej, sprawiała poważniejsze wrażenie, wzbudzała silniejszy strach.



- Lepiej już idź - mówił Elvin, podchodząc do chłopca i siląc się na autorytatywny ton głosu. - Na pewno cię szukają.

Dzieciak popatrzył na niego, obejrzał go z góry na dół, a potem kopnął go mocno w lewe kolano, dokładnie w najbardziej wrażliwe miejsce. Elvin osunął się na podłogę; kolano, nagle bezużyteczne, zmieniło się w wirującą spiralę cierpienia. Zanim zdążył się podnieść, chłopiec złapał pojemnik z jakimś środkiem chemicznym w spreju i psiknął mu prosto w oczy.

Ból zaatakował natychmiast. Świat rozpłynął się w jednym palącym spazmie przeraźliwej męczarni. Elvin czuł, jak jego gałki oczne zaczynają

się rozpuszczać, wierzchnia warstwa złuszcza się i pęka, kleiste płyny ciekają na zewnątrz, potworne doznania uderzają prosto we wrzeszczący mózg.

We wszechświecie poza granicami własnego bólu usłyszał szcęk metalu, brzęk szkła.

A potem chłopiec skoczył mu całym ciężarem na plecy i złamał

mu kręgosłup.

ŚWIATŁA ZAMIGOTAŁY, PRZYGASŁY, POJAŚNIAŁY, kiedy uruchomiły się zapasowe generatory, wreszcie zapadła całkowita ciemność.

Dobrinin wstał i zapalił latarkę. Żałował, że Montoya wyszedł na kawę. W tej chwili czułby się znacznie lepiej, gdyby we dwóch pełnili straż przed pokojem tej laseczki.

Ale skąd miał wiedzieć, że ten przygłup trafi do szpitala?

Spojrzał na zegarek, bez trudu odczytał w ciemnościach elektroniczne cyfry. Ochroniarz mówił, że Randy trzy minuty temu był na drugim pię-

trze. Allan, Pynchon i całe cholerne wsparcie powinni dojechać za pięć minut. Temu przekłętemu dzieciakowi pewnie dłużej zajmie...

Na drugim końcu korytarza szcęknęły zamykane drzwi.

Zaszurały stopy w tenisówkach.

Dobrinin zeszywniał, przełożył latarkę do lewej ręki, wyjął broń z kabury, Dłonie mu się spociły. Kto tam? - zawołał.

Skierował latarkę w stronę dźwięku. Widział ostre granice smugi światła w ciemnościach.

A potem zobaczył chłopca.

Dreszcz przeszedł Dobrinina, kiedy snop światła latarki przesunął się po nieruchomej postaci Randy'ego. Niski i przysadzisty, przypominał raczej karła niż dziecko.

Złośliwego karła.

Strasznego karła.

Dobrinin nagle poczuł parcie na pęcherz, mięśnie w kroczu mu zwiotczały i wiedział, że zmoczy spodnie. Nigdy w życiu tak się nie bał i po raz pierwszy żałował, że nie posłuchał rady ojca i nie poszedł na farmację. Farmaceutów nie zabijano podczas wypełniania obowiązków; kończyli pracę, wracali do domu i spokojnie kładli się spać.

To głupie. Nie był farmaceutą. Był gliniarzem. Zawsze tego chciał

i został gliniarzem, a teraz, kiedy przyszło co do czego, zaczynał

wymiękać. Próbował wziąć się w garść, siłą woli opanować strach. Nie można widzieć w tym dzieciaku Supermana. Nawet jeśli to geniusz, jest tylko dzieckiem, niższym, mniejszym i słabszym od niego.

Element zaskoczenia, pomyślał Dobrinin. To dawało szczeniakowi przewagę. Dlatego udało mu się dokonać tego wszystkiego. Nikt się go nie spodziewał. Nikt się nie przygotował. Tylko tyle.

Popatrzył na chłopca. Próbował się zdobyć na odwagę, próbował

myśleć logicznie o wszystkich rzeczach działających na jego korzyść, ale rozsądek szybko go opuszczał. Dzieciak naprawdę wyglądał jak wcielenie zła. Zwłaszcza coś w jego twarzy nie podobało się Dobrininowi. Pustka. Kompletny brak wyrazu, znacznie przekraczający wszystko, co widywał nawet u najsilniej upośledzonych osobników.

Potem wyraz twarzy Randy'ego się zmienił. Otwarte usta się zamknęły, wargi rozciągnęły w idiotycznym uśmiechu, dziwny błysk zamigotał w skośnych migdałowych oczach. Randy ruszył

w stronę Dobrinina dziwacznymi, niezgrabnymi susami, pochylony, wymachując grubymi ramionami w nienaturalnym rytmie, rzucając groteskowe cienie na sufit i ściany.

Dobrinin wycelował z pistoletu, strzelił, ale ramię z latarką mu opadło i kula poszła górą.

A potem chłopiec go dopadł.

Skalpel, który rozciął mu gałki oczne, błyszczał jasno nawet w ciemnościach.

O DWUNASTEJ WESZŁA PIEŁĘGNIARKA, żeby wyłączyć telewizor i zgasić światło. Cathy leżała z zamkniętymi oczami i usiłowała zasnąć, ale wciąż czuła się całkowicie rozbudzona, wciąż nie mogła uspokoić rozbieganych myśli po dzisiejszych okropnych wydarzeniach. Chciała, żeby jej zostawiono zapalone światło i włączony telewizor, lecz z jakiegoś powodu nie protestowała przeciwko wprowadzeniu ciszy nocnej. Udawała, że śpi, i nawet nie drgnęła, kiedy pielęgniarka podciągnęła jej koc pod brodę.

Po paru chwilach otworzyła oczy. W pokoju było ciemno.

Wiedziała, że za drzwiami postawiono policjanta, żeby jej pilnował, ale nadal nie czuła się bezpiecznie. Znowu zamknęła oczy i usiłowała nie myśleć o ojcu.

W końcu udało jej się zasnąć, ale obudził ją huk wystrzału.

Pojedynczy strzał, który wywołał echo w korytarzach i wstrząsnął

całym budynkiem z siłą salwy armatniej. Cathy usiadła w łóżku, natychmiast przytomna, i od razu zauważyła, że nigdzie nie ma światła. Nawet spod drzwi nie przesączał się żaden odblask.

Przez okno widziała drugie skrzydło szpitala, również pogrążone w ciemnościach. Awaria prądu.

Z korytarza dobiegł zdławiony wrzask.

Wstrzymała oddech, serce mało nie wyskoczyło jej z piersi. Potem usłyszała inny dźwięk.

Dźwięk, od którego krew zastygła jej w żyłach.

- Pa! Pa! Papapapapa!

Randy.

Cathy zamarła, nagle sparaliżowana. Wiedziała, że powinna wstać z łóżka, uciekać, ale mięśnie chwilowo odmówiły jej posłuszeństwa. Głos Randy'ego dochodził z drugiego końca korytarza, lecz wiedziała, że chłopiec jest blisko. Jakimś cudem ją odnalazł, wytropił aż tu.

Zamierzał dokończyć to, co zaczął. Zamierzał ją zabić.

Drzwi były zamknięte, ale nie wiedziała, czy na klucz. Z walącym dziko sercem wysliznęła się z łóżka i po cichu podeszła do drzwi.

Nierozsądnie liczyła na wielką zasuwę, lecz znalazła tylko zwykły zatrzask w okrągłej klamce. Przytrzymała klamkę łokciem złamanego ramienia, zdrową ręką przekręciła zatrzask i cofnęła się od drzwi. Rozległo się tylko cichutkie szcęknięcie, którego Randy nie mógł usłyszeć. Modliła się, żeby nie wiedział, w którym ona jest pokoju, żeby szukał na chybił trafił i całkowicie pominął jej drzwi.

Ale musiała się przygotować.

Szybko i cicho wróciła do łóżka. Próbowwała je przesunąć, żeby zabarykadować drzwi albo schować się za nim, gdyby Randy jakimś sposobem dostał się do pokoju, ale z tylko jednym sprawnym ramieniem nie mogła nawet go poruszyć, a co dopiero przechylić. Modląc się, żeby zamknięte drzwi powstrzymały Randy'ego, dopóki nie nadejdzie pomoc, podniosła słuchawkę telefonu, by po cichu wezwać szpitalną ochronę. Wykręciła zero i sygnał zahuczał jej w uchu tak głośno, że zamrugwała. Telefon zadzwonił raz. Drugi. Trzeci

A potem klamka zagrzecotała i zaczęła się obracać.

Drzwi się nie zamknęły! Rozejrzała się rozpaczliwie za jakąś bronią, łudząc się wbrew rozsądkowi, że na metalowej tacy przy łóżku leży zapasowy skalpel czy strzykawka, ale oczywiście nic nie znalazła.

A potem drzwi rozwarły się szeroko i on stanął w progu, podświetlony od tyłu nikłym blaskiem porzuconej latarki, i zaśmiał się tym przerażająco świadomym, dorosłym śmiechem, który słyszała przedtem w jego domu. Nogi się pod nią ugięły, zrobiły się bezwładne jak złamane ramię. Widok tej niskiej, przysadzistej sylwetki wywołał pewnego rodzaju pamięciową reakcję. Nie miała dokąd uciec, nie miała jak się bronić.

Coś w niej stwardniało. Nie mogła się poddać. Musiała przynajmniej spróbować z nim walczyć. Przykucnęła za łóżkiem w nadziei, że jeszcze jej nie zauważył, że po łagodnym oświetleniu korytarza oczy mu się nie zdążyły przyzwyczać do całkowitej ciemności w pokoju.

Wyglądając spod łóżka, widziała jego nogi i dolną część ciała. -

Ka! - krzyknął. - Ka! Ka! Kakaka! Zrobił krok do przodu.

Cathy sięgnęła w górę. Na szafce nocnej obok łóżka stał wazon, zostawiony przez poprzednią pacjentkę. Zdrową ręką chwyciła wazon za

cienką szyjkę i walnęła nim o podłogę. Chciała, żeby pękł czysto i posłużył jako broń, podobnie jak butelki po coca-coli, które widziała rozbijane na filmach, ale zamiast utworzyć ostrą, poszarpaną krawędź, wazon roztrzaskał się na dziesiątki odłamków tak małych, że nie nadawały się do niczego.

Rozpląkała się ze strachu i rozczarowania, strumienie łez niepowstrzymanie spływały jej po policzkach. Odpełzła po podłodze do tyłu, w stronę drugiego łóżka.

- Ka! — powtórzył radośnie Randy. — Kakakaka!

Uklęknął, schylił się, spojrział na nią przez prześwit pod łóżkiem i uśmiechnął się szeroko.

JIMMY'EGO TEŻ ZBUDZIŁ STRZAŁ. Natychmiast zauważył, że w szpitalu zapadła ciemność.

On też usłyszał okrzyk Randy'ego.

Spojrzał na krzesło obok łóżka. Było puste. Mama zniknęła.

Poczuł ukłucie paniki. Dokąd poszła? Czy jest gdzieś w szpitalu?

Blis-

ko... niego?

Kopniakiem zrzucił nakrycie. Teraz bał się jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy chował się przed Randym w wannie. Wiedział, do czego Randy jest zdolny.

Ale był również silniejszy niż przedtem. Bardziej zahartowany.

Spuścił nogi z łóżka, spróbował wstać i o mało się nie przewrócił.

Dźwignął się na rękach, oparł jedną na materacu, drugą na szafce nocnej i odczekał chwilę, dopóki nie odzyskał równowagi.

Krzywiąc się, zrobił niepewny krok do przodu. Potem drugi.

Chodzenie sprawiało mu trudność. Kostki u nóg miał słabe i boleśnie obtarte; wciąż czuł na nich ucisk sznura. W głowie też go łupało: wszystkie środki usmierzające, które w niego wpompowali, nie zdołały całkowicie stłumić łomotania pod czaszką chociaż teraz przypominało raczej tępe pulsowanie niż wcześniejsze ostre klucie.

Otworzył drzwi swojego pokoju, przytrzymując się klamki, i wyszedł na korytarz. Głęboką ciemność rozjaśniał tylko pojedynczy żółty, wachlarzowaty snop światła latarki, leżącej na podłodze w połowie długości korytarza. Jimmy podążył wzrokiem za smugą blasku i osunął się na ścianę, niemal upadł, kiedy zobaczył scenę wydobytą z mroku przez rozproszoną

poświatę.

Korytarz zaścielały szczątki połamanego szpitalnego sprzętu i nieruchome ciała.

Zamknął oczy i znowu je otworzył, ale koszmar trwał dalej.

Najbliżej, na jego końcu korytarza, piętrzył się stos pogiętego metalu. Obok leżały złamane nosze i dwie ludzkie sylwetki. Jedna postać, kobieta, ubrana tylko w resztki podartej szpitalnej koszuli, patrzyła na niego martwymi oczami, z policzka wystawał jej ostry metalowy pręt. Dalej, w pobliżu latarki, leżał chyba zabity policjant. Wszędzie krew, szokujące ilości krwi, która zachlapała ściany i

rozlała się w wielkich kałużach na podłodze.

On tu był. Randy. On tu był.

Jimmy zmusił się, żeby ruszyć dalej, ostrożnie przestępując przez krwawe rozbryzgi. Nie dało się jednak całkowicie ich obejść i kilka razy usłyszał ciche mlaśnięcie, kiedy opuścił nogę, a potem czuł lepkość pod stopą.

Dotarł do latarki, podniósł ją i oświetlił korytarz. Jatka nie była taka wszechobecna, jak początkowo przypuszczał. Promień latarki oświetlał przedtem najgorsze zniszczenia, wycinał w ciemności ścieżkę prowadzącą

prosto do okaleczonych ciał i roztrzaskanej maszynerii, teraz jednak Jimmy widział, że większość korytarza jest czysta, nietknięta.

Zastanawiał się, czy za pozostałymi drzwiami w koniarzu znajdowali się inni pacjenci. Jeśli tak, pewnie byli przykuci do łóżek i nie mogli zobaczyć, co się dzieje. Inaczej też wyszliby z pokojów po usłyszeniu wystrzału.

Chyba że nie żyli.

Musiał się wydostać z tego piętra, znaleźć lekarza, znaleźć pielęgniarkę, wezwać policję.

Za zamkniętymi drzwiami następnego pokoju po lewej stronie rozległ się wrzask. Głos miał znajomą barwę i jednocześnie całkowicie obce brzmienie, wyrażające krańcową rozpacz. Jimmy zatrzymał się. serce podeszło mu do gardła. Cathy. Słyszał Cathy.

Randy był z nią w pokoju.

Spanikowany, spuścił wzrok. Na podłodze u jego stóp, wciąż zaciśnięty w wyciągniętej ręce martwego gliniarza, spoczywał

rewolwer. Jimmy przykucnął, kolana głośno mu trzasnęły w ciszy korytarza. Położył latarkę na podłodze. Nie chciał dotykać martwego ciała, nawet ręki, nawet jednego palca, ale Cathy znalazła się w niebezpieczeństwie, była atakowana.

pewnie mordowana i tylko on jeden miał przynajmniej cień szansy, żeby ją uratować. Szybko złapał rewolwer za lufę i pociągnął, ale palec policjanta zaczeplił się na spuście i nie puszczał. Krzywiąc się z obrzydzenia, Jimmy przytrzymał lufę jedną ręką, a drugą odgiął palec martwego mężczyzny i wypchnął

z osłony spustu. Trup miał jeszcze ciepłą skórę, ale dłoń i palec wydawały się dziwnie ciężkie. Jimmy wyszarpnął broń i natychmiast wstał, niemal odskoczył od ciała.

Odetchnął głęboko. Nigdy w życiu nie strzelał z broni palnej, oglądał to tylko na filmach i w telewizji, lecz uważał, że sobie poradzi. Trzymał rewolwer przed sobą w obu rękach.

Cathy znowu wrzasnęła (Czy w ogóle przestała wrzeszczeć? Nie zauważył). Odciągnął palcem kurek. Sprawa okazała się trudniejsza, niż to wyglądało w telewizji, ale wreszcie kurek zaskoczył. Jimmy oparł palec na spuście i ruszył przed siebie.

Zanim dotarł do drzwi, ręce mu się trzęsły zarówno ze strachu, jak i od ciężaru broni, mimo to zdołał utrzymać rewolwer przed sobą. Kopniakiem otworzył drzwi. Nie przyszło mu do głowy, że drzwi mogą być zamknięte na klucz albo zwyczajnie na klamkę, że jego kopniak tylko odbije się od drewna, dopiero w ostatniej chwili o tym pomyślał, kiedy już nie mógł się cofnąć. Na szczęście drzwi okazały się niedomknięte i po kopnięciu uchyliły się do środka. Nie otwały się jednak na całą szerokość, nie walnęły z hukiem o ścianę, jak na filmach drzwi wyłamywane przez gliniarzy. Po prostu uchyliły się do połowy i zaczęły znowu się zamykać.

Wciąż trzymając broń przed sobą, obrócił się bokiem, pchnął drzwi ramieniem i wpadł do pokoju.

Randy stał obok pierwszego łóżka i patrzył na niego z uśmiechem.

W ręku trzymał skalpel.

Jimmy w pierwszej chwili pomyślał, że popełnił błąd. ogromny błąd, że Cathy wcale tu nie ma. Do pokoju przez okno wpadało trochę światła i po czerni korytarza widział całkiem dobrze.

Ale nigdzie nie dostrzegł Cathy.

Słyszał jej wrzaski, słyszał przerażenie w jej ochrypłych, piskliwych okrzykach, teraz jednak w pokoju był tylko Randy i czekał na niego. Jimmy chciał uciekać, odwrócić się i popędzić korytarzem do schodów, ale wtedy usłyszał stłumione, przerywane czkawką pochlipywanie gdzieś za pierwszym łóżkiem i wiedział, że Cathy tu jest.

- Ba! - powiedział Randy. - Ba! Ba!

Zaczął się zbliżać do Jimmy'ego, trzymając skalpel poziomo tuż nad głową.

Patrząc w znajomą, bezmyślną, kretyńską twarz, z tym samym wyrazem radosnego oczekiwania, który oglądał do góry nogami w garażu, Jimmy poczuł przypływ wściekłości, nienawiści, napędzanej adrenaliną odwagi.

Trzęsącymi się rękami wystrzelił.

Kula trafiła. O dziwo. Odrzut pchnął Jimmy'ego do tyłu, wytrącił

mu broń, na chwilę zmusił go do odwrócenia wzroku, ale kiedy znowu spojrział przed siebie, zobaczył, że Randy siedzi na podłodze i że upuścił skalpel. Ostry instrument leżał w połowie odległości pomiędzy nimi.

Jimmy rzucił się do przodu i chwycił skalpel, żeby Randy go nie podniósł. Cofnął się do miejsca,



gdzie leżała broń, nie spuszczać oczu z chłopca. Nie widział krwi na koszuli ani na spodniach Randy'ego, na głowie ani na ramionach, więc pomyślał, że jednak chybił, że Randy tylko przestraszył się huk, dlatego upuścił

skalpel i upadł.

Potem Randy wstał i Jimmy zobaczył ciemną plamę na spodzie jego dłoni. Odstrzelił Randy'emu palec.

Dzieciak zaśmiał się swoim zwykłym, naturalnie złym, dorosłym śmiechem i Jimmy zrozumiał ze zgrozą, że chłopiec nie zdaje sobie sprawy ze straty palca. W ogóle nie czuł bólu.

- Ba! Ba! Ba! - zawołał Randy. Schylił się i udawał, że podnosi piłkę i rzuca w Jimmy'ego.

- Uciekaj! - krzyknęła Cathy zza łóżka. - Jimmy! Sprowadź pomoc!

Randy dalej się śmiał.

Przerażony głos Cathy w połączeniu ze znajomą reakcją Randy'ego sprawiły, że coś w Jimmym pękło. Spojrzał na upośledzonego chłopca i nagle zapragnął go zabić, załatwić go raz na zawsze, żeby już nigdy nikogo nie skrzywdził.

- Skurwiel! - krzyknął. Natarł na Randy'ego z nienawiścią w oczach, rozcinając powietrze skalpelem.  
- Skurwiel!

- Nie! - wrzasnęła Cathy. - Jimmy!

Randy podbiegł do przodu, zaśmiał się, zagdakał i swobodnie odstąpił na bok, z łatwością unikając ciosu. Mocno kopnął

Jimmy'ego w plecy i przewrócił go twarzą na podłogę. Potem wskoczył mu na plecy, chwycił za włosy i szarpnął mu głowę do góry.

Jimmy poczuł, jak włócznia rozdierającego bólu przeszywa mu kark i szyję, zagłuszając dotychczasowe tępe pulsowanie.

Potem coś pociągnęło go za włosy, szarpnęło głowę do tyłu i stracił przytomność.

CATHY KULIŁA SIĘ ZA ŁÓŻKIEM i patrzyła, niemal przytłoczona rozpaczą, jak głowa Jimmy'ego opada bezwładnie na podłogę. To beznadziejne. Mogła się poddać tu i teraz, mogła usiąść i czekać, aż Randy do niej przyjdzie, aż wszystko się skończy. Lecz zamiast skrócić kark Jimmy'emu, złamać mu kręgosłup czy zabić go w inny sposób, Randy wstał i odsunął się od nieruchomego ciała. Podszedł do skalpela i podniósł go z chichotem. Cathy wstrzymała oddech, ale zamiast wrócić do Jimmy'ego i zaszlachtować go, sawant ponownie odwrócił się do niej.

Mógł zabić Jimmy'ego później, na razie jednak pozwolił mu żyć.

Chciał się z nim jeszcze trochę pobawić.

Teraz Cathy miała powód, żeby walczyć o życie.

- Ga! - zawołał Randy.

Jak długo to trwało? Trzy minuty? Pięć? Dziesięć? Wydawało się, że całe godziny. Gdyby tylko udało jej się to przeciągnąć, gdyby zdołała utrzymać przy życiu siebie i Jimmy'ego jeszcze trochę dłużej, w końcu nadeszłaby pomoc. Ktoś gdzieś w budynku musiał zauważyć, że wysiadło zasilanie, że coś jest nie w porządku, musiał wezwać policję. To tylko kwestia czasu, zanim przybędą oddziały ratunkowe.

Gdyby tylko zdołała do tego czasu obronić się przed tym potworem.

W głowie jej się przejaśniło, umysł jakby złapał drugi oddech czy też mentalny odpowiednik. Otumanienie ustąpiło, jego miejsce zajęła chłodna racjonalność. Wciąż płakała, wciąż się bała, ale część jej umysłu funkcjonowała sprawnie, pokonując irracjonalne impulsy instynktu\* Czuła się niemal jak widz, jak gość we własnym ciele, jak ktoś trzeci, z dystansu obserwujący rozwój wydarzeń. Zastanawiała się, czy na tym polega szok.

Podniosła się na kolana. Obok na nocnym stoliku stał telefon, z którego wcześniej próbowała zadzwonić po pomoc. Teraz wyrwała słuchawkę, zważyła ją w ręku. Lekki, ale solidny przedmiot mógł posłużyć za broń. Gdyby musiała, gdyby miała szansę, mogła walnąć Randy'ego.

Zaczęła się czołgać w stronę okna, jak najdalej od drzwi, jak najdalej od Randy'ego. Podobnie jak światło, klimatyzacja też wysiadła. W pokoju zrobiło się gorąco, powietrze stało nieruchome, przesycone wilgocią. Cathy mimowolnie zastanowiła się, co się działo w pokojach z urządzeniami podtrzymującymi życie, ze sprzętem medycznym do nagłych wypadków.

Zakładała, że szpital ma awaryjne zasilanie, które w pierwszej kolejności objęło priorytetowe pomieszczenia, kiedy zgasło światło, ale narzucało jej się pytanie, czy Randy nie zepsuł także zapasowych generatorów.

Ilu ludzi umarło? Ilu ludzi w budynku zabił?

Randy okrążył róg jej łóżka w chwili, kiedy dotarła do drugiego łóżka. Mocniej ścisnęła w rękę słuchawkę telefonu. Plastik zrobił

się śliski od potu.

Potem Randy rzucił się na nią.

Zdążyła tylko wstać, wskoczyć na łóżko i przetoczyć się na drugą stronę pokrytego plastikiem materaca. Poczowała palący ból w prawej stopie, na podbiciu, a potem lepka wilgoć pociekła po palcach. Rozciął jej prawą stopę.

Z wrzaskiem spadła na podłogę, chłodny rozsądek sprzed paru chwil pierzchnął w popłochu. Próbowwała wstać, próbowała pełzać, próbowała się odtoczyć, ale cokolwiek robiła, jakkolwiek się wykręcała, czuła nacisk na stopę i nagły, dżgający ból, tak dotkliwy, że niemal odchodziła od zmysłów.

Randy zapał triumfalnie. On też wskoczył na łóżko, lecz kiedy wychylił się na drugą stronę ze skalpelem w ręku, żeby zobaczyć, gdzie ona jest, dźwignęła się z wysiłkiem i trzasnęła go słuchawką w bok głowy. Plastik uderzył o kość z satysfakcjonującym trzaskiem i krew wezbrała we wgniecionym fragmencie zmiażdżonej skóry nad uchem chłopca.

Cathy nie czekała, żeby sprawdzić, czy stracił przytomność, czy upuszczył skalpel, czy się cofnął albo zaatakował. Odpełzła do tyłu, w stronę okna, pokonując przeraźliwy ból rozciętej stopy i tępe pulsowanie w złamanym ramieniu.

Upośledzony dzieciak przetoczył się przez krawędź łóżka i wylądował ciężko w miejscu, gdzie Cathy była zaledwie przed sekundami. Ruszył dalej na kolanach, wciąż uśmiechnięty, wciąż wbijając oczy w jej twarz, wciąż ściskając w ręku skalpel.

- Ga Ga Ga Ga! Gagagaga!

Najbardziej ze wszystkiego chciała, żeby się zamknął. Jego wrzaski doprowadzały ją do szaleństwa, głowa jej pękała. Chciała na niego krzyknąć, żeby przestał, ale straciła już zdolność artykułowanej mowy i z tego zamiaru pozostał tylko słaby impuls na dnie umysłu, kiedy pełzła jak krab w stronę okna.

Szedł za nią na kolanach, z wrzaskiem i śmiechem, a potem dotarli pod ścianę. Cathy spojrzała w stronę uchylonych drzwi z nikłą nadzieją, że zobaczy światła, że usłyszy kroki stróżów prawa, że Allan wpadnie do środka i odepchnie od niej Randy'ego. Ale za drzwiami wciąż czerniał

równoległobok ciemności i rozumiała, że to koniec. Nikt nie przyjdzie i nie ma już dokąd uciekać, nie można dłużej grać na zwłokę. Czas się skończył.

Oparła się plecami o ścianę pod oknem i skuliła na podłodze.

Czuła osłabienie i zastanawiała się, ile krwi straciła. Randy uklęknął obok niej, ale nie miała nawet siły, żeby podnieść ręce w obronie.

Machnął skalpelem i odciął jej koniuszek lewego ucha.

Wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

Wezbrała w niej furia. Wściekłość na Randy'ego za to, co zrobił

Jimmy'emu, jej ojcu, jej i wszystkim innym; wściekłość na cały świat, na los, na wszystko, co powinno się ułożyć jak należy, ale z niewiadomych powodów poszło rozpaczliwie źle. Ból, nienawiść, frustracja zrosły się w jeden płonący rdzeń gniewu, który wypełnił ją siłą i błyskawicznie wyparł słabość i strach.

Wparła się plecami w ścianę i kopnęła z całej siły. Obiema stopami trafiła Randy'ego w żołądek. Chrapliwie zachłysnął się powietrzem, upadł do tyłu i uderzył głową o podłogę. Ból w rozciętej stopie przeraźliwym rykiem torturował ośrodki nerwowe w mózgu, ale zignorowała go, wstała i mocno kopnęła Randy'ego w twarz. Wciąż ścisnęła spoconą słuchawkę, którą teraz walnęła go w czoło i z ponurą satysfakcją patrzyła, jak krew zalewa mu oczy i spływa po policzkach.

Chciała, żeby płakał, żeby poczuł taki sam ból, taki sam rozpaczliwy strach jak ona i inne ofiary, jednak nie doczekała się tego zadośćuczynienia. Randy wciąż się śmiał, jakby w ogóle nie zauważył, że został ciężko ranny. Puste oczy powiedziały Cathy, że nawet jeśli chłopiec zdawał sobie sprawę z obrażeń, mózg nie dostrzegał związków przyczynowo-skutkowych pomiędzy jego postępkami a reakcją ofiary.

Sięgnął po skalpel, a ona znowu kopnęła go w twarz, jeszcze mocniej. Krew wypełniła szpary między jego wyszczerzonymi zębami. Wyglądał tak, jakby to mu sprawiało przyjemność i w przerażającym przeblysku olśnienia Cathy zrozumiała, że naprawdę to mu sprawia przyjemność, że cieszy go każdy akt przemocy - nawet skierowany przeciwko niemu.

Cofnęła się, a on zerwał się na nogi i natychmiast zaatakował.

Wrzasnęła, kiedy jedna pięść uderzyła ją w prawą pierś, a druga w żołądek. Złapała go za ramiona i podniosła w górę za nadgarstki. Wykręcał się i wyrывał z uścisku, kopał ją we wrażliwy brzuch, w jeszcze bardziej wrażliwe podbrzusze, ale ona zacisnęła zęby i nie puszczała, tylko obracała się, aż przysunęła jego głowę do okna i przycisnęła nogi do ściany.

Jeszcze raz spróbował się uwolnić, lecz ona pchnęła go mocno na okno, napała całym ciężarem. Szyba pękła, rozbite szkło pokaleczyło mu tył i lewy bok głowy. Przez dziurę napłynęło chłodne nocne powietrze,

niosąc smród jego krwi i jego oddechu, silny i przesycony zgnilizną, zagłuszający subtelniejsze, przyjemniejsze nocne zapachy miasta.

Z parkingu na dole dochodziły warkot silników i pisk hamulców, okrzyki i trzaskanie drzwi. Hałasy wydawały się stłumione, niewyraźne, jakby rozlegały się pod wodą. Cathy przysunęła głowę do głowy Randy'ego i wyjrzała przez okno. Policja przyjechała. Nareszcie. Teraz tylko musiała trzymać chłopca i czekać, aż przyjdą na górę. Popatrzyła na Randy'ego. Był

zadziwiająco lekki i po raz pierwszy, odkąd go poznała, uświadomiła sobie, że to zaledwie dziecko. Prawie zrobiło jej się go żal. Jakby nagle, przez krótką chwilę, zobaczyła normalnego chłopca wewnątrz sawanta, jakby w tym samym ciele mieszkały dwie osobowości i teraz przelotnie dostrzegła tę drugą, stłumioną.

Potem Randy odrzucił głowę do tyłu, z szokującym trzaskiem wałnął potylicą w pękniętą szybę i wybił jeszcze większy otwór.

Ostre odłamki szkła rozharatały mu miękką skórę twarzy, niezliczone wzbierające strumyczki krwi popłynęły z czoła, nosa, policzków i brody, zasilając nowymi dopływami wcześniejsze skaleczenia, on jednak nie zważał na ból. Zręcznie chwycił zębami jeden chwiejący się szklany sopel i szybko wysunął głowę do przodu. Spiczasty odłamek szkła minął o włos gardło Cathy, a potem Randy obracał głowę, ustawiał, poprawiał, manewrował

żeby następny cios na pewno dosięgnął celu. Głowa skoczyła do przodu i ze zwierzęcym okrzykiem instynktu samozachowawczego Cathy odepchnęła chłopca od siebie, wyrzuciła za okno. Wrzasnęła, spadając na parking, ale nie ze strachu czy oburzenia, tylko jak zwykle próbował mówić:

- Ka! Kakakakakakak...

Wrzask urwał się w połowie, kiedy ciało uderzyło o chodnik.

Cathy chwiejnie odsunęła się od okna, spojrzała na swoje ręce i zaczęła przeproszać za swój postępek, chociaż nie słyszał jej żaden przedstawiciel władz:

- Ja nie chciałam. To był wypadek. On próbował mnie zabić...

Lewa strona głowy jej marzła. Przyłożyła tam rękę, żeby rozgrzać to

miejsce, ale poczuła tylko lepkość i zrozumiała, że dźwięki wydawały jej się stłumione, ponieważ krew z okaleczonego ucha spływała do środka. Czy Randy naprawdę zginął?

Może nie dało się go zabić. Może spadł, odbił się i skoczył na równe nogi, i teraz biegnie do niej z powrotem po schodach, wrzeszcząc na cały głos: „Gagagaga!”

Zmusiła się, żeby wyrzeć przez okno. Na parkingu w dole widziała białe dachy świeżo przybyłych radiowozów, zaparkowanych byle jak

przed frontem szpitala. Na kilku wozach migały koguty, ale nie włączono syren i czerwono-niebieskie światła wirujące zawrotnie we względnej ciszy nadawały całej scenie psychodeliczny, surrealistyczny charakter. Policjanci właśnie biegli do szpitala, rozproszeni pomiędzy samochodami, kierując się do głównego wejścia, teraz jednak zatrzymali się w pół drogi i zmienili kierunek. Gromadzili się wokół małego, nieruchomego ciała na betonie, przyciągani jak mrówki do cukru. Cathy wyraźnie widziała w półmroku blade czubki ich głów na tle granatowoczarnych mundurów.

Spojrzała na nieruchome ciało Randy'ego Westa, ośrodek całej aktywności. Tłum gęstniał coraz bardziej, blade głowy napływały pomiędzy samochodami i tłoczyły się jedna przy drugiej.

Z tej perspektywy Randy wydawał się mały. Mały i zadziwiająco normalny.

Jeden po drugim, jak na dany znak, policjanci zaczęli podnosić głowy? Rozglądali się przez chwilę, potem dostrzegali ją w oknie i zamierali. Nie widziała ich twarzy, nie rozróżniała oczu, ale zdawało jej się, że patrzą na nią. Migające czerwone i niebieskie światła nagle jakby pojaśniały.

Wśród uniesionych twarz widziała Allana, rozpoznała jego rysy nawet z tej wysokości, nawet w słabym świetle. Trzymał głowę bardziej sztywno niż inni i stał bez ruchu, patrząc na nią przez wybitą szybę. Dotarł do niej gwar głosów, zobaczyła kilku policjantów klękających obok ciała chłopca, inni wybiegali na spotkanie lekarzy i pielęgniarek, którzy zaczęli się wysypywać ze szpitala, ale nie odrywała wzroku od Allana. Pod jego spojrzeniem poczuła się nieswojo, zrobiło jej się gorąco i trochę niedobrze. Cofnęła się od okna w bezpieczną ciemność pokoju.

Ominęła oba łóżka i usiadła ciężko na podłodze obok Jimmy'ego.

Odzyskał przytomność i jakoś jej to nie zdziwiło.

- Zrobiliśmy to - szepnął ochryple.

Kiwnęła głową i wzięła go za rękę.

Uśmiechnął się do niej, ona odpowiedziała mu uśmiechem, a potem zaczęła płakać.

## EPILOG

CATHY ZAKRĘCIŁA KRAN, zwinęła ogrodowy wąż i patrzyła przez chwilę na swoje chryzantemy, podziwiając jaskrawe kolory; dostrzegła nowe pączki, które zawiązywały się nawet o tak późnej porze roku. Kwiaty poprawiały jej nastrój i przypominały, że nie wszystko na świecie, nawet nie wszystko w jej życiu, obraca się wokół ludzkich istot i ich postępów. Czasami pocieszała się tą myślą.

Obok jednej chryzantemy rósł chwast, imigrant z trawnika.

Pochyliła się i go wyrwała.

Wbrew sobie znowu zaczęła się zastanawiać, co teraz robi David.

Gdzie jest. Kim jest. Czy skończył studia? Znalazł pracę? Ożenił

się? Uświadomiła sobie, że nawet nie wie, jak on wygląda jako dorosły.

Czy naprawdę chciała wiedzieć, jaki jest teraz David? Nie. Nieko-niecznie. Ale samo to, że mogła wracać do niego myślami, nie odpychając natychmiast od siebie wspomnień, oznaczało, że stała się silniejsza, że wreszcie zostawiła przeszłość za sobą. Przez te wszystkie lata nigdy nie pozwalała sobie myśleć o bracie inaczej niż w czasie przeszłym, a kiedy już o nim myślała, to zawsze obojętnie, jak się myśli o postaci z kreskówki czy nieożywionym przedmiocie.

Nienawidziła Davida, nadal go nienawidziła, ale już się go nie bała. I nie bała się już swojej nienawiści. Dobrze było przyznać się do swoich uczuć, jeszcze lepiej doświadczać ich swobodnie, ale Cathy wiedziała również, że jej nienawiść kiedyś zgaśnie. Po prostu nie warto jej podtrzymywać. Co było, minęło - czas ruszać dalej.

Weszła po stopniach ganku do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Dom wydawał się pusty po śmierci ojca, bardziej pusty niż mogła się spodziewać, i chociaż chciała go sprzedać, nawet omawiała tę sprawę z Billym na pogrzebie, w końcu się nie zdecydowała.

Przestawiła meble, wyrzuciła parę rzeczy, kupiła kilka nowych, żeby dom wydawał się bardziej jej, nie ojca, ale odkryła, że przynajmniej na razie potrzebuje więzi z przeszłością, potrzebuje poczucia stabilizacji i ciągłości, jakie zapewniał stary rodzinny dom.

Weszła do kuchni, żeby napić się wody. Ten pokój wyglądał

całkiem inaczej, kompletnie przerobiony. Kuchnię sprzątnięto, zanim wróciła ze szpitala, ale ponieważ wiedziała, co tu się stało, za każdym razem, kiedy wchodziła, musiała myśleć o swoim ojcu, martwym, ukrzyżowanym na podłodze.

Zamieszkała na tydzień u Ann, podczas gdy Allan nadzorował

remont. Dopiero potem mogła wrócić.

Podczas ostatnich paru miesięcy zaszło również wiele innych zmian.

Po pierwsze, dom Lauterów przestał istnieć. Zniknął. Budynek stał nadal, pusty i wystawiony na sprzedaż, ale to już nie był dom Lauterów.

To był dom Westów.

Odtąd już na zawsze pozostanie domem Westów. I prawdopodobnie długo nie znajdzie kupca.

Cathy nie wiedziała, co się stało z Katriną West i jej... mężem. Nie chciała wiedzieć. Celowo nie czytała gazet od dwóch miesięcy, a jeśli w telewizji pojawiały się wiadomości nawet marginalnie dotyczące tej sprawy, szybko przełączała kanał. Allan chętnie zawiadomiłby ją o rozwoju wypadków, ale nie pchał się z informacjami, a ona nie pytała. Nie dlatego, że nie interesowało jej, co się stało z matką i ojcem Randy'ego. Interesowało. Po prostu nie chciała wiedzieć.

Zastanawiała się, czy Jimmy czuje to samo. Właściwie nie rozmawiała z nim od tamtego dnia, nie przeprowadziła żadnej poważnej rozmowy. Spotkali się kilka razy, ale rozmawiali ze sobą trochę sztywno, trochę niezręcznie. Jak starzy przyjaciele, którzy nie widzieli się od lat i nie mają już ze sobą nic wspólnego.

Ale Cathy wciąż żywiła ciepłe uczucia do Jimmy'ego i wiedziała, że nigdy go nie zapomni.

Jimmy mieszkał teraz z matką w Glendale. Postanowili sprzedać dom, sprzedali razem z

umeblowaniem i według jego matki Jimmy nic ze sobą nie zabrał. Żadnych ubrań. Żadnych zabawek.

Nic. Nie chciał, żeby cokolwiek mu przypominało o przeszłości.

Ze wszystkich osób najbardziej współczuła Jimmy'emu.

Wiedziała, jak mu będzie trudno. Upłyną lata, może całe życie, zanim pozostawi przeszłość za sobą. Podobnie jak ona przechodził terapię, dwa razy w tygodniu chodził do psychiatry, Cathy jednak wiedziała, że to czasem nie wystarcza. Chciała mu powiedzieć mnóstwo rzeczy, udzielić mu mnóstwa rad, ale uważała, że powinna raczej trzymać się na dystans. Jimmy musiał sam dojść do siebie.

Zastanawiała się, czy z czasem pogrzebie pamięć o niej, związaną z czarnym okresem w jego życiu, czy wyrzuci te wszystkie lata ze świadomości.

Prawdopodobnie.

Ale to w porządku. Byle był zdrowy i szczęśliwy. Tylko to się liczyło.

Zadzwonił telefon i Cathy weszła do salonu, odebrała. Dzwoniła Ann. Jutro się przeprowadza i chciała poprosić Cathy, żeby przypomniiała Allanowi o ciężarówce, którą miał zamówić.

Pierwotnie Cathy zaproponowała, żeby Ann zamieszkała u niej i płaciła tylko minimalny, symboliczny czynsz, lecz Ann odparła z uśmiechem, że jeśli Cathy naprawdę potrzebuje współlokatora, niech zaprosi Allana.

Cathy zaczerwieniła się, ale nie zaprotestowała.

Allan był cudowny. Pomógł jej przejść przez to wszystko.

Podtrzymywał ją na duchu, obronił ją przed mediami, pomógł

załatwić sprawy z towarzystwami ubezpieczeniowymi i prawnikami. Poświęcił również część urlopu, żeby z nią być, i chociaż jeszcze nie mieszkali razem, bardzo wiele ich łączyło.

Spojrzała na zegar. Czwarta trzydzieści. Miał przyjść po pracy, około szóstej. Obiecała, że ugotuje obiad. Poprosił o hamburgery, ale odparła, że wystarczy mu już cholesterolu i nie zamierza wpędzać go w chorobę.

Zrobi fajitas z kurczaka.

Allan zjawił się wcześniej, za kwadrans szósta. Zaprosiła go do kuchni, żeby dotrzymał jej towarzystwa, kiedy gotowała. Lubiała go mieć obok.

- No więc zostaniesz na noc? - zapytała.

- Chcesz, żebym został? Przytaknęła.



Uśmiechnął się szeroko i pociągnął łyk dietetycznej coli.

- Tak się składa, że mam na tylnym siedzeniu ubranie na jutro. Co za przypadek.

- Myślisz, że jesteś taki sprytny? Zaśmiał się.

- Główka pracuje.

Po obiedzie Allan przyniósł swoje ubranie z samochodu, a potem obejrzeni na kablówce stary film z Humphreym Bogartem. Jej ojciec lubił Bogarta. Pod koniec Bogart należał do nielicznych kwestii, w których się zgadzali. Więc w miarę jak upływał

wieczór, Cathy robiła się coraz

bardziej milcząca, coraz bardziej przygnębiona. Po filmie Allan wyłączył telewizor.

- Co ci jest?

- Nic. Po prostu myślałam o ojcu.

Objął ją w milczeniu. Słowa nie mogły niczego naprawić. To musiało

samo przejść.

Cathy ścisnęła go za rękę i próbowała się uśmiechnąć, ale oczy miała zamglone. Wspominała, ile razy siedziała z ojcem w tym pokoju. W jej wspomnieniach pozostał nie złośliwym, mizoginistycznym staruchem, z którym mieszkała przez dziesięć lat, ale zdrowym, pełnym życia mężczyzną w średnim wieku.

Pamiętała troskliwego, kochającego ojca, obok którego dorastała, człowieka gotowego zmierzyć się z całym światem, człowieka, który kochał rodzinę i chronił ją przed wszelkimi przeciwnoś-

ciami losu. I opłakiwała śmierć tego człowieka, chociaż w rzeczywistości

umarł dawno temu. Wytarła oczy.

— Nie zostawiaj mnie - poprosiła.

— Nigdy - przyrzekł.

I objął ją mocno, a ona płakała nad ojcem, nad matką, nad wszystkim, co straciła. A kiedy przestała płakać i łzy wyschły, Allan wciąż przy niej był.

# Table of Contents

[PROLOG](#)